



Joseph Pearce

POŻEGNANIE Z BRESLAU

DIALOG



Joseph Pearce

POŻEGNANIE Z BRESLAU

Przekład z niderlandzkiego
JADWIGA JĘDRYAS

Wydawnictwo Akademickie
DIALOG 
Warszawa 2016

Tytuł oryginału: LAND VAN BELOFTE Redakcja i korekta: BERNADETA LEKACZ Skład i łamanie: „ROCH” WOJCIECH OCHOCKI Projekt okładki: BARBARA ĆWIK The translation of this book is funded by the Flemish Literature Fund (Vlaams Fonds voor de Letteren – www.flemishliterature.be).

Przekład książki został dofinansowany przez Flemish Literature Fund (Vlaams

Fonds voor de Letteren – www.flemishliterature.be)



Copyright © Joseph Pearce/Vrijdag 1999/2014

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie „DIALOG” Anna Parzymies Sp. z o.o. 2016 ISBN e-pub 978-83-8002-560-8 ISBN mobi 978-83-8002-564-6 Wydanie elektroniczne, Warszawa 2016 Wydawnictwo Akademickie „DIALOG” Anna Parzymies Sp. z o.o.

00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks (+48 22) 620 87 03

e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl

WWW: www.wydawnictwodialog.pl Konwersja: eLitera s.c.

Spis treści

Karta redakcyjna Dedykacja Od Autora Prolog Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Epilog Załączniki Przypisy Informacje o Wydawnictwie Akademickim DIALOG

Moim rodzicom

Droga Czytelniczko,

Drogi Czytelniku,

latem 1994 roku panował upał, a ja po raz pierwszy wyruszyłem do Polski. Towarzyszyli mi moi rodzice. Najpierw odwiedziliśmy Wrocław, w którym w 1922 roku przyszedł na świat mój ojciec – wówczas w Breslau. W czasie tej podróży dojrzałem we mnie również zamysł, by odwiedzić rozproszonych po różnych zakątkach świata moich żydowskich krewnych, którzy zbiegli przed hitlerowskim Holocaustem. Mój plan w dużej mierze się powiódł: odwiedziłem Wielką Brytanię oraz Izrael, byłem w Boliwii, Australii i Stanach Zjednoczonych. W zasadzie powinienem był zaplanować również podróż do Republiki Południowej Afryki, tylko że wtedy nie wiedziałem jeszcze, że i tam dotarli moi krewni.

Wszyscy moi wywodzący się z Breslau bliscy, którzy doświadczyli czasów Trzeciej Rzeszy, do tej pory już zmarli. W książce, którą trzymają Państwo w swoich rękach, poznajecie ich takimi, z jakimi to ja zawarłem znajomość w ostatnich latach dwudziestego wieku. Wspominają swoją młodość w Breslau, dumają o terażniejszości, wyglądają przyszłości. Wtedy świetnie się trzymali. Tutaj – wciąż się świetnie trzymają...

I wreszcie jest to książka o dwudziestym wieku: o pierwszej jego połowie, naznaczonej odrażającą nienawiścią rasową i skrajnym nacjonalizmem, nietolerancją i barbarzyństwem, oraz o drugiej – półwieczu nadziei, pokoju i pojednania. Jedynie dla tych, którzy przeżyli Auschwitz, niebo zdaje się nigdy nie rozpogadzać.

Dlatego też opowieść ta jest jednocześnie wspomnieniem i ostrzeżeniem. Historia nigdy nie staje w miejscu. Czasem nawet nas dogania.

Antwerpia, luty 2016

Prolog

W dniu, w którym ukończyłem czternaście lat, mój ojciec oznajmił mi, że nie jest Anglikiem, ale pochodzi z Niemiec i ma żydowskie pochodzenie. Osłupiałem. Do tamtej pory byłem święcie przekonany, że jest rasowym Brytyjczykiem. Nosiliśmy angielskie nazwisko, trzymałem kiedyś w dłoni dwa medale, którymi brytyjski oficer odznaczył ojca za bohaterstwo w czasie wojny, a poza tym wciąż miałem świeżo w pamięci podróż do położonego w samym sercu Anglii Cheltenham, bo jedna z kuzynek prawie załaskotała mnie na śmierć na chłodnej trawie parku.

Dopiero po ćwierćwieczu zapragnąłem lepiej poznać swoich żydowskich krewnych. Decyzja, by o nich napisać, zapadła podczas mojej wizyty w Breslau, mieście na Śląsku, w którym żyli moi dziadkowie i gdzie w 1922 roku przyszedł na świat mój ojciec. Breslau leży obecnie w Polsce i nosi nazwę Wrocław.

Moi rodzice z trójką dzieci zamieszkiwali prowincjonalne miasteczko we Flandrii. Ojciec dostosował się do obowiązujących w nim reguł, jednak mimo to powszechnie uznawano go za typowego Anglika ze względu na jego spokój i rezerwę. Wszyscy byli zdania, że te wyśmienite cechy przekazał mnie, swojemu najstarszemu synowi. „Wygląda jeszcze bardziej z angielska niż jego ojciec” – mówiono o mnie.

Owo podstemplowanie anglosaksońskością nie przynosiło mi wielkich korzyści, nawet w szkole. Tak jak cała reszta miasteczka posługiwałem się lokalnym dialektem, zaś jedyne rozróżnienie, jakie obowiązywało na placu zabaw, dotyczyło tego, czy ktoś jest z miasta, czy ze wsi. Nie dane mi było dowiedzieć się, czy moi koledzy z klasy akceptują, czy odrzucają pół-Żyda, ponieważ ojciec wyraźnie przykazał mi, bym przemilczał prawdę o jego pochodzeniu. Nie pytałem dlaczego. Powierzył mi swoją tajemnicę z tak wielką godnością, że nie tylko bez dyskusji zastosowałem się do jego prośby, ale również nie podkusiło mnie, by na owo wyznanie zareagować oburzeniem lub wstrząsem. Nie przeszkadzało mi, że płynęła we mnie żydowska krew; sama wiadomość mnie tylko zaskoczyła. Pamiętam przede wszystkim powagę, z jaką ojciec się wypowiadał. Było jasne, iż ma uzasadnione powody, by zobowiązać mnie do milczenia.

Jego przeszłość nie okazała się złożona wyłącznie z kłamstw. W 1938 roku, jako piętnastoletni młokos, rzeczywiście wyemigrował do Anglii krótko przed *Kristallnacht*^[1]. Już parę lat wcześniej członkowie jego rodziny przesiedlili się do Stanów Zjednoczonych. Po wyjeździe mojego ojca z Niemiec fala emigracji wzmożła się. Jego rodzice trafili do Palestyny, wujkowie i ciotki do Chin, Boliwii i Australii. Kiedy wybuchła wojna, nie wszyscy zdołali przed nią uciec.

W 1948 roku ojciec ożenił się z Flamandką. Do tamtej pory zdążył już zmienić swoje niemieckie nazwisko Peritz na brytyjskie, zostać saperem, otrzymać

brytyjskie obywatelstwo i krocząc z armią wyzwoleńczą, trafić w ramiona mojej matki. Rok przed ślubem, po krótkim kursie wprowadzającym w podstawy katolickiego nauczania, został przyjęty na łono Matki Kościoła i oficjalnie wyzbył się swojej żydowskości. Wymiana ta była transakcją czysto handlową. „Zmieniłem wyznanie jak zmienia się koszulę” – lubił powtarzać ojciec.

Nasza wielka tajemnica pozostała bezpieczna, ponieważ ojciec w naszym spisku traktował mnie po partnersku. Przepelniało mnie to dumą. Niedługo miałem na dobre wkroczyć w świat dorosłych. Oczywiście to, że o wiele za mało wiedziałem o moich żydowskich przodkach, o wielkim mieście w Niemczech, w którym moi dziadkowie zamieszkiwali z dwójką dzieci, czy też o losie wszystkich tych członków rodziny prześladowanych przez nazistów, wynikało nie tylko z faktu utrzymywania tajemnicy. Właściwie nie obchodziło mnie, kim byli moi żydowscy przodkowie albo co porabiali ich potomkowie. Zakwalifikowanie się lokalnego klubu piłkarskiego do wyższej ligi liczyło się dla mnie o wiele bardziej niż wieść, że w Australii zmarła ciotka Erna. Moje korzenie znajdowały się we Flandrii. Tutaj się zaczynało i kończyło moje królestwo.

Kiedy w Breslau postanowiłem rozpocząć poszukiwania moich krewnych, w pierwszej chwili przeraziłem się tej decyzji. Dlaczego za wszelką cenę chciałem poznać historię swojej rodziny? Dlaczego nieoczekiwanie chciałem wyruszyć w ekspedycję na niezbadany, a może i nieprzyjacielski teren, skoro do tej pory nie zapuszczałem się dalej niż w głąb ogrodu? Moje postanowienie nie było decyzją chwili, ale logicznym skutkiem. Niepostrzeżenie podwodna rzeka naniosła pokłady niezliczonych doznań, których pełne znaczenie dopiero w ostatnich latach zaczynało wypływać na powierzchnię. W Breslau wszystkie one zlały się w jeden strumień.

Być może wszystko pozostałoby po staremu, gdybym po raz pierwszy w ciągu jakichś dwudziestu lat nie wyciągnął pudełka ze zdjęciami swojego dziadka. Felix Peritz wysyłał te zdjęcia do domu, kiedy w czasie pierwszej wojny światowej służył jako sanitariusz. Aby nie trzeba ich było wkładać do kopert, zrobiono z nich pocztówki. Wszystkie przedstawiały sceny z codziennego, frontowego życia żołnierzy. Wiele wojny nie dało się z nich wyczytać. Pozostali w domu krewni mieli wierzyć, że życie tysiąc kilometrów od domu płynie zwyczajnie dalej i że chłopcom na wojnie się podoba. Zdjęcia przedstawiały żołnierzy palących fajkę przed wejściem do lazaretu lub siedzących przy stole nad kartami, popijających piwo na święcie z okazji urodzin Kaisera albo stojących w kolejce do pułkowego cyrulika.

Dwadzieścia lat wcześniej przeglądałem te widokówki powierzchownie, nie poświęcając ani chwili przypisom na odwrocie. Teraz, jedna po drugiej, brałem je pod lupę, usiłując wraz z ojcem i bratem rozszyfrować każde słowo. Z tekstów niewiele udało nam się wywnioskować. Żołnierze wiedzieli, że cenzor skreślał

wszystko poza banałami. Tym bardziej intrygowały te fotografie. Większość z nich była zdjęciami grupowymi, a mój dziadek spoglądał z nich w obiektyw z krawędzi obrazu. Na żadnym nie pokazał choćby cienia uśmiechu. Co kryło się za tą maską?

Wówczas mój ojciec zaczął opowiadać. Niemalże wyschniętym korytem popłynęły wtedy opowieści i anegdota. Następnie odbyliśmy podróż na północ Francji i zrekonstruowaliśmy tam lata dziadka na froncie. Był to gorący weekend schyłku lata. Jaskółki ostatni raz żeglowały z krzykiem przez bezchmurne niebo. Zboże zostało zżęte, zbiory buraków cukrowych spoczęły w spichrzach. Spoglądaliśmy na pola bitew Szampanii i Sommy i spacerowaliśmy po wioskach, w których go zakwaterowano. W tamtych dniach wreszcie wpuściłem dziadka do swojej rodziny.

Rok później leżałem w łóżku hotelowym, wsłuchując się w bicie dzwonów ratusza Breslau. Zegar wybijał jedenastą. Cztery słabe cynowe cyknięcia, a potem jedenaście głuchych uderzeń. Na zewnątrz letnie ogródki kawiarniane na rynku były przepełnione, tymczasem w moim pokoju rozbrzmiewały dzwony śpiącego miasta, a ja widziałem, jak Felix Peritz przechadza się przed ciemnym *Rathaus*, trzymając za rękę syna. Nikogo innego nie było już na ulicy. Po raz pierwszy odczułem miłość do swego dziadka.

Breslau wzbudziło we mnie przekonanie, że kawałki poszatowanej nie do rozpoznania przeszłości uda się na nowo złożyć w całość. Już pierwszego wieczoru miasto obudziło złudzenie, że wyjawi tajemnice mojej rodziny. Rodzice i ja zjedliśmy właśnie kolację w o wiele za gorącej restauracji bezdusznego hotelu, w której setki niemieckich turystów tak hałasowało przy jedzeniu, że dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, iż na podium tercet złożony z perkusji, gitary elektrycznej i organów Hammonda wykonuje utwór Mozarta. Kiedy zapłaciliśmy rachunek, przecięliśmy plac przed hotelem i ruszyliśmy spacerkiem w stronę plant wzdłuż zburzonych murów obronnych miasta. Ojciec natychmiast rozpoznał to miejsce. Opowiedział, że jako dziecko często przychodził tutaj na spacer z rodzicami, a potem robił fikołki na trawie rozczarowany tym, że jego ojciec, członek towarzystwa gimnastycznego, każdorazowo odmawiał przyłączenia się do niego.

Wieczór uwięził pod grubą koroną drzew parny upał minionego dnia, toteż sunęliśmy dalej ospale, aż dotarliśmy na szczyt starego pasa fortyfikacji, który otaczał miasto do połowy zeszłego wieku^[2]. Tam, gdzie dawniej wznosił się bastion, znajduje się obecnie pawilon, w którym mieści się kawiarnia. Na zachwaszczonym dziedzińcu stały zardzewiały żelazny stół i dwa białe plastikowe krzesła. Spoglądaliśmy na miasto zza kamiennej balustrady okalającej taras.

Widok wywoływał wstrząs. Chociaż wiedziałem, że Breslau w ostatnich miesiącach wojny zostało niemal całkowicie zniszczone, a następnie odbudowane, do żywego wstrząsnęła mną panorama ospowatych domów czynszowych

i leżących odłogiem parcel, na których tu i ówdzie, niczym żołnierz wierny aż do śmierci, trwała na straży jakaś kamienica. W tym miejscu zakiełkowała we mnie myśl, że uda mi się odnaleźć swoją rodzinę.



Else Durra i Felix Peritz,

moi dziadkowie

1

Metalowe ogrodzenie było zamknięte. Wokół środkowych, żelaznych prętów skręcał się łańcuch zwieńczony wielką jak pięść kłódką. Nikt tędy nie wchodził. Nie rozumiałem, dlaczego żydowski cmentarz był zaryglowany. Nie był to dzień szabatu ani żadne święto, a pora sjesty już minęła. Poza tym Wolfgang zapewnił mnie, że nie ma żadnego powodu, dla którego cmentarz dzisiaj nie miałby być otwarty. Przekartkował kalendarz społeczności żydowskiej do przodu i do tyłu, i choć nie znalazł żadnego argumentu na poparcie swojej tezy, nie znalazł również

dowodów na poparcie przeciwnej. Wolfgang to mój daleki kuzyn i już pięćdziesiąt siedem lat mieszka w La Paz, stolicy Boliwii.

Wpatrywałem się bezradnie poprzez ogrodzenie, trzymając w dłoni sporo za duży bukiet białych margerytek o ociekających, mokrych łodyżkach, zakupiony pół godziny wcześniej w pierwszym lepszym kramiku targu kwiatowego. Właśnie miałem ruszyć z powrotem do taksówki, aż tu wylotem piaszczystej drogi, która biegła od ogrodzenia do parkingu cmentarnego, przeszedł jakieś mężczyzna z konewką. To musiał być ogrodnik, o którym opowiadał Wolfgang.

– *Señor! Señor!*

Mój głos mógł obudzić umarłego. Ogrodnik nie wzdrygnął się. Popatrzył w moją stronę, odstawił swoje naczynie na niski murek, który oddzielał jego podwórko od terenu parkingowego, i wszedł do wnętrza domu. Zobaczył mnie, to było pewne. Czy miał zamiar znowu się pokazać? Zostawił konewkę. To dobry znak.

Wieczność później mężczyzna pojawił się ponownie. Niespiesznie podązał w moim kierunku. Ponieważ pokonanie trasy do ogrodzenia miało jeszcze zająć sporo czasu, pobiegłem do taksówki i pomachałem do kierowcy, żeby za mną poszedł. Na szczęście nikt nie zauważył mojego groteskowego sprintu z mokrą wiązką kwiatów, którą trzymałem w sztywno wyciągniętych ramionach na możliwie najbezpieczniejszą odległość. Znałem zaledwie parę słów po hiszpańsku i dlatego potrzebowałem pomocy kierowcy, by wytłumaczyć, że przyleciałem tu aż z Europy, by odwiedzić grób swojej babci, i odmówienie mi do niego dostępu stanowiłoby dowód niemiłosiernej bezwzględności.

Mogłem sobie oszczędzić swojego podnieconego bełkotu. Kiedy ogrodnik doszedł do bramy, dwaj mężczyźni wymienili uprzejmie parę słów, po czym ogrodnik wyjął z kieszeni klucz i otworzył furkę. Z ulgą i przesadną serdecznością podziękowałem wybawcy, ale on spuścił skromnie wzrok i zapytał, dla kogo przybywam.

– Else Peritz – odpowiedziałem.

Kiwnął głową i zapytał, czy ma przejąć ode mnie kwiaty. Wręczyłem mu wiązkę (którą natychmiast przycisnął do siebie), nałożyłem jarmułkę i poprosiłem taksówkarza, by na mnie zaczekał. Rozbłysły mu oczy. Wiedział, że tym samym inkasuje nieoczekiwaną sjęstę i duży napiwek.

Niezmacony spokój ogrodnika budził podziw. W tym kraju tylko cudzoziemcy tracili cierpliwość. Tutaj zamknięta brama wskazywała na to, że ktoś czekał w gotowości, by ją otworzyć na oścież po nieco ceremonialnym łomotaniu i nawoływaniu niezapowiedzianego gościa. Był to mój pierwszy dzień w mieście, moja pierwsza lekcja boliwijskich obyczajów.

Irytujące chwile przy ogrodzeniu wyczerpały mnie, a opanowanie, jakie mnie ogarnęło, było raczej skutkiem utraconej energii niż nieoczekiwane

odzyskanego spokoju. Oczywiście było nierozsądne, że natychmiast po przyjeździe z Europy ruszyłem w miasto. La Paz, owszem, leży w dolinie, ale na wysokości prawie czterech tysięcy metrów. Każdy przewodnik podróży radzi przybyszom z nizin, by w pierwszych dniach nie przesadzali z ruchem. Twierdzono w nich, że nieprzystosowanie się do rozrzedzonego powietrza może być niebezpieczne.

Wolfgang nie wspomniał o tym ani słowem. Kiedy usłyszał, że chcę jechać na cmentarz, natychmiast wyszliśmy na ulicę. Zatrzymał mi taksówkę, podał szoferowi kierunek i uzgodnił z nim cenę. Sam nie mógł ze mną pojechać. Jakieś małżeństwo Niemców dzień wcześniej obiecało, że dzisiaj do niego wróci. Interesowała ich złota broszka. Ponieważ interesy szły źle – turystów prawdopodobnie nie brakowało, ale mieli oni węża w kieszeni – Wolfgang nie mógł sobie pozwolić na stratę takiej transakcji. Czy mój daleki kuzyn pozwoliłby mi jechać samemu, gdyby mojemu życiu groziło niebezpieczeństwo?

Sam również uważałem, że nie ma co czekać, aż moje ciało przyzwyczai się do wysokości. Przedwczoraj, przy wyjeździe z Brukseli, wyobraziłem sobie, że jestem jedynym pasażerem, który ma przekonujący powód, by wsiadać w samolot. Plany innych uważałem za wydumane. Pewnie, że zmierzali na plażę nad Morzem Śródziemnym lub na służbowy lunch do Nowego Jorku, ale powody, które popychały ich w miejsca przeznaczenia, były tak błahe, iż oni sami budzili mój żal. Brzmi to pretensjonalnie, ale byłem przekonany, że w La Paz miałem do spełnienia ważkie zadanie.

15 marca 1951 roku moja babcia odebrała sobie w tym mieście życie. Połknęła dużą ilość tabletek nasennych i krótko potem zmarła w szpitalu. Miała pięćdziesiąt sześć lat. W listopadzie poprzedniego roku przyjechała do Boliwii i zamieszkała u swojej siostry, która przybyła tam ze swoim mężem i dwójką dzieci w 1939 roku. Wolfgang był jednym z tych dzieci.

Nie przypominam sobie, kiedy mój ojciec zaczął opowiadać o swojej matce. Pamiętam jednak, że natychmiast opowiedział o jej samobójstwie bez widocznej emocji, jak gdyby w fakcie samounicestwienia nie było niczego niezwykłego i nie zasługiwał on na uwagę. Jego zdystansowanie nie przykuło specjalnie mojej uwagi.

O dziadku wiedziałem jedynie, że służył na froncie w pierwszej wojnie światowej. Poza tym znane mi były tylko podstawowe fakty. Że moi dziadkowie krótko przed wybuchem wojny wyemigrowali do Palestyny. Że mój dziadek zmarł w 1948 roku, a jego żona następnie zamieszkała w rodzinie teściów swego syna w Belgii, zanim ostatecznie nie przeniosła się do swojej siostry do Ameryki Południowej. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, jakimi ludźmi rzeczywiście byli dziadkowie.

Kiedy tylko plany mojej podróży nabrały konkretnych kształtów, całą swoją uwagę skupiłem na babci. Istniały ku temu praktyczne powody. Jej siostra wciąż żyła w La Paz. Jej świadectwo mogło się okazać cenne. W latach trzydziestych

widziała, jak jej rodzina w Niemczech się rozpada, zaś moja babcia spędziła u niej ostatnie dni swego życia. Ponieważ siostra babci miała dziewięćdziesiąt lat i była chora, warto było jak najszybciej wyruszyć do Boliwii.

Bynajmniej nie uznałem za dziwne, że swoje śledztwo rozpoczynam od samobójstwa babci. Uczepiłem się zwyczajnie jedyne, co było mi o niej wiadome. Tym samym wydarzyło się to, co nieuniknione: nieoczekiwanie zrodziły się pytania, które do tamtej pory na porządku dziennym nigdy nie padły. Dlaczego babcia wyjechała z Izraela? Co się wydarzyło podczas jej pobytu u moich rodziców? Dlaczego tak szybko ich opuściła? Czemu tak krótko po przybyciu do Boliwii położyła kres swemu życiu? Jaką rolę w tym dramacie odegrali moi rodzice?

Wciąż jednak nie śmiałem skonfrontować ojca z tymi pytaniami. To niesamowite, jak często prawdę od ludzi, których kochamy, chcemy uzyskać okrężną drogą. Bezpośrednie podejście budzi strach, jak gdyby osiągnięcie klarownej sytuacji podejmowali wyłącznie ludzie, którym brakuje taktu czy troski. W rzeczywistości bałem się wystawiać na próbę miłość, w którą nigdy nie musiałem wątpić, której nigdy musiałem wystawiać na próbę.

Mijały tygodnie. Świadomie tłumiłem w sobie wszelkie wyobrażenia na temat babci. Liczyłem na to, że odpowiedzi pojawią się same z siebie. Tak jak zabłąkany wędrowiec nigdy nie wątpi, że znajdzie drogę powrotną, tak spokojnie czekałem, aż wszystkie przypuszczenia oczyszczą teren dla niedwuznacznych wyjaśnień.

Krótko przed wyjazdem do Boliwii moje pragnienie zdało się spełnić. Ojciec wziął mnie na stronę i wcisnął mi do ręki tysiąc franków.

– Na kwiaty na grób matki – wyszeptał.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Pozornie beznamiętnie.

– Jest coś jeszcze – dodał. – Mam jej listy z La Paz. Chciałbyś je oczywiście przeczytać, ale nie mogę ci ich dać. Są straszne. Twoja babcia czuła się okropnie nieszczęśliwa. Błagała, by móc wrócić do Belgii. Jej pobyt tutaj wyczerpał nas do granic możliwości. Wywołała sporo napięć. W żadnym razie nie mogła się do nas z powrotem wprowadzić. Nasze małżeństwo by tego nie przetrzymało.

W takich chwilach na filmach ojcowie i synowie padają sobie z płaczem w ramiona. Moja reakcja była kompletnie nie na miejscu.

– W porządku – powiedziałem. – Rozumiem, że mi nie dasz przeczytać tych listów.

Raptem dotarło do mnie, że babcia odegrała główną rolę w tym, jak potoczyły się losy jej rodziny, i że stanie się kluczową postacią mojej opowieści. Choć żałowałem, że nie otrzymałem jej listów, moja niezaspokojona ciekawość nie równoważyła głosu sumienia. Widziałem, jak bardzo ojca wciąż prześladowuje samobójstwo jego matki. Poczucie winy, które przez pół wieku zdążyło opaść na

dno, z powrotem wychynęło na powierzchnię. Było mi wstyd za ból, jaki wywołałem. Miałem zaprzestać moich poszukiwań, zanim na dobre je rozpocząłem? Czasem wydaje mi się, że tak byłoby lepiej. Co znaczy odrobina wiedzy o zmarłej kobiecie wobec spokoju ducha własnego ojca? Chwilę później zaskoczył mnie ten sentymentalizm. Kto pisze o swojej rodzinie, nieuchronnie wykazuje się *damned egotistical self*, cholernie samolubnym ego.

Dylemat rozwiązał się podczas wycieczki z moimi rodzicami. Ponieważ nie poinformowałem ich o swoich wątpliwościach, a oni zakładali, że mam już spakowane walizki, samoistnie doszło do rozmowy o babci. Nie wiem, czy czekali na taką okazję. Nadal jestem przekonany, że temat nigdy nie zostałby poruszony, gdybym z takim fanatyzmem nie podchodził do przeprowadzenia rodzinnego śledztwa. W każdym razie stało się jasne, że wspomnienia z pobytu mojej babci w Belgii na nowo wywołały urazę. Pozornie rozmowa przebiegała pogodnie. Siedzieliśmy w ogródku kawiarnianym nad kawą. Wokół nas inni korzystali ze słońca i konwersowali w kulturalnym, cichym tonie. Argumenty moich rodziców brzmiały jak powstrzymywane wołanie o pomoc. Po kolei próbowali prześcignąć się w samousprawiedliwieniach.

Co do jednej sprawy byli zgodni: pobyt babci zakończył się fatalnie. Krótco przed jej przybyciem do moich rodziców czuła się już nieszczęśliwa. Twierdziła, że własny syn i rodzina jego żony okazywali jej mało uwagi. Niesłuszne, uważali moi rodzice. Chociaż w rodzinnej firmie ciężko pracowano, w czasie niewielu wolnych chwil dokładano wszelkich starań, by dostarczyć babci rozrywki. Poza tym ona sama niewiele miała do roboty. W takich przypadkach znużenie szybko daje o sobie znać. Napięcia narastały, a jej niezadowolenie rosło. W końcu poczuła, że ma tego dosyć. Ublagała swoją siostrę w Boliwii, by pozwoliła jej się do niej przeprowadzić. Wytrzymała u moich rodziców dokładnie rok. W La Paz miała przeżyć pięć miesięcy.

– Po jej śmierci dostaliśmy list od ciotki Edith – opowiadał ojciec. – Zarzucała nam między innymi, że twoja babcia dotarła do Boliwii niczym wrak człowieka. Matka i ja osłupieliśmy. Kiedy wyjeżdżała, była bardzo podekscytowana. Naprawdę nie mogła się doczekać spotkania po latach ze swoją siostrą w La Paz.

Na temat tego, jak wytłumaczyć zachowanie babci w Belgii, zdania były podzielone. Matka mówiła, że tamta miała trudny charakter i że była zazdrosna; kobieta walcząca o uwagę i miłość swojego syna. Ojciec brał swoją matkę w obronę. Doświadczyła tyłu tragedii: najpierw śmierci swojego sześciolatniego syna, potem emigracji drugiego dziecka do Anglii. Terroru nazistów, *Kristallnacht*, ucieczki swoich krewnych, przeprowadzki do Palestyny, samotności, nagłej śmierci męża.

Wszelkie zaprzeczenia sprawiały, że mur wokół ich poczucia winy narastał.

Wszystkie argumenty odwoływały się do mojej solidarności. Rzadko czułem się równie niezręcznie. Nic nie jest gorsze niż kłótnia między rodzicami. Tego popołudnia wywołałoby we mnie mniejsze przygnębienie, gdybym częściej widywał ich sprzeczącących się między sobą. Tymczasem dorastałem otoczony wyłącznie ich miłością. W takich przypadkach najmniejsze pęknięcia sprawiają wrażenie linii podziału. Musiałem im uzmysłwić, że z mojej strony nie mają się czego obawiać.

Wtedy to dopiero zrozumiałem, że nikt ani nic nie powstrzyma mnie od podróży do moich krewnych. Zatrzymanie się na tym etapie oznaczało żyć przez resztę życia wyłącznie z wersją wyjaśnień moich rodziców. Prawda nigdy nie mogła być tak przejrzysta. Musiały istnieć inne interpretacje, nowe punkty widzenia. Wszystko było lepsze od uproszczonego szkicu, w jakim przedstawiono moją babcię.

Doszliśmy z ogrodnikiem do schodów, które prowadziły w dół, do grobów. On nie przerwał marszu, gdy się zatrzymałem. Beit Olam, dom świata wiecznego, położony był w połowie głębokiej szczeliny, w której osiadło La Paz. Tysiące grobów spływało falami w ciasnych szeregach. Tu i ówdzie drzewo o krótkim, przysadzistym pniu zawłaszczyło sobie skrawek ziemi, broniąc terytorium swymi kolczastymi koronami. Cmentarz leżał otoczony pierścieniem miasta. W przepaści wznosiły się wieżowce mieszkaniowe centrum. Po przeciwnej stronie brązowe, ceglaste domki zajmowały po sam skraj strome ściany doliny. Ludzie wbrew wszelkim regułom i zdrowemu rozsądkowi rozrzucaли swoje siedliska nawet w rozpadlinach i na szczytach ostrych skał. Samo miasto zdawało się rzucać wyzwanie sile ciężkości, jakby mieszkańcy uznali, że skoro ktoś był na tyle szalony, by żyć z głową w chmurach, zyskał również prawo, by drwić sobie z ostatnich praw natury.

Choć nie zatrzymałem się na długo, mój przewodnik zdobył nade mną dużą przewagę. Nie oglądając się za siebie, posuwał się między grobami i wąskimi ścieżkami prosto do celu. Wolfgang miał rację. Ogródnik wiedział dokładnie, gdzie kto leżał pochowany, chociaż jak w przypadku mojej babci od lat nikt nie odwiedził jej grobu.

Mój daleki kuzyn napisał, że jej grób utrzymany jest w przyzwoitym stanie. Uznałem, że ma na myśli stan sprzed dziesięciu lat, kiedy to wysłał moim rodzicom zdjęcie grobu. Albo ktoś może jednak kiedyś nań zajrzał, skoro przybywałem do Boliwii. Leżeli tutaj pochowani zarówno ojciec Wolfganga, jak i jego żona Toni, i możliwe, że odwiedzając ich groby, zaszedł również na mogiłę mojej babci.

Ogródnik zatrzymał się przy jej grobie. Zapytał, czy chcę wazon.

– *Dos, por favor* – odpowiedziałem.

Odłożył bukiet na ziemię i zniknął.

Grób był kompletnie zaniedbany. Ziemia w granitowym obramowaniu

stanowiła dywan mchu i wyschniętych chwastów. Jedynie szaroniebieskiej płyty, która do połowy zasłaniała środek obramowania, nic nie porastało. Odwróciłem wzrok i przyjrzałem się innym grobom. Trwały nieopodal równie zaniedbane.

W tym czasie ogrodnik powrócił z dwoma brązowymi dzbankami. Powstrzymałem go, kiedy je postawił i zaczął odwijać kwiaty z papieru. Wręczyłem mu banknot pięcioboliwarowy i odesłałem ze stosownymi wyrazami wdzięczności. Reszta należała wyłącznie do mnie.

Przykląkłem, ostrożnie zdjąłem z kwiatów opakowanie i zacząłem jedna po drugiej układać margerytki w gliniaku. Nie spieszyłem się. Rok w rok z okazji Wszystkich Świętych oglądałem swoją matkę czyniącą to samo przy grobie swoich rodziców. Za każdym razem to samo powolne rozpakowywanie chryzantem, ta sama troska i czułość, aż ostatni kwiat znalazł się na swoim miejscu. Później cisza z pochyloną głową, splecionymi dłońmi. Pojawienie się następnie łez było nieuchronne.

Ustawiłem dzbanki po obu stronach nagrobka i solidnie wkręciłem je w ziemię. Wstałem i przeczytałem, co wyciosano na płycie. *Hier ruht unsere innigstgeliebte Mutter und Schwester Else Peritz geborene Durra. Geboren 27.XII.1895. Gestorben 15.III.1951*^[3]. Tekst dopełniała gwiazda Dawida i kilka słów po hebrajsku.

Nad cmentarzem zawisł woal kredowobiałego światła; wszelki odgłos miasta był tłumiony w zarodku. Po moich policzkach spływały łzy. Kochałem swoją babcię, ale nie wiedziałem dlaczego. Oplakiwałem kobietę, której nigdy nie poznałem. Jednocześnie chciałem tak wiele jej powiedzieć. Było mi przykro z powodu tylu rzeczy i żadnej konkretnej w szczególności. Z powodu tego, że jej potomek odwiedzał jej grób dopiero trzydzieści pięć lat od jej śmierci; z powodu jej nieszczęśliwego życia, które doprowadziło ją do samobójstwa, i cierpienia, jakie ono sprawiło mojemu ojcu; z powodu mojego braku zainteresowania nią, a przede wszystkim dlatego, że leżała tu pochowana, pośród domu świata wiecznego, między niezliczonymi współwyznawcami, którzy w tym mieście zbudowali sobie bezpieczne i dostatnie życie, podczas gdy ją ono wyrzuciło tutaj na brzeg po to, by w tym mieście zmarła.

Wyplakawszy się, położyłem na grobie kamyczki, jak czynią to Żydzi dla upamiętnienia zmarłych: jeden od ojca, jeden od matki, jeden od siebie i jeden od pozostałych członków rodziny. Potem wyjąłem swój aparat fotograficzny. „To profanacja cmentarza” – myślałem, pstrykając zdjęcia pod wszystkimi możliwymi kątami.

Dwa dni później spotkałem Edith, dziewięćdziesięcioletnią matkę Wolfganga. Zdążyłem się już przyzwyczaić do rozkładu dnia mojego kuzyna. Dopiero po fakcie zdałem sobie sprawę, że na początku zmienił ze względu mnie swoje utarte przyzwyczajenia. Dlatego wieczorami zostawaliśmy w domu. Zwykle

chadzał do swojego syna Mickeya, gdzie jadł *Abendbrot*^[4] i oglądał wiadomości *Deutsche Welle*. Tego pierwszego sobotniego wieczoru Wolfgang zrezygnował również ze spotkania ze swoją przyjaciółką, zaś rankiem następnego dnia pojechaliśmy na rynek, chociaż zwykle chodził do swojej matki.

Tylko sklep jak zawsze pozostawał otwarty. Wolfgang był właścicielem butiku jubilerskiego położonego w jednej z wąskich uliczek w centrum starego miasta, między pocztą a budynkiem parlamentu. Sklep zamykał się o pół do ósmej wieczorem. Przez pół godziny Wolfgang liczył dochody i wydatki minionego dnia. Jeśli bilans końcowy mu nie wychodził, zaczynał wszystko od początku, aż rachunki się zgadzały.

Mimo to Wolfgang sprzedawał niewiele. Problemy obliczeniowe wynikały z czegoś innego. Codziennie musiał załatwiać sprawunki dla swego syna, matki i siebie. Chleb, warzywa, kserokopie, znaczki pocztowe, pasta do srebra. Wysyłał po nie swoją sprzedawczynię i notował na skrawku papieru, ile wydała oraz dla kogo były zakupy. Karteluszkę zniknęły w jego tylnej kieszeni i wymięte zostawały wyjmowane po zamknięciu sklepu i dokładane do wydartych z notesu kartek, na których notowano dzienny utarg. Wolfgang nie podawał w wątpliwość tego systemu księgowości. Jeśli rachunki mu się nie zgadzały, zwał winę na sprzedawczynię. Był pewien, że go okrada. „Właściwie powinienem ją zwolnić” – mówił.

Wolfgang zajmował mieszkanie na dziewiątym piętrze bloku przy szerokiej, okalanej drzewami alei w ekskluzywnej dzielnicy miasta. Po przeciwległej stronie ulicy znajdowała się ambasada amerykańska zwracająca na siebie uwagę gigantycznymi spodkami anten. Wille w stylu hacjend w porośniętych palmami ogrodach leżały w cieniu drapaczy chmur, które bezceremonialnie wystrzeliwały w górę w centrum miasta. Z ogromnych okien mieszkania Wolfganga rozciągał się panoramiczny widok na stolicę i góry. Na horyzoncie budził podziw zwłaszcza Illimani. To szczyt, którego wysoki, ośnieżony czubek góruje nad La Paz na wysokości ponad sześciu tysięcy metrów. Po moich odwiedzinach na cmentarzu całe godziny przesiadywałem przed oknem salonu, przyglądając się, jak światło słoneczne wspina się po Illimani, najpierw barwiąc na czerwono jego jałowe stoki, by w końcu zgasnąć za srebrnobiałą koroną.

Tego wieczoru Wolfgangowi rachunki musiały się nie zgadzać, bo przyszedł do domu dopiero po pół do dziewiątej. Mimo to był w dobrym nastroju. Niemieckie małżeństwo nie tylko kupiło broszkę, ale i złoty pierścionek, a także zjawił się stary klient z Nowego Jorku, obiecując nazajutrz powrócić.

Widok mojego kuzyna mnie ucieszył. Obecność Wolfganga w domu oznaczała jedzenie i picie gorącej herbaty. Była połowa zimy, a ponieważ w Boliwii nie ma centralnego ogrzewania, wraz z zejściem słońca chłód daje się we znaki. Wolfgang nigdy nie uskarżał się na zimno.

Jak tylko włożył klucz do zamka drzwi wejściowych, pojawiła się Felippa, jego indiańska służąca. W ciągu tygodnia Felippa ze swoim pięcioletnim synkiem Elvisem zajmowała pokój obok kuchni. Stało w nim łóżko, a Wolfgang zainstalował w nim prysznic. Zarabiała sto dolarów na miesiąc. Wikt i opierunek miała za darmo. W zamian gotowała, utrzymywała mieszkanie w czystości, prała i prasowała ubrania. Wolfgang sam robił zakupy. „Dla Indian nie ma różnicy, czy przynoszą dojrzałe, czy zepsute owoce” – mawiał. Weekendy Felippa spędzała u swojej rodziny na Altiplano, nagim, wietrznym płaskowyżu ponad miastem. Wolfgang odwiedzał w sobotnie wieczory swoją przyjaciółkę, a niedziele spędzał u matki. Felippie zdarzało się pojawić w poniedziałek rano o wiele za późno. Wtedy z życia Wolfganga zupełnie zniknęła organizacja. Jadł czerstwy chleb, mimo że na parterze jego budynku znajdowała się piekarnia, przez dwa dni podgrzewał w mikrofalówce starą kawę i pozostawiał wszystkie drzwiczki szafek kuchennych, a nawet lodówki otwarte na oścież. Nie była to manifestacja wymierzona przeciwko Felippie. Nawet nie zauważał, że nie zamyka tych drzwiczek. Wraz ze śmiercią jego żony Toni z życia Wolfganga zniknęła wszelka struktura. To być może tłumaczyło również jego popadanie w melancholię w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Wolfgang milkł nagle i wbijał wzrok przed siebie.

Chętnie spotkałbym Toni jeszcze raz. Widziałem ją jeden raz, w 1986 roku. Mieszkalem wtedy w Londynie. Wolfgang z Toni podróżowali razem po Europie autokarem i zaprosili mnie na lunch do swojego hotelu. Oboje zachowywali się nader ujmująco. Toni była niska, miała rumiane policzki i niewinne uścieszka nadające jej wyraz nieśmiałej, chcącej w każdej chwili wybuchnąć potokiem usprawiedliwień osoby. Wolfgang był przystojnym mężczyzną. Ze swoją solidną szczęką i srebrzystosiwymi włosami wyglądał na dystyngowanego południowoamerykańskiego obszarnika.

W czasie rozmowy zwracała uwagę energia Toni. Przez cały czas mówiła o dwojce swoich synów, entuzjastycznie opisywała asortyment rodzinnego sklepu i opowiadała, że czołgi, które w czasie dorocznego puczu wojskowego z dudnieniem przetaczały się przez ulice miasta, nigdy nie powstrzymały jej przed robieniem zakupów na targu. Wolfgang słuchał i kiwał głową. Mimo to nie odniosłem wrażenia, iż milczy, ponieważ żona nie dopuszcza go do głosu. Nosił swoją miłość jak stary, wygodny zimowy płaszcz. W tej niepozorności kryła się wielka czułość.

Musiało mu teraz bardzo Toni brakować.

Dziesięć lat później nie dokonały się w nim wielkie zmiany fizyczne. Włosy mu bardziej posiwiały, twarz bardziej ogorzała. Początkowo nie zwróciłem uwagi na jego melancholijność. Tego pierwszego wieczoru był niezwykle rozmowny. Kiedy on szybko i w wielkim skupieniu jadł, opowiadałem o wydarzeniach na Beit Olam. Stan grobu przemilczałem. Po kolacji długo pozostaliśmy przy stole,

rozmawiając. Palił papierosy, ja piłem herbatę, by się rozgrzać. Kiedy mu powiedziałem, jak bardzo cieszyłem się na spotkanie z jego matką, parę razy mocno się zaciągnął.

– Nie spodziewaj się za wiele – powiedział w końcu.

Kiwnąłem głową, ale nie dałem wiary jego słowom. W jedynym z listów zapowiedział już, że matka źle słyszy i widzi. Nie bardzo się tym zmartwiłem. Przecież nie można zdyskwalifikować jako wartościowego świadka kogoś, kto nosi okulary o grubych szklach i aparat słuchowy.

W tej chwili rozdzwonił się telefon.

– To *Mutti* – powiedział.

Podniósł słuchawkę. Jego matka była tak głucha, że mogłem dosłyszeć każde słowo.

– *Mutti, mach dir doch keine Sorgen! Nein, Mutti, nein! Am Sonntag, Mutti, am Sonntag!*^[5]

W jego głosie brzmiało zniecierpliwienie, niemalże irytacja, jak gdyby wciąż nie przywykł do rytuału, który został mu narzucony wiele lat temu.

Skończywszy rozmawiać, powrócił do stołu i spokojnie zapalił nowy papieros.

– Nie wierzę, że twoja cioteczna babka może ci wiele opowiedzieć o twojej babci. Ja też nic nie wiem. W 1951 roku, kiedy twoja babcia tutaj mieszkała, pracowałem w Argentynie. Po jej samobójstwie moi rodzice byli bardzo źli na twojego ojca. Długo trwało, nim mu przebaczyli.

Serce waliło mi w piersiach. Rozwlekła nonszalancja, z jaką wyrażał się Wolfgang, odebrała mi dech. Jak mógł być tak nieczuły? Przez telefon ośmielał się przynajmniej pokazać swoją drażliwość. Teraz jego otępienie brzmiało jak wyrok sędziego, któremu było absolutnie obojętne, czy oskarżony zostanie uniewinniony, czy skazany na stryczek.



Abschiedsgruss, czyli zdjęcie pożegnalne rodziny Adam tuż przed wyemigrowaniem do Boliwii w styczniu 1939 roku. Od lewej do prawej: Edith, Wolfgang, Steffi, Max

Zrozumiałem, że mojego kuzyna nie interesowała tragedia z 1951 roku. Zaprzętały go inne troski. Jego matka była chora i dokuczliwa, handel biżuterią źle szedł. Gdyby tak Toni wciąż żyła! Dlaczego upierałem się przy rozgrzebywaniu sprawy, o której wszyscy już zapomnieli? Zrozumiałem wtedy, czemu mnie zaprosił. Dla niego byłem turystą, a nie ciekawskim członkiem rodziny prowadzącym dochodzenie w odległej przeszłości. „Spokojnie możesz się u mnie zatrzymać – napisał. – To pasjonujący kraj, szczególnie dla ludzi, którzy kochają przygodę i przyrodę. Jeśli zechcesz, pokażę ci całą Boliwię”.

Nie zależało mi na tym. Ale nie mogłem tego napisać w odpowiedzi.

Matka Wolfganga mieszkała wraz z Angeliną, swoją indiańską pomocą, w najdalej na wschód wysuniętym zakątku La Paz. Stanowi on najniższą położoną część miasta. Ponieważ oddycha się tu łatwiej niż gdzie indziej, osiedlali się w niej bogaci ludzie. Edith i jej mąż kupili swoją willę na początku lat sześćdziesiątych. Wtedy dzielnica była jeszcze tania, a La Paz nie budziło zainteresowania spekulantów budowlanych.

Adamowie przybyli tu wiosną 1939 roku z pierwszą falą żydowskich uchodźców: Edith, Max z dwójką swoich dzieci, dziewięcioletnim Wolfgangiem i jego o cztery lata młodszą siostrzyczką Steffi. Rodzina postanowiła opuścić Niemcy, gdy tylko naziści wypuścili Maxa z Buchenwaldu. Był jednym z dwudziestu tysięcy Żydów, którzy zostali aresztowani 9 listopada 1938 roku w czasie *Reichskristallnacht* i wywiezieni do obozów koncentracyjnych.

Właściwie rodzina wcale nie zmierzała do Boliwii. W Breslau za pośrednictwem przewoźnika Palestine Maritime Lloyd zdobyli wizę do Peru, ale kiedy *S.S. Colombo* dobił do Limy, tamtejsze władze odmówiły setkom niemieckich i austriackich Żydów wstępu do kraju. Statek ponownie odbił i przez wiele dni pływał wzdłuż linii brzegowej, podczas gdy kapitan negocjował wyokrętowanie pasażerów z każdym, kto mu się nawinął pod rękę. Ostatecznie Boliwia okazała się gotowa przyjąć imigrantów.

Podobnie jak wszystkie inne domostwa, również i dom Edith ukrywał się za wysokim, nieprzeniknionym żywopłotem z cisu. Spowijała go cisza jak makiem zasiał. Tu i ówdzie parkował jakiś samochód. Matowe słońce omiatało ulicę wyblakłym blaskiem.

Wolfgang wetknął klucz w żelazną furtkę, która przecinała żywopłot na dwoje. Rozległo się szczekanie i pies przyskoczył do furtki.

– Nie wpuść go do środka – ostrzegł mnie kuzyn. Pies nie wziął mu za złe tego niecnego planu, gdyż przypadł do niego żywiołowo i z równie wielkim entuzjazmem zaczął obwąchiwać nieznanego gościa. Ledwie zdołałem rzucić okiem na chropowato otynkowaną ścianę, a Wolfgang już otwierał drzwi wejściowe, jedną ręką popychając mnie do środka, drugą przytrzymując psa.

W środku panował mrok i lodowaty chłód. Zawiesiliśmy płaszcze na

wieszaku w holu i wspieiliśmy się po ciemnej klatce schodowej. Drzwi sypialni mojej ciotecznej babki stały otworem. Do środka wpadała smuga puszystego światła. Uspiona Edith leżała na wznak. Zatrzymałem się w drzwiach pokoju. Dostrzegałem tylko jej twarz. Na głowie miała żółtą, dzierganą czapkę. Na kołdrach, które okrywały ją aż po szyję, spoczywała czarna torebka. Wolfgang obudził swoją matkę.

– *Mutti*, przyszedł syn Wenera – zawołał.

– *Wernerle*^[6]! Mój ukochany *Wernerle*!

Edith wydobyła ramiona spod kołder i rozpostarła je. Pochyliłem się nisko i wyczułem zapach talku oraz kwaśną woń długo niezmienianej pościeli. Przytuliliśmy się i pocałowaliśmy. Nie przestając powtarzać imienia mojego ojca, uchwyciła moją twarz, przytrzymując ją blisko swojej, jak gdyby chcąc namacalnie sprawdzić, czy rzeczywiście byłem jej siostrzeńcem, który stanął przed nią po prawie sześćdziesięciu latach.

– To nie jest Werner, *Mutti*. To Joseph, *sein Sohn*^[7] – zawołał Wolfgang.

– *Ach, sein Sohn!*

Zabrzmiało to tak, jak gdyby Wolfgang mydlił jej oczy. Edith odrzuciła koce. Leżała w łóżku kompletnie ubrana.

– *Es ist fürchterlich kalt* – wyjaśniła. – *Niemals hat es so einen kalten Winter gegeben*^[8].

Wolfgang pomógł jej stanąć na nogi i razem przekuśtykali z sypialni do zimnego salonu. W miejscu, w którym słońce kładło się plamą na podłodze, Wolfgang postawił krzesło. Edith usiadła w kałuży światła. Jej syn i ja zajęliśmy miejsce przy stole.

– *Bist du verheiratet?*^[9] – zapytała.

– *Nein.*

– Czemu nie?

– *Ich liebe meine Freiheit*^[10].

– Ach, tak.

Niedorzeczność mojej odpowiedzi musiała zbić ją z pantałyku, gdyż podparła się i wydała z siebie westchnienie, jak gdyby wszystkie dźwięki jednocześnie usiłowały wydostać się jej z gardła.

Mój ojciec trzymał w rodzinnym albumie kilka zdjęć mojej ciotecznej babki. Z jej wizerunku na nich biła pewność siebie. Dumna, z dłonią na ramieniu syna. Otoczona ramieniem męża na wycieczce w górach. W eleganckiej białej sukience na pokładzie *S.S. Colombo*. Ładna nie była, miała na to zbyt ciężkie ciało i za pospolitą twarz. Mimo to Edith była urocza. Zdawała się umieć stawić czoła całemu światu. Kobieta o zniewalającym uśmiechu i stalowej woli. Uwagę zwracały również jej duże, ciemne oczy. Moja babcia miała takie same. Tylko że u niej wiecznie spozierały one smutno. Nawet na jej przedszkolnym zdjęciu.

Czterolatka, która poznała już cały smutek świata.

Staruszka, która w wyblakłym świetle słonecznym wpatrywała się przed siebie, zachowała jedynie swoją siłę woli. To właśnie nieugiętość przeciągnęła ją przez wszystkie przeciwności losu.

Rozmowa przebiegała opornie. Opowiadałem o swoich rodzicach, o bracie i siostrze. Często musiałem powtarzać to aż trzy razy. Wypytywanie o swoją babcię uznałem za niestosowne w takich okolicznościach.

Swojemu synowi Edith poskarżyła się, że spadła z najniższego stopnia i że – pomasowała sobie przy tym pierś – zrobiła sobie krzywdę. Wolfgang zareagował wybuchowo.

– Wiesz przecież, że zawsze jak schodzisz na dół, masz wołać Angelinę – wykrzyknął. Kiedy Edith zaczęła pocierać bolesne miejsca na swojej klatce piersiowej i z jękiem uskarżała się, że ataki bólu dzisiaj były gorsze niż poprzedniego dnia, przysłuchiwałem się temu niespecjalnie poruszony. – Jak za parę dni ci się nie poprawi, zadzwonię do doktora Portugala – wykrzyknął. Widziałem, że nie miał tego na myśli, i to odkrycie nieco mnie zszokowało. Traktował dziewięćdziesięciolatkę, jak zezłoszczony rodzic odnosi się do konfabulującego dzieciaka.

Angelina weszła do salonu i otworzyła szafę pełną opakowań z pigułkami i innych lekarstw. Okazało się, że tabletki Edith zginęły. Angelina zapytała ją, czy ta nie zabrała lekarstwa. Edith zaprzeczyła żałośnie. Wolfgang z kolei zaczął grzebać w szafie.

– Może leżą na szafce nocnej – odezwał się poirytowany. Jego matka chciała pójść za nim.

Słońce się przesunęło.

– *Es ist fürchterlich kalt* – powtórzyła.

Edith nie wróciła już na dół. Było jej za zimno i znowu położyła się do łóżka. Wolfgang chciał się godzinkę zdrzemnąć na kanapie. Zapytałem, czy mogę wyjść do ogrodu.

– Weź sobie na dole krzesło z holu – powiedział – i nie wpuszczaj psa do domu.

Ścieżka między żywopłotem a domem biegła do ogrodu, w którym kwitły czerwone i różowe pelargonie. Usiadłem pośrodku trawnika, tyłem do słońca, ponieważ – choć nie było ciepło – promienie słoneczne paliły przez ubranie.

Willa Edith mogła równie dobrze stać na przedmieściu Breslau lub w górskiej wiosce w Sudetach. Pokryty brunatnymi dachówkami stromy dach hełmowy, w którym dwa okienka dachowe wyciągały w niebo swoje spiczaste daszki, służył raczej temu, by powstrzymać grube pokłady śniegu niż chłodny żar La Paz. Czy Edith i Max kupili dom, bo tak bardzo kojarzył im się z ich Heimatem?

Rok po przybyciu do Boliwii rodzina Adam założyła restaurację. Nazwała ją Silesia. Była jednym z niewielu miejsc w mieście, gdzie Niemcy mogli się stołować jak w swoich rodzinnych stronach. A ponieważ żydowsko-śląska kuchnia była kopia wiedeńskiej, również austriaccy Żydzi lubili przychodzić do restauracji.

W 1940 roku w boliwijskiej stolicy przebywało prawie dziesięć tysięcy żydowskich emigrantów. Początkowo restauracja świetnie prosperowała. W domowym albumie rodzinnym widziałem zdjęcie Silesii. Edith w drzwiach wejściowych; pracownicy – na chodniku. Wszyscy w długich, białych fartuchach. Czystość i wydajność przed budynkiem o łuszczących się ścianach. Z okna na pierwszym piętrze wyglądała głowa małego Wolfganga.

Kiedy w cichym ogrodzie spoglądałem w górę w okno, za którym spała moja cioteczna babka, zdało mi się, że powróciłem do domu po długiej podróży. Nie przeszkadzało mi, że udało mi się zamienić z Edith zaledwie parę słów. Prawdopodobnie już mnie zapomniała. Jeszcze zdążymy ze sobą porozmawiać. Dzisiaj wystarczyło mi, że mogę siedzieć w krześle i głaskać psa. Za bieloną wapnem ścianą naprzeciwko mnie żyła czerstwa staruszka, która pomagała mojej babci i którą przepelniało szczęście, gdy wydało jej się, że rozpoznaje we mnie mojego ojca. Byłem jej wdzięczny za zaufanie i okazane uczucie.

Kiedy słońce zniknęło za wysokim żywopłotem, wróciłem do środka. Wolfgang siedział przy stole w saloniku, przeglądając zdjęcia. Miał przy sobie kilka albumów, reszta fotografii leżała luzem w kupce.

– Znalazłem je w starym kufrze – powiedział. – Spodobają ci się. Na niektórych z nich jest twoja babcia. Wydaje mi się, że zostawiła też kilka listów, ale nie mogę ich znaleźć.

Listy mojej babci! Czyżby kopie listów, których ojciec nie chciał mi pokazać? Najchętniej ściągnąłbym Wolfganga z krzesła i rozkazał mu natychmiast wyruszyć na poszukiwanie tego skarbu. Choć ledwie byłem w stanie powstrzymać własną ciekawość, nie chciałem forsować spraw. Mój daleki kuzyn żyje w rytmie, na który nikt nie miał wpływu. Listy ujrzą światło dzienne, jeśli najdzie go ochota, by ich poszukać.

Większości zdjęć nigdy wcześniej nie widziałem. Na szczęście Wolfgang miał świetną pamięć. Rozpoznawał wszystkie osoby i miejsca. Zdjęcia przedstawiające wyłącznie rodzinną gałąź Peretzów chyłkiem wsunąłem do kieszeni. Zrobiłem to dopiero wtedy, gdy Wolfgang oznajmił, że wkrótce uporządkuje całą kolekcję w albumach. Takich ludzi można z czystym sercem okradać. Szansa, że kiedykolwiek zrealizują swoje plany, była bagatelnie mała.

Ledwie zdążyliśmy przejrzeć mały stosik, kiedy Angelina oznajmiła, że przyszedł Mickey, starszy syn Wolfganga, ze swoimi. Była szósta godzina; ciemno i zimno.

Mickey dotarł w samą porę. Byłem zmęczony i przy skąpym świetle dwóch

elektrycznych żarówek czteroramiennego żyrandola ciężko mi się było skupić. Syn mojego dalekiego kuzyna był krępy męczyzną o okrągłej, rumianej twarzy swojej matki. Przywitaliśmy się serdecznie w mieszance niemieckiego i angielskiego. Gabriella, jego żona, była Chilijką i mówiła tylko po hiszpańsku. Ich prawie dwuletnia córeczka Nicole natychmiast rzuciła się w ramiona dziadka.

Zebraliśmy się na dole w dużym salonie. Edith siedziała już przy stole. Pod samo jej krzesło przytoczono elektryczny piecyk. Również i ten pokój był skąpo oświetlony. Pomimo ogrzewania w pomieszczeniu panował chłód. Jasne było, że rzadko go używano. Fotele, krzesła i kanapa trwały w nim sztywno niczym w sali muzealnej, w rządku, zaś na ścianach krzywo wisiały oprawione obrazki i niewielkie malowidła.

Mickey przyniósł ze sobą ciasta. Swojej babci pokroił na małe kawałeczki *Schwarzwälder Kirschtorte*. Poza tortem szwarcwaldzkim był również *Sachertorte* i szarlotka z cynamonem. Piliśmy kawę z białych filiżanek z saksońskiej porcelany.

– *Echt Deutsch, in Bolivien*^[11] – śmiał się Mickey.

On i Wolfgang jako jedyni próbowali podtrzymać rozmowę, gdyż Gabriella w milczeniu karmiła swoją córkę, a Edith całkowicie była zaabsorbowana kawałeczkami tortu, które próbowała bezpiecznie przenieść sobie do ust. Kiedy puściła bąka, to Mickey przeprosił. Skończywszy jeść, Gabriella natychmiast wstała. Również Edith chciała od razu wracać do łóżka. Zwykle kładła się spać o pół do ósmej. Teraz było już po ósmej.

Zanim Mickey wyszedł, zaprosił mnie do odwiedzenia siedziby swojej firmy na Altiplano. Był wyraźnie dumny z własnoręcznie wybudowanej przez siebie fabryki, w której tkano i farbowano tkaniny.

Bardzo polubiłem Mickeya. Tortowa uczta stanowiła dowód na to, że dla belgijskiego gościa żaden wysiłek nie był za wielki. Poza tym nie uszło jego uwagi, że nie polubiła mnie jego żona. Gabriella przez cały wieczór patrzyła na mnie jak na powietrze. Ani razu się do mnie nie uśmiechnęła i zajmowała się tylko Nicole. Musiało być jej na rękę, że prawie nie mówię po hiszpańsku ani go nie rozumiem. Byłem pewien, że Mickey swoim nieprzerwanym gadulstwem chciał przykryć cichą wrogość swojej żony; ujmująca cecha mężczyzny, który nie był mi nic winien.

Na dole, przy schodach, pożegnałem się ze swoją cioteczną babką. Angelina stała obok niej z termoforem. Edith ucałowała mnie serdecznie i nazwała Jossele.

– *I love you* – powiedziała i objęliśmy się serdecznie. Nie zapomniała, kim jestem.

Jossele. Włączyła mnie do galerii zdrobnień rodzinnych. Ernstl. Wernerle. Elsele. Franzl. Większy zaszczyt nie mógł mnie spotkać. Kochana, kochana Edithel.

W oczekiwaniu na kolejne odwiedziny u Edith, na powrót Wolfganga do domu i możliwość podjęcia naszych rozmów wałęsałem się po La Paz. Miasto mnie przygnębiało. Choć przeczytałem, że Boliwia jest najbiedniejszym krajem na kontynencie amerykańskim, i tak byłem przerażony. Szok wywoływała we mnie nawet nie wielka liczba żebraków czy groteskowy kontrast między ruderami, w jakich żyli ludzie, a krzykliwymi świątyniami banków i luksusowych hoteli. O wiele bardziej deprymowała mnie tępa rezygnacja Boliwijczyków. Nikt na ciebie nie patrzył, nikt nie okazywał ciekawości. Chodniki okupowali odrętwiali żebracy, czekając, aż ktoś rzuci im na kolana monetę, zaś pucybuci niemo czyścili buty. Tylko biznesmeni mijali cię żwawo i wbiegali w marmurowe podwoje. Czy projektowałem swój niepokój Europejczyka? Czy może wieki biedy, korupcji i podboju zrodziły tak głęboką uległość?

Co krok napotykało się żołnierzy i policjantów na straży. La Paz było miastem w stanie wojennym. Wojskowi w oliwkowych mundurach, z ciężkimi rewolwerami na biodrze przechadzali się przed hotelami i ambasadami, muzeami i domami towarowymi. W biurach i bankach przystawali przy każdym okienku i strzegli wind, klatek schodowych i korytarzy. Boliwijski sposób tworzenia miejsc pracy.

Wolfgang nigdy nie zwrócił mojej uwagi na masową obecność wojskowych. Dla niego stanowili element wystroju ulicy. Mimo iż przyznawał, że każdy pucz na jakiś czas przepędzał turystów, sam zawsze obierał stronę generałów. „Uratowali nas od chaosu i komunizmu” – twierdził. Jego uproszczone poglądy polityczne pasowały do wypowiedzi o Ajmarach. Uważał Indian za bezwartościowych. „Boliwię zamieszkują dwa rodzaje ludzi – utrzymywał Max. – Dzicy oraz dzicy z białymi kołnierzykami”. Zdaniem Wolfganga Indianie nie troszczyli się o to, co przyniesie kolejny dzień. „Życie? Śmierć? Dla Ajmara to wszystko jedno” – twierdził. Oraz: „Tutaj wszystko jest takie *schmutzig*. Oni sikają na ulicę. Gdyby klimat był z dziesięć stopni gorętszy, padaliby jak muchy”.

Mimo to jego pogarda była niczym innym jak odruchowym oburzeniem. Tego można się było spodziewać po kimś, kto nigdy nie zadał sobie trudu, by zrozumieć kulturę, do której trafił. Wolfgangowi nie przeszkadzało, że Indianie są leniwi, ale chlubił się tym, że sam jest pracowity. Poza tym w Boliwii uprzedzenia mają dłuższy żywot, ponieważ rasy pozostawały rozdzielone ze względu na różnice klasowe. Indiańskie twarze należą do biedaków i żołnierzy, hiszpańskie – do mężczyzn z aktówkami i kobiet w futrach.

Pomimo tych poniżających uwag Wolfgang przeważnie odnosił się do Indian uprzejmie. Choć zdarzało mu się wybuchnąć w stosunku do swojej służącej, zwykle pozostawał łagodny i pobłażliwy. Na targu cierpliwie targował się o ceny

i żartował ze sprzedawczyniami i żebrzącymi dziećmi.

Jego syn miał o wiele więcej do czynienia z Indianami. W fabryczce Mickeya pracowało ich pół tuzina i dobrze się o nich troszczył.

– Żaden Boliwijczyk nie cierpi głodu – zapewniał mnie Wolfgang. – Chłopi z Altiplano robią interesy w mieście, mają dach nad głową, a może nawet i samochód, kiedy zaś gorzej im się powodzi, na wsi troszczy się o nich rodzina.

Miałem wątpliwości, czy mój daleki kuzyn ma rację. W każdym razie Indianie, których zatrudniał Mickey, wyglądali na zadowolonych.

Mozolnie wspinaliśmy się z Wolfgangiem na Altiplano w jego dwudziestoletnim, nie do zdarcia volkswagenie brazylijskiej produkcji. Ponieważ najpierw chciał odwieźć do domu Felippę, nie jechaliśmy autostradą, ale tłukliśmy się wzdłuż zbocz na szczyt. Dziury tak wielkie jak leje po granatach zmuszały samochód do powolnej jazdy zygzakami. Silnik wył. Jakiś mężczyzna, który środkiem ulicy pędził dwie owce, nie usunął się nawet na cal. Trochę dalej jakiś chłopiec wyganiał psa z wysypiska śmieci. Śmieci było co niemiara. Z każdej szczeliny skalnej i czeluści odpadki zwały się w dół strumieniami.

La Paz nie kończyło się na krawędzi doliny. Ponad płaskowyżem powstało El Alto, nowe miasto. Dzielnice mieszkaniowe i obszary przemysłowe sięgały w nim po horyzont. Fabryka Mickeya miała dopiero parę lat i dlatego położona była na granicy: między ostatnimi domami a pierwszymi żalonymi pastwiskami Altiplano.

– Mój syn jest perfekcjonistą – szepnął Wolfgang podczas naszej rundki po wytwórni tkanin.

Mickey pokazywał nam cały proces produkcyjny. Przędzenie, pranie, prasowanie, farbowanie, ponowne suszenie, rolowanie. Właściciel pozował do zdjęć, przystając między maszynami.

– Podłoga susząca to mój wynalazek – powiedział.

Jego pracownicy nosili czyste kombinezony i białe gumowce. W oślepiająco jasnej stołówce siedział pracownik, pijąc kawę i słuchając radia. Stały w niej mikrofalówka i lodówka. Największą dumą napawał Mickeya trawniczek, który założył przed wejściem do głównego budynku.

– Podleвам go dwa razy dziennie – zwierzył mi się, kiedy pogratulowałem mu świeżego koloru trawy. – To najładniejszy trawnik między La Paz a jeziorem Titicaca. – Promieniał.

Na terenie fabryki mieszkało stare małżeństwo Indian, które pełniło funkcję portiera i stróża nocnego. Kiedy wyjeżdżaliśmy na zewnątrz, żona wyszła w ukłonach otworzyć nam bramę.

Wolfgang opuścił okienko samochodu i zawołał parę przyjacielskich słów.

– Mickey starannie ich wybrał – powiedział. – Poprzedni portier był pijakiem. Czasami zapominał zamknąć bramy. Ci ludzie należą do jakiejś

chrześcijańskiej sekty. Ich wiara zabrania im pić. Wolno im się tylko modlić i być pobożnym.

Wracaliśmy autostradą. Po drodze komplementowałem sukces Mickeya. Moje pochwały schlebiały jego ojcu.

– Mickey nieźle się natrudził – wychwalał go. – Sam wszystko zaprojektował i wybudował. Na razie wciąż inwestuje. Zysk jeszcze przyjdzie. To solidne przedsiębiorstwo.

Ponieważ do tej pory nie wspomniał o swoim drugim synu, zapytałem, co Lenny porabia w Stanach Zjednoczonych. Wolfgang musiał się zastanowić.

– Moja siostra rozmawiała z nim przez telefon tuż przed twoim przyjazdem. Zaproponowano mu posadę nauczyciela matematyki. Gdzieś w New Jersey. Właściwie jest inżynierem. Studiował na Florydzie.

Umilkł. Po czym na nowo podjął.

– Nieoczekiwanie został ortodoksyjnym Żydem. *Fromm*, pobożnym. Nie wiem czemu. Może wstąpił do jakiejś sekty, która zagaduje Żydów na ulicy i nawraca ich na pobożność. Ostatnimi czasy niewiele miałem od niego wiadomości.

Mój daleki kuzyn nie potrafił ukryć swojej pogardy. I dlaczego Lenny poinformował o nowej pracy swoją ciotkę, a nie ojca?

Kolejną niedzielę mieliśmy z Wolfgangiem spędzić u Edith. Dzień ten musiał przynieść przełom. Miałem gotowy plan. Zamierzałem spróbować zatrzymać Edith przy stole, kiedy mój kuzyn po posiłku zamierzał wycofać się na południową drzemkę. Nie miałem dużo czasu do dyspozycji. Edith również kładła się spać po lunchu, a w obecności Wolfganga nie zdobyłbym się na odwagę zadawać wnikliwych pytań na temat swojej babci.

W czasie spaceru do Calacoto, dzielnicy, w której mieszkała moja cioteczna babka, mijaliśmy stare kamienice.

– Tym tam ludziom moja matka całe lata pielęgnowała dłonie i paznokcie – wskazał Wolfgang. – Adwokatom, lekarzom, wszystkim notablom w mieście. W Breslau skończyła kurs manicure i pedicure. Wielu Żydów przygotowywało się na zupełnie inną ścieżkę kariery zagranicą. Mój ojciec był przedstawicielem handlowym. Sprzedawał tkaniny i odwiedzał klientów na całym Śląsku. Tutaj niewiele było dla niego pracy. Moja matka zarabiała na życie. Najpierw była prasowaczką w pralni, potem założyła restaurację, a potem zaczęła robić manicure. Miała bardzo praktyczne podejście do życia. Była z niej dobra kobieta interesu. Właściwie mieliśmy zostać rolnikami. Moi rodzice otrzymali przecież wizę rolniczą, *Landwirtschaftsvisum*. Na szczęście nic z tego nie wyszło. Znajomi, którzy w pobliżu Cochabamba podjęli pracę na roli, po krótkim czasie powrócili do La Paz bez środków do życia i śmiertelnie chorzy. Cochabamba leży w tropikach.

W tej chwili przechodziliśmy obok río Choqueyapu, jedyne znaczącego

cieku miasta. Rzeczka zbierała wodę z kilku górskich strumieni i spływała w wirach do niżej położonej części miasta. Parka dzieci bawiła się między blokami skalnymi nad brudnożółtym strumieniem.



La Paz, Boliwia, 1939 rok.

Edith Adam, druga z lewej, obok swego pierwszego pracodawcy, właściciela pralni

– Widzisz ten otwarty kanał ściekowy? – zapytał Wolfgang. – Pierze się w nim ubrania, dzieci się w nim bawią, a jakoś nikt nie choruje. Tymczasem my na samym początku łapaliśmy wszystkie możliwe świństwa. W Cochabamba było jeszcze gorzej. Cholera, żółta febra, malaria. Teraz i my jesteśmy na nie odporni.

W głosie Wolfganga nie słychać było goryczy. Nie tylko się dostosował, ale z zadowoleniem wypowiadał o swoim losie. Boliwia nie trzymała go u siebie siłą. Został w niej dobrowolnie, podczas gdy tysiące innych dobrowolnie z niej wyjechało.

Zapytałem, jakie wrażenie zrobiła na nim Boliwia w 1939 roku.

– Dla dziewięciolatka wszystko jest przygodą – roześmiał się. – Moi rodzice odetchnęli z ulgą, że cali i zdrowi opuścili Niemcy. Na statku panowała wesola atmosfera. Czuliśmy, że raczej wyruszamy ku nowemu życiu, niż że musimy pożegnać poprzednie. Z początku wszystkim było trudno, ale solidarność wśród Żydów uczyniła wiele dobrego. Większość zakładała jakiś biznes. Powstały kawiarnie i restauracje, różne piekarnie i trzy masarnie. Mimo to nie było mowy o konkurencji. Nawet pobożni Żydzi nie trzymali się na uboczu. Choć jeden zatrzymał mnie na ulicy i kazał mi założyć jarmułkę. *Das geht dich einen Dreck an* – odkrzyknąłem mu. Nie wtrącaj się do nie swoich spraw. Miałem chyba dwanaście czy trzynaście lat.

Wolfganga wciąż bawiła bezczelność tej odpowiedzi. Teraz zupełnie się rozluźnił. Tymczasem maszerowaliśmy solidnie przed siebie. Nasze płaszcze zimowe ocierały się o siebie rytmicznie na wąskiej ścieżce, jak byśmy byli kolegami, którzy wyruszają na spotkanie przygody.

– Większość Żydów znowu po wojnie wyjechała. Zwłaszcza do Argentyny i Stanów Zjednoczonych. O niektórych zdarza mi się jeszcze coś niecoś usłyszeć. Wszyscy z utęsknieniem wspominają lata wojny. Stare, dobre czasy, mówią, ale zapominają, że na początku gnieździli się w jednej izbie.

Zarażony jego rozmownością opowiedziałem mu o babci ze strony mojej matki. Reagowała z oburzeniem na sytuację, gdy ktoś zaczynał mówić o „starych, dobrych czasach”. Panowała tylko straszna bieda, kwitowała to babcia, a potem zaczynała opowiadać o swojej matce, która tylko raz w tygodniu mogła sobie pozwolić na kupno trzech jajek dla szóstki swych dzieci, a była taka niemądra, że gotowała je na miękko, przez co część żółtka się marnowała przy podziale.

– Im jesteś biedniejszy, tym bardziej ograniczone twoje możliwości – skwitował Wolfgang. – Dlatego Żydzi jak najszybciej próbowali się wyzwolić się ze swoich prymitywnych warunków. W naszym budynku mieszkało dwadzieścia rodzin. Mieliśmy tylko jedną toaletę. Trzeba się więc było zorganizować. Między godziną ósmą a pół do dziewiątej z łazienki korzystała *so und so* rodzina, między pół do dziewiątej a dziewiątą *so und so*. Taki porządek był ściśle przestrzegany. Wymagało to dyscypliny. Niemieccy Żydzi mieli jej aż nadto. Polscy Żydzi nas wyzywali, nazywali nas *Jeckes*^[12]. Uważali nas za wybrednych, za sumiennych. *Gründlichkeit*^[13] było brzydkim słowem.

Doszliśmy do domu Edith. Była prawie dwunasta godzina. W okolicy panował taki sam spokój jak trzy dni wcześniej. Po drugiej stronie ulicy minęła nas tylko jakaś kobieta z wózkiem. Delikatny stukot jej wysokich obcasów po bruku zdawał się jeszcze pogłębiać panującą ciszę.

Kiedy w holu zdejmowaliśmy płaszcze, z kuchni wyszła podekscytowana Pepita, indiańska służąca, która w weekendy zastępowała Angelinę. Spanikowana, ale ściszym głosem, poinformowała Wolfganga, że jego matka dziś rano zrobiła pod siebie w łóżku. Wolfgang ją uspokoił i odesłał.

– To się zaczęło parę tygodni temu – odezwał się. – *Mutti* zadzwoniła do mnie, bo się wstydziła tego, co zrobiła. Od czasu do czasu zdarza się jej to w ciągu tygodnia. Dla Pepity to pierwszy raz.

Edith leżała w łóżku. Objęliśmy się na powitanie. Wyglądała jeszcze bardziej krucho niż poprzednio. Pod żółtą, włóczkową czapką jej twarz wyglądała na jeszcze szczuplejszą i bardziej poszarzałą.

– *Ich möchte noch nicht aufstehen* – odezwała się zrezygnowanym tonem. – *Ich habe keinen Appetit*^[14].

Nad moimi planami zawisła groźba klęski.

– *Aber Sie müssen doch etwas essen*^[15] – zachęciłem ją.

– *Warum sagst du immer Sie?*^[16] – wymamrotała.

– *Mein Deutsch is so schlecht* – wydukałem. – *Du sagen ist viel schwieriger als Sie sagen*^[17].

W pokoiku obok kuchni zjedliśmy z Wolfgangiem gęstą zupę warzywną z kawałkami mięsa. Mój kuzyn niewiele się odzywał. Tak samo jak podczas mojej pierwszej wizyty dom ten i jego mieszkanka zdawały się go przygnębiać. Kochał oczywiście swoją matkę, ale jej chorobliwy stan i zamartwianie się jej narzekaniem nastrojały go drażliwie. Odwiedziny u niej stały się rutynowym obowiązkiem.

Również i ja byłem podłamany. Mogłem wybić sobie z głowy rozmowę w cztery oczy z moją cioteczną babką. Jeśli chciałbym ją jeszcze zobaczyć, musiałbym sam podjąć ku temu inicjatywę. Czy Wolfgang się na to zgodzi? Po zupie były brzoskwinie z puszki. Przy kawie mój kuzyn zapalił papierosa.

– Zajrzę później znowu do *Schrankkoffer* – obiecał. – Muszą gdzieś w nim leżeć te listy twojej babci.

Właśnie mieliśmy wyjąć pierwszą szufladę z kufra, gdy Edith zawołała mnie ze swojej sypialni. Stała, trzymając w dłoni termofor.

– Proszę cię, *Jossele*, mógłbyś napęlić mój termofor? Jest tak okropnie zimno.

Wsunęła dłoń pod moje ramię. Razem poszliśmy do łazienki, gdzie napęliłem termofor gorącą wodą, a ona go pomacała.

– *Zu viel Wasser. Giess etwas aus*^[18] – nakazała.

Kiedy pomagałam Edith położyć się do łóżka, nieoczekiwanie ogarnęło mnie coś w rodzaju dobroczynnej egzaltacji, jak gdyby tych parę czynności sprzed paru minut przesłoniło codzienność i urosło do wyjątkowych chwil. Kościste ciało, które przywierało do mojego, krótki spacer ramię w ramię do łazienki i z powrotem, oczywistość, z jaką zwróciła się do mnie, to wszystko przyczyniło się do powstania głębokiej zażyłości. Udzielenie pomocy ciotecznej babce stało się przywilejem. Bez podtekstów zaoferowała mi swoją bezradność.

Takie głębokie uczucie ogarnęło mnie jeszcze tylko raz. W wieczór, w którym moja babcia ze strony mamy umierała, siedzieliśmy obok siebie, ona w fotelu, ja na krześle. Trzymałem jej prawą dłoń. Miała dziewięćdziesiąt trzy lata, mieszkała z nami od zawsze, ale po raz pierwszy trzymałem jej dłoń w swojej. W tej pozycji przesiedzieliśmy parę godzin. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Nie było o czym mówić. Przez trzydzieści lat postrzegałem ją jako oczywisty element składowy swojego życia. Nic więcej nie było trzeba poza jej ciepłą, miękką dłonią, żebym zrozumiał, jak bardzo ją kocham. Następnego dnia miała spokojnie odejść we śnie.

Resztę dnia łatwo streścić. Wolfgang nie znalazł listów i postanowił po sjeście pokazać mi parę muzeów w mieście. Kiedy Wolfgang odpoczywał, siedziałem w ogrodzie, gdzie od czasu do czasu zapadałem w drzemkę, by następnie ponownie przeczytać parę stron traktatu o żydowskim ruchu oporu w Berlinie w czasie wojny. Broszurę znalazłem między stosami książek i czasopism w pokoju, w którym Edith siedziała w krześle na słońcu. Publikacja

dotyczyła Gruppe Baum. Organizacja ta doprowadziła do wybuchu bomby na wystawie poświęconej żydowskiemu zwyrodnieniu. Grupa oporu dołożyła wszelkich starań, by eksplozja poczyniła wyłącznie materialne zniszczenia. Naziści okazali się mniej uprzejmi, kiedy aresztowali Bauma i jego przyjaciół.

Tuż przed pożegnaniem Edith zleciła synowi obliczenie, ile musi zapłacić pensji Pepicie. Staruszka wstała z łóżka i czekała w gotowości w salonie z dużą torebką w dłoni. Wolfgang wyliczył kwotę, po czym Edith otworzyła torebkę i wyjęła z niej zwitek banknotów.

– *Mutti* już nie widzi, jakie ma pieniądze – wyszeptał Wolfgang – ale świetnie się orientuje, czy trzyma banknot dziesięcio-, dwudziesto- czy pięćdziesięcioboliwarowy.

Kiedy skończyła, zapytałem ją, czy mogę ją sfotografować.

– *Das kommt nicht in Frage*, wykluczone – wykrzyknęła. – Nie jestem umalowana!

Dni biegły teraz według utartego schematu. Rano wałęsałem się po mieście, kupowałem pamiątki i wypisywałem pocztówki w kawiarniach, wypijając kilka filiżanek *mate de coca*, naparu z liści koki. Owa *mate*, jak pisano w przewodnikach turystycznych, była niezawodnym lekiem przeciwko zawrotom głowy i chorobie wysokościowej. Szkoda, że nie mogłem tej herbaty pić we śnie, gdyż co noc budziłem się kilkakrotnie pod wpływem rozrzedzonego powietrza, z przerażeniem łapiąc ustami powietrze. Około południa niespiesznie wędrowałem do sklepu Wolfganga, jechaliśmy do domu, jedliśmy lunch i odpoczywaliśmy, po czym on wyruszał z powrotem do sklepu, a ja zostawałem w mieszkaniu, czytając, pisząc listy i robiąc zapiski w dzienniku.

Kolacje jedliśmy u Mickeya. Za pierwszym razem przyniosłem Gabrielli butelkę *elixir d'Anvers*, za drugim – duże pudełko cukierków. Moje próby przekupstwa nie zrobiły na niej wielkiego wrażenia. Gabriella pozostała niewzruszenie obojętna.

Mickey z rodziną zajmował luksusowy apartament nieopodal domu Edith. Niczego im nie brakowało. Wielki ekran telewizora, telewizja kablowa, indiańska służąca, pokój dziecięcy z górą pluszaków i mówiącymi lalkami, oddzielna toaleta dla gości i dwie dla rodziny.

Również i tutaj Wolfgang w jednej chwili całym sobą uczestniczył w rozmowie przy stole, by następnie nieoczekiwanie zamknąć się w sobie, jak gdyby w mgnieniu oka opadło stalowe ogrodzenie, które oddzieliło go od reszty świata. Nawet mała Nicole, oczko w głowie dziadka, nie zdołała go rozchmurzyć. Czasami rozmowa utykała, choć Mickey dokładał wszelkich starań, by przełamać ciszę. Ponieważ Gabriella nie mówiła po niemiecku, a ja nie władałem hiszpańskim, musieliśmy się ograniczyć do banalnych tematów. Nie dało się co wieczór wychwalać pod niebiosa jakości kiełbasy pasztetowej lub marynowanych

cebulek niemiecko-boliwańskiej firmy Stege. Jedynie *challa*, przaśna bułka pleciona przed szabatem, wywoływała dyskusję na temat tego, co znaczy być Żydem w La Paz.

Wolfgang żałował, że większość Żydów opuściła Boliwię.

– Dawniej chodziliśmy z Toni co tydzień do klubu żydowskiego na karty – powiedział. – Nie wiem, co się w nim teraz dzieje. Nikogo bym już tam nie poznał. Prawie wszyscy przyjaciele umarli lub wyemigrowali.

Zapytałem, czy przestrzega tradycji religijnych.

– Uchowała się tylko *challa*. – Mój kuzyn się roześmiał.

– Bzdura – sprzeciwił się Mickey. – My przestrzegamy wszystkich świąt. Pościmy w Jom Kipur i spożywamy macę w Paschę.

Komu miałem wierzyć? Wolfgang w tym dniu nawet nie zamówił *challi*. Na szczęście piekarz sam pomyślał o swoim kliencie i wysłał do sklepu Wolfganga chłopca na posyłki z chlebem.

– Twoja babcia zawsze pierwsza wrywała się do zapalenia świec szabasowych – dodał Mickey. – Moja nigdy tego nie robiła. Po śmierci swojej siostry latami paliła u siebie świece.

Wolfgang opowiadał o swoim życiu i o swojej rodzinie tylko wtedy, kiedy miał na to ochotę. Jego napady apatii i zanurzanie się w południowoamerykańskim rytmie życia nie ułatwiały mi sprawy. Codzienne czynności przebiegały, owszem, zgodnie z rutyną, jednak nigdy nie dało się przewidzieć reakcji Wolfganga na moje pytania i uwagi. Wykazywałem się wszelkim zrozumieniem dla jego melancholii i nie dałem po sobie poznać poirytowania zmianami jego nastrojów. Mniej cierpliwości okazywałem wobec jego kunktatorstwa. Z początku brałem je na karb niezdecydowania. Myliłem się. Będąc przyzwyczajony do szybkiego tempa życia, dostroiłem do takiego rytmu swoje oczekiwania wobec Boliwii. Teraz okazywało się, że Wolfgang, Niemiec, który chlubił się swoim uporządkowaniem i pracowitością, więcej przejął z lokalnej mentalności, niż sam przypuszczał. Czekanie nie stanowi dowodu na guzdranie się, ale jest rytuałem podniesionym do stylu życia. Czternaście dni spędzonych w Boliwii nie wystarczyło mi, bym się do niego przyzwyczył.

Najpiękniejszymi chwilami były te, gdy Wolfgang opowiadał o swoim dzieciństwie w Breslau. Snucie wspomnień sprawiało mu przyjemność, choć przeważnie miały one przykre konotacje. Niektóre z anegdot już znałem. Wolfgang znalazł się kiedyś tuż obok Adolfa Hitlera. Pewnego razu z ojcem z ciekawości weszli do sklepu na *Ring*, ogromnym rynku w centrum miasta, ponieważ znajdował się w nim pierwszy w Niemczech dystrybutor towarów spożywczych. Był 1937 rok, Wolfgang miał siedem lat, a Hitler i Goebbels przyjechali do Breslau na *Sängerfest*, festiwal piosenki. Nieoczekiwanie esesmani wpadli do sklepu i utworzyli kordon wokół automatów. Hitler wszedł do środka, by przetestować ów

Vorsprung durch Technik^[19]. Kiedy odbierał ze ściany kielbasę, pomiędzy obutych w oficerki brązowych koszul spozierał na Führera mały chłopiec. Następnie wszyscy wykrzyknęli pozdrowienie *Heil Hitler!*

Wstrząsnęło mnie, kiedy Wolfgang opowiedział, że jeszcze w 1937 roku jego ojciec wierzył w dobre zamiary dyktatora. Po tym, jak *Führer* opuścił sklep, Max wobec gapiów wyraził swoją troskę o ich przywódcę: *Welche grosse Sorgen muss der Mann doch haben!*^[20] – powiedział. Ojciec Wolfganga był przekonany, że środki wymierzone przeciwko Żydom wydawane są bez wiedzy Hitlera i że *Führer* niebawem spieszy swoim Żydom z pomocą.

Taka naiwność budzi szok, ale pokazuje również, jak mądrość po szkodzie maci zdolność osądu. Mój ojciec zawsze się rozsierdzał, kiedy pytałem go, czemu większość Żydów tak długo wytrzymała w Niemczech i nie przewidziała nadejścia Holocaustu. Kiedy to samo pytanie zadałem Wolfgangowi, przyznał, że ich warunki życia do „nocy kryształowej” pogorszyły się ledwie częściowo.

– Nie śmieli nas od razu zlikwidować – powiedział. – Dusili nas powoli, ale skutecznie, a myśmy nie zdawali sobie nawet z tego sprawy.

Większość wspomnień Wolfganga wypływała na powierzchnię w Coroico. Miejscowość ta była subtropikalnym rajem u stop Andów, położonym jakieś sto kilometrów na wschód od La Paz. Po kilku dniach namyślenia się i wahań Wolfgang postanowił spędzić ze mną w tej wiosce dwa dni. Mój daleki kuzyn zmienił się w niej w innego człowieka. Zrelaksowanego, rozkoszującego się życiem, wesołego. Ja również miałem powody do zadowolenia. Zdążyłem spotkać się z cioteczną babką po raz trzeci, nie bez efektów.

Edith ucałowała mnie serdecznie, kiedy wszedłem. Poleciała służącej przygotowanie ozora wołowego, swojej specjalności. Wolfgang i ja przynieśliśmy czekoladę. Liczyłem na to, że mój kuzyn od razu po jedzeniu pójdzie na górę i zostawi nas samych.

Przy stole nic nie zostało z atmosfery podekscytowania.

– Moje mięso jest o wiele za twarde – skarżyła się Edith. – A wasze?

Jej syn w milczeniu pokroił na kawałeczki porcję mięsa swojej matki. Ta włożyła jeden do ust i po długim, mlaskającym przeżuwanym go wypluła. Wolfgang nie zareagował. Zdumiony taką obojętnością wziąłem jej talerz i pokroiłem kawałki na mniejsze. Edith i teraz nie udało się przełknąć ozora wołowego.

– Pojedziesz z nami nad jezioro Titicaca? – zwrócił się do niej Wolfgang. – Wybieramy się z Gerdem i Olgą.

– O której wyjeżdżacie?

– Jeszcze nie wiem.

– Muszę teraz wiedzieć. Muszę wstać na czas.

– Zadzwoń dziś wieczorem, *Mutti*.

– Nie wiem, czy pojedę. Poza wodą nic tam nie ma do oglądania.

Wolfgang nie nalegał. Wiedział, że jego matka i tak się do nas nie dołączy.

Gerd i Olga Phillipsbornowie byli jego najlepszymi przyjaciółmi. Tak jak i Wolfgang, Gerd przybył do Boliwii w 1939 roku. Był siedemdziesięcioletnim Żydem z Berlina, a jego żona – Hiszpanką. Mój kuzyn spędzał z nimi każdy wtorkowy wieczór.

Phillipsbornowie zaprosili mnie z nim do siebie, a ja dobrze się u nich bawiłem. Posiedli sztukę rozpieszczania gości. Ich mieszkanie było atrakcyjnie urządzone, łośoś z jeziora Titicaca – smaczny, film wideo o Breslau, który przywozłem – ciekawy. Z Olgą rozmawiałem po francusku, a z Wolfgangiem i Gerdem – po niemiecku; Olga z Gerdem i Wolfgangiem rozmawiali po hiszpańsku. Ponieważ bez przerwy coś ktoś tłumaczył i zgadywał znaczenia, rozmowa nigdy się nie urywała.

Tego wieczoru zresztą został opracowany plan wyprawy nad jezioro Titicaca. Olga zapytała Wolfganga, czy zamierza zabrać mnie na jakąś wycieczkę. Śliski temat. Zacząłem bronić swojego kuzyna, mówiąc, że sezon turystyczny jest w pełni i że nie może pozwolić sobie na zamknięcie sklepu. Ta wymówka nie zadowoliła Olgi.

– Jak często odwiedza cię krewny z Europy? – zapytała prowokacyjnie. – Sprzeniewierzasz się obowiązkom gospodarza.

Nie przestawała mu na poły żartobliwie, na poły poważnie nacierać uszu, tak że od słowa do słowa wykoncypowano wyprawę nad jezioro. Wolfgang pozwolił krytyce spłynąć po sobie jak po kaczce. Czuł się u Phillipsbornów jak u siebie w domu, gdyż po jedzeniu wyjął swoją sztuczną szczękę. Nie da się znaleźć lepszego dowodu bliskiej przyjaźni.

Po obiedzie Wolfgang poszedł na piętro zdrzemnąć się na kanapie. Byłem zdenerwowany i czułem się jak inkwizytor, który gotuje się do tego, by poddać podejrzanego srogiemu przesłuchaniu. Pomagając Edith wziąć tabletki, zapytałem ją, czy pamięta jeszcze swoją siostrę.

– *Ja, selbstverständlich* – odpowiedziała. – *Ach, was für eine Tragödie war das doch mit der Else gewesen*^[21].

Ku mojemu zaskoczeniu zaczęła opowiadać. Słuchałem kobiety o wielkiej wrażliwości. W czasie naszych dwóch poprzednich spotkań ani słowem nie wspomniała o rodzinie. Nawet wtedy, gdy wzięła mnie za mojego ojca, nie zapytała, jak mu się wiedzie. Zdawała się zamieszkiwać ślepy świat zimna i niewygody, w którym całą jej uwagę zaprzętały tylko krótkotrwałe potrzeby.

– W domu nas rozpieszczano – westchnęła – a z nas wszystkich Else najbardziej. Byłam najmłodsza, a mimo to szybko pojęłam, że ma napady humorów i często bywa przygnębiona. *Diese Augen von ihr! Immer so ernsthaft!*^[22] Czuła się ogromnie nieszczęśliwa, zwłaszcza po śmierci Ernstla. Nazywała go złotym chłopcem, *Mein Goldjunge*. W Palestynie chciała mieć jeszcze jedno

dziecko, ale Felix się nie zgodził.

Edith ostrożnie podniosła filiżankę kawy do ust, upiła łyk, po czym splotła dłonie wokół ciepłej filiżanki.

– Odbieraliśmy ją z Maxem z lotniska. W czasie lotu musiała budzić sensację. Nawet naziści, którzy wtedy tutaj żyli, ulitowali się nad nią i pomagali jej w formalnościach celnych. Osiem dni przeleżała w łóżku, a i potem potrafiła na całe godziny zaszywać się w swoim pokoju. Spała w pokoju ze Steffi. A więc nie była w nocy sama. Na początku moi znajomi zarzucali ją kwiatami i czekoladą. Już po jej śmierci jedna przyjaciółka mi powiedziała, że Else już w drugim dniu jej wyznała, że jak najszybciej chce wrócić do Wenera. Ale dzień wcześniej powiedziała mojemu mężowi, że zostanie u nas na zawsze! *Leider haben wir es damals nicht geahnt, dass sie nicht im Besitz ihrer vollen geistigen Kräfte war*^[23]. Angelina!

Z kuchni wyszła służąca i zaczęła sprzątać ze stołu.

– Są owoce?

– *No, señora.*

Na komodzie obok stołu stał półmisek z jabłkami, bananami i papają.

Podniosłem się i pomogłem Angelinie. Ponieważ ułamek sekundy za późno zdałem sobie sprawę, że Edith prawdopodobnie wykorzysta sytuację, by powrócić do swojej sypialni, odwróciłem się na progu kuchni ze stosikiem talerzy w dłoni i głośno zapytałem ją, czy bezpośrednio po samobójstwie mojej babci napisała do mojego ojca. Następnie rzuciłem talerze na stół kuchenny i biegiem wróciłem do jadalni.

– *Nein, das ist nicht in Frage gekommen* – odpowiedziała cicho. – *Der Wernerle war solch ein lieber Junge. Mein Augapfel*^[24].

Edith wbiła wzrok przed siebie. Do oczu napłynęły mi łzy i ująłem jej dłoń. Nasze palce się splotyły. Dodało jej to jakby nowej siły, gdyż podjęła swą opowieść z jeszcze większym zapałem.

– Robiliśmy wszystko, by uszczęśliwić Else, ale ją nic nie interesowało. Nie potrafiła się zdobyć na jakikolwiek wysiłek. Raz na tydzień odkurzała meble, a nawet i to robiła powierzchownie. Nie podejmowała żadnej inicjatywy, nie sprzątała. Mówiła, że lubi gotować, więc pozwoliłam jej przygotowywać dla nas posiłki. Źle się do tego zabierała, musiałam bez przerwy interweniować, traktować ją jak służącą, moją własną siostrę, to przecież nie do pomyślenia! W Breslau również niewiele zajmowała się domem. *Mutti* potrafiła się o to tak denerwować. Else musiała z Belgii przywieźć tabletki nasenne i je ukryć.

Edith coraz bardziej pozwałała się ponieść emocjom. Wzburzenie sprawiło, że zatracał się wszelki związek logiczny między jej wspomnieniami, zaś ona desperacko rzucała się na poszukiwanie ich wszystkich jednocześnie jak dziecko, które próbuje jednym ruchem rozbić rozpierzchające się na wszystkie strony bańki

mydlane. W jej głosie rozbrzmiewała skarga. Czy zdawała sobie sprawę, że poddawała się swemu smutkowi, który wciągał ją jak wir? Głaskałem grzbiet jej dłoni, by dodać jej otuchy. Dybałem na rozpacz i zastawiałem przyjacielskie pułapki. Cóż innego mogłem zrobić?

– W swoim pożegnalnym liście Else przyznała, że ma depresję. Nie zrzucacie winy za moją śmierć na Wenera, napisała. *Der Werner sollte uns vorher klaren Wein eingeschenkt haben!*^[25] Bez przerwy mówiła o samobójstwie. Wysłaliśmy ją do lekarza od nerwów, doktora Klienebergera, jakiż był przerażony, kiedy oznajmiła, że chce z nim zamieszkać, *ich habe immer noch so viel Sex-Appeal, ich kann immer noch Männer glücklich machen*^[26]. Objęła go przy tym. Rano ją znaleźliśmy, od razu zadzwoniliśmy do lekarza domowego, zabrał ją do szpitala na *calle Mexico*. Zrobili jej płukanie żołądka. Wtedy to jej serce nie wytrzymało, powiedział doktor Schein, nasz lekarz domowy. Wiele miesięcy czułam się temu winna. *Ich bin schuldig*^[27].

Po policzkach ciekły jej łzy. Łkała.

– Nie, nie jest ciocia niczemu winna – wykrzyknąłem.

Posunąłem się za daleko. To było zawstydzające. Skoczyłem na równe nogi, pomogłem jej wstać, wziąłem ją w ramiona, przytuliłem. – Niczemu winna, niczemu winna – pocieszałem ją i powtarzałem to tak długo jak zakłęcie, aż się uspokoiła.

Poszliśmy na górę. Na schodach wymagała podtrzymywania. Następnie usiadłem w ogrodzie. Ogrodnik grabił liście. Za każdym razem, gdy zebrał ich wystarczającą ilość, wiązał je w węzeł, wrzucał sobie na plecy i znikał z nimi za domem.

Okolo trzeciej zawołał mnie Wolfgang. Pożegnaliśmy się z Edith. Uścisnęła mnie serdecznie.

– Kiedy znowu cię zobaczę, Jossele? – zapytała przymilnie.

Niewiele wiem o swoich przodkach. Rodziny Peritz i Durra były żydowskie. Dwadzieścia wieków temu zamieszkiwały rzymską prowincję Judeę, pod koniec osiemnastego wieku żyły w Prusach. Durrowie w Prowincji Śląsk, Peritzowie w Prowincji Poznańskiej. Być może przybyli do nich z rosyjskiej *czerty osiedłosti* – strefy osiedlenia. Między Morzami Bałtyckim i Czarnym carowie przeciągnęli granicę i wszyscy Żydzi musieli się osiedlić na zachód od niej. Polska leżała w strefie osiedlenia. Po osiemnastym i dziewiętnastym wieku wielu Żydów opuściło zacofane, wrogie i ubożuchne prowincje rosyjskiego imperium, szukając pomyślności na obszarach pruskich. Być może moja rodzina ruszyła do ucieczki w czasie wypraw krzyżowych, kiedy to chrześcijanie w świętym przekonaniu nabijali na pal reńskich Żydów. Czy może uciekli na Wschód w czternastym wieku, kiedy na Zachodzie obarczono Żydów odpowiedzialnością za czarną śmierć?

Mój ojciec zakłada, że w 1492 roku zostali wypędzeni z Hiszpanii przez *Leurs Majestés très catholiques*^[28], a po tułaczkach przez Portugalię, Zjednoczone Prowincje i północne Niemcy trafili do Prus. Ojciec opiera swoją teorię na tym, że Durra i Peritz brzmią z hiszpańska. Tylko po części się to zgadza. W pierwszym rzędzie są to czysto żydowskie nazwiska. Durra lub *dhura* (po arabsku) oznacza odmianę prosa. Owo zboże, nazywane również sorgiem, pochodzi z Azji i Afryki. Peritz pochodzi od *peretz* i oznacza „tego, kto robi wyłom” lub „tego, który się przebija”. Peres był jednym z synów-bliźniaków Judy zrodzonych z jego synowej Tamar. Przy narodzinach to jego brat bliźniak, Zerach, pierwszy wyjął dłoń z łona matki, ale Peres siłą utorował sobie drogę i wyszedł na zewnątrz przed Zerachem. Tak twierdzi Księga Rodzaju. Ród Peresa zdobył wielkie znaczenie. Mojżesz nie zapomniał o nim, kiedy liczył plemiona na pustyni. Potomkowie Peresa, Parsyci, odegrali ważną rolę w Jerozolimie po powrocie z Babilonu. Według Księgi Rut król Dawid wywodził się z rodu Peresa. Hagada posuwa się jeszcze dalej. Owe komentarze opowieści biblijnych, legend, anegdot, przypowieści i podań ludowych z Talmudu i Midrasza twierdzą, że Peres dał początek drzewu genealogicznemu króla Dawida i że Mesjasz wyjdzie z tego rodu.

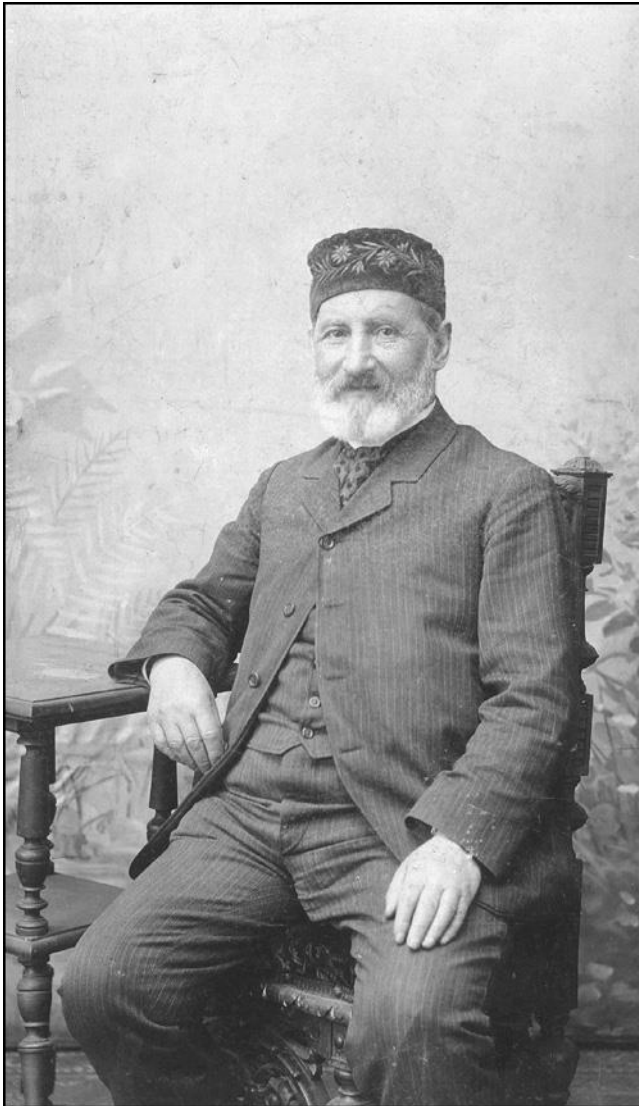
W 1850 roku garść moich przodków zamieszkiwała Breslau, stolicę Śląska – obszar, który od połowy osiemnastego wieku należał do Prus. W 1871 roku w nowym, zjednoczonym Cesarstwie Niemieckim Żydzi otrzymali równe prawa obywatelskie. Doszło do tego później niż w pozostałej części Europy Zachodniej. Mimo to liberalizacja rozpoczęła się już dziesięciolecia wcześniej. Na biedniejszych obszarach na Wschodzie wielu Żydów opuszczało swoje wioski i przeprowadzało się do dużych miast, gdzie czekały na nich lepsze warunki życia, a ludzie byli bardziej tolerancyjni. W Breslau powodziło im się tak dobrze, że

urościło ono do trzeciego – po Berlinie i Hamburgu – największego miasta kraju. W 1790 roku liczyło 55 747 mieszkańców, wiek później było ich już 355 186.

Liczba Żydów również wzrastała, choć wciąż stanowili oni trzy–cztery procent społeczeństwa. Wzrost Breslau był wynikiem rozwoju przemysłowego, ale także stosunkowej izolacji miasta. Stal i węgiel kamienny uczyniły z Górnego Śląska drugi – po Zagłębiu Ruhry – najważniejszy ośrodek przemysłowy cesarstwa. Ponadto miasto czerpało korzyści ze swego położenia. Śląsk swoim kształtem przypominał spuchnięty palec, który kłuje w plecy Kraj Nadwiślański i czeskie obszary austro-węgierskiej *Doppelmonarchie*. Berlin, ośrodek władzy, oraz inne wielkie miasta, jak Drezno, Poznań czy Praga, leżały trzysta lub więcej kilometrów od Breslau. Pozbawione konkurencji Breslau mogło prosperować.

Nie wiem, kiedy moja rodzina zamieniła wieś na miasto. Mój prapradziadek Lewin Peritz zmarł w 1898 roku w Breslau, ale urodził się w położonej trzysta kilometrów na północny wschód miejscowości Argenau. Wioska pomiędzy obwarowanym Thorn a Hohensalza w powiecie gnieźnieńskim należącym do Prowincji Poznańskiej leżała bliżej Warszawy niż Breslau. Lewin ożenił się w Argenau z Żydówką Berthą Marcus. Z zachowanych w Bydgoszczy archiwów wynika, że para miała co najmniej czwórkę dzieci o imionach Salomon, Bertha, Taube i Adolf.

Syn Lewina, Salomon, przyszedł na świat w 1834 roku w Neu Grabin, na przedmieściach Thorn. Ożenił się trzy razy. O dwóch pierwszych żonach nic nie wiadomo. Trzecia nazywała się Mathilde Horn. Pochodziła z Lissy, również z Prowincji Poznańskiej. Kiedy dzieci pytały ją, skąd jest, mówiła: *Ich komme aus Lissa in Posen, da gehen die Gänse ohne Hosen*^[29].



Mój prapradziadek Lewin Peritz, *Schneidermeister*, czyli mistrz krawiecki z Thorn, który około 1850 roku przeprowadził się do Breslau. Lewin zmarł w 1898 roku

Pradziadek Moritz Durra urodził się w 1866 roku w Karlsmarkt, niewielkiej miejscowości pod Briegiem, w drodze do Oppeln. Karlsmarkt leżał na Śląsku, na południowy wschód od Breslau. Małżonka Moritza, Helene Ebstein, pochodziła z pobliskiej wioski Konstadt.

Prawie wszyscy Żydzi z Breslau mieszkali i pracowali w centrum. Życie było tam tanie. Choć władze miejskie w dziewiętnastym wieku przydały blasku i chwały poszerzającej się metropolii, gorączka rozbudowy ograniczyła się do prestiżowych budowli położonych poza średniowieczną starówką. Wzniesiono efektowne dworce, teatry i budynek opery. Rozebrano mury miejskie i wytyczono ocienione promenady.

Sercu miasta oszczędzono modernizacji. W gmatwaniu średniowiecznych

uliczek, zaułków i wewnętrznych placyków nadal gnieźdzono się w nędznych i niehigienicznych warunkach. Tam skupili się Żydzi. Na zapleczach i poddaszach, w warsztatach i suterenach roilo się od rzemieślników, geszefciarzy i komiwojażerów.

W 1868 roku Lewin i Salomon Peritz mieszkali na Karlstrasse 30. Obaj byli *Schneidermeister*. Książka adresowa Breslau z tego roku daje pełny obraz wszystkich mieszkańców. Pod numerem 30 na Karlstrasse, w kamienicy nazywanej Goldene Hirschel, Pod Żółtym Jelonkiem, mieszkali przede wszystkim Żydzi. Trzypiętrowy budynek składał się z kamienicy frontowej i oficyny. Parter od frontu zamieszkiwali handlarze Hamburger, Brühl i Juliusberger. Na pierwszym piętrze od frontu pracował Barabasch, stolarz. Obok niego mieszkał pan Pulvermacher, kupiec. Trzecie piętro zajmował Salomon Peritz. Pokoje obok należały do krawcowej Günther i szewca Winklera. Lewin Peritz mieszkał na samej górze oficyny. Rosenstern, także krawiec, ślusarz Süßmann i handlarz Lauterbach dotrzymywali mu towarzystwa. Pod nimi mieszkał złotnik Ehrlich, sklepikarz Simmel i Bornstein, nauczyciel w synagodze. Friedländer, czwarty krawiec w domu, zajmował tylny pokój na pierwszym piętrze, zaś Ebstein, szynkarz, mieszkał na parterze oficyny.



Moi pradziadkowie Salomon i Mathilde Peritzowie. Zdjęcie prawdopodobnie zrobione około 1880 roku

Goldenes Hirschel była żydowskim światem w miniaturze. Głosy, kłótnie, zapach gotowanej kapusty, wrzaski niemowląt. Wieczorami pochylone karki nad migającymi świecami, utyskiwania steranej matki, duszący gorąc w lecie, zimą kwaśna woń źle przewietrzonych pokoi. Walka o przetrwanie była zacięta. Książka adresowa zawiera w sumie aż sześć stron nazwisk samych krawców.

W odległości rzutu kamieniem leżała stara synagoga Unter dem weissen Storch, Pod Białym Bocianem, zamknięta pierścieniem kamienic czynszowych i tandetnych sklepików. Chociaż antysemityzm nigdy nie złapał zadyszki,

większość Żydów spoglądała w przyszłość z ufnością. Ich świat znajdował się w ciągłym ruchu. Swoją szansę wykorzystała również moja rodzina. Położyła podwaliny pod swój ekonomiczny rozwój oraz integrację społeczną. Regularnie się przeprowadzano. Meyer, najstarszy syn Salomona, w 1896 roku otworzył swoją praktykę lekarską. Można było nawet umówić się do niego telefonicznie. *Doktor medizinisch praktizierender Arzt* przyjmował w godzinach od ósmej do dziesiątej i od trzeciej do czwartej po południu. W tym czasie moi pradziadkowie Durra i Peritz mieszkali na Nikolaistrasse, ulicy z wysokimi kamienicami niedaleko głównego rynku. Nie oznaczało to szczytu elegancji i dobrobytu. Majętniejsi Żydzi już wtedy osiedlali się bardziej na południu, w kierunku na Schweidnitz, gdzie budowali wille przy szerokich bulwarach i wokół parków: wielcy przemysłowcy, jak Bielschowsky, Caro i Deutsch; bankierzy, Heimann i Pringsheim; profesorowie uniwersyteccy, jak Gustav Born, ojciec Maxa, laureata Nagrody Nobla w 1954 roku w dziedzinie fizyki teoretycznej; właściciele domów towarowych, jak Sachs, Toeplitz i Immerwahr; obszarnek Julius Schottländer i świetnie prosperujący kupcy, jak Siegfried Haber, ojciec Fritza, który w 1918 roku otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii.

Również i judaizm ewoluował. Jedni się nań nawracali, inni od niego odchodzili, większość rozwinęła nowoczesną wizję religii. Ścisłe zasady się poluzowały, obskurantyzm wygwizdano. Idee Herzla nie znajdowały wielkiego posłuchu. Syjonizm pasował do uciskanych i spauperyzowanych w sztetlach polskich i rosyjskich prowincji, zaś w Imperium Habsburgów stanowił pociechę dla przewrażliwionej inteligencji, która darła koty z antysemitycznym burmistrzem Wiednia Luegerem. W Niemczech nie było mowy o niezadowoleniu. I co z tego, że Żydom nie wolno było robić kariery w wojsku lub zajmować wysokich stanowisk urzędniczych? Nie można mieć przecież wszystkiego jednocześnie, prawda?

Proces akulturacji i asymilacji przebiegał często w różnym tempie, również u moich pradziadków. Salomon Peritz pozostał wierny konserwatywnej synagodze Pod Białym Bocianem przy Wallstrasse. Zajmował w niej miejsce numer jeden. Moritz Durra chadzał na liberalne nabożeństwa do Neue Synagoge am Anger, Nowej Synagogi na wygonie – monumentalnego gmachu w neoromańskim stylu, z wieżami, rozetami i imponującą środkową kopułą. Jej architekt, Edwin Oppler, wykorzystując w konstrukcji romańskie elementy, chciał uzmysłwić Żydom, że są raczej europejskim niż egzotycznym narodem. Oppler wiedział, że Żydzi wykorzystywali ten styl już w średniowieczu w Nadrenii. Stanowił ładny dowód na ich niemieckie korzenie.

W 1906 roku Wilhelm II zaszczycił Breslau wizytą państwową. Trasę cesarskiego przejazdu ozdobiły flagi, kwiaty i łuki triumfalne. Nigdy wcześniej miasto nie widziało równie kolorowego spektaklu. Orkiestry dęte, konie i karoce, czaka, lance i pikielhauby. Pomiędzy rzędami ściśniętych widzów stali także moi

pradziadkowie z dziećmi. Tego dnia padało. Ulice lśniły, końskie kopyta się ślizgały. Dla Żydów w Breslau i Niemiec świeciło tego dnia słońce. Pod panowaniem Wilhelma II aura zdawała się być zawsze piękna, promienna; *Kaiserwetter*, iście cesarska pogoda. Po raz pierwszy Żydzi zdobyli równe pozostałym obywatelom prawa cywilne. Ilu z nich wtedy pomyślało, że minęły czasy prześladowań i wydaleń? Ilu musiało być przekonanych, że Niemcy na wieczność pozostaną ich ojczyzną? Salomon Peritz i Moritz Durra wiwatowali i machali swoimi cylindrami w stronę cesarskiego orszaku. Jak przystało dobrym Niemcom.

– Nonsens – wykrzyknął oburzony kuzyn Wolfgang. – Żydzi nigdy nie pozostawali długo w jednym miejscu! W naszym wyjeździe z Niemiec nie było nic nadzwyczajnego.

Po lunchu ruszyliśmy na spacer i chciałem przekonać Wolfganga do mojej teorii, iż Żydzi pod panowaniem Wilhelma II byli pewni, że nigdy nie będą musieć zwijać manatków z Niemiec.

Koło południa, po ekscytującej podróży autobusem przez góry, dojechaliliśmy do Coroico. El Viejo Molino dysponował wszystkim, co mógł sobie tylko wymarzyć rozpieszczony turysta: basenem, leżakami, aperitifami i koktajlami oraz nieporównanym widokiem na *Las Yungas*, subtropikalną okolicę u stóp Andów. Po drodze nie potrafiłem powstrzymać swego zachwytu dla pejzażu. Wolfgang pałał dumą. Sam już kilkakrotnie spędził urlop w Coroico. Mimo to pod wpływem moich entuzjastycznych komentarzy zdawał się spoglądać na otoczenie nowymi oczyma, gdyż podczas trwającego trzy i pół godziny przejazdu ani razu nie zasnął. Trasa z La Paz do Coroico jest jedną z najładniejszych, ale jednocześnie najbardziej przerażających na świecie. Wąska, kręta droga wiję się wzdłuż głębokich na tysiąc metrów dolin i gęsto porośniętych zboczy gór. Ponieważ stanowi jedyne połączenie między stolicą a wschodem kraju, panuje na niej duży ruch, a ciężarówki i autobusy muszą często ustępować sobie drogi, zbacając aż na sam skraj usianego kamyczkami piaszczystego pobocza. Kierowca otwiera wtedy drzwi i kieruje kolosa na odległość do jednego centymetra od czeluści, gdzie pojazd czeka, drgając i ziejąc, aż miną go, nadjeżdżając z naprzeciwiaka.

Co do hotelu, Wolfgang był w siódmym niebie. Najchętniej zostałby w nim przez tydzień. Natychmiast wskoczył do basenu. Następnie zamówił *campari* ze świeżo wyciśniętym sokiem z pomarańczy i zjedliśmy *pejerrey*, łososiowatą rybę z jeziora Titicaca, i papaję z lokalnym miodem. Po sjeście odbyliśmy spacer po wiosce, posuwając się ścieżką wzdłuż drzew bananowych i krzewów kawy.

Wolfgang nie mógł zrozumieć, że jestem tak naiwny.

– Kto zna historię Europy, wie, że Żydzi zawsze z przymusu ruszali na poszukiwanie lepszego życia – powiedział. – I właśnie dlatego, że często musieli się przeprowadzać, nigdzie nie czuli się u siebie. Jeśli każde nowe miejsce

przeznaczenia okazuje się tymczasowym miejscem pobytu, nie da się uniknąć wiecznych wątpliwości.

Była to długa, dziwaczna rozmowa. Długa, ponieważ wędrówka trwała całe popołudnie, a dziwaczna, ponieważ co rusz przerywałem rozmowę, by z dzieciinną wylewnością zwracać uwagę Wolfgangowi na cuda natury. Koliber, który śmigał z kwiatka na kwiatek, drzewa grejpfrutowe i mandarynkowe, przelot cytrynowożółtych papug, które protestująco przemykały przez listowie, widok na zaśnieżone szczyty, piętnastometrowa szarżująca kolumna mrówek. Mój daleki kuzyn czerpał ogromną frajdę z mojego podziwu dla tylu cudów. Widział, że Boliwia mnie sobą oczarowuje.

Jednocześnie nie przedstawialiśmy poruszać poważnych tematów. Zapatrywania Wolfganga na tułaczki Żydów nie mogły mnie przekonać. Czy poniewierki Żydów nie kończyły się samoistnie, kiedy ci okazywali się mile widzianymi w danym kraju gośćmi? I czy Cesarstwo Niemieckie nie było tego najlepszym przykładem? Nigdy wcześniej obywatele nie ogłaszali z takim optymizmem nowego wieku. Niemcy stały się potęgą przemysłową. W interesie burżuazji było usunięcie rasowych i religijnych kości niezgody. Nacjonalizm prowadził do ulotnienia się wzajemnych podziałów. Żydzi w pierwszym rządzie czuli się Niemcami, a dopiero potem Żydami.

– Co okazało się kolejną iluzją – podsumował gorzko Wolfgang.

– Nie zmienia to faktu – odparowałem – że niemieccy Żydzi w 1900 roku żywili co do swej ojczyzny najwyższe oczekiwania.

Mój kuzyn zignorował tę uwagę.

– Przyjrzyj się Żydom w tym kraju – podjął. – W 1940 roku było nas dziewięć tysięcy, teraz zostało nas dwa tysiące. Ludzie zawsze szukają lepszych warunków życia. Również i ja próbowałem szczęścia gdzie indziej. W 1948 roku przystąpiłem do ruchu syjonistycznego. Chciałem się przenieść do Izraela. Tymczasem jako dziecko nie mogłem przecież marzyć o lepszym miejscu niż Boliwia. Należałem do skautów i przemierzaliśmy cały kraj. Tropikalne kwiaty i rośliny, eskapady w Andach, pływanie z przyjaciółmi w górskich jeziorach. Lata wojny były najszcześniejszymi w moim życiu. Aż do osiągnięcia czternastego roku życia, kiedy opuściłem szkołę i znalazłem pracę. Wtedy poznałem drugą stronę Boliwii. Biedę i zacofanie, beznadzieję. Z początku pracowałem jako mechanik samochodowy, niestety u Boliwijczyków. Niczego mnie nie nauczyli. Izrael był moją furtką, ale rodzice nie uznali tego za dobry pomysł. Byłem ich jedynym synem. Matka wybiła mi to z głowy.

– Żałujesz, że nie wyemigrowałeś do Izraela? – zapytałem.

– Zostałem, bo sam nie za dobrze wiedziałem, czego chcę. Możesz uznać to za uzalanie się nad sobą, ale młodym emigrantom trudno było się tutaj odnaleźć. Edukacja była poniżej normy, a nasi rodzice nie mieli dla nas czasu. Gdy jesteś

dzieckiem, wydaje ci się, że nie ma nic lepszego. Ale potem...

Przy ścieżce, za stosem mandarynek na płótnie, siedziała po turecku dziewczyna. Jak długo już tam tkwiła? Za wioską nikogo nie spotkaliśmy, a między sadami a plantacjami można było dostrzec tylko garstkę domów. Każdy zdawał się posiadać tu drzewa mandarynkowe. To było dziwaczne miejsce na straganik.

– Wyglądają na dojrzałe – powiedział Wolfgang i kupił kilogram.

Wyrzucając skórki i plując pestkami, podążaliśmy naszą drogą. Owoce były cudownie słodkie i soczyste.

Mój daleki kuzyn zawsze był wybredny przy kupowaniu jedzenia. Na rynku w La Paz najpierw wszystko obmacywał i wachał każdy owoc, który zamierzał kupić. Przedwczoraj pokazał mi pewnie ze dwadzieścia zdjęć wystaw sklepowych wypełnionych frykasami. Zrobił je w centrach handlowych w Berlinie. Lady pełne wędlin i kielbas, dziesiątków serów, pasztetów rybnych i rodzajów łososia. Wystawy przepychu Europy. W 1994 roku odbył podróż do niemieckiej stolicy na zaproszenie burmistrza Berlina. Ten zaprosił na tydzień wszystkich Żydów z dawnej stolicy Rzeszy. Podróż, hotel, wyżywienie – wszystko było za darmo. Jak przychodzi do *Wiedergutmachung*, reparacji wojennych, Niemcy wykazują się gestem. Właściwie na imprezę zaproszono Toni, żonę Wolfganga, bo to ona była berlinianką, a nie jej mąż, na szczęście jednak dla Niemców Żyd to Żyd, Wolfgang mógł więc pojechać zamiast niej. Mój daleki kuzyn miał również zdjęcia z oficjalnego przyjęcia, wycieczki po mieście i wizyty w odbudowanej synagodze, jednak opowieściom o kielbasie pasztetowej i wędzonym łososiu nie było końca.

– Nigdzie indziej nie widziałem takich smakołyków – opowiadał podekscytowany. – Nawet w Stanach!

Również i teraz chętnie wspominał biesiady. Po wojnie trafił do Argentyny bez dokumentów i razem z przyjacielem przez trzy lata pracował w Buenos Aires. Niewiele dowiedziałem się o jego zajęciach w warsztacie samochodowym i przy dekoracji sklepów. Sporo jednak o gigantycznych befsztykach i grillach.

Wieczorem w hotelu podano zupę jarzynową, omlet z frytkami i brzoskwinie z puszki. Na omlecie kucharz wypisał ketchupem ozdobne litery HVM. Kelner zwrócił nam na nie uwagę.

– Hotel Viejo Molino – wyjaśnił dumny jak paw. Nie potrafiłem powstrzymać śmiechu. Kelner się zmieszał.

Po kolacji piliśmy kawę na tarasie. Łagodny wiatr przynosił z nocy słodką woń pachnących kwiatów i przejrzałych owoców. Nie bzyczał ani jeden komar. La Paz znajdowało się o galaktyki stąd. Wolfgang relacjonował swoją młodość w Breslau, a po kieliszku koniaku opowiedział dwa żydowskie kawały. Więcej nie znał, przyznał.

Od dziesięciu dni przebywałem w towarzystwie swojego dalekiego kuzyna.

W Coroico stał się zupełnie innym człowiekiem. La Paz go dławiło. Sprawiał w nim wrażenie skostniałego, nieuprzejmego, zatopionego w myślach, zatroskanego. Tylko snucie wspomnień na chwilę odsuwało przygnębienie. Na spacerze rzucił bezwiednie, że do Argentyny przedostał się nielegalnie. Choć przekroczenie chyłkiem granicy w Ameryce Południowej nie było czynem zagrażającym życiu, wymagało jednak odwagi. Mój podziw dla jego męstwa jeszcze wzrósł, kiedy opisał pewien incydent na ulicy Breslau.

Wraz z kolegą wracał po szkole do domu. Trzech starszych chłopców krzyknęło do nich z drugiej strony ulicy: *Das sind Juden!* [To Żydzi!] Jeden z wyrostków rzucił się na nich. Wolfgang od razu go przewrócił na ziemię i obezwładnił. Pozostałych dwóch uciekło. *Der Jude ist zu stark* [Żyd jest za silny] – odparował Wolfgang swojej ofierze i ją puścił. W oczach mojego dalekiego kuzyna wciąż dostrzec można było błysk triumfu i satysfakcji. Był o głowę niższy od agresora! A do pleców wciąż miał przytroczony tornister!

Wieczorem chłopiec zrelacjonował zdarzenie ojcu. Ten był zbulwersowany.

– *Du lässt mich noch einsperren*^[30] – lamentował. – A jak myślisz, czemu kupiliśmy ci abonament tramwajowy? Żebyś wracał ze szkoły na pieszo?

Reakcja Maxa na to nękanie po części tłumaczy, dlaczego codzienne przejawy antysemityzmu tak słabo rzucały się w oczy. Rodzice chronili przed nimi swoje dzieci, w ten sposób tuszując fakty. Ojciec Wolfganga się zezłościł, ponieważ syn zburzył iluzję normalności. Było normalne, że niemieccy chłopcy napadają na żydowskich. To, że Żydzi się bronią, już nie. Prawdopodobnie obaj, ojciec i syn, kierowali się instynktem samozachowawczym, podczas gdy jednak dziecko nie pozwoliło sobie wleźć na głowę, dorosły był gotowy pogodzić się z sytuacją. Max reagował tak samo jak Żydzi już od wieków w czasie burz. Chowali się, licząc na to, że wichura się uspokoi.

Tego wieczoru w Coroico odczuwałem większą bliskość z Wolfgangiem niż kiedykolwiek dotąd. Bezsilność i zrezygnowanie dorosłych nie zapanowały nad chłopcem. Wzruszył mnie opór małego Wolfganga. Również inne anegdoty świadczyły o jego wrażliwości i wyczuleniu na sprawiedliwość. Kiedyś wyruszył z Helene, swoją babcią, na wycieczkę w Riesengebirge, Karkonosze. Owo pasmo górskie tworzyło granicę między Śląskiem a czechosłowackim Krajem Sudeckim i stanowiło ulubiony region wypoczynkowy breslauczyków. Wnuczek z babcią przyjechali pociągiem do Krummhübel i zgłosili się do pensjonatu.

– *Sind sie Juden?* – zapytała właścicielka. – Jesteście Żydami?

– Tak – odpowiedziała babcia Wolfganga.

– *Dann kann ich sie leider nicht empfangen*^[31] – odparła właścicielka.

Wolfgang po raz pierwszy zobaczył wtedy swoją babcię płaczącą. On sam nie panował nad sobą z wściekłości. Natychmiast wsiedli do powrotnego pociągu.

Innym razem zapytał kogoś, która jest godzina. „Żydowi nie odpowiem” –

odparował mężczyzna.

– Takie coś na zawsze pozostaje w pamięci – powiedział Wolfgang.

Niewiele zobaczyłem z drogi powrotnej do La Paz. Między górami zgromadziły się deszczowe chmury, a droga zmieniła w zjeżdżalnię błota. Z początku próbowałem spać, ale ryczący silnik i świdrujące popiskiwanie hamulców autobusu nie pozwalały mi zasnąć. Lepiej było mieć oczy szeroko otwarte, gdybyśmy mieli wpaść w poślizg i na zawsze zniknąć wśród warstw mgły w wąwozie. Inni pasażerowie jedli mandarynki i popijali wodę mineralną z plastikowych butelek. Wolfgang spał.

Nazajutrz pojechałem z nim na cmentarz Beit Olam. Byłem tam turystą. Nie potrafiłem dzielić z kimś swego smutku. Przy wejściu na cmentarz zatrzymaliśmy się najpierw przy marmurowym pomniku ku pamięci sześciu milionów żydowskich ofiar Holocaustu. Na ścianie wisiały tabliczki pamiątkowe z nazwiskami zgładzonych członków rodzin. Następnie przeszliśmy wzdłuż grobów rodzinnych, zatrzymując się w ciszy przed nagrobkami. Wolfgang powiedział, że jego syn płaci ogrodnikowi za utrzymanie grobów. A co w takim razie z grobem mojej babci?

Przy jej mogile celowo wyrwałem parę chwastów. Wolfgang nie zareagował.

– Tak długo, jak zdrowie *Mutti* jej na to pozwalało, przychodziła tutaj co tydzień – zauważył.

Po tym, jak mój kuzyn wyruszył do sklepu, usiadłem w kawiarni, by popracować nad swoim dziennikiem. Na ścianach wisiały stare, sepiowe zdjęcia przedstawiające La Paz. Pierwszy automobil w mieście. Wiwatujący tłum przed pałacem prezydenckim na Plaza Murillo. Indianie z ciężko objuczonymi mułami. Pociąg parowy na peronie. Plakat zachęcający Boliwijczyków do zapisywania się na podróż do maryjnych miejsc pielgrzymkowych w Europie i do Ziemi Świętej. *¡Haga realidad el sueño de su vida!* „Niech marzenie twego życia stanie się rzeczywistością!”.

W tej pustej kawiarni pożegnanie się ze swoją babcią wydało mi się ciężkim zadaniem. Mój pobyt w Boliwii dobiegał końca. Jeszcze jeden dzień, a wspomnienia tej podróży zawisną obok obrazków na ścianie. Wolfgang z papierosem. Edith na krześle w plamie słońca. Cmentarz z widokiem na miasto. Tuż przed wyjazdem ciężko mi było się pogodzić z przemijalnością rzeczy.

Do kawiarni weszło dwóch zagadanych Boliwijczyków w podeszłym wieku i zamówiło gorącą czekoladę z grzankami. Jeden z mężczyzn rozłożył płachtę gazety i zaczął analizować rachuby meczu z Wenezuelą. Jego przyjaciel maczał chleb w czekoladzie, od czasu do czasu wydając aprobujące pomruki. Boliwia także miała marzenie. Jej drużyna piłkarska chciała dotrzeć do finału pucharu świata we Francji. Wystarczyło tylko osiem razy zwyciężyć, a marzenie stałoby się rzeczywistością.

Moim marzeniem było zatrzymać czas i by wszyscy, na których mi zależało,

na zawsze pozostali żywi. Kiedy znów znalazłem się na zewnątrz, ta niebezpieczna myśl momentalnie mnie opuściła, jakby kawiarnia znajdowała się w wymiarze, w którym melancholia odbiera człowiekowi nadzieję i resztki rozumu. Zanim ruszyłem w dalszą drogę, pozwoliłem się otulić lodowatemu powietrzu wieczoru, co na dobre rozwiało urok.

Bulwary w centrum miasta opanowała gorączka futbolowa. Z przejeżdżających na klaksonie samochodów i autobusów powiewały boliwijskie flagi. Większość kierowców miała przyklejone do tylnej szyby tytuły gazet. *Bolivia te queremos ganadora. Todos con la selección boliviana, por que son todos Bolivianos*^[32]. Spod pomnika konnego Simona Bolívara na Plaza del Estudiante aż do Prado ciągnęła gęsta masa, torując sobie drogę między dziesiątkami sprzedawców zielono-żółto-czerwonych proporczyków, czapek i gwizdków. Futbol wybudził mieszkańców z apatii. Przed kościołem franciszkanów wokół orkiestry dętej zgromadziły się setki Ajmarów i tańczyły do surowych dźwięków skrzydłówek i trąbek. Przyodziani w czarne garnitury mężczyźni poruszali się drgającym krokiem tanecznym i niewysoko unosili ramiona, podczas gdy spowite w wiele warstw kolorowych spódnic kobiety w melonikach i szerokich szalach ospale poruszały swoimi tyłkami. Indianie mieli oblicza równie pozbawione emocji co mieszkańcy Altiplano. Wysokie kości policzkowe i szerokie, płaskie twarze nadawały im ascetyczny i smętny wyraz. „Ajmara są bardzo pruderyjni” – opowiadał Gerd Phillipsborn. Staliśmy wtedy w pobliżu Huatajata na wietrznym klifie. W dole – bezmierne, granatowe jezioro Titicaca. Na horyzoncie – pierścień oprószonych na białe szczytów Cordillera Real. To przerażające piękno musiało mieć surowych i karzących bogów. Muzyka była równie przenikliwa co klimat; taniec bardziej przypominał rozwlekły balet. Cztery wieki kolonizacji wodą święconą i pałką nie wypędziły mrukliwych bogów z ich złowrogich gór.

Wolfgang zresztą zrezygnował z wycieczki nad jezioro. Noc poprzedzającą wyjazd spędził u swojej przyjaciółki, a następnego dnia rano przez telefon poinformował mnie, że lepiej będzie, jak pojedę sam z Phillipsbornami.

– Dziwny gość z tego naszego Wolfganga – stwierdził Gerd Phillipsborn, kręcąc głową.

W wieczór meczu piłkarskiego z Wenezuelą po raz ostatni udałem się z moim kuzynem do Edith. Boliwia pokonała przeciwnika sześć do jednego. Aleje w centrum miasta były zatłkane. Miasto opanowały tysiące kibiców trąbiących klaksonami, powiewających flagami i gwizdzących. Indianie bratali się z potomkami Hiszpanów. *Son todos Bolivianos*. Żadnym sposobem nie dało się precyzyjnie. Wolfgang zachował spokój i ostrożnie przedzierał się przez rozszalałą cizbę.

Dotarliśmy do mojej ciotecznej babki, gdy ta szykowała się do spania. Nasza

wizyta trwała krótko.

– *Kommst du noch wieder, Jossele?*^[33] – zapytała.

– *Selbstverständlich*^[34] – skłamałem.

Pocałowaliśmy się i uścisnęliśmy. W oczach pokazały mi się łzy. Wolfgang wyszedł z pokoju, w którym stał kufer.

– Znalazłem te listy – oznajmił po prostu. – Weź je ze sobą.

Tej nocy dokuczał mi żołądek. Często się budziłem, gdy żółć podchodziła mi do gardła. Obok mnie, na szafce nocnej, leżała paczuszka listów. Przed pójściem spać posortowałem je chronologicznie. Najstarszy opatrzone datą 27 grudnia 1892 roku. Większość została wysłana przez babcię lub do niej: przez mojego ojca, jej bratanków i brata, przyjaciół z Izraela. Niewiele listów napisano na maszynie. Te odręczne ciężko było rozszyfrować. W pakieciku znajdowało się sporo korespondencji już z okresu po samobójstwie babci. Kopie listów Edith do jej brata Ericha w Australii. Jeden list do moich rodziców w Belgii. Ani śladu kopii listów, których ojciec nie chciał mi dać.

Następnego ranka nie miałem ochoty na śniadanie. Wolfgang wyruszył do swego sklepu, ja się znowu położyłem. Nudności przeszły, ale ciągle byłem zmęczony po burzliwej nocy. Godzinę później zapukano do drzwi mojej sypialni. Do środka wszedł mężczyzna w okularach o czarnych oprawkach i z wąsikiem Zorro. Podał mi dłoń i przedstawił się.

– *Doctor Portugal.*

Wolfgang do niego zadzwonił i powiedział mu, że jestem chory. Lekarz osłuchał mnie i poświecił lampką w oczy.

– Pił pan wodę z kranu? – zapytał.

– Nie – odparłem. – Ale myłem nią zęby.

– Ma pan trochę za żółte obwódki wokół oczu. To może być żółtaczka.

Przepisał mi lekarstwo i oznajmił, że należność za wizytę wynosi sto pięćdziesiąt boliwarów. Kiedy mu zapłaciłem, uścisnął mi z namaszczaniem dłoń i popatrzył prosto w oczy.

– Proszę się nie martwić – powiedział. – Prawdopodobnie nic panu nie jest.

W oczekiwaniu na przerwę na lunch i powrót kuzyna snułem się po mieszkaniu. Włączyłem radio, wyjrzałem na zewnątrz, przejrzałem albumy rodzinne i pobuszowałem w biblioteczkę.

Właściwie było to tylko kilka półek wypełnionych głównie hiszpańskimi powieściami, ale stał tam również egzemplarz *Gruppenbild mit Dame*, czyli *Portret grupowy z damą* Bölla, oraz *Heimkehr. Reisen in die Vergangenheit* Waltera Laqueura, podobnie jak Wolfgang breslauczyka. Prawdziwy pisarz, Żyd, emigrant tuż po wojnie odwiedzający swoje rodzinne miasto! Musiałem mieć tę książkę. Jeśli Wolfgang nie będzie chciał mi jej dać, dziś jeszcze ją sobie skseruję.

Mój kuzyn wrócił do domu ze złymi wiadomościami.

– Lotniska strajkują – oznajmił. – Wszystkie. La Paz, Cochabamba, Santa Cruz de la Sierra.

Dlaczego hiobowymi wieściami ludzie dzielą się z taką skwapliwością? Nazajutrz miałem samolot do Buenos Aires. Jeśli nie złapię tego lotu, zostanę tutaj uziemiony na cały tydzień. Przestraszyłem się. Może to pułapka? Miałem dość La Paz, dość zgryzot i depresji Wolfganga.

– Za chwilę zadzwonię na lotnisko – pocieszył mnie.

O siódmej godzinie po raz ostatni wyruszyliśmy do Mickeya. Salon był pełen ludzi. Wokoło biegały dzieci i z piskiem podbijały kolorowe balony w powietrze. W telewizji Jerry grzmocił Toma młotkiem. Mała Nicole obchodziła swoje czwarte urodziny. Powinienem kupić prezent! Usprawiedliwiłem się przed Mickeyem i Gabrielle.



mój dziadek, około 1895 roku

Bertha, Rudolf i Felix Peritz,

– Nic nie szkodzi – zapewnił mnie Mickey. Jego żona uśmiechnęła się smętnie.

– Czemu nic mi nie powiedziałeś? – syknąłem do ucha mojego kuzyna. – Powinienem przynieść prezent.

– Nicole ma za dużo zabawek – odparł Wolfgang.

Dopiero wtedy dostrzegłem Edith. W tym zamęcie w ogóle jej nie zauważyłem. Przedstawiono mnie gościom: pani Goldstein, państwu

Phillipsbornom juniorom, pani Naftaniel. Panował ogólny chaos. Jedliśmy hot-dogi i grzanki. Dzieci zachowywały się hałaśliwie. Dorośli się przekrzykiwali. Telewizja jazgotała.

Podniosłem się jak szybko to możliwe i przysiadłem do mojej ciotecznej babci. Ubrana była w ładną beżową garsonkę z alpaki i długi, gruby brązowy płaszcz zimowy. Włosy miała ułożone w loki. Ująłem jej dłoń w swoją. Zapytała, czy na zewnątrz jest zimno.

Towarzystwo wstało od stołu. Zebrano dzieci, by odpakować prezenty. Od swoich przyjaciół Nicole dostała lalki. Jedną nawet mówiącą.

– Ładna, prawda? – zwróciła się do niej jej mama.

Nicole nie odpowiedziała i odłożyła lalkę do pudełka. Jej dziadek podarował jej trójkołowy rower z migającym światełkiem, którym można było trąbić i wygrywać melodyjki.

– Powiedz Mickeyowi, żeby na siódmą zamówił mi taksówkę – poprosiła mnie Edith.

– Poczekam jeszcze – odpowiedział mi jej wnuk. – I tak nie wie, która jest godzina.

Po wyjściu gości zapytałem, czy mogę zrobić zdjęcie. Tym razem Edith się zgodziła. Mickey chciał, żebym również znalazł się na zdjęciu. Nie bardzo mi się to uśmiechało.

– Nie wiem, jak działa samowyzwalacz – chciałem się wykręcić.

– Ale ja tak – odpowiedział Mickey.

Musiał go nacisnąć aż trzy razy, bo Nicole na kolanach mamy za bardzo się wierciła. O godzinie ósmej przyjechała taksówka.

– Kiedy znowu cię zobaczę, Jossele? – zapytała moja cioteczna babcia.

– Wkrótce, *meine liebe Tante*, już wkrótce.

– *Bitte*, pozdrów ode mnie kochanego Wenera.

Nazajutrz rano wieści na temat linii lotniczych okazały się pocieszające. Strajk się skończył. Wojsko zajęło lotniska i nakazało personelowi przystąpić do pracy.

Siedziałem z Wolfgangiem w barze na piętrze, pijąc kawę i czekając na Mickeya. Poprzedniego wieczoru obiecał, że przyjedzie na lotnisko się pożegnać. Mój daleki kuzyn wdał się w rozmowę z argentyńskim parlamentarzystą, który usiadł obok nas. Rozmowa przybrała tak poważny obrót, że człowiek ten bezwiednie zapłacił za nasze napoje. Na godzinę przed odlotem nerwy prawie mi puściły. Mickeya jak nie było, tak nie było.

– Zapytam w informacji, czy mój samolot faktycznie wylatuje o pół do pierwszej – oznajmiłem zdenerwowany.

– Jak nie wyleci o czasie, to na pewno będzie mieć opóźnienie – odparł Wolfgang.

– A jak będzie wcześniej? – upierałem się.

– Niemożliwe – próbował mnie uspokoić.

Pomimo jego protestów pobiegłem do informacji.

– Lot 312 do Buenos Aires? O dwunastej dziesięć – oznajmił mi uprzejmy pracownik.

Wróciłem biegiem do Wolfgang.

– Muszę się natychmiast zbierać – zawołałem. – Mój lot został przyspieszony o pół godziny.

– Dlaczego tak się niecierpliwisz? – zapytał mój kuzyn z roztargnieniem.

Na dole czekał jego syn. Uścisnąłem go oraz jego ojca i wylewnie podziękowałem za ich gościnność.

– Cieszę się, że przyjechałem do Boliwii – powiedziałem. Wolfgang się uśmiechał. Miał trudności z powstrzymaniem łez.

Samolot sunął na pas startowy. Odprowadzały go biegiem dwa psy i uciekły dopiero wtedy w rdzawą trawę, gdy maszyna z wyciem motorów zaczęła przygotowywać się do startu. Kiedy boeing skręcał na wschód, a przed moimi oczyma przesuwało się jałowe Altiplano, jak film w zwolnionym tempie ujrzałem swoją babcię wyglądającą przez okienko swojego samolotu. Za chwilę miała wylądować w La Paz i tak jak ja spoglądała na ten zapomniany przez Boga krajobraz, który rozciągał się od horyzontu po horyzont.

Pokój w Hubertusburgu^[35] z 1763 roku obszedł się łagodnie z Prusami. Fryderyk II Wielki mógł zatrzymać Śląsk, chociaż jego koniec zbliżał się wielkimi krokami. Rosjanie stali pod Berlinem, a Brytyjczycy zaprzestali finansowania pruskich kampanii wojennych. Wtedy to wydarzył się cud. Caryca Elżbieta zmarła i nieoczekiwanie Rosja zawarła zawieszenie broni. Breslau i Śląsk zostały oficjalnie wcielone do Prus. Dla Hohenzollernów był to kolejny z rzędu sukces w triumfalnym pochodzie, który w 1871 roku miał im przynieść koronę cesarską zjednoczonych Niemiec.

W 1772 roku Gniewkowo stało się pruskie i od tej pory nosiło nazwę Argenau. Od tej pory dopiero zaczęli się w nim osiedlać Żydzi. W 1808 roku miejscowość zamieszkiwało osiem żydowskich rodzin. Jedną z nich byli przodkowie Peritzów. Pokolenie później żyło w niej już stu dwudziestu pięciu Żydów i stanowili oni czternaście procent społeczeństwa. Ich liczba miała potem spaść. Ze względu na kryzys ekonomiczny, jaki w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku dotknął Niemcy, a zwłaszcza ich wschodnie obszary, wielu Żydów opuściło wieś. Depresja dała im się tak dotkliwie we znaki, że chłopci i robotnicy na Śląsku chwycili za broń, a w miastach zjadano koty i konie.

W 1919 roku w Argenau ostał się ledwie jeden procent Żydów. Po Wielkiej Wojnie miejscowość na nowo stała się polska, a wielu Żydów wybrało przeprowadzkę na zachód, by wciąż mieszkać w Niemczech.

Po 1772 roku nowi panowie szybko i skutecznie skolonizowali słowiańską i żydowską ludność. Czy to rodzice mojego prapradziada Lewina przemianowali się z „Peretz” na „Peritz”? Czy moja rodzina dostrzegła, że niemiecko brzmiące nazwisko otworzy jej drzwi do dobrobytu? Czy może jakiś nadgorliwy urzędnik zobowiązał ich do zmiany nazwiska? Mogli trafić gorzej. Nieco dalej na wschód, w Warszawie, niemiecki pisarz E.T.A. Hoffmann, przez krótki okres pełniący obowiązki głównego administratora regionu, wykorzystywał swoją ponadprzeciętną wyobraźnię i antysemityzm do wymyślania najdziwaczniejszych nazwisk swoim żydowskim poddanym: Eselskopf (ośła głowa), Goldlust (żądny złota), Fresser (żarłok), Küssemich (pocałuj mnie), Geldschrank (kufer złota), Butterfass (maselnica), Wohlgeruch (smakowity zapach), Elephant (słoń), Grabscheid (szpadel).

Lewin i jego syn Salomon byli krawcami. „Mistrzami krawieckimi” – poprawiał mnie ojciec. – Na Schneidermeistra trzeba się było uczyć. Otrzymywało się dyplom. Zwykły krawiec nie mógł posługiwać się takim tytułem”.

Prawdopodobnie moi przodkowie przeprowadzili się do Prus, by uciec od nędzy egzystencji w Polsce. Co jakiś czas doświadczali tam wybuchów nienawiści wobec Żydów i padali ofiarą rabunków i mordów. Większość Żydów mówiła tylko

w jidysz. Z Polakami stykali się tylko na targu albo kiedy w ratuszu musieli zarejestrować narodziny lub śmierć.

„Działo się w Mieście Zduńskiej Woli Dnia piątego na Siedemnasty Kwietnia Tysiąc Osiemset Pięćdziesiątego Drugiego roku o godzinie dziewiątej z rana Stawił się Starozakonny Izrael Rosenthal, Wyrobnik Lat Czterdzieści dwa liczący, w Mieście Zduńskiej Woli zamieszkały, tudzież w obecności Świadków Starozakonnych Mojżesza Laskier Szkolnika lat Sześćdziesiąt Cztery, i Kiseną Król Śpiewaka, lat Pięćdziesiąt Osiem liczących, obydwóch w Mieście tutejszym zamieszkałych, i okazał nam dziecko Płci Męskiej urodzone tu w Zduńskiej Woli w Dniu wczorajszym o godzinie trzeciej po południu, z Niego i Jego Małżonki Starozakonnej Heredii Rozenthal lat trzydzieści dwa liczącej, któremu przy obrzezaniu nadane zostały Jimiona Hersz Josef. Akt ten Stawiającemu i Świadkom przeczytany, i Nami i Świadkami podpisany został, gdyż Ojciec pisać nie umie”.

Oto akt urodzenia Hersza Josefa Rosenthala. Urodził się 16 kwietnia 1852 roku w Zduńskiej Woli. Owo miasteczko między Kaliszem a Łodzią wchodziło w skład tak zwanego Królestwa Polskiego, które w rzeczywistości stanowiło jednak prowincję Imperium Rosyjskiego. Zza oficjalnej terminologii aktu przebija obraz niepodlegającego zmianom życia żydowskiej społeczności w Polsce. Ojciec Hersza Josefa z pewnością nie był jedynym analfabetą. Chociaż był rzemieślnikiem, umiejętność zaksięgowania sprzedaży czy podpisania umów nie miała dla niego znaczenia. Priorytetem w polskim sztetlu było mieć co włożyć do garnka i posiadać dach nad głową. Krawcy i druciarze, szewcy i nosiwody sprzedawali swój towar członkom rodziny, znajomym i sąsiadom. Często musieli odwoływać się do solidarności swoich współwyznawców. Drobny handel radził sobie jako tako, dostosowując się do kaprysów władzy lokalnej i klienteli na rynku. Dobrobyt rósł i malał sezonowo. Poza granicą wioski na pewno powodziło się ludziom lepiej, ale któż miał odwagę szukać szczęścia gdzie indziej?

„Od epoki karolińskiej tylko Żydzi zajmowali się nieprzerwanie handlem, tak iż *Judaeus* i *mercator* stanowią wyrażenia niemal synonimiczne” – pisał Henri Pirenne.

Belgijski historyk miał tutaj w pierwszym rzędzie na myśli zamożnych kupców średniowiecznych, którzy odgrywali ważną rolę w obrocie towarami i na rynkach finansowych od Włoch po Chiny. Prowadzenie handlu w Zduńskiej Woli stanowiło dla Żydów ostatnią deskę ratunku. W świecie beznadziei i zrezygnowania kwitła tradycyjna wiara. Przeszło sześćset zasad rytualnych zarówno przynosiło pocieszenie, jak i odwracało uwagę od niedoli. Pobożność pomagała znosić przeciwności losu. Nakazy i zakazy przeprowadzały człowieka pewną ręką ponad urwiskiem życia.

Mojżesz Laskier i Kisen Król byli świadkami przy rejestrowaniu narodzin Hersza Josefa. Jeden był nauczycielem, drugi śpiewakiem. Prawdopodobnie

urzędnik stanu cywilnego miał na myśli *rebe* (nauczyciela w chederze) i *chazana* (intonującego pieśni w synagodze, czyli kantora). Któż inny wśród Żydów potrafiłby pisać i czytać po polsku?

Hersz Josef pod nazwiskiem Hermanna Josefa zdobył później sławę jako *Oberkantor*, nadkantor w synagodze Pod Białym Bocianem. Wcześniej osierocony, dogłębne wykształcenie w zakresie znajomości Talmudu otrzymał u rodziny w Grabowie. Ponieważ miał silny i miły dla ucha baryton, postanowił zostać śpiewakiem w synagodze. Jego sława szybko się rozprzestrzeniła. Najpierw został kantorem w Wesendorf, potem w Haynau, Gleiwitz i Ratibor, aż w końcu w Breslau. Z każdym przeniesieniem jego prestiż rósł. W stolicy Śląska przeorganizował chór i wprowadził do jego repertuaru takich klasycznych mistrzów, jak Sulzer, Deutsch, a przede wszystkim Lewandowski, którego tradycyjnym, wschodnioeuropejskim melodiom nadał klasyczną formę, udzielając w nich ważnego miejsca organom. Hermann Josef zmarł w Breslau w 1917 roku. Jego córka Emma poślubiła mojego stryjecznego dziadka Josepha Peritza, syna z drugiego małżeństwa mojego pradziadka Salomona.

Kariera oberkantara nabrała wysokich lotów dopiero, kiedy wyemigrował do Niemiec. Breslau w drugiej połowie dziewiętnastego wieku stanowiło centrum żydowskiego oświecenia. Postęp społeczno-polityczny pogłębiał się równoległe z emancypacją religijną. Hurtownicy, bankierzy, dostawcy i przedsiębiorcy stawiali w mieście pałace przepychu. Historycy, naukowcy i teologowie wznosili świątynie mądrości, jak *Jüdisch-Theologisches Seminar in Breslau*^[36].

W przeciwieństwie do Polaków – przywiązanych do swej ziemi i dumy narodowej – Żydzi rozjeżdżali się po miastach Niemiec. Podczas gdy miliony spauperyzowanych i prześladowanych Żydów polskich i rosyjskich emigrowało do Ameryki, Żyd w Niemczech wkraczał do wielkich miast Cesarstwa. Podobnie ruszył *Schneidermeister* Lewin Peritz ze swojej wioski do metropolii. Czy pewnego pięknego dnia zdecydował załadować cały swój dobytek na wóz i z żoną oraz dziećmi ruszyć na poszukiwanie szczęścia na Śląsku? Czy może jakiś członek rodziny, który mieszkał już w Breslau, napisał list, opowiadając mu o cudach miasta?

Minąwszy Trebnitz, ostatnie miasto przed osiągnięciem celu podróży, Lewin musiał poczuć szybsze bicie serca. Ponieważ przybywał z północy, podróżował przez lekko pagórkowaty region północnego Śląska. Łany zbóż i lasy aż po horyzont. Wysokie drzewa wzdłuż drogi. Aż nagle stanął nad mostem na Odrze. Szeroki strumień, mury miejskie, las wież kościelnych i kopuł. Strach i podniecenie.

Dla moich przodków ze strony Durra Breslau leżało w odległości rzutu kamieniem. Mimo to zanim mój pradziad Moritz osiedlił się w tym mieście, minęło sporo czasu. W 1892 roku mieszkał wciąż w Konstadt, miasteczku w Prowincji

Poznańskiej. W 1894 roku jego nazwisko pojawiło się w książce adresowej Breslau. Tego roku urodził się w nim jego syn Ludwig. Rok później żona Moritza wydała na świat córkę. Else miała zostać moją babcią. W tym czasie rodzina zamieszkiwała Rawitsch, miejscowość położoną na północy Breslau.

Najpierw Moritz został zapisany w książce adresowej jako *Reisender* (komiwojażer). Kiedy w 1897 roku ponownie się w niej pojawił, kazał odnotować obok swego nazwiska *Handelsmann*, handlarz. Najstarszy list, jaki znalazłem w La Paz, został napisany przez Henriette Ebstein, siostrę jego żony. Być może zawiera on wyjaśnienie przyczyny, dla której Moritz w 1892 roku opuścił Konstadt i przeniósł się ze swoją rodziną do Breslau.

Ciotka Jettl, jak mój ojciec nazywał Henriette, wysłała przyjaciółce list w chwili wielkiego kryzysu. Choć nie jest jasne, co się dokładnie wydarzyło, ostatnie zdania listu nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Doszło do jakiegoś strasznego wypadku, a ciotka Jettl się lękała. *Wie uns allen bange ist – pisała – lässt sich gar nicht beschreiben, nach dem Trubel der vorausgegangen ist*^[37]. Zmarła jakaś ciotka. Po pogrzebie przybyli znajomi i przyjaciele, prosząc o wyjaśnienie. Całe domostwo było wzburzone do granic możliwości. A czemu jej siostra Jenny wyjechała? Ciotka Jettl pisała, że długo płakała. „Jeśli mnie w domu potrzebujecie, natychmiast przybędę” – dodała. Wszystko wskazuje na to, że owa ciotka zmarła w podejrzanych okolicznościach. Ojciec Henriette musiał stawić się na komisariacie policji, gdzie spisano protokół. *Um noch einmal auf das Unglück zurück zu kommen, wurde Vater schon zweimal zu Protokoll aufgenommen, und wird wohl noch ein Prozess entstehen*^[38].

Z listu wynika, że rodzina przeżywała również problemy finansowe. Ciotka Jettl przyznaje, że ktoś wcisnął im piętnaście marek. „To było o wiele za dużo – pisała – ale byliśmy bardzo wdzięczni za podarunek”.

Rodzina żyła na kredyt. „Ojciec zapłacił panu Stückowi za jedzenie dwadzieścia osiem marek, a u Lange’ a pięć marek”.

Czy adresatka tego listu mieszkała w Breslau? W każdym razie we wcześniejszym liście radziła ona Henriette, by ta wyemigrowała do miasta. Ciotka Jettl nie była do końca przekonana. *Du hättest schon recht, wenn du schreibst wir sollten ganz von Konstadt fortziehen. Wir hätten auch nicht übel Lust nach Breslau zu ziehen*^[39] – przyznała.

Mało prawdopodobne, że dramat miał coś wspólnego z antysemityzmem. W Prusach nie dochodziło do pogromów. Wyrazicielami odczuć antysemickich w głównej mierze okazywali się politycy w Reichstagu. Gazety i ulotki okazywały się jeszcze bardziej obrzydliwe. Często publikowały artykuły akademików oraz innych intelektualistów, którzy zarzucali Żydom, iż niedostatecznie starają się zintegrować w niemieckim społeczeństwie. Posądzano Żydów o to, że choć prawnie stanowią część społeczeństwa (*Gesellschaft*), nie są pełnoprawnymi

członkami wspólnoty społecznej (*Gemeinschaft*). Taki atak był dużo nikczemniejszy, niż sami Żydzi zdawali sobie sprawę. W nim bowiem brał swój początek współczesny antysemityzm.

Owi uczciwi obywatele niemieccy twierdzili, że pożywką dla ich zatroskania kwestią żydowską nie są już prymitywne i emocjonalne przekonania religijne, ale obiektywne ideały, które przynoszą korzyść wyłącznie interesowi narodowemu. Optymiści postępu mieli okazać się najbardziej zajadłymi antysemitami. To oni klaskali, kiedy Żydzi otrzymywali równe prawa obywatelskie, i to oni zapowiadali, że niedługo już nie pozostanie żaden Żyd. Oswobodziwszy się z pęt religijnych, Żydzi ci mieli się emancypować i zlać w jedną, wielką, narodową rodzinę niemiecką. Kiedy okazało się, że niedostatecznie szybko realizują oni tę przepowiednię, wyrozumiałość zmieniła się w resentyment.

Moich pradziadków ta debata nie zajmowała. Dwa pokolenia wcześniej drżeli jeszcze przed najazdami Kozaków i polskich chłopów. Dlaczego mieliby się teraz obawiać drukowanych artykułów i napuszonej retoryki poślednich demagogów?

Poza tym Moritz Durra i Salomon Peritz byli bardzo zajęci. Minęły czasy, gdy za parę groszy można było utrzymać rodzinę. Nowoczesny żywiciel rodziny miał ambicje. Moritz wspinał się po drabinie społecznej dużo szybciej niż Salomon. Ten ostatni przez całe życie pozostał krawcem i dopiero na emeryturze przeprowadził się z nędznych pokoi przy Carlsplatz do nieco bardziej stylowych przy Nikolaistrasse i Büttnerstrasse. Moritz tymczasem rozwijał skrzydła w szerokim świecie. Musiano i miano się o tym dowiedzieć. W książce adresowej na początku figurował jako *Reisender*, komiwojażer, następnie pod nieco bardziej godnym tytułem *Handelsmann*, handlowca, aż w końcu pod jeszcze szykowniejszym: *Kaufmann*, kupca. Poza tym zrobił to, co robili wszyscy karierowicze. Opuścił centrum i osiedlił się przy szerokich bulwarach na południu. Kurs ten rozpoczął się na Nikolaistrasse i zakończył na Schwerinstrasse, z pomieszkowaniem po drodze na Trinitasstrasse, Höfchenstrasse i Neue Schweidnitzerstrasse. Z każdą przeprowadzką mój pradziadek przesuwiał się w coraz lepsze okolice.

Dzieci Moritza i Salomona kontynuowały ich wysiłki. Kiedy w 1906 roku Wilhelm II odwiedził miasto, na świecie było już pełne kolejne pokolenie. U Durrów struktura rodziny wyglądała prosto: Moritz i Helene mieli czwórkę dzieci: Ludwiga (urodzonego w 1892 roku), Else, moją babcię (1895), Ericha (1897) i Edith (1905).

U Peritzów struktura ta była bardziej skomplikowana. Salomon ożenił się trzy razy i między jego pierworodnym dzieckiem a ostatnimi potomkami ziała przepaść trzydziestu lat. Z każdym małżeństwem Salomon stawał się bardziej płodny, jak gdyby Pan chciał mu podziękować za nigdy nieustające wysiłki

pomnażania żydowskiego narodu.



Czwórka dzieci Moritza i Helene Durrów. Od lewej do prawej: Else, Edith, Ludwig, Erich. 1907 rok (?)

Meyer, najstarszy i jedyny syn z pierwszego małżeństwa, urodził się w 1882 roku. Josepha i Hermanna wydała na świat kolejna żona Salomona, podczas gdy Mathilde Horn, jego ostatnia małżonka, dała mu trójkę dzieci: Berthę (1886), Felixa, mojego dziadka (1888) i Rudolfa (1892). Przy narodzinach Rudolfa Salomon miał już pięćdziesiąt osiem lat; zakładało się, że żydowscy mężczyźni powiększają rodzinę tak długo, jak mogą. Należało to do obowiązku religijnego. Kobiety nie miały w tej kwestii nic do powiedzenia. Miały jedynie prawo protestować, kiedy ich małżonkowie nie zadowalali ich seksualnie.

W fakcie, iż Salomon ożenił się trzy razy, również nie było nic niezwykłego.

Czy obie jego pierwsze żony zmarły? Czy może dwa razy się rozwiódł? Rozwód u Żydów nie jest niczym złym ani skandalicznym. Mężczyzna może się rozwieść, jeśli małżeństwo nie zdaje egzaminu lub jeśli jego żona po dziesięciu latach wciąż jest bezdzietna. W przypadku śmierci jednego z partnerów drugie nie musi długo zwlekać z ponownym zamążpójściem lub ożenkiem. Od płodnej kobiety oczekuje się jednak, by przynajmniej trzy miesiące odczekała, zanim ponownie wyjdzie za mąż. Mogłoby się bowiem okazać, że nosi dziecko swego zmarłego męża.



1913 rok. Moritz i Helene Durrowie z czwórką swoich dzieci na wakacjach w Bad Langenau w Habelschwerdter Gebirge pod czeską granicą

Duża różnica wieku między dziećmi Salomona nadwerżyła spójność więzów rodzinnych. Kiedy w 1896 roku Meyer poślubił w Beuthen Marthę Anspach, jego przyrodni brat miał cztery lata. Od tamtej pory Meyer i Martha prowadzili własne życie i wychowywali swoje dzieci. Potomkowie Salomona zaczęli się od siebie oddalać. Czterdzieści lat później, kiedy wszystkie żydowskie złudzenia legły w gruzach, stało się jasne, jak bardzo szkodliwe okazało się to rozbitcie rodziny.

Na początku pierwszej wojny światowej niewiele dało się odczuć z napięcia w obrębie klanu Peritzów. Nade wszystko trzeba było bronić ojczyzny. Felix i Rudolf natychmiast zaciągnęli się do breslauskiego pułku. Ich siostra Bertha nie pozostała w tyle i przywdziała fartuch pielęgniarski. Również w rodzinie Durrów Ludwig i Erich wstąpili na służbę.

Moja rodzina od dawna stała po stronie obozu konserwatywnego.

W 1908 roku Icchok Lejb Perc, wielki twórca w języku jidysz, na zorganizowanej w Czernowitach konferencji o stanie jidysz powiedział, że to naród (w etnicznym znaczeniu tego słowa), a nie państwo określa granice nacji. Dla Percy teza ta stanowiła wybieg ze ślepej uliczki, w jaką jego zdaniem zapędzili się Żydzi. Nie trzeba było zostawać syjonistą (ani opuszczać Europy) czy też asymilować się (i rezygnować ze swojej religii). Istnieje trzecie wyjście – twierdził Perc: zachowaj swoją unikalną kulturę religijną, a tym samym zagwarantujesz sobie niezależność i środki utrzymania.

Większość Żydów w Niemczech nie dawała posłuchu takiemu wezwaniu. Obrala czwartą drogę, w ramach której wiara, asymilacja i patriotyzm idealnie się ze sobą ząbały. Religia była sprawą osobistą, asymilacja niczym innym jak

przejęciem wartości kulturowych swojego otoczenia, a patriotyzm – najzwyczajniej obywatelskim obowiązkiem. Żydzi ci odrzucali judaizm spod znaku chałatu i lisiurki. *Ostjuden* psuli tylko innym reputację. Dlatego ich unikano.

Dla mojej rodziny nacjonalizm stanowił nieodłączny element jej tożsamości. W byciu Żydem i Niemcem jednocześnie nie było dla nich żadnej sprzeczności, zaś w ich wierności ojczyźnie nie kryło się nic fałszywego. Przyczyn ich żarliwości nie należy się również doszukiwać w obawie przed byciem wytykanymi palcami jako kadłubkowi lub zdraźnieccy Niemcy. Entuzjazm mojej rodziny był jej przekonaniem, a przywiązanie – świętym posłannictwem. Niemcy dały jej dobrobyt i bezpieczeństwo. Nadszedł czas, by się za nie odwdzińczyć.

W lecie 1994 roku pojechałem z rodzicami do Polski. Zamierzaliśmy odwiedzić w niej groby rodzinne i Wrocław, poszukując śladów rodziny. Mój ojciec miał pierwszy raz od swojej emigracji w 1938 roku powrócić do rodzinnego miasta. Naszym pierwszym przystankiem były Międzyzdroje (Misdroy) nad Morzem Bałtyckim. Tutaj oraz w sąsiednim Świnoujściu (Swinemünde) moi pradziadkowie i dziadkowie spędzili kilkakrotnie swoje wakacje letnie. Zbliżaliśmy się już do kąpieliska, kiedy obok szosy ukazały się tory kolejowe.

– Tędy jeździł pociąg z Breslau do Swinemünde – zauważyłem, mając nadzieję, że mój ojciec przypomni sobie czasy dzieciństwa.

– Tak! – wykrzyknął. – Popatrz na tamten słup elektryczny! Poznają go. Na pewno już tutaj byłem.

Mój ojciec uwielbiał ironię, ale ta odpowiedź była podszyta sarkazmem. Na Międzyzdroje składała się garstka budynków rozrzuconych niechlujnie po wybrzeżu ręką jakiegoś olbrzyma. Przed wojną w mieście istniało molo i promenada nadmorska, teraz miejscowość sprowadzała się do zbieraniny łuszczących się willi i domów letniskowych, rozklekotanych kawiarenek i hoteli wielkich jak koszary wojskowe. Tu i ówdzie napotykało się świeżo odmalowaną fasadę o delikatnych motywach secesyjnych, ale większość budynków prezentowała się żałośnie.

Późnym popołudniem poszliśmy na spacer. Minąwszy Pałac Kultury, z którego dochodziły odgłosy próby kandydatek do wyborów Miss Bałtyku, wspięliśmy się na piaszczyste pagórki wznoszące się ponad wioskę. W czasie ostatniej epoki lodowcowej aż dotąd lodowce przypchały materiał skalny z gór. Moreny były porośnięte brzoźami i sosnami, między którymi w oddali połyskiwało kobaltowe morze. Ostatni letnicy niespiesznie schodzili z plaży. Po przeciwległej stronie zatoki, w Świnoujściu, zapalano światła.

Na szczycie klifu usiedliśmy na zwałonym pniu. Słońce chowało się między szarymi chmurami i zabarwiało fale na bordowo. Wiatr się uspokoił. Panowała cisza, jak makiem zasiał.

Powróciłem do lata 1914 roku. Plażowicze w pasiastych strojach kąpielowych, dzieci budujące zamki z piasku, rzędy słomianych koszy plażowych. Moja cioteczna babka Edith ma dziewięć lat, kiedy bawi się na tej plaży. Else, moja babcia, pozuje do zdjęcia na falochronie. Obie ubrane są w białe bluzki marynarskie. Else położyła dłoń na ramieniu młodszej siostry. Niepewnie się uśmiechają. W Berlinie w tym czasie setki tysięcy Niemców wychodzi na ulice, by dopingować rząd do wypowiedzenia wojny. Przewracają samochody ministrów i wrzeszczą jak opętani.

Osiemdziesiąt lat później stałem w miejscu, w którym obróciła się wniwecz

nadzieja tego stulecia. Tu, pod fiołkowymi obłokami, które zachodzące słońce rozsiewało po horyzoncie, stałem się świadkiem niemiłosiernej defilady czasu. Po niemieckiej porażce cztery lata później miał nastąpić bolesny pokój, potem okres niekochanej republiki, wiara w fałszywego proroka i nowa wojna, następnie zdrada komunistów, aż w końcu nieufność wobec demokracji. W jednej chwili, w ciągu której Edith i Else przesywały ciepły piasek między palcami, a ja wpatrywałem się milcząco w widmową, opuszczoną plażę, światy się zawaliły i przeminęły na zawsze.

Bei schlechten Wetter findet der Krieg im Saale statt^[40]. Jakiś żołnierz napisał kredą takie zdanie na boku wagonu kolejowego, który wiozł jego śląski pułk pod belgijską granicę. Mój dziadek również był pewien, że wojna okaże się krótką i wesołą przygodą. Felix Peritz został *Sanitäter Unteroffizier*, podoficerem sanitariuszem, w Grenadier-Regiment Friedrich III (2. Schlesisches) Nr. 11. We wrześniu dotarł do położonego tuż nad Reims Warmeriville. Tam to właśnie zatrzymała się niemiecka ofensywa i armie się okopały. Wioska ta stała się pierwszą placówką dziadka podczas czterech lat, jakie spędził na froncie.

Felix był wyjątkowo dumny ze swojej wojny. Opowiadał o niej anegdoty i troskliwie przechowywał dziesiątki zdjęć, które wysłał do swojej matki i siostry w Breslau. Kiedy je słał, marzył o tym, by po wojnie pamiątki te opatrzyć komentarzami. *Liebe Mama, Sende Dir die beiden versprochenen Bilder, und bitte Dich dieselben meiner Sammlung zu zugesellen*^[41]. Tak pisał na wiosnę 1916 roku, między Montauban-de-Picardie a Longueval. Na tamtym obszarze nad Sommą było jeszcze wtedy spokojnie; Brytyjczycy przygotowywali ofensywę dopiero na 1 lipca.

Wojna przedstawiona na zdjęciach zdawała się bardzo odległa. Jedynym ich tematem był Felix i jego towarzysze. Ze skrzyżowanymi ramionami przed wejściem do lazaretu. Pijący piwo w dniu urodzin cesarza. Grający w karty w ogrodzie. Poważne twarze. Bluzy mundurów przepisowo zapięte na ostatni guzik. Pamiątki mężczyzny, dla którego *Kameradschaft*, koleżeństwo, liczyło się ponad wszystko. Informacje na odwrocie zdjęć są zwięzłe, niemal chłodne. Kochana mamó. Kochana Berto. Wojna była jego życiem. Choć kiedy wybuchła, miał dwadzieścia pięć lat, w domu nie czekała na niego żadna dziewczyna.

Na froncie przyjaźń zastępowała potrzebę czułości i miłości. Nigdy mężczyźni nie kochali się wzajemnie tak bardzo, jak wtedy, gdy rozstrzeliwali się na strzepy. Jak większość z nich, Felix został odznaczony krzyżem żelaznym drugiej klasy. Czy jego stopa kiedykolwiek powstała w okopie? Przynoszeniem rannych spod ostrzału zajmowali się *Krankenträger*, noszowi. Podoficer, jak mój dziadek, czekał na nieszczęśników w szpitalu polowym.

Mój ojciec nigdy nie słyszał go opowiadającego o okropnościach wojny.

Paul Bäumer w *Na Zachodzie bez zmian* Remarque'a powiedział, że

„dopiero lazaret pokazuje, czym jest wojna”^[42]. W okopie żołnierz nie miał czasu się zastanawiać. Choćby przyszło ci stanąć naprzeciwko własnego ojca, rzuciłbyś na oślep granat w jego pierś. Dopiero w szpitalu polowym lekarze i personel pielęgniarski usiłowali odwrócić szaleństwo, zatamować groteskowy krwotok. Tam to żar fanatyzmu dogasał, ustępując miejsca trzeźwej świadomości cierpienia. Co działo się w umyśle mojego dziadka, kiedy pochylał się nad synem przywołującym swoją matkę, kiedy dźwigał ojca, którego oczy błagały, żeby pozostać przy życiu? Takie opowieści nie były przeznaczone dla uszu dziecka. Po wojnie Felix zapisał swój komentarz na odwrocie pocztówek. *Feuerstellung. Zur Erinnerung an den 24.XII.1914 (Heiliger Abend) im Feldzug gegen Frankreich*^[43]. Słowa dumnego bohatera wojennego, który obraży czterech lat życia frontowego chciał zatrzymać w prostym kodzie.



Mój dziadek Felix Peritz (pierwszy z prawej) na froncie pierwszej wojny światowej. *Sanitäter Unteroffizier* Felix wiosną 1916 roku przebywał nad Sommą

Chociaż wszystkie zdjęcia zostały ocenzurowane, wśród nich znajdowało się jedno, na którym mój dziadek zrzucił maskę sumiennego żołnierza. Sepiowa karta nosi datę 7 czerwca 1915 roku. Ołówkiem dopisano na niej *Bei der Arbeit* [Przy pracy]. Felix stoi za oparciem krzesła w takiej pozycji, jakby zamierzał wyrwać zęb trzonowy siedzącemu pod nim mężczyźnie. Pacjent noszący czarne oficerki i spodnie podciągnięte aż pod pachy ściska pełen odrazy siedzenie krzesła. Mimo to zachowuje wystarczająco dużo zimnej krwi, by łypać na fotografa. W tym czasie dentysta wpatruje się w jakiś punkt w klepisku (pokój dzienny w zarekwirowanym gospodarstwie?), jednocześnie macając lewą ręką policzek i kącik ust towarzysza. Na prawo stoi ktoś jeszcze. Nagły ruch rozmazał mu głowę, na szczęście jednak ręce ma nieruchome, tak iż wyraźnie widać, że trzyma szklankę z wodą i biały metalowy pojemnik. Jeszcze krok, a do naczynia pod brodą pacjenta trafi wyrwany ząb i mieszanka krwi z wodą ze szklanki.

Pomimo odgrywanego strachu jest to dobroduszna scenka. Na tapecie w kwiatki parę zdjęć i obrazek w ramce. Na drewnianym stole portret i wazonik z wiązką polnych kwiatów. Na żadnym innym zdjęciu mój dziadek nie wyszedł równie nonszalancko. Zsunął do tyłu swoją żołnierską czapkę, podwinął rękawy białej koszuli. Jego wysokie czoło uwypuklało duże, szeroko odstające uszy i sprawiało, że jego szczupła twarz z czarnym wąsikiem wyglądała na jeszcze węższą. Dziadek był zwyczajnym człowiekiem, a nie podoficerem wciśniętym w za ciasną marynarkę munduru, o hardym spojrzeniu sztywnego weterana.

Pewnego dnia pojechaliśmy do Warmeriville. Zaparkowaliśmy samochód na placu wioskowym. Zgromadziła się na nim lokalna młodzież. Chłopcy w skórzanych kurtkach zwieszający się z kierownic swoich motorynek na chwilę podnieśli na nas wzrok. Ich przyjaciółki stały trochę dalej, konspiracyjnie chichocząc.

Warmeriville było skupiskiem brzydkich domów.

Wir liegen hier ziemlich sicher, wenn auch hier und da einmal ins Dorf geschossen wird – pisał do matki Felix. – *Auch bei uns wird es endlich ruhiger, nach zwei Monate lange, bisher schweren Kämpfe*^[44].

Czy mój dziadek czuł się tam jak u siebie w domu? Jako *Sanitäter Unteroffizier* musiał nie tylko opatrywać rannych, ale strzyc ich, golić, wrywać im zęby. Czy rodzina, do której go dokwaterowano, uważała go za dobrego człowieka? Jak zareagowała pani domu, kiedy wręczając jej swoje brudne rzeczy do prania, zwrócił się do niej *Madame, la Wäsche*? W jego ustach brzmiało to jak *Madame la vache*^[45]. Była to jedna z jego ulubionych anegdot.

O wiele mniej informacji udało mi się wyszperać na temat perypetii frontowych innych członków rodziny. Brat mojego dziadka, Rudolf, był kurierem w jednej kompanii tego samego pułku śląskiego, w którym służył dziadek. Rudolf miał rower, na którym jeździł – tam i z powrotem – między główną kwaterą pułku a linią frontu. Tak samo jak Adolf Hitler.

Bertha, ich siostra, była pielęgniarką. Rudolf spotkał ją kiedyś w szpitalu w Brześciu Litewskim, na rosyjskim froncie. Trafił do niego z zakażeniem krwi, prawdopodobnie w wyniku niestarannego opatrzenia rany. W albumie rodzinnym znajdowały się przeróżne zdjęcia Berthy. Na odwrocie jednego z nich napisane było: „Strasburg, 1917”. Bertha pozowała na schodach szpitala ubrana w mundur pielęgniarski. Długi, porządnie wyprasowany biały fartuch; włosy starannie ukryte pod sztywnym czepkiem. Obok niej, w dużym ogrodzie, dwa puste leżaki i ławka. Również i tutaj wojna rozgrywała się w pokojowych dekoracjach. W 1930 roku Bertha odebrała sobie życie. Nikt nie wie dlaczego. Babcia powiedziała swemu wówczas ośmioletniemu synowi Wernerowi, że ciocia Bella, jak nazywano Berthę, zmarła przez pomyłkę, połknąwszy niewłaściwe pigułki na gripę, które wyjęła dla siebie ze szpitalnej apteczki.

W czasie wojny Ludwig i Erich Durrowie parokrotnie pozwali do zdjęć w studiu fotograficznym. Nieustraszeni mężczyźni w schludnych mundurach. Były to portrety do użytku publicznego. Oprawione i wystawione na poczesnym miejscu w salonie sprawiały, że człowiekowi patriotyzm aż rozpierał pierś.

Istnieje jeden portret, który niweczy cały ten miłujący ojczyznę fanatyzm i sentymentalizm. Fotografia przedstawia Ericha w mundurze kaprała, siedzącego na krześle o wysokim oparciu z wikliny. Na zdjęciu widać ledwie kilka szczegółów wnętrza. Kawałek obrusa delikatnie zdobionego ręcznie wyhaftowanymi kwiatami. Elegancki kryształowy wazon z bukietem białych goździków i chabrow. Róg krzesła. Z tyłu, na kominku, szklany lichtarz i drewniana figurka dziewczyny w niemieckim stroju ludowym. Ściany wyłożone prostą boazerią z jasnego drewna. Poza Ericha sugeruje, że przeglądał ilustrowane czasopismo leżące przed nim na stole, a fotograf wytrącił go ze skupienia. Erich opiera lewy łokieć o blat, lekko rozstawionymi palcami lewej dłoni gładzi sobie skroń i policzek. Prawa dłoń przytrzymuje róg strony gazety, jakby właśnie miał ją obrócić. Jasne oczy pogodnie spoglądają w obiektyw. Gładko ogolona głowa Ericha podkreśla wrażenie ascezy i zrezygnowania.

Czy tak wyglądał mężczyzna, który bolał nad śmiercią swego brata? Ludwig Durra poległ 19 sierpnia 1917 roku w Samogneux pod Verdun. Pociąg transportujący amunicję na front został wysadzony w powietrze. Ludwig był jedną z ofiar eksplozji. Tak w każdym razie brzmiała wersja rodzinna. Czy taką bajeczkę przywiózł do Breslau współtowarzysz broni Ludwiga? Czy mówił prawdę? Wszystko na to wskazywało. Jeśli ów żołnierz chciał oszczędzić rodziców Ludwiga, z pewnością nie zwodziłby ich opowieścią o tak groteskowej śmierci. Wojskowe archiwa milczą na temat śmierci Ludwiga. Podczas bombardowania Berlina w czasie drugiej wojny światowej duże partie *Krankenbuchlager*, magazynu książek medycznych, uległy zniszczeniu.

7 września 1917 roku Erich Durra napisał list do rodziców. Właśnie wrócił z urlopu i zameldował się w sztabie pułku w Brugii. List ten znalazłem u Franka, mojego dalekiego kuzyna w Melbourne. Obecnie sześćdziesięciodziewięcioletni Frank jest jedynym dzieckiem Ericha Durry i Erny Steinmetz. W 1939 roku rodzina wyemigrowała do Australii.

Czy Erichowi zezwolono na podróż do Breslau, ponieważ poległ jego brat? Prawdopodobnie pracując w administracji – w liście jest mowa o funkcji *Zahlmeister*, skarbnika – łatwiej było mu otrzymać urlop specjalny.

W liście Erich próbuje jeszcze raz pocieszyć swoich rodziców po niedawnej tragedii. Smutek ustąpił już u niego miejsca zrezygnowaniu. Życie toczyło się dalej. I w tym trudnym czasie nie wolno im było tracić zaufania do Boga. Najwyższy nie przestanie trzymać nad ich głową swej ręki. *Der Allmächtige schenke uns fürderhin nur alles Gute, damit wir uns von diesem schweren Schlag*

allmählich wieder erholen. Jetzt, wo ich allein bin, übermannt auch mich der tiefe Schmerz. Ich werde die Zähne zusammen beißen und mich beherrschen. Man muss doch in die Zukunft mit Gottvertrauen schauen^[46].

Odkąd Ludwig nie żył, Erich chciał dać do zrozumienia swoim rodzicom, że zawsze mogą na niego liczyć. W szczegółach opisywał swoje zajęcia. Zamierzał pisać codziennie i również codziennie oczekiwał listów z Breslau. Z każdego postoju pociągu do Brugii – z Berlina, Hanoweru i Kolonii – wysyłał do domu pocztówkę. Miał jak najszybciej poprosić o przeniesienie do Breslau i zachęcał swoich rodziców, by po świętach (żydowskim Nowym Roku i innych ważnych świętach, które się zbliżały) zrobili sobie parę dni wakacji, *damit Ihr Euch etwas zerstreut und vor Allem wieder erholt*^[47].

Erich był również głęboko zatroskany o swoje dwie siostry. Else, moja wówczas dwudziestodwuletnia babcia, miała wreszcie poszukać sobie jakieś pracy. W ostateczności na pół dnia, wtedy po południu mogłaby chodzić na spacer z swoją matką.



Ludwig Durra krótko przed śmiercią w 1917 roku. Ten brat mojej babci zginął niedaleko Verdun

W liście do Else z 9 września powtórzył swoje zapatrywanie. Jego siostra przede wszystkim powinna pocieszać i uspokajać ich rodziców. *Sei du nun, so oft du kannst, mit der geliebten Mutter zusammen. Das ist jetzt deine grösste Pflicht*^[48]. Nie zapomniał także o Edith, wtedy dwunastoletniej. *Beruhige auch Edithel bei den Schularbeiten; besonders in Französisch ist sie, wie ich gesehen habe, kolossal schwach*^[49]. Nade wszystko obiecywał jednak nigdy nie opuścić rodziny w biedzie. *Ich werde Euch nie im Leben irgendwelchen Kummer und Sorge bereiten. Auf mich könnt Ihr für später fest bauen*^[50]. A do Else: *Auf mich kannst du, geliebte Else, stets fest bauen, ich wurde alles ersetzen was wir an unserem geliebten Bruder verloren haben! Darauf kannst du dich fest verlassen*^[51].

Erich Durra dotrzymał swej obietnicy. Kiedy zimą 1996 roku zatrzymałem się u jego syna w Australii, okazało się, że Erich w latach trzydziestych, a nawet

w czasie wojny, pomagał wielu Żydom w ucieczce przed nazistami. Wtedy, w Australii, nie zdołaliśmy jeszcze z Frankiem rozczytać jego listów pisanych z Brugii, z 7 i 9 września 1917 roku.

Chociaż Frank wiedział, że przyjechałem ze względu na historię rodzinną, w pierwszym rzędzie chciał mi pokazać Melbourne i okolice oraz przedstawić gronu przyjaciół. Z pewnością miał dużo zrozumienia dla historii rodziny, ale nie pojmował, czemu chcę o niej pisać. „Kto by chciał o tym czytać?” – zapytał lekko poirytowany, jak gdyby moja przesadna dociekliwość wydobywała na światło dzienne jego brak zainteresowania. Nigdy nie wrócił do Breslau. Zjechał cały świat, ale do miasta, w którym przyszedł na świat, w którym żyli jego rodzice i dziadkowie, nie można go było kijem zapędzić.

– To obce miasto – mówił. – Miałem dziesięć lat, kiedy je opuściłem.

– Byłeś w Bolonii i Amsterdamie – wypaliłem. – To też są obce miasta.

Nie wiedział, co ma na to powiedzieć. Znalazł mimo to czas, by niespiesznie przeglądać ze mną setki zdjęć, listów i dokumentów, które zachowali jego rodzice. Przechowywane były nieuporządkowane w kilku plastikowych workach. Frank studiował je po raz pierwszy. Jego matka zmarła w 1990 roku i od jej śmierci nie zdobył się jeszcze na odwagę, żeby chociaż przejrzeć album rodzinny.

Frank się nie spieszył. W jednej dłoni trzymał swoje okulary, zaś drugą ujmował po kolei zdjęcie lub kopertę, przytrzymując je kilka centymetrów od swoich zmrużonych oczu. Chętnie czytał na głos dumny ze swojego niemieckiego, który mimo upływu połowy stulecia wciąż był perfekcyjny.

Po wszystkim wyraził swoje zdumienie poczuciem obowiązku i altruizmem własnego ojca.

– Co za człowiek! – powiedział. – Nie miałem pojęcia, że tylu ludziom dał pieniądze, że ocalił tyle istnień. Może to niegłupi pomysł, żeby poinformować o tym Jad wa-Szem.

Jad wa-Szem to instytut historyczny z siedzibą w Jerozolimie, który zajmuje się historią Holocaustu.

Erich pozostał wierny również mojej babci. W 1939 roku, po zapłaceniu tysiąca funtów, udało mu się załatwić dla Else i jej męża brytyjską wizę do Palestyny. Bez jego wsparcia moi dziadkowie nigdy nie zdołaliby wydostać się z Niemiec. Ostatnie oszczędności wydali bowiem na emigrację swego syna do Anglii. Tysiąc funtów było olbrzymią sumą, odpowiadającą dzisiaj około czterdziestu tysiącom euro.

Kiedy po śmierci Felixa Else opuściła Izrael i przeprowadziła się do moich rodziców w Belgii, nie omieszkała wkrótce zapytać swego brata, czy może zamieszkać u niego w Melbourne. Erich odmówił.

Wyruszyłem do Australii w pierwszym rządzie po to, by spotkać się z moim dalekim kuzynem Frankiem i z jego ciocią Elsie. Frank urodził się w Breslau w 1929 roku jako Franz Durra. Jego ojciec poślubił Ernę, córkę Ferdinanda Steinmetza, bogatego handlarza tekstyliami. Jej siostra Elsie wyszła za Fritza Fröhlicha, właściciela kina Astoria we wschodnim Breslau. Erna i Elsie Steinmetz poznały swoich mężów przez swata. Kojarzenie małżeństw jest tradycją u Żydów – pomaga własnemu narodowi w przetrwaniu.

Mniej żywotne zwyczaje można było zastąpić innymi lub się ich pozbyć. I tak stopniowo imiona uległy germanizacji. W 1870 roku moi przodkowie mieli na imię Salomon, Leib, Moritz, Gumpel, Herschl, Zadik czy Meyer. Około przełomu wieku większość z nich nosiła imiona, które występowały zarówno u Żydów, jak i u chrześcijan, jak Joseph, Samuel, Eva, Benjamin, Edith, Elisabeth, Martha, David, Simon czy Paul. Meyer przemianował się na Maxa, inni mieli na imię Adolf, Albrecht, Hermann, Rudolf, Ludwig albo Erich. Kolejne pokolenie (mojego ojca) otrzymało imiona, które były w modzie wyłącznie na obszarze niemieckojęzycznym: Franz, Günther, Hans, Ernst, Werner, Kurt, Walter, Georg, Wolfgang, Steffi, Gerd, Inge.



Kaschbach, lato 1935 roku.

W tej małej miejscowości w Górach Sowich moja rodzina zebrała się po raz ostatni. Górny rząd (z lewej do prawej): Erna, małżonka Ericha Durry; mój ojciec Werner Peritz; Steffi Adam, córeczka Maxa i Edith Adamów; Edith Adam, siostra mojej babci. Dolny rząd: Franz (później Frank) Durra, syn Ericha i Erny; Max Adam; Wolfgang Adam, syn Maxa i Edith

Zwłaszcza imiona męskie musiały brzmieć z niemiecka. Mężczyźni byli żywicielami rodzin. Ich pozycję społeczną po części określało również imię, jakie nosili.

To dlatego Meyer z pewnością miał nadzieję zdobyć sobie zaufanie nieżydowskich klientów, kiedy na tabliczce na drzwiach swojego gabinetu kazał wyryć: „Max Peritz, Dr. Med. Prakt. Arzt”.

To samo poczucie inicjatywy miało uczynić niebawem z rodzin Fröhlich i Steinmetz majątnych obywateli. Dziadkowie Erny i Elsie zaczęli od sklepiku z tekstyliami przy Friedrichstrasse, ubożuchnej ulicy w dzielnicy robotniczej położonej na południe od Freiburger Bahnhof. Pod koniec życia posiadali willę – *het Berghaus* – w Bad Reinerz, popularnej miejscowości wypoczynkowej

w Adlergebirge, tuż przy granicy z czeskim Krajem Sudeckim. Bad Reinerz był w tamtych czasach znany przed wszystkim z tego, że Fryderyk Szopen zagrał tam swój pierwszy publiczny koncert poza Warszawą.

Mojego ojca nade wszystko zafascynowały trzy samochody rodziny Steinmetz. Wielkie wrażenie robiła zwłaszcza efektowna, lśniąca minerva z kierowcą w liberii. W tamtym czasie Erna i Elsie ze swoimi mężami często jeździły w podróż. W lecie nad jezioro Como lub na Lazurowe Wybrzeże, w zimie na narty do Schreiberhau czy Krummhübel w Riesengebirge.

To właśnie w letni wieczór w Karpaczu (Krummhübel) mój ojciec wspominał ów ostatni raz, kiedy to najbliższa rodzina zebrała się razem. Po kolacji wyszedłem z rodzicami na spacer. Nasza podróż po Polsce dobiegała końca. Nazajutrz rano mieliśmy wracać do Belgii. W całej wiosce dzwony na wieży kościelnej towarzyszyły wierzącym w ich drodze do domu. Na ławce siedział jakiś pijany mężczyzna, mówiąc sam do siebie. Trzymał w ramionach ciężką siekierę, ściskając ją, jak dziecko przytula lalkę. Na betonowym murze obok muzeum etnograficznego ktoś sprayem nabazgrał *Juden raus!* Wdychaliśmy woń ogniska. Cykały świerszcze. Słońce prawie już zaszło, okrywając wzgórza bladobrzoskwiniowym pledem.

– W taki piękny, letni wieczór wuj Erich i ciotka Erna się z nami pożegnali – powiedział ojciec. – Tylko dorośli wiedzieli, o co chodzi. Dzieci, w tym ja, bawiły się cały dzień w ogrodzie. Nikt nam nie powiedział, po co rodzina się zjechała. Parę dni później matka mi oznajmiła, że Erich z rodziną uciekł.

Ich wyjazd został dobrze przygotowany. Najpierw Erich wsadził swoją żonę z synkiem do pociągu do Pragi. Następnie pojechał samochodem do Szwajcarii odwiedzić swojego klienta. Pieniądze, papiery wartościowe i biżuterię ukrył w wozie.

Dla mojej rodziny lato skończyło się raptownie 23 czerwca 1935 roku. Mały album ze zdjęciami, który ojciec zabrał ze sobą do Anglii, otwiera zdjęcie z tej właśnie niedzieli. Pod fotografiami wujków Ericha i Maxa, ojca Wolfganga z La Paz, mój ojciec odnotował białą kredką, co się wydarzyło w Kaschbach, siole u stóp najwyższego szczytu Eulengebirge. Dla dwunastolatka dzień ten stał się niezapomniany z zupełnie innych przyczyn. *Am Sonntag fuhren Onkel Erich, Grossmutti, Mutti, Vati und ich nach Kaschbach im Eulengebirge zu Familie Adam, die dort in der Sommerfrische war. Auf dem Rückzug fuhr ich mit 104 Stundenkilometer, die Höchstgeschwindigkeit meines Lebens (bis zu diesem Tage) im Auto. In Reichenbach merkte Onkel Erich, dass er etwas vergessen hatte. Wir mussten deshalb zurück fahren*^[52].

Razem z Erichem, Erną i ich sześciolatkiem Franzem kraj opuścili nielegalnie również Fritz Fröhlich, jego żona Elsie z ich pięcioletnim synkiem Gerdem Alfredem.

Elsie oraz Gerd Alfred, który obecnie nosi imię Freddy, wciąż żyją. Elsie ma dziewięćdziesiąt trzy lata i mieszka w Melbourne, Freddy – w Sydney. Ponieważ co roku w zimie Elsie opuszcza srogię Melbourne, by parę miesięcy spędzić u syna, najpierw udałem się do Sydney. Australijscy celnicy godzinami przetrzepywali mnie na lotnisku. Podczas kiedy oschły oficer wystrzelił we mnie salwą pytań o cel podróży i moje zamiary, jednocześnie obmacując każdą skarpetkę, rozkręciwszy i zakręciwszy wszystko, co dało się rozkręcić i zakręcić, ja w miarę upływu czasu zaczynałem się unosić. Elsie i Freddy obiecali czekać na mnie na lotnisku. Na pewno już sobie poszli! Każdy z trzystu dziewięćdziesięciu ośmiu pozostałych pasażerów już dawno był w domu, kiedy urzędnik złożył ostatnią sztukę mojej bielizny i zapytał mnie, czy jestem zadowolony ze sposobu, w jaki się ze mną obchodzono, czy może uważam, że zostałem niegrzecznie potraktowany i dlatego chcę złożyć skargę, w którym to celu konieczne było wypełnienie tego tutaj formularza.

Elsie i Freddy ciągle jeszcze czekali w sali przylotów. Z wyrazu ich twarzy można było wyczytać, że porzucili już wszelką nadzieję. Objęliśmy się. Elsie, którą znałem jedynie ze zdjęć, była niska i czujna, a po angielsku mówiła z silnym niemieckim akcentem. Jej syna poznałem już wcześniej. W 1965 roku nieoczekiwanie odwiedził nas w domu przy okazji przyjazdu wesołego miasteczka. Kiedy reszta mojej rodziny jadła kurczaka z musem jabłkowym i krokietami, Freddy, mój ojciec i ja oglądaliśmy na stadionie Heizerl mecz piłki nożnej między Belgią a Izraelem. Trzydzieści lat później Freddy był tym samym mężczyzną o ciepłych oczach i czarnych, kręconych włosach oraz wahającym się kroku kogoś, kto spogląda na życie z ławki rezerwowych.

Z Freddyem rozmawiałem tylko w czasie weekendu. Nigdy nie wyjaśnił, dlaczego w dni powszednie nie mógł czy nie chciał się wyrwać. Chociaż byłem ciekawy, nigdy go o to nie zapytałem.

– Strzeżemy swojej prywatności – zwierzyła mi się Elsie jeszcze w wieczór mojego przylotu. – Możesz pytać o wszystko z przeszłości. Wiele wody w morzu przepłynęło. Wspomnieniom z Breslau zdołamy stawić czoła. – A trochę później: – *Ein Mensch ist ein Mensch*, człowiek to człowiek. Kto ma serce na właściwym miejscu, jest przyjacielem. Religia czy inne przekonania nie odgrywają żadnej roli. *You know of course that Fröhlich means happy or gay. But you can't say „gay” nowadays anymore, can you? Well, we are happy, aren't we, Freddy?*^[53]

Freddy, który nigdy się nie ożenił, całym sercem kochał swoją matkę. Prowadził z nią rozmowę uprzejmym, prawie stłumionym tonem. Zachowywał się nader bacznie i podbiegał do swojej matki, gdy tylko sądził, że potrzebuje jego pomocy.

W ciągu tygodnia Elsie i ja przemierzaliśmy Sydney jak trąba powietrzna. Potrafiłem chodzić równie szybko co ona, tylko że ona wytrzymywała takie tempo

dłużej ode mnie. Godzinami szwendaliśmy się po mieście. Na szczęście w wielu małych parkach i skwerkach zawsze znalazła się jakaś ławka. Tak naprawdę nie było to zwiedzaniem. Chodziliśmy, rozmawiając, obrzucając wzrokiem mijane rzeczy warte obejrzenia.

– Mój mąż był jasnowidzem – opowiadała Elsie. – Chciał uciekać już wiosną 1935 roku. Postanowiliśmy wyjechać razem z Erichem i Erną. Pożegnaliśmy się tylko z najbliższą rodziną ze strachu, że ktoś się wygada. Pewnego dnia opuściliśmy domy, jak byśmy jechali na wycieczkę. Nic ze sobą nie zabraliśmy. Nikt nie mógł podejrzewać naszych zamiarów. Fritz towarzyszył nam aż na dworzec. Wsiadliśmy z Freddym do pociągu do Ostrawy na Morawach. Nigdy tak się nie bałam. Na peronie na granicy stali esesmani. Skurczyliśmy się tak bardzo, jak to było możliwe. Nauczyliśmy się tego w Breslau, bo jak maszerowało SA, chowaliśmy się w bramach kamienic albo wpadaliśmy do sklepów. Z Ostrawy przejechaliśmy do Pragi, gdzie umówiliśmy się z Fritzem i Durrami. Od tamtej pory trzymaliśmy się razem. Praga. Szwajcaria. Londyn. Wreszcie Australia. Decyzja o przeprowadzce wychodziła zawsze od Fritza. Powiedział, że w Europie nie ma już przyszłości. Nawet w Londynie nie czuł się bezpiecznie. Miało to związek przede wszystkim z pracownikami tamtejszej niemieckiej ambasady. Najpierw nie chcieli nam wydać paszportów do Australii. A był już lipiec 1939 roku. Prawdopodobnie naziści sądzili, że wkrótce będą rządzić i w Anglii. Do Sydney dopłynęliśmy dokładnie jeden dzień przed wybuchem wojny.

Poszczęściło mi się z pogodą. Chociaż była pełnia zimy, codziennie świeciło słońce i urzędnicy administracji mogli jeść swoje kanapki w Royal Botanic Gardens z podwiniętymi rękawami. Na Bondi Beach nawet surfowano.

Sydney było dziwnym miejscem. Jego subtropikalne ogrody i lazuruwa zatoka, która niezliczonymi zatoczkami wrzynała się w miasto, co nadawało mu urok ekskluzywnego śródziemnomorskiego kąpieliska. Mimo to jakoś nikt nie przechadzał się pod palmami. Zasepieni ludzie mijali nas pospiesznie. Na ławce przed budynkiem opery Elsie zapytała mnie, czy w La Paz dowiedziałem się czegoś więcej o swojej babci.

– Tak – odpowiedziałem – ale nie wiem, czy wypada o tym opowiedzieć.

Elsie popatrzyła na mnie badawczo.

– Mimo to opowiedz – odparła. – Zatrzymam to dla siebie.

– Zawsze znałam twoją babcię jako nieszczęśliwą kobietę – odezwała się, kiedy zrelacjonowałem jej swoją opowieść. – Potrafiła oczywiście być podekscytowana, czasem nawet humorzasta. Mimo to przede wszystkim była głęboką osobą. Wycofaną. Filozoficzną. Szybko rozczarowała się do własnego męża. Ona była intelektualistką, on – nie. Kiedy żartował, bywało, że reagowała *Ach, Felix, aber das sagt man doch nicht!*^[54] Przyznaję, że jego dowcipy czasem były na granicy dobrego smaku. Dla Else wszystko musiało być wyrafinowane

i ładne. Miał do niej dużo cierpliwości.

– Dobrze znałaś moich dziadków? – zapytałem.

– Bardzo dobrze. Co sobotę twoi dziadkowie, Erich z Erną, oraz Fritz ze mną zapraszaliśmy się na zmianę do siebie na wieczór. Panowie grali w skata, my siedziałyśmy w pokoju obok zajęte tym, czym wtedy zajmowały się kobiety: plotkowałyśmy, szyłyśmy, robiłyśmy na drutach. Piło się kawę i jadło kanapki oraz ciasto. Panowie często zostawali do drugiej w nocy przy kartach. Grali o małe kwoty pieniędzy. Fritz potrafił przegrywać, Felix i Erich – nie. Czasami, jak to u graczy w karty, poczynali sobie dosyć głośno.

– Dlaczego moi dziadkowie nie wyjechali z wami w 1935 roku z Niemiec? – zapytałem.

– Nie wiem – odpowiedziała cicho Elsie. – Niedługo wcześniej zmarł braciszek twojego ojca. Twoja babcia po jego śmierci przeżyła załamanie nerwowe. Parę miesięcy była chora, całe tygodnie spędziła w sanatoriach. Poza tym twój dziadek i Else mniej się bali niż my. Felix był weteranem wojennym i sądził, że to go ochroni.

Czy Elsie miała rację? Co w tamtych czasach skłaniało członków rodziny do pomagania sobie nawzajem? Czy wystarczyła banalna kłótnia, by zostawić innego na lodzie? Na ile dobrze trzeba było się umieć dogadywać z pozostałymi członkami rodziny, zanim wtajemniczało się ich w swoje plany emigracyjne?

Po wojnie wielu musiało czuć się winnymi. Któż w 1935 roku mógł przewidzieć, że pozostawienie krewnych w ojczyźnie sprowadzało się do wydania na nich wyroku śmierci?

Elsie nigdy nie okazała mi swoich prawdziwych uczuć. Chociaż skwapliwie odpowiadała na pytania, jej przeszłość składała się wyłącznie z incydentów. Swoje przemyślenia zachowywała dla siebie albo kamuflowała je w opowieściach, które odwracały uwagę od sedna.

– Muszę ci wyznać pewną tajemnicę – nieoczekiwanie wyszeptała.

Siedzieliśmy w tak hałaśliwej kawiarni, że trzeba byłoby do siebie krzyknąć, aby zostać podsłuchanym.

– Jesteś pierwszym, komu o tym mówię. Zanim uciekliśmy z Breslau, kilka razy przesmuglowałam pieniądze za granicę. Zimą 1935 roku Fritz i ja spędzaliśmy wakacje w Krummhübel i przejechałam na nartach góry do Spindlermühle w Czechosłowacji. Miałam powiedzieć, że się zgubiłam, gdyby ktoś mnie zatrzymał. Fritz ani razu mi nie towarzyszył. Samotna kobieta nigdy nie jest podejrzana. Pewnego razu, nad Jeziorem Bodeńskim, policja wzięła mnie na spytki. Zmierzałam wtedy do Szwajcarii. Na szczęście zachowałam spokój i nie przeszukali mi bagażu.

Nie pojmowałam, czemu Elsie tak długo trzymała to w tajemnicy. Przecież oszukiwanie nazistów uznawano za bohaterstwo.

– Znam Elsie i Freddy’ego całe swoje życie – powiedział Frank tydzień później w Melbourne – a mimo to nic o nich nie wiem. Na przykład gdzie pracuje Freddy. Ty wiesz?

– Nie pozwól, żeby Frank ciągnął cię wszędzie za sobą, jeśli nie masz na to ochoty – ostrzegła mnie Elsie. – A jak będzie za ciekawski, powiedz mu po prostu, że nie życzysz sobie takiego wścibstwa.

Nie wierzyłem, że w jej powściągliwości kryło się coś złowrogiego. To prawda, że mnie zapewniała, iż mogę ją o wszystko zapytać, ale przeceniała własną pamięć. Wspomnienia pojawiały się nagle i trwały chwilę jak błyskawica na czarnoatramentowym niebie. Rozjaśniały się jedynie kontury przeszłości, powiązania zaś wątków pozostawały niewidoczne.

Poza tym siostrzeniec Elsie potwierdził, że ciotka z synem są powściągliwi.

– Chociaż Durrowie i Fröhlichowie od 1935 roku wszystko robili razem – mówił Frank – Fritz i Elsie nigdy nie chcieli z nami zamieszkać. Nie twierdzą, że celowo się izolują, ale dali do zrozumienia, że nade wszystko cenią sobie swoją prywatność.

Frustracja Franka niewiele miała wspólnego z niezdrową ciekawością. Dla niego każdy członek rodziny należał do ścisłego kręgu wtajemniczonych, w którym wspólnie i szczerze można wyłożyć problemy kawa na ławę. Dlatego nie rozumiał, czemu jego ciotka i kuzyn mają tajemnice. Rodzina jest od tego, by sobie pomagać. Jego rozczarowanie tylko się powiększało, ponieważ on sam nie miał żadnych skrępowań w powiadamianiu krewnych o swych najbardziej osobistych doznaniach. Wymiana poufności uwalniała go z jego wyizolowania. Sam to przyznawał.

– Muszę być otoczony ludźmi – mówił. – Nigdy nie chodzę sam do kina ani na przedstawienia operowe. Na dany sezon operowy kupuję dwa abonamenty. Zawsze znajduje się ktoś, kto do mnie dołącza.

Jego potrzeba towarzystwa kiedyś sprowokowała moją gafę. Frank zwierzył mi się, że kilka razy w życiu miał okresy depresji. Po rozwodzie. Po niedawnej podróży do Europy, kiedy po raz ostatni spotkał się ze swoją rodziną w Belgii i w Anglii.

– Mam nadzieję, że po twoim wyjeździe znowu nie dopadnie mnie melancholia – zauważył. – Tak bardzo przypominasz mi swoich rodziców, a wiesz, jak bardzo są mi bliscy.

Pewnego wieczoru wcisnął mi do rąk lokalną gazetkę reklamową.

– Zajrzyj no do rubryki ogłoszeń – zaśmiał się. – Może znajdziesz tam kobietę swoich marzeń. Będziesz mógł wtedy tutaj zostać i zamieszkać.

Żart ten tyczył się jego przyjaciółki, która tego ranka podczas przyjęcia z okazji ceremonii bar micwy w synagodze między dwoma kęsami marynowanego śledzia à la Bismarck zapytała mnie bez ogródek, dlaczego nie mam żony.

Udzieliłem opryskliwej, wymijającej odpowiedzi, natychmiast się odwróciłem i złożyłem gratulacje Danielowi, trzynastoletniemu solenizantowi. Powiedziałem mu, że specjalnie dla niego przyjechałem z Antwerpii. Frank dostrzegł moje rozdrażnienie i gazetką z ogłoszeniami chciał mi jeszcze bardziej dokuczyć.

– Taka rubryka jest dla desperatów – rzuciłem mu na to – ludzi, którzy są tak samotni, że za grosz nie mają poczucia wstydu.

Moim okrutnym słowem natychmiast została wymierzona kara.

– Odkąd się rozwiodłem, wiele kobiet poznałem za pośrednictwem tych ogłoszeń – spokojnie wypowiedział Frank.

Jego uprzejmość była jednym z jego atutów. Potrafił nadzwyczajnie czarować. Sprzedawczynie, kelnerzy, recepcjonistki i urzędniczki w banku, wszyscy bez wyjątku ulegali czarowi jego ujmującego uśmiechu. Nigdy nie widziałem go tracącego cierpliwość. Osiągał wszystko, na czym mu zależało. Choć ów grzeczny upór rozwinął w sobie, kiedy musiał wykazywać się przyjaznym wobec klienta zachowaniem najpierw jako agent nieruchomości, a potem asystent aptekarza, to jednak kierowała nim również jego własna nieustępliwość. Bycie miłym uznał za najlepszą taktykę, by osiągnąć swój cel.

– Frank został rozpieszczony przez swoich rodziców – zapewnił mnie w Boliwii Wolfgang. Być może odgrywał się na swoim australijskim kuzynie. Ten parę lat wcześniej złożył mu parotygodniową wizytę, która przebiegła w wielkim napięciu i wywołała nieporozumienia.

Frank cierpiał na cukrzycę i miał parę innych dolegliwości, które doprowadziły do tego, że słabo widział, miał trudności z poruszaniem się i szybko się męczył. Do zwalczania swej choroby podchodził z takim samym zapałem jak do ludzi, od których chciał coś uzyskać. Frank ani na cal nie ustępował przed kłodami, jakie jego cukrzyca rzucała mu pod nogi. Miał samochód (to pojazdy z naprzeciwka zjeżdżały mu z drogi) i nie przestawał podróżować z uporem po cały świat. Co miesiąc napełniał podzielone na przegródki pudełko tuzinem pigułek i tabletek.

– Posortowanie lekarstw i położenie ich na właściwe miejsce zajmuje mi godzinę – poskarżył się. Tylko z tego powodu oczekiwał dla siebie odrobiny współczucia.

O problemach ze swoją byłą żoną i trójką dzieci rozmyślał z równym stoicyzmem. Już pierwszego wieczoru poinformował mnie o kłótni z najmłodszym synem. W pierwszej chwili poczułem się bezsilny, a nawet wykorzystany. Pięć minut wcześniej byłem dalekim kuzynem, a teraz nagle zostałem wciągnięty do intymnego świata Franka i zmuszony do formułowania opinii i udzielania rad na temat spraw, o których nie miałem pojęcia. Później zrozumiałem, że był bezradny i strasznie cierpiał z powodu zerwania ze swoim synem. Mimo to usiłował po stoicku przeanalizować przyczynę kłótni.

Nie zawsze potrafił zachować zimną krew. Czasem ujawniał się w nim wrażliwy, zdesperowany ojciec, który nie rozumie, że jego dziecko go odrzuciło.

„Słyszę od swoich przyjaciół, że członkowie rodzin często żywią do siebie urazę – napisała jego córka, kiedy już wróciłem do Europy. – Do takich sytuacji dochodzi częściej, niż nam się zdaje”.

Jej słowa nie zapowiadały niczego dobrego. Czy pogodziła się już z nieuniknionym? Mimo to byłem pewien, że jej ojciec nie porzuci nadziei na pogodzenie się z synem.

Jeden jedyny raz zobaczyłem, jak mój kuzyn wybucha płaczem. W tamtej chwili nie był ojcem, ale synem, a my staliśmy w przejmującym wietrze, ociekając deszczem, nad grobem jego rodziców. Nieoczekiwanie się rozplakał.

– Dlaczego mój ojciec tak wcześnie zmarł? – szlochał.

– Twój ojciec zrobił tyle dobrego – pocieszałem go, obejmując ramieniem. Był nieutulony w smutku. Dwaj mężczyźni, którzy trochę dalej kopali grób, przestali na chwilę pracować i pełni odrazy przyglądali się staremu człowiekowi.

Frank miał dwadzieścia pięć lat, kiedy jego pięćdziesięciosiedmioletni ojciec zmarł na atak serca. Jak większość dzieci, również i Frank, będąc w tym wieku, nie bardzo się postarał, by bliżej poznać swojego ojca. Poza tym właśnie wrócił z dwuletniego pobytu w Anglii.

– Nigdy nie doceniałem tych napięć, na jakie był narażony ojciec, odkąd uciekliśmy z Breslau – przyznał Frank. – Jako mały chłopiec także oczywiście nic nie zauważałem. W Pradze czułem się jak król życia. W tamtejszej szkole szybko nauczyłem się czeskiego, a jak do domu przychodzili przedsiębiorcy, wolno mi było występować w charakterze tłumacza ustnego. Już lata poprzedzające wojnę musiały być dla ojca bardzo stresujące. Te ciągłe przeprowadzki, jego strach, że wojna wybuchnie, zanim opuścimy Europę. Ciągłe jeszcze pamiętam, jak w Londynie codziennie staliśmy w kolejce do niemieckiej ambasady, na Woburn Place.

Z dokumentów wynika, że Erich pomógł większej liczbie ludzi, niż podejrzewał jego syn.

We wrześniu 1938 roku, kiedy Hitler wysunął roszczenia do Kraju Sudeckiego, ojciec Ericha pospieszył z Londynu do Terezina (Theresienstadt). W tym miasteczku w północnych Czechach, epicentrum zawirowania politycznego, po wyjeździe z Niemiec osiadła matka Ericha. Helene została przewieziona w bezpieczne miejsce w ostatniej chwili przed wkroczeniem niemieckich oddziałów do Kraju Sudeckiego. Erichowi udało się załatwić dla matki wizę do Stanów Zjednoczonych, a kiedy wraz z rodziną dotarł do Melbourne, sprowadził matkę do Australii. Mieszkała u niego do śmierci w 1951 roku.

Erich troszczył się również o los swoich teściów. Z chwilą wybuchu wojny Ferdinand Steinmetz uciekł ze swoją drugą żoną Margarethe Kohn przez Francję

do Hiszpanii. Kiedy jego zięć dowiedział się, że para została aresztowana i osadzona, przekonał władze hiszpańskie, że Steinmetzowie posiadają wizy do Stanów Zjednoczonych. Plan się jednak nie powiódł. Ferdinand, który nie wiedział o zamiarach zięcia, zdążył przekupić strażnika więziennego i uciec z żoną. Krótko potem parę złapano. Hiszpanię opuścili dopiero po wojnie. Oczywiście to Erich opłacił przeprawę do Nowego Jorku i zatroszczył się o to, by mogli ułożyć sobie życie w tym mieście.

W zielonym notatniku, do którego Frank nigdy wcześniej nie zaglądał, znaleźliśmy wpisy dotyczące operacji finansowych jego ojca w Londynie w 1939 roku. Erich założył tam handel kamieniami półszlachetnymi z biurem na Hatton Garden, ulicy, przy której interesy prowadziła większość hurtowników biżuterią. Poza szczegółami dotyczącymi sprzedaży Erich pieczołowicie notował również, którego członka rodziny czy znajomego wsparł pieniądze. Najwyższe sumy otrzymali moi dziadkowie. Erich nie tylko zapłacił tysiąc funtów szterlingów za ich wizy, ale wcisnął im jeszcze dodatkowe sto funtów, dość pokaźną sumę, z przeznaczeniem na pierwsze miesiące życia w Palestynie. „Odzyskać od Felixa” – zapisał Erich obok kwoty. Wątpię, czy rzeczywiście traktował te sto funtów jako pożyczkę. Na pewno świetnie wiedział, że jego siostrę i szwagra miały czekać ciężkie czasy. Prawdopodobnie chciał im oszczędzić wyrzutów sumienia i przystał na prośbę moich dziadków, by te pieniądze im pożyczyć. Erich nie zapomniał nawet o moim ojcu, wówczas szesnastoletnim pomocniku stolarza w Cheltenham. Co miesiąc słał mu dziesięć szylingów kieszonkowego.

– Oczywiście, że mój ojciec był majętnym biznesmenem – przyznał Frank. – Nie musiał nikomu pomagać, tymczasem bez wahania wykorzystał na to część swojej fortuny. Z początku nie wiodło nam się tutaj jak po maśle. Do tego babcia się do nas wprowadziła. Na szczęście ojciec potrafił temu podołać. Razem z niejakim Baumem założyli fabrykę zabawek. Baum projektował zabawki, moi rodzice realizowali jego plany. Całymi dniami siedzieli, piłując, klejąc i pakując figurki. Tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy dostali już zamówienia, spłonął ich magazyn z drewnem. Mój ojciec chciał jeszcze szukać nowego dostawcy drewna, pracować choćby w nocy, ale jego partner dał za wygraną. To był koniec firmy Durra and Baum. Ojciec tak bardzo wzięł sobie do serca całą tę sprawę, że krótko potem dostał pierwszego zawału serca. Kiedy wydobrzeł, został agentem nieruchomości. Żałował, że jego wspólnik w taki głupi sposób zaprzepścił interes. Baum miał talent. Robili drewniane koniki na kółkach, które ciągnęło się na sznurku. Czegoś takiego dzieci w Melbourne, a pewnie i w całej Australii jeszcze nigdy nie widziały! Szkoda, że Baum i jego żona byli tacy leniwi.

Na zdjęciach, na których pozował Erich, można było dojrzeć spadek jego fizycznej formy. Podobnie jak jego siostra Else, a moja babcia, Erich nigdy się nie śmiał. Pozostał poważnym, sumiennym żołnierzem Wielkiej Wojny. W Karlowych

Warach (Karlsbad) stapał dziarsko główną ulicą kurortu w pięknym trzyczęściowym garniturze i fedorze na głowie. Na tarasie z widokiem na Motławę i starówkę Pragi zdawał się być jedyną osobą z całego towarzystwa obejmującego jego żonę z synkiem oraz paru przyjaciół i znajomych, która się nie bawi. W jego oczach zagnieździło się zmęczenie i niepewność. W Australii zupełnie zgasło jego jasne wejrzenie. Stał pod ścianą z lekko pochylonymi ramionami, z rękami pogrzebanymi w kieszeniach ciemnego płaszcza przeciwdeszczowego. Śmiertelnie zmęczony człowiek, który nie wstydził się pokazać, że wysoko licytował i stracił.

Przez trzy tygodnie Frank i ja przemierzaliśmy okolice Melbourne. Czasami wypuszczaliśmy się z domu na parę dni. Posuwając się Great Ocean Road z jej spektakularnymi widokami na morze, zajrzeliśmy do Port Fairy, by potem ruszyć w głąb lądu, do Grampians. Odwiedziliśmy Maldon i Bendigo, które powstały w zeszłym wieku pod wpływem gorączki złota, a bogacze wybudowali tam banki i hotele w rozbuchanym, wiktoriańskim stylu.

Ze wszystkich miejsc Frank najbardziej kochał Gippsland.

– Prawda, że przypomina Anglię? – zapytał, kiedy sunęliśmy pięćdziesiąt kilometrów na godzinę przez soczystozielony krajobraz pagórków. Frank był anglofilem. Jego miłość do Anglii była czymś więcej niż pasją turysty. Przed wojną Anglia przyjęła jego rodzinę. Za swego pobytu w Golders Green, spokojnej żydowskiej dzielnicy w północno-wschodnim Londynie, pozostały mu tylko miłe wspomnienia. W 1952 roku ponownie pojechał do Londynu. Pracował tam dwa lata, a w wolnym czasie odkrywał wieś. Również u swych londyńskich wujków i cioć czuł się jak u siebie w domu.

Być może jego anglofilia w największym stopniu wynikała z tego, że mój ojciec miał brytyjskie obywatelstwo.

– Twoi rodzice są moimi najdroższymi krewnymi – powtarzał z regularnością metronomu.

Frank nie był republikaninem. Jak dla niego, *Union Jack*, flaga Wielkiej Brytanii, na zawsze mogła widnieć w australijskiej fladze.

– Tak długo, jak *Queen* pozostanie głową naszego państwa – mawiał sarkastycznie – o jednego skorumpowanego polityka mniej.

Mimo to mój daleki kuzyn czuł się prawdziwym Australijczykiem. Pokazywał mi swój kraj niczym jego dumny właściciel. Niemieckie pochodzenie przestało odgrywać rolę, choć wciąż mówił perfekcyjnie po niemiecku.

Jedynie jego żydowskie korzenie komplikowały sprawę. Powiedział, że kiedy w czasie wojny został posłany do katolickiej szkoły, dzieci go szykanowały, bo był Żydem. Prawdopodobnie wyśmiewano się z niego, bo był otyły i nosił okulary. Na zdjęciu z tamtego okresu ubrany był w mundurek szkolny. W czapeczce, opiętej bluzie i krótkich spodenkach, spod których nogawek wyciskały się grube nóżki, musiał być idealną ofiarą złośliwości. Od tamtej pory antysemityzm nie dał mu się we znaki. Ostatnimi czasy kilkoro australijskich polityków próbuje wywołać nastroje antyżydowskie, ale nikt nie zwraca na nich uwagi.

Frank chodził co szabat do synagogi. Pewnego razu udaliśmy się tam razem. Znał w niej wszystkich, ponieważ od dawna był w niej kantorem, zostałem więc przedstawiony czterem kobietom w garsonkach *haute couture* oraz drogich

kapeluszach i trzem rabinom. Dwóch z nich w czasie nabożeństwa w rozbijający sposób komentowało kilka zdań z Tory. Rzucali sobie nawzajem wyzwanie, który z nich możliwie jak najdokładniejszej zinterpretuje tekst. Mój kuzyn nazywał tę dwójkę *Heckle and Jeckle*^[55].

– Wiedzą, że tak ich nazywam – śmiał się. – To komplement z mojej strony.

W synagodze wiele śpiewano, a pieśni intonował kantor męski oraz żeński, grano także na organach. Wyrostek, dla którego przyleciałem z Belgii, bez żadnych incydentów przyjął bar micwę, a na końcu wspomniano zmarłych w modlitwie oraz wyczytaniu ich imion. Na ten tydzień przypadała również *jorcajt*, czyli rocznica śmierci, Franka matki. Erna zmarła sześć lat wcześniej. Zanim wyruszyliśmy do synagogi, mój kuzyn zapalił „jorcajtową” świecę i umieścił ją w wannie.

– To zwyczaj żydowski? – zapytałem zaskoczony.

– Nie – odpowiedział – ale kiedyś zapaliliśmy świeczki za babcię, a kiedy wieczorem poszliśmy do kina, sąsiedzi w panice zadzwonili po straż pożarną, bo zobaczyli płomień w naszym salonie. Myśleli, że dom się pali. Od tej pory stawiamy świeczki w łazience.

Frank niewiele opowiadał o swoich rodzicach. Absolutnie uwielbiał Ernę. Tak jak Elsie była silną kobietą. Pogodna i uśmiechnięta, obdarzała otaczających ją ludzi uwagą. Była przenikliwą osobą i nie wahała się mówić prawdy prosto w oczy. Poznałem jej cechy, kiedy podczas swej pierwszej podróży do Europy zatrzymała się u nas na tydzień. Miałem szesnaście lat i pisałem młodzieńcze wiersze. Była moją pierwszą czytelniczką i recenzentką. Fakt, iż pokazałem jej teksty, których nikomu innemu nie ośmieliłbym się pokazać, świadczy o tym, jak dobrze potrafiła mnie sobie zjednać.

– Dlaczego piszesz takie mroczne wiersze? – zapytała mnie przerażona. Jeśli o mnie chodzi, nie zdawałem sobie sprawy z jakiegokolwiek literackiego pesymizmu. – Jesteś o wiele za młody, by życie widzieć w czarnych kolorach – skwitowała.

Mój daleki kuzyn otrzymał od swoich rodziców jednocześnie burżuazyjne i liberalne wychowanie.

– *Franz, don't!* – zwracała się matka do syna, gdy ten puścił bąka. – *The neighbours will hear you*^[56].

Albo:

– *Franzl, bitte, so nah zum Sabbat!*^[57]

Dobre maniery nie wykluczały szerokich horyzontów. Sam Frank głosował na konserwatystów, jednak jego poglądy polityczne nie odgrywały roli w doborze przyjaciół. Jedną z nich, kobieta w wieku Franka, należała do elity politycznie krytycznych Melburnians. Co roku przywiązywała się do drzew w Albert Park, by protestować przeciwko wyścigom Grand Prix Formuły 1, a w intencji pokoju w świecie spała w namiotach na błotnistych polach. Spośród wszystkich tych,

którym zostałem przedstawiony, była jedyną osobą z biblioteką pełną klasyków literatury i prac poświęconych polityce i filozofii.

Frank nie zamykał się również w wąskim żydowskim gronie. Religia była prywatną sprawą i nie miała nic wspólnego z przymiotami czy wadami danej osoby. Jego aktualną przyjaciółką była irlandzka katoliczka, córka jednego z najbliższych znajomych, protestanckiego pastora, który wyjechał na Daleki Wschód z misją ewangelizacyjną. Na poziomie etyki Frank był bardziej tolerancyjny niż przeciętny Australijczyk, który lubi uchodzić za chojraka i zbyt często daje upust swej niechęci wobec tych, którzy odbiegają od normy. Frank żywił jednak uprzedzenia do najnowszych imigrantów z południowo-wschodniej Azji. Nie był jedynym, który obawiał się, że kraj niepostrzeżenie zaanektują kelnerzy z Hongkongu czy gracze w golfa z Tokio.

Naprawdę ekstremalne wypowiedzi na ten temat miał Jimmy, partner byłej żony Franka.

– Chińczycy i Japończycy wykupują nam kraj – wyrażał się pogardliwie. – Jeszcze dziesięć lat, a będzie tutaj żyło więcej żółtych niż białych.

Jimmy był agentem nieruchomości i Żydem. Nieustannie mnie zaskakuje, jak ludzie, którzy sami przeżyli prześladowania, potrzebują nowych wrogów. W 1940 roku Jimmy wraz ze swoim ojcem uciekł z Schneidemühl na Pomorzu. Jego braciszek utonął w rzece, a reszta rodziny zginęła w Auschwitz. Złość i zgorzknienie Jimmy'ego były tak wielkie, że nie zamierzał więcej postawić stopy w Europie. A mimo to taki typ ludzi zapomina, że sam był kiedyś imigrantem. I czemu biali Australijczycy utyskują na inwazję Azjatów, skoro sami kiedyś wszystko odebrali i zniszczyli tubylczym Aborygenom? Jimmy chwalił jednak Melbourne za szeroką gamę etnicznych restauracji.

– Są tu całe ulice z wyłącznie chińskimi albo wietnamskimi knajpkami – mówił dumny. – A przy takiej konkurencji zawsze jest tanio.

Spośród dzieci Franka dobrze poznałem tylko jego córkę Sue. Ralpha naturalnie nie spotkałem, a Ricky'ego tylko raz. W połowie mojego pobytu w Australii wrócił właśnie z czteromiesięcznej podróży poślubnej i zaprzętały go z żoną Helen inne sprawy. Czekają ich urządzenie domu; Helen chciała natychmiast otworzyć po przerwie swój salon fryzjerski, a Ricky miał dużo pracy na komisariacie policji, gdzie od przeszło dziesięciu lat był brygadierem.

Z Sue natychmiast znaleźliśmy wspólny język. Była wesołkiem i miała duże poczucie humoru tak jak Ricky oraz ich ojciec. U niej wyrażało się ono często w autoironii. Ponieważ uważała się za nieatrakcyjną, dane jej było przełknąć sporo porażek w relacjach z mężczyznami, a do tego od lat borykała się z bolesnym zapaleniem błony naczyniowej oczu, swój pech zwalczała lakoniczną kpina z samej siebie. Miała niepokonywany apetyt na życie i bezinteresownie troszczyła się o krewnych i przyjaciół. W konflikcie między Frankiem a Ralphem była jedyną

pośredniczką, której zaufały obie strony. Sue kochała życie i wyrabiała nadgodziny w aptece, by móc sobie pozwolić na podróże i wyjścia z przyjaciółmi. W przeciwieństwie do swojego ojca chętnie wydawała pieniądze.

– Właściwie powinnam oszczędzać na swoją emeryturę – mówiła – ale cóż, myślę, że w wieku sześćdziesięciu pięciu lat będzie już za późno, by korzystać z własnej kasy.

W wieczór poprzedzający mój powrót do Europy przyszła do Franka, by się ze mną pożegnać. Siedzieliśmy w salonie, ojciec zajmował swój ulubiony fotel, Sue i ja – kanapę. Pożegnanie zajęło trzy godziny. Po raz pierwszy widziałem ją poważną; udało jej się utrzymać w ryzach swoje naturalne rozgorączkowanie. Najpierw wylała z siebie frustrację na swojego szefa. Choć była najlepszą sprzedawczynią, opłacał ją gorzej, niż powinien.

– Zagroziłam, że odejdę – zrzędziła – ale facet do tego stopnia nie ma kręgosłupa, że wolał się zmyć, niż wejść ze mną w spór.

– Za szybko szufladkujesz ludzi na złych i dobrych – stwierdził jej ojciec. – *The leader of the opposition* to ty. Moja mama też tak o mnie mówiła – dodał pojednawczym tonem.

– Pamiętasz jeszcze tę awanturę z tamtym ortodoksyjnym rabinem z Sydney? – zapytała Sue zapalczywie. – Miałam jakieś dwanaście lat i strasznie się zezłościłam, bo w czasie kazania zaczął atakować gojów. To było skandaliczne! Przytrzymaliście mnie wtedy w ławce i kazaliście siedzieć cicho. Nie rozumiem takiego zachowania i do tej pory ciągle się we mnie gotuje na tamto wspomnienie.

Tak się złożyło, że Frank musiał wypełnić formularz w spisie ludności. Kilka pytań dotyczyło obecności ewentualnych lokatorów i pomimo moich protestów („Przecież jutro wracam do Belgii, Frank!”) mój kuzyn uparł się na skrupulatne podanie wszystkich danych. Sue wyraziła zastrzeżenia co do poufnych pytań spisu ludności.

– Chyba nie myślisz, że *Big Brother* zamierza kontrolować twoje życie? – zapytał jej ojciec kpiąco.

– Nie – odpowiedziała niewzruszenie Sue. – Uważam tylko, że zadają pytania na temat spraw, które ich nie dotyczą. Przy pytaniu, jaką religię wyznajesz, napisałeś oczywiście „żydowską”.

– Tak, oczywiście – odpowiedział Frank.

– Bo też jesteś żydem – ciągnęła Sue – ale państwo nie musi wścibiać do tego swojego nosa. Ja wypełniłam „bez wyznania”, a gdybym była buddystką czy ateistką tak samo bym zaznaczyła. A poza tym, co to znaczy „żyd”? Mój pierwszy ząb mleczny mi wypadł, kiedy jadłam kanapkę z szynką, pamiętasz? Moje przeżywanie religii to moja sprawa, nikomu nic do tego. Jakbym temu rabinowi z Sydney powiedziała, że jem boczek, natychmiast by mnie ekskomunikował. Miałabym się z tego powodu w mniejszym stopniu czuć żydówką? A w ogóle to

u żydów istnieje ekskomunika?

Sue, Ricky i Ralph prawie nigdy nie chodzili do synagogi. Ich ojciec ubolewał nad tym. W życiu dziadków i rodziców Franka Bóg był obecny na porządku dziennym. Wychwalali go, gdy mieli za co dziękować, a przy tragediach powierzali się jego miłosierdziu. Z bycia żydami wynikało dla nich tyle samo obowiązków, co przywilejów. Dlatego udzielenie pomocy bliźniemu w potrzebie nie stanowiło niedogodności, ale było źródłem radości i świadczyło o czyimś dobru.

Choć Frank został wychowany w takiej tradycji, swoją religię wyznawał w bardziej dyskretny i trzeźwy sposób.

– Reguły koszerne pojawiły się trzy tysiące lat temu, kiedy higienę dopiero trzeba było wynaleźć – filozofował. – Świat posuwa się do przodu i religia musi postępować jego śladem. Uwielbiam małże, a małże uwielbiają mnie. Co w tym złego?

Bycie sprawiedliwym przydawało człowiekowi równowagi. Mój daleki kuzyn szczyił się swoimi zasługami kantora synagogi, a także swoją działalnością charytatywną. Raz na tydzień pomagał w wydawaniu *Meals on Wheels*, „posiłków na kółkach” przez Diabetes Society, a kilka razy w tygodniu siadał za kierownicą rządowego busika i z garstką członków ruszał na wycieczkę. Był również Justice of the Peace, sędzią pokoju. W każdej chwili dnia i nocy mógł zostać wezwany do rozstrzygania w drobnych sporach w okolicy.

– Jedynie szacowni obywatele mogą zostać sędziami pokoju – mawiał bez ironii.

Frank potrafił czarować nie tylko personel sklepu, posiadał też dar rozbijania przyjaciół. Uważnie ich słuchał, opowiadał dowcipy i udawało mu się rozpromienić najkwaśniejsze oblicza. Wzruszające były jego odwiedziny u Lil, starowinki, która przez długie lata pracowała jako gosposia u jego rodziców, a obecnie przebywała w domu opieki.

– Lil to dla mnie druga matka – opowiadał, kiedy zmierzaliśmy do tej placówki. – Właściwie jesteśmy jej jedyną rodziną. Jej własne dzieci i wnuki ledwie się nią interesują. Często przyjeżdżamy do niej z Sue.

Lil siedziała w swoim pokoju w specjalnym krześle i patrzyła przed siebie smętnie. Kiedy ujrzała Franka, natychmiast się ożywiła. Zostałem jej przedstawiony, mój kuzyn usiadł na jej łóżku i Lil przez pół godziny opowiadała z werwą o krykocie i nowym kocu, który wydziergała, oraz o licznych złotych medalach zdobytych przez Australijczyków w czasie igrzysk olimpijskich w Atlancie. Frank był starym, oddanym przyjacielem rodziny. Lubił się z nią droczyć i flirtować.

– A zostaw ty mnie w spokoju – żartowała. – Siostra Mary powiedziała, że za godzinę Kathy Freeman biegnie w finale. Widziałeś już mój nowy telewizor?

Cieężko było nam się pożegnać, jakby to nam ta tryskająca życiem, odważna staruszka miała poprawiać nastrój.

Frank nigdy nie zachowywał się jak przedstawiciel narodu wybranego. Frank potrzebował ludzi. Całe jego życie koncentrowało się wokół tego. Hołubił tę potrzebę i poza tym niewiele innych spraw go interesowało. Ze wszystkich dziedzin sztuki kochał tylko muzykę. W szczególności poruszała go religijna muzyka żydowska. W drodze do Bendigo, w którym kiedyś bandy pijanych poszukiwaczy złota wywoływały burdy, a teraz wzdłuż ich szulerni i banków podskakiwał staroświecki tramwaik turystyczny, słuchaliśmy przez radio historycznego nagrania z 1928 roku. Słynny tenor Joseph Schmidt przy akompaniamencie chóru i organów synagogi reformowanej z Berlina prezentował dzieła między innymi Louisa Lewandowskiego. W samochodzie przez długi czas panowała cisza. Frank, kiedy indziej taki gadatliwy, teraz miał łzy w oczach.

Inne przyjemności w zupełności do niego nie przemawiały. Kawalek polskiej kiełbasy lepiej mu smakował niż najbardziej wyszukane specjały, zaś jego pokój dzienny zapełniały kiczowate pamiątki z podróży po świecie, podczas gdy w wejściu stało na podłodze kilka ekspresjonistycznych szkiców ołówkiem przywiezionych przez jego rodziców z Breslau, żeby zostać zabrane przez pierwszego lepszego bukinistę.

W sklepie z antykami w Daylesford, jednym z miasteczek Golden Triangle, moją uwagę przykuł secesyjny serwis do herbaty. Był chlubą i ozdobą sklepu. Weszliśmy do środka, by zapytać o cenę. Frank zbladł, kiedy dowiedział się, że serwis kosztuje dwa tysiące dolarów australijskich (około tysiąc dwieście pięćdziesiąt euro).

– Tyle pieniędzy za taki kicz – szepnął. – Za darmo bym tego nie wziął.

W jego głosie nie brzmiał wyrzut. Nie brał mi za złe, że zatrzymałem się w podziwie przed pomalowanym na jaskrawe kolory imbrykiem.

Ludzie stanowili dla Franka jedyną miarę. Swoje bogactwo inwestował w rodzinę i przyjaciół. Mimo iż religia odgrywała w tym bląhą rolę, odetchnął z ulgą, kiedy dowiedział się, że jego przyszła synowa przeszła na judaizm, aby wyjść za Ricky'ego. Sam Ricky nigdy nie opowiadał o swoim żydostwie, a o rytuale inicjacyjnym jako nowy członek loży masońskiej – owszem. Ricky i Helen kojarzyli mi się z katolicką parą, która może i wzięła ślub kościelny, ochrzciła swoje dzieci, a członkom rodziny zorganizowała kościelny pochówek, poza tym jednak wszystkie reguły i przykazy wiary były jej zupełnie obojętne.

Frank żałował, że jego dzieci straciły więź z żydowską kulturą i historią. Czy kiedyś były w Muzeum Holocaustu w Melbourne? Wiedziały, czego doświadczyli ich dziadkowie w Breslau? Do Muzeum chodziło się z wycieczką szkolną, Niemcy oznaczały kraj na drugim końcu świata, do którego jeździło się na wakacje. Wydarzenia, o których pisano w podręcznikach historii, były udziałem ich

rodziców. Tragedia europejskich Żydów była już tylko odległym krzykiem strachu, którego echo z każdym rokiem stawało się coraz słabsze.

W Sydney dowiedziałem się, jak wspomnienia „nocy kryształowej” na zawsze nadszarpane wiary w dobro człowieka Wolfganga Silbersteina, przyjaciela Franka. Rodzice Wolfganga byli właścicielami butików z konfekcją na Charlottenburg w Berlinie. 9 listopada 1938 roku naziści wybili szyby w ich sklepie. Kiedy Wolfgang z bratem następnego dnia rano sprząkali odłamki szkła, zostali obrzuceni potokiem inwektyw przez innych berlińczyków. „Właśnie na to zasłużyłeś, Żydzie” – wołali jedni, a inni zatrzymywali się, by szydzić.

– Każdy z nas został w ten sposób poniżony, każdy ma takie wspomnienia – powiedział Wolfgang.

Również Frank, który nic już nie pamięta z Breslau, pozostał przewrażliwiony na majaki życia pod nazistami. Kiedy w latach pięćdziesiątych podróżował po Niemczech, grupka śpiewających i maszerujących przez malownicze Bacharach nad Renem chłopców napędziła mu takiego strachu, że aż skamieniał.

– Przestraszyłem się własnej reakcji – opowiadał mój kuzyn. – Nie spodziewałem się, że garstka młodych ludzi idących marszowym krokiem może przyprawić mnie o takie dreszcze strachu.

Lęk ten przerodził się we wściekłość, kiedy nazajutrz jakiś mężczyzna podwiózł go mercedesem. Frank podał się za australijskiego studenta i twierdził, że niemieckiego nauczył się w szkole. Po drodze kierowca wynosił pod niebiosa reżim Hitlera. Führer tyle dobrego zrobił dla Niemiec, a przede wszystkim dał naukę tym *verfluchten Juden*, przeklętym Żydom. W pewnej chwili Frank o mało się nie zdradził.

– Jak to możliwe, że znasz tyle śląskich wyrażań? – zapytał zdumiony kierowca.

– Mój nauczyciel niemieckiego pochodził z Breslau – odpowiedział przytomnie Frank. Kiedy wysiadał z samochodu, odwrócił się do mężczyzny i syknął:

– *Wissen Sie, ich bin auch einer dieser verfluchten Juden?*^[58]

Nie wiem, czy Żydzi w Australii wciąż wierzą w swoją rolę ofiar. W kraju tym w przeliczeniu na mieszkańców żyje najwięcej ocalałych z obozów koncentracyjnych i zagłady. Garstka z nich jest przewodnikami w żydowskich muzeach. Większość z ocalałych wymieszała się z ludnością miast, nie pozostawiając po sobie śladu.

Młode pokolenie nie potrzebuje już żydowskości, by zyskać poczucie tożsamości.

– Gdy wracam z podróży do Europy lub Ameryki, dopiero wtedy zauważam, jak mamy tutaj dobrze – powiedział mój kuzyn. – Żaden kraj nie może się równać

z Australią. – Nic nie ilustruje tego lepiej, jak nastoletni surferzy na Bondi Beach.

Frank pokazywał mi swój kraj jak ziemianin oprowadzający po swych włościach. Ostatnie resztki kompleksu niższości wmówionego Australijczykom w głównej mierze przez Anglosasów zostały już prawie strawione. Opinia nieokrzęsanych i rozwrzeszczanych kompletnie ich nie obchodziła. Była to nacja, która wielbiła młodość, zuchwałość i wygraną.

Drapacze chmur Sydney ucieleśniały ów żarliwy pęd do przodu. Ciasno, jedno na drugim, górowały nad nadbrzeżem, nad połyskującą wodą, jak lśniące w słońcu lance. U stóp jednej z kolubryn jakiś Aborygen rozbił obóz. Siedział na rozpostartej na ziemi płachcie i grał na *didgeridoo*^[59]. Jego ciało od stóp do głów pomalowane było w białe pasy. Zamknięty pomiędzy lśniącymi ścianami drapaczy chmur stanowił żywą skamielinę, którą morze wyrzuciło na brzeg w przyszłości.

16 marca 1951 roku, w dzień po śmierci mojej babci, jej siostra Edith Adam z La Paz wysłała list do Ericha w Melbourne. List ten minął się z jego listem do Else. Erich w przekonaniu, że ta żyje, napisał do niej 19 marca. Ledwie nadał swój list, wyjął ze skrzynki straszną wiadomość z Ameryki Południowej. Dopiero miesiąc później znalazł siłę, by odpisać Edith.

Frank niewiele miał do powiedzenia na temat samobójstwa mojej babci. Również Elsie okazała się wyjątkowo milcząca. Twierdziła, że Else była melancholijną kobietą i nie stanowiło to tajemnicy rodzinnej.

– Else nie chciała jechać do Palestyny – powiedziała. – Wyjechała wbrew sobie. Może nawet nie zdawała sobie sprawy, że była to jej ostatnia szansa na ucieczkę z Niemiec.

Na tym kończyły się wspomnienia Elsie.

Frank również nie rozwiewał wątpliwości na ten temat. Zapytałem go, czy to prawda, że moja babcia po śmierci swojego męża w 1949 roku chciała się przenieść do nich do Melbourne.

– Nie – odpowiedział. Pokręcił głową i zaczął opowiadać o swoim ojcu.

– Moja babcia strasznie się o Else zamartwiała – ciągnął. – Ojciec nigdy nie zdobył się na to, by wyznać matce prawdę o samobójstwie jej najstarszej córki. Aż do śmierci babci pół roku później moi rodzice czytali jej na głos listy, które jakoby Else wysłała z La Paz. W rzeczywistości ojciec zmieniał tekst. Zdarzało mu się czytać jakiś list na nowo po paru tygodniach, bo pod koniec życia babcia już nic nie zapamiętywała.

Dopiero kiedy w domu wielokrotnie przeczytałem te listy, uświadomiłem sobie, jak ciężko musiało być Frankowi i Edith zając stanowisko w sprawie tego samobójstwa. W 1951 roku wszyscy zainteresowani nękali ich pytaniami o ich zdanie. Elsie i Frank pojechali także do Boliwii i Belgii i wysłuchali zarówno wersji rodziny z La Paz, jak i moich rodziców. Czy głęboko w sercu obrali czyjąś stronę?

Erich Durra był powiernikiem mojej babci. Z jego ostatniego listu wynika, że brat i siostra odsłaniali przed sobą nawzajem wszystkie tajemnice uczuciowe. Ich korespondencja intymna zaczyna się w 1935 roku, kiedy to Erich z rodziną opuścił Breslau. 11 sierpnia tego roku – Durrowie od przeszło miesiąca mieszkali w Pradze – Else napisała do swojej bratowej Erny. Chociaż treść w dużej części dotyczyła śmierci i pogrzebu ciotki Lucie, w liście przeważa lekki i pełen otuchy ton.

„Wiesz sama, droga Erndel, że aby pozostać w zdrowiu, musisz unikać smutku i ekscytacji” – pisała Else. Nie napomknęła ani jednym słowem o własnej żalności, o swoim synku, który zmarł niecały rok wcześniej, ani o sytuacji Żydów

w Niemczech. W żadnym miejscu nie brzmiała naprawdę na zatroskaną. W żaden sposób nie wyrażała rozżalenia, iż nie pojechała za bratem za granicę. Owszem, była u doktora Markusa, bo miała zaburzenia miesiączkowania, ale lekarz ją uspokoił i powiedział, że wywołały je nerwy.

„Duchowo czuję się w miarę dobrze – ciągnęła. – Mam nadzieję, że taki stan się utrzyma”.

Zapełniła pięć stronik nowinkami z życia codziennego. Po pogrzebie zostało sporo ciasta. Werner, mój ojciec, zdrowo rósł. Zaczynał przechodzić mutację!

Babcia wysyłała dwa rodzaje listów. Gawędziarskie, powierzchowne do Erny, poważne i niejednokrotnie bezradne do Ericha. Potrzebowała go. Jej brat chronił jej wrażliwość, udzielał rad i w razie konieczności potrafił przekonać. Rozumiał jej melancholię i czasami udawało mu się wybić jej z głowy myśli samobójcze.

Jej miłość nie mąciła mu oczu. Kiedy rozgoryczona babcia opuściła Belgię w przekonaniu, że jej syn ją zaniedbywał, Erich nie uwierzył w tę uproszczoną analizę. Znał swoją siostrę jak własną kieszeń i wiedział, że jej charakter ma skłonność do załamania, przepędzając przez jej umysł zwiady i strachy.

19 marca 1951 roku w swoim ostatnim liście spróbował któryś raz z rządu przekonać swoją siostrę do tego, by nie traciła wiary w życie. Zsumował wszystkie możliwe argumenty i przedstawił je w tak subtelny sposób, że ze słów tych była zarówno nadzieja, jak i beznadzieja.

„Wiem, droga Else, że już wiele przeszłaś i byłaś rozczarowana pobytem w Belgii. *Aber die Tatsache ist doch, dass der liebe Werner immer so ein gutes Kind war und bestimmt noch ist und ich bin fest überzeugt, dass früher oder später dein Platz bei ihm sein wird*”^[60].

Jednocześnie próbował przemówić Else do rozumu, że powinna brać pod uwagę innych. Unikał posądzania jej o egocentryzm czy zazdrość. Relatywizował za to jej zgorzknienie i zniecierpliwienie. Czy nie rozumiała, że jej syn kochał swoją żonę i to jej ślubował wierność? Wiedziała przecież, ile Żydzi wycierpieli w obozach.

„*Denke an Tante Jettl, wie oft diese der Verzweiflung nah gewesen sein muss*”^[61]. Kiedy człowiek sobie to wszystko uświadomi, nie myśli przecież o popełnieniu samobójstwa”. Henriette Ebstein, ciotka Ericha i Else, przeżyła Theresienstadt i mieszkała w Nowym Jorku.

I dlaczego Else wszędzie czuła się taka nieszczęśliwa? „Wierz mi, ja również nigdy nie poczułem się w Australii zupełnie szczęśliwy – pisał jej brat – Za tyloma rzeczami z Europy tęskniłem. Na początku myślałem, że po wojnie przeprowadzę się do Europy lub Ameryki. Aż pewnego dnia zauważyłem, że czuję się tutaj u siebie”.

W końcu odwoływał się do jej emocjonalnej dojrzałości. Tutaj najdalej

posunął się w swojej krytyce, działając z pozycji starszego brata, który trzepie swoją siostrzyczkę po palcach i piętnuje jej dziecinne uzalanie się na samą sobą.

„Nie jesteś chyba taka głupia, by całą swoją rodzinę pogrążyć w nieutulonym smutku. Tyle osób cię kocha... Wybacz, że ci to mówię, ale powinnaś była zostać u syna i trzymać się na uboczu. Małżeństwo Wenera i Rosy miało dopiero rozkwitnąć”.

Po morałach następowały słowa ukojenia.

„Rozumiem, że po tak długiej rozłące z Wenerem chciałaś mieć syna na własność”.

Dopingujące i rozsądne rady Ericha nie dotarły na czas. Cztery dni przed ich wysłaniem Else odebrała sobie życie.

List Edith do Ericha napisany w dzień po śmierci mojej babci zawiera kilka faktów, których nie wysondowałem w La Paz. Okazało się bowiem, że po połknięciu tabletek nasennych Else żyła jeszcze przez czterdzieści osiem godzin. Tabletki Veronal wzięła w nocy 13 marca 1951 roku. Edith znalazła ją dopiero następnego dnia rano. W szpitalu Else poddano płukaniu żołądka i co godzinę aplikowano jej zastrzyk z serum. Lekarze zaczęli już wierzyć w możliwości przeżycia, gdy jej serce nie wytrzymało. Jak nakazuje rytuał żydowski, moja babcia został pochowana następnego dnia.

„13 listopada zeszłego roku, dokładnie pięć miesięcy temu, Max i ja powitaliśmy ją z wielką radością na lotnisku – pisała Edith. – Już wtedy rzuciło nam się w oczy, że jest nieuleczalnie chora”.

W dzień po tragedii nie było ani śladu po wyrzutach sumienia, które czterdzieści pięć lat później, podczas moich odwiedzin, doprowadziły Edith do łez. Choć moja cioteczna babka przyznała, że jej siostry nie dało się pocieszyć, nawet przy najlepszych chęciach w świecie, w swoim smutku i zakłopotaniu Edith zwróciła się do poszukiwania kozła ofiarnego.

„Werner odnosił się do swojej matki jak obcy. Pisał do niej lodowate listy. Jego matka nie ustawała w błaganiach, by zezwolił jej na powrót. Każdorazowo jej odmawiał”.

Oskarżenia te były zrozumiałe. Edith przez pięć miesięcy przyglądała się bezsilnie temu, jak jej siostra popada w coraz czarniejszą depresję.

Mimo iż brak listów mojej babci do Edith z okresu poprzedzającego wyjazd Else do Boliwii, należy zakładać, że ta odmalowała swój stan psychiczny w samych superlatywach. Za wszelką cenę chciała opuścić Belgię i nie mogła pozwolić sobie na to, by w sercu jej siostry zagnieździła się jakakolwiek wątpliwość. Jeśli prawdą jest, że ich brat odrzucił prośbę Else o przyjęcie jej w Melbourne, La Paz pozostało jej jedynym wyjściem awaryjnym. Nie chciała zaprzepaścić takiej szansy.

Trzy tygodnie po jej samobójstwie Erich wysłał swej siostrze Edith

w Boliwii długi list.

„Nie ma sensu kogokolwiek o to obwiniać – pisał. – I tak nie zmieni to ostatecznego rezultatu”.

Aby zrobić przyjemność Edith, wspierał ją w przekonaniu, że Else zmarła z powodu „złamanego matczynego serca”. Trochę dalej z listu Ericha przebija bardziej sprecyzowane stanowisko.

Dabei war doch Werner immer ein so gutes Kind und als der liebe Felix [mój dziadek] starb, zögerte er doch keinen Augenblick, um seine Mutter sofort zu sich zu nehmen. Das war richtig gehandelt^[62].

Erich przypominał również swojej siostrze, że Else całe życie się zamartwiała i gryzła.

„Jeszcze zanim Else wyjechała do Belgii, miałem przecucie, że nie będzie tam szczęśliwa, choć z początku słała entuzjastyczne listy, pełne pochwał dla swej czarującej synowej”.

Mój samolot do Brukseli odlatywał o świcie. Kiedy pakowałem walizki, rozległ się dzwonek do drzwi. Weszła Sue. Specjalnie wstała wcześniej, żeby jeszcze raz mnie pożegnać. Długo i mocno się obejmowaliśmy, jak przystoi to członkom rodziny, którzy znowu na wiele lat znikną sobie z oczu. Obiecaliśmy do siebie pisać i ściskaliśmy sobie nawzajem dłonie.

Frank ze swoją przyjaciółką zostali przy mnie na lotnisku w Melbourne aż do ostatniego wezwania do wchodzenia na pokład. Najpierw leciałem do Sydney, a w przypadku lotów krajowych pasażerowie mogą być odprowadzani dosłownie aż do trapu maszyny. Frank zrobił ostatnie zdjęcie. Mój kuzyn i ja objęliśmy się niezręcznie. Nasze grube płaszcza chroniły nas przed zbyt krzepkim uściskiem.

Miałem nadzieję, że go sobą nie rozczarowałem. Gdzie tylko się dało, okazywałem swój entuzjazm. Atrakcje turystyczne, *Don Giovanni* w operze, kolacja w restauracji Sofia serwującej świetne, a przede wszystkim w ogromnych ilościach, makarony, spotkania z przyjaciółmi: wszystko stanowiło pretekst, by okazać wdzięczność.

– No i co myślisz o Australii? – mój kuzyn zapytał mnie dzień przed moim odjazdem.

Nie spodziewałem się tego pytania i wymamrotałem jakąś nieskładną odpowiedź. Przełożenie świeżych wrażeń na opinię stanowi niełatwe zadanie. Rozumiałem, dlaczego Frank mnie o to pyta. Poświęcił się dla mnie i dołożył wszelkich starań, by ofiarować mi trzy niezapomniane tygodnie. Potwierdzenie, że jego wysiłki nie poszły na marne, stanowiło minimum, którego oczekiwał od swego gościa. Ja jednak nie potrafiłem wydusić z siebie ani słowa.

Kiedy pasażerowie samolotu z Londynu wchodzili na lotnisko w Filadelfii w stanie Pensylwania, symfonia Dvořáka *Z Nowego Świata* osiągała właśnie swój porywający punkt kulminacyjny. Miałem ściśnięte gardło. Cóż za rewelacyjne powitanie. Czuję się jak imigrant przyjmowany przy dźwiękach hejnału do czasu, gdy zdałem sobie sprawę, że ów fragment muzyczny należy do składanki lekkich klasycznych melodii, która miała wprowadzić pasażerów czekających na odprawę celną w stan katatonii. Funkcjonariusze służb imigracyjnych gruntownie wykonywali swoją pracę. Stałem na samym końcu najdłuższej i najwolniejszej kolejki.

W Filadelfii mieszkał Hans Peritz, trzeci i ostatni kuzyn w prostej linii mojego ojca. Wojnę spędził ze swoim młodszym bratem Güntherem oraz ich matką w Breslau. Hans przeżył Auschwitz, jego matka i brat w nim zginęli. Wiedziałem o nim niewiele więcej. Był jedynym kuzynem, z którym mój ojciec nie korespondował. Kontakt między nimi został przerwany w latach pięćdziesiątych.

Wiadomość o tym, że Hans siedział w Auschwitz, dotarła do moich dziadków w Palestynie, kiedy w 1945 roku otrzymali od niego list. Parę lat później Hans napisał do mojego ojca. Ten mu odpowiedział, lecz następnie zapadła długa cisza. Kiedy zadzwoniłem do Hansa, natychmiast rozwiął mój strach, że nie zechce mieć nic wspólnego z Belgią. Przez pół godziny opowiadał mi z zapałem i bez przymusu o sobie i swojej rodzinie. W mgnieniu oka staliśmy się zaufanymi przyjaciółmi.

– Jesteś żonaty? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałem zakłopotany.

– Leslie, moja druga córka, jest rozwiedziona – odparł. – Ma świetne stanowisko w banku. Może między wami zaiskrzy.

Mój daleki kuzyn mówił całkiem serio. Po rozmowie byłem w euforycznym nastroju. Nawet czekające mnie małżeństwo z jego córką nie zdołało pohamować mojego szczęścia. Słyszałem otwartego i entuzjastycznego mężczyznę, a to dobrze wróżyło.

W listach, które mi następnie przysłał, radził mi, jak najszybciej przylecieć do Filadelfii. Przeszedł atak serca i bał się, że umrze, zanim uda nam się spotkać. „Mam ci wiele do powiedzenia – pisał. – Starczyłoby na książkę”. Czuję ulgę, że chce mówić o Auschwitz. Choć ciekawość aż mnie zżerała, sam nigdy bym go nie zapytał o czas w obozie. Książki o obozach koncentracyjnych i filmy, jak *Shoah* Claude’a Lanzmanna, wywoływały we mnie ambiwalentne uczucia. Podziwiałem sposób, w jaki Lanzmann przepytывał ocalałych. Niektórzy z nich z początku nie chcieli nic powiedzieć, ale Lanzmann nie przestawał spokojnie, bez najmniejszej oznaki zniecierpliwienia nalegać, aż byłym więźniom rozwiązywały się języki.

Były to najbardziej poruszające fragmenty dokumentu. Wiedziałem, że nigdy nie ośmieliłbym się zastosować takich technik prowadzenia wywiadu.

Na szczęście wyglądało na to, że Hans wciąż wiele pamięta z Breslau. Nosił miasto w swoim sercu.

„Dla mnie Breslau wciąż pozostaje moim domem – pisał. – Miasto nie ma nic wspólnego z Republiką Federalną Niemiec. Myśmy na Śląsku byli inni. W Auschwitz wiele razy uratowali mi życie ludzie z Breslau. Jak tylko przyjedziesz, wszystko ci opowiem”.

W 1983 roku jeszcze raz powrócił do Breslau. Obiecał mi pozwolić przeczytać swoją relację z podróży. W ostatnim liście przed moim wylotem opisał swoją wizytę na starym cmentarzu żydowskim w Breslau przy Lohestrasse.

„Jako dziecko co niedzielę wyruszałem z ojcem na cmentarz. Zawsze pokazywał mi grób mojego dziadka Salomona. Rosło przy nim drzewo zasadzone przez jego dzieci. Było to najwyższe drzewo na cmentarzu. Ojciec pokazał mi pięć grubych konarów. Oznaczały pięciu synów Salomona. Jeden z konarów był nieco krótszy, ponieważ jeden z synów, wuj Hermann, zmarł młodo. Kiedy dziesięć lat temu wróciłem do domu [Hans ma na myśli swoją podróż w 1983 roku, od której w rzeczywistości minęło już trzynaście lat], od razu poszedłem na Lohestrasse. Z pomocą stróża odnalazłem grób ojca, a potem poszukałem miejsce pochówku dziadka. Drzewo zniknęło. Kiedy wyprostowaliśmy przewrócony nagrobek, pod stopami wyczułem martwe korzenie. W tym miejscu stało nasze drzewo. Wszystko zniknęło, wszystko zginęło tak jak moja rodzina. Całe wieki żyliśmy na tej ziemi, a teraz leżały w niej tylko martwe korzenie moich krewnych”.

Chociaż w hali przylotów panował wielki ruch, natychmiast podszedł do mnie mężczyzna w czapeczce baseballowej i uściśnął mi dłoń.

– Nie chcieli cię wpuścić? – zapytał szorstkim głosem. Przeprosiłem, że zjawiłem się tak późno. W drodze na parking Hans miał dla mnie złą wiadomość. – Parę tygodni temu lekarze wykryli u mnie złośliwego guza – zwierzył mi się. – Usunęli go w szpitalu. Jak twierdzą.

W swojej czapeczce baseballowej i z rękami nonszalancko w kieszeniach krótkiej, brązowej wiatrówki w żadnym razie nie sprawiał wrażenia zmartwionego. Kiedy opowiadał o swojej chorobie, ja spokojnie mu się przyglądałem. Mój daleki kuzyn był niski i krępy, i nosił wielkie okulary, zza których baczenie obserwowały mnie jego niebieskoszare oczy. Mówił bez amerykańskiego akcentu. Nieoczekiwanie zaczął opowiadać o swoich perypetiach obozowych. Tak mnie to poraziło, że ledwie byłem w stanie go słuchać. Dlaczego nagle poruszył ten temat? Nie byłem na to przygotowany. Oczekiwałem, że od razu zarzucę go pytaniami? Przyjechałem tu na dwa tygodnie! Liczyłem na to, że z każdym dniem będziemy się lepiej poznawać i bardziej sobie ufać, i że on będzie sięgał po coraz głębsze wspomnienia z czasów wojny i Holocaustu. Wyjąkałem, że faktycznie przybyłem

do Filadelfii, aby poznać jego historię.

– Wszystkiego ci nie opowiem – wycharczał. – Są rzeczy, o którym nie jestem w stanie opowiadać.

Hans z miejsca określił reguły gry. Poczuję się uspokojony. Nie będzie mógł mi zarzucić niezdrowej ciekawości ani nie będę musiał nim manipulować. Później miało się okazać, jak niewiele zrozumiałem z tych reguł.

Recepcjonistka hotelu zameldowała, że dzwoniła żona Hansa.

– *Mrs. Peritz* się niepokoi, że tak długo pan nie wraca – roześmiała się.

W pokoju hotelowym z łóżkiem o rozmiarach ponadstandardowych, specjalnie dla mnie zarezerwowanym przez kuzyna, natychmiast zatelefonował do Mony.

– Staliśmy w korku, *sweetie* – pocieszał ją. – Nie, nie jechałem przez miasto, ale obwodnica też była zapchana. Tak, Joseph jest tutaj. Już jedziemy. *Bye, babe.*

Kiedy zacząłem rozpakowywać walizkę, Hans opadł na fotel.

– Chyba się polubiliśmy – stwierdził.

– Też mam takie wrażenie. Być może dlatego, że przyleciałem bez żadnych oczekiwań – skłamałem.

– Pamiętasz, jak cię zapytałem przez telefon, czy jesteś żonaty?

– Pewnie, że tak.

– Tak się dziwnie zaśmiałeś, kiedy o to zapytałem.

– Dziwnie?

– Pomyśleliśmy z Moną, że jesteś księdzem.

– Boże broń!

Nie wyglądało na to, że moje szyderstwo go uspokoiło. Czemu nie miałem żony, skoro nie byłem księdzem?

Dom Hansa i Mony leżał przy stromej ulicy w dzielnicy domków jednorodzinnych Filadelfii. Wszystkie posesje wyglądały tak samo: mały ogródek od frontu, betonowy podjazd do garażu znajdującego się na tyłach domu i tarasowy ogród w tyle opadający w stronę rzędu drzew zasadzonych wzdłuż arterii miejskiej. Okolica wyglądała bardzo schludnie. Prawdopodobnie przepisy określały, że jak tylko na stolarce pojawi się rysa, natychmiast należy chwycić za szczotkę. Zresztą Hans rozpoczął swoją korespondencję od wymienienia licznych zajęć w domu i obejściu.

– Masz dwa jaśminy – wykrzyknąłem z podziwem, znalazłszy się w ogrodzie.

– Kupa roboty przy opadłych liściach – burknął Hans.

Mona czekała na nas w wejściu. Pocałowałem ją w oba policzki.

– Zawsze całujecie się dwa razy? – zapytała szelmowsko.

– Właściwie to trzy – odpowiedziałem – a u rodziny w Limburgii nawet cztery.

Mona sprawiła, że ulotniła się resztką pozostałego we mnie napięcia. W jej pomarszczonej twarzy zwracały szczególnie uwagę jej łagodne oczy. Miała dyskretnie uszminowane usta, a rzadkie, siwe włosy rozwiewały się niesfornie we wszystkie strony. Była jeszcze niższa niż Hans i miała na sobie błękitną sportową koszulę z długimi rękawami i brązowe spodnie-pumpy.

Wręczyłem swoje prezenty. Monie – belgijskie pralinki, Hansowi – album fotograficzny o Breslau. Mój kuzyn natychmiast zaczął go przeglądać. Dziecko, które otrzymało wymarzoną zabawkę, nie zareagowałoby z większym entuzjazmem. Mona i ja przyglądaliśmy się zaskoczeni, jak rozemocjonowany Hans opatrywał każde zdjęcie komentarzem. Rozpoznawał budynek lub ulicę na każdej stronie.

Znajdował się na nich wszystkich, a wspomnienia te tak go pochłonęły, że nawet nie zauważył, kiedy jego żona wstała i zaczęła rozkładać jedzenie na stole.

– Nie jesteście głodni? – zapytała.

Hans uniósł głowę.

– *She who must be obeyed has spoken*^[63] – zażartował. Mona wyciągnęła ramię i wskazała na swojego męża.

– *It's he who must be obeyed*^[64] – odparowała z udawaną powagą.

Z początku nasza rozmowa przebiegała w najlepszym nastroju. Hans był głodny i chociaż położył obok siebie album o Breslau, koncentrował się w pierwszym rzędzie na kurzym udku i sałatce warzywnej. Mały telewizor obok stołu jadalnego przez cały czas posiłku nie przestawał jazgotać.

Hans i Mona rozmawiali ze sobą jak zwykle. Co jakiś czas odzywając się szorstko i obcesowo, w następnej chwili Hans potrafił nieoczekiwanie stać się uprzejmy, jakby chciał za każdym razem wynagrodzić swoją kąśliwość. Mona nie pozwalała się usadzić. Ich rozmowa była jak partia uszczypliwości rozgrywana między kumplami. Byli małżeństwem od przeszło pięćdziesięciu lat.

– Cierpię na PZM – oznajmił Hans. – Permanentny Zespół Myszygene.

– To Peritzowy Zespół Myszygene – poprawiła Mona.

Hans mruknął potwierdzająco. Skończywszy jeść, natychmiast chwycił książkę o swoim rodzinnym mieście. Nieoczekiwanie wybuchnął gniewem. Skoczył na równe nogi i wcisnął mi pod nos zdjęcie na ostatniej stronie albumu.

– Patrz! Patrz! – parskął.

Zanim rozsierdzony Hans zatrzaskał książkę, zdołałem dostrzec stos wychudzonych, nagich ciał. Zakłopotany pochyliłem głowę. Wiedziałem, że na końcu książki przedstawiono zamordowanych Żydów. Dlaczego nie ostrzegłem Hansa?

– To niesłychane! – wydzierał się mój daleki kuzyn.

Oddalił się i zasiadł w fotelu, w którym nadal kłął pod nosem. Pomogłem Monie posprzątać ze stołu, nie śmiąc na nią spojrzeć.

– Zamykam sprawę – nagle wykrzyknął Hans.

Zapalił fajkę i wyglądało na to, że zupełnie się już uspokoił.

– Przywiozłeś zdjęcie moich rodziców? – zapytał.

Wyjąłem z torby podróźnej fotografię i ostrożnie mu ją podałem. W jednym ze swoich listów Hans zakomunikował mi, że nie posiada ani jednej podobizny swoich rodziców. Z ojcem znaleźliśmy jedno zdjęcie w naszym albumie rodzinnym, a ojciec natychmiast się zgodził podarować je swojemu kuzynowi.

Rudolf i Minnie pozowali na nim przed formacją skalną. On miał na sobie krótką marynarkę i pumpy, i trzymał w dłoni laskę górską. Jego żona ubrana była w prostą suknię. Prawie na pewno przebywali w tamtej chwili w Riesengebirge, dokąd wszyscy breslauczyki jeździli na wakacje.

Mój kuzyn studiował zdjęcie przez niekończące się minuty.

– Zapomniałem, jak wyglądali moi rodzice – odezwał się cicho. – Mona, choć no tu zobaczycie! To moi rodzice. Wydaje mi się, że dopiero co się pobrali. Widzisz, że moja mama jest ze mną w ciąży?

Z tego pierwszego wieczoru przede wszystkim wrył mi się w pamięć wybuch złości mojego kuzyna. Hans tak bardzo związał się z Breslau, że nie potrafił znieść niczego, co podkopałoby jego miłość do rodzinnego miasta. Później przyznał, że pierwsze piętnaście lat jego życia było bardzo szczęśliwych. Kres temu wczesnemu błogostanowi położyła „noc kryształowa”. Przed 9 listopada 1938 roku zawsze świeciło słońce. Potem przysły obozy pracy, zamordowanie jego matki i brata, Auschwitz. Nie wolno było kwestionować granicy między niebem a piekłem. Breslau nie podlegało żadnej krytyce. Wszyscy zawiedli Hansa, jedynie Breslau, złote miasto jego beztrudnej młodości, pozostało mu oparciem i punktem odniesienia.

W lecie 1997 roku doniosłem Hansowi o powodziach na Śląsku. Utonęła wtedy przeszło setka osób, niezliczone wioski i miasta, w tym Wrocław, dotknięte zostały najgorszym spiętrzeniem wód od stuleci.

„Żaden potop nie oczyści polskiej ziemi z krwi i łez, za które odpowiedzialni są Polacy – odpisał mi Hans. – Pomagali nazistom wymordować nasz naród. Widziałeś zdjęcia z Montserrat? Tego wulkanu, który zniszczył wyspę? Tak powinny wyglądać Polska, Niemcy i wszystkie kraje, które konspirowały z Niemcami. Niezamieszkalne przez kolejne tysiąc lat”.

Ani słowa o Breslau. Wrocław z kolei mógł zostać wytarty z mapy, ponieważ w mieście tym żyli prawdziwi ludzie, podczas gdy jego rodzinne miasto Breslau, niezmienione i niezmiennalne, jawiło mu się w wizjach niezrównanego szczęścia niczym utopia i rajski ogród.

Żaden z członków rodziny, z którymi się spotkałem, nie kochał tego miasta bardziej. Frank w Melbourne nie wykazywał nim za grosz zainteresowania i chętniej pewnie poleciałby na Księżyc niż do Wrocławia. Dla Wolfganga

w Boliwii miasto stanowiło zaledwie tło dla bardzo mieszanych uczuć. Później, w Izraelu i Anglii, krewni mieli wspominać Breslau w bardziej wyważony sposób, jak gdyby zbiorowo poprzysięgli sobie już nigdy nie dać się oszukać przesadnemu przywiązaniu. Dla Wally'ego Steinmetza z Kanady, kuzyna mojej babci, Breslau nawet nie istniało. Odmawiał oglądania się za siebie.

Po Wielkiej Wojnie nastąpił dla Breslau trudny okres. Na mocy traktatu wersalskiego w 1920 roku Niemcy musiały oddać zmartwychwstałej Polsce część Górnego Śląska. Odcięte od rynków zbytu, jaki stanowiły dla niego okolice Kattowitz i Königshütte, Breslau zaczęło tracić na bogactwie i znaczeniu. Z drugiej strony miasto ominęły akty przemocy politycznej, które wstrząsały posadami nowej republiki. Breslau zasklepiło się w sobie, stając się zbyteczną metropolią w zapadłym kącie.

Chociaż po wojnie na Śląsk zjechało z Prowincji Poznań i z Pomorza wiele osób, liczba mieszkańców Breslau spadała. W 1919 roku Poznań stał się integralną częścią Polski i zwłaszcza Żydzi zaczęli masowo opuszczać dawną niemiecką ziemię. Przestali się w niej czuć bezpiecznie.

Do Breslau powracali żołnierze, jeńcy i inwalidzi wojenni. Większość Żydów zatrudniona była w przemyśle tekstylnym lub w branży spożywczej i szybko wydobywała się z ekonomicznego dołka. Wszystko wskazywało na to, że w mieście życie odzyskało swą dawną energię. Od nowa organizowano wyścigi konne w Breslau-Süd, a w Breslau-Grüneiche na nowo zaczęto jeździć po torze kolarskim. Pomimo wysokiego bezrobocia i szalejącej inflacji, które w 1923 roku niemal doprowadziły kraj do bankructwa, nigdy jeszcze tyle nie śpiewano, tańczono czy wystawiano. Zespoły teatralne z Lobetheater przy Lessingstrasse i Thaliatheater ze Schwertstrasse grały przy pełnych salach, zaś publiczność w małym Figaro-Theater („*Kleinkunst-Bühne, die eleganteste und vornehmste Deutschlands*”^[65]) delectowała się ostrą satyrą, która – dzięki nowym swobodom demokratycznym Republiki Weimarskiej – wchodziła w swój najpłodniejszy okres. Prestiżowy Stadttheater co sezon wystawiał dwieście przedstawień operowych, zaś w Schauspielhaus przy Theaterstrasse co wieczór tłoczyli się amatorzy lekkiej muzyki, by posłuchać popularnych operetek Straussa, Lehára, Millöckera i Kalmana. *Wesoła wdówka, Kraina uśmiechu, Księżniczka czardasza, Student żebrak, Zemsta nietoperza i Baron cygański...* spektakle przyciągały wpadającymi w ucho melodiami oraz intrygami – chwilami komicznymi, jak i tragicznymi, tak że zdawały się być wyjęte prosto z życia.

Moi dziadkowie również kochali operetkę. Ulubioną arią dziadka było *Es steht ein Soldat am Wolgastrand* z *Carewicza* Franza Lehára. Melodramatyczność i posępnosć libretta idealnie odpowiadały Felixowi Peritzowi, byłemu żołnierzowi, który na podobieństwo wartownika znad brzegu Wołgi spełnił swój patriotyczny obowiązek. Czego nie można było powiedzieć o belgijskiej ludności cywilnej,

opowiadał synowi Felix. Ci wolni strzelcy razili w niemieckich żołnierzy ogniem na chybił trafił, a to świadczyło o tchórzostwie i było sprzeczne z regułami sztuki wojennej.

Dla Felixa i jego młodszego brata Rudolfa, ojca Hansa, nadszedł czas żeniaczki. Felix przekroczył trzydziestkę, Rudolf osiągnął dwadzieścia sześć lat. Żaden z nich nie miał dobrze płatnej pracy. Mój dziadek był przedstawicielem handlowym kilku zakładów obuwniczych i początkowo wraz ze swoją żoną mieszkał u swojej matki przy Büttnerstrasse. Jego brat pracował w konfekcji. Aż do swojej śmierci w 1938 roku co rusz wchodził w jakieś spółki lub z nich wychodził. Ta zmienność charakteru miała doprowadzić do zerwania stosunków z Felixem. W 1921 roku bracia nie zaprzęтали sobie głowy niepewnością finansową. Byli młodzi, a z wojny powrócili bez blizn i obaj znaleźli porządne żydowskie dziewczyny.

Minnie Gabriel z Wurzen, miasteczka w Saksonii, łatwo przyzwyczała się do wielkomiejskiego życia. Rudolf był idealnym małżonkiem. Potrafił zaskoczyć humorem i nigdy nie obarczał żony problemami swojej pracy. Ona zajmowała się domem i wychowywała dwójkę ich dzieci, Hansa i Günthera. Więcej do szczęścia nie potrzebowała, jej mąż więcej od niej nie wymagał.

Dla wielu stanowiło zagadkę, dlaczego Else Durra wybrała Felixa Peritza na męża. Choć był kryształowo uczciwym i pracowitym człowiekiem, pod wszystkimi innymi względami stanowił przeciwieństwo swojej żony. Ona szczyliła się wyrafinowanym smakiem, Felix – prostym. Mówiono, że był pozbawiony fantazji, ona zaś kochała literaturę i filozofię. Chciała w życiu coś osiągnąć, jej mąż nie miał żadnych ambicji. Największa różnica między nimi, uważano, leżała w ich charakterach. Else była ciepła i emocjonalna, Felix chłodny i zahamowany.

Niewiele czasu upłynęło, a dziadek dostał się w społeczne pole grawitacji Durrów. Breslau wciąż żywiło kosmopolityczne pretensje, a Else i jej bliscy lubili przechadzać się eleganckimi bulwarami i spotykać w swoim towarzystwie nad *Kaffee und Kuchen*. Rodzina żywiła również pasję do sztuki. Hermann był kompozytorem i poetą, Willi utalentowanym pianistą amatorem i dyrygentem. Jego żona Alice śpiewała małe role w operach wystawianych przez Stadttheater, a każdemu z trójki swoich dzieci nadali imiona o konotacjach muzycznych. Hans otrzymał imię po Hansie Sachsie ze *Śpiewaków norymberskich* Richarda Wagnera, Lilli – w dowód podziwu do słynnej śpiewaczki Lilli Lehmann, a Suzanne – od postaci Suzanne z *Wesela Figara* Mozarta. Kurt Havelland, utalentowany dyrygent, miał się później zaręczyć z Lilli. Poza tym aktorka Lotte Laufer i aktor i reżyser Kurt Gerron, magik z *Błękitnego anioła*, byli dobrymi przyjaciółmi Durrów.

Hans powiedział mi, że Gerron był kuzynem jego babci. Po roli w *Błękitnym aniele* Gerron jeszcze jeden raz zyskał sławę. W Theresienstadt. Ponieważ Czerwony Krzyż w czasie wojny chciał odbyć wizytację obozu, Goebbels polecił

Gerronowi nakręcić film, który miał udowodnić całemu światu, jak dobrze powodzi się Żydom pod rządami nazistów. Film nosił tytuł *Adolf Hitler schenkt den Juden eine Stadt*^[66], a reżyser dołożył wszelkich starań, by pokazane w nim domy, skwery, a Żydzi wyglądali jak spod igły. Kiedy zdjęcia do filmu zostały ukończone, a inspektorzy Czerwonego Krzyża wyjechali usatysfakcjonowani, do Auschwitz wyruszył kolejny transport. Wywieziono w nim również Gerrona.

Pod względem religijnym moja babcia i jej rodzina utrzymywały słabe więzi z tradycyjnym obrzędkiem żydowskim. W szabat chodzono wspólnie na nabożeństwa do uznawanej za liberalną Neue Synagoge. Kiedy śpiewał w niej Burrin, w bożnicy otwierano na oścież drzwi, tak aby nie-żydzi, którzy tłoczyli się na jej schodach, mogli usłyszeć sławnego kantora. Czy trzeba zaznaczyć, że również Burrin bywał u Durrów w domu?

Mój dziadek podążył za żoną, podczas gdy jego brat Rudolf i reszta rodziny Peritz pozostała wierna konserwatywnej synagodze Pod Białym Bocianem. Syn Rudolfa, Hans, śpiewał w niej w chórze, choć przyznał, że po nabożeństwie pędził z kolegami do Neue Synagoge w nadziei, że usłyszy jeszcze końcówkę śpiewów Burrina.

Choć mój dziadek znajdował się w orbicie wpływów Durrów, nie tylko status społeczny i praktyki religijne świadczyły o tym, że rósł jego dystans do własnych krewnych. W jego rodzinie nikt nie był równie bogaty jak Ferdinand Steinmetz, mąż Huldy Durry, ani równie wybitny jak renomowany adwokat Max Schottländer, który poślubił jej siostrę Lucie, jednak klan Peritzów mógł się mimo to poszczycić Maxem i jego synem Walterem, obojgiem lekarzy, oraz córką Maxa, Edith, która wyszła za *Herr Barona* Hansa von Lojewskiego.

Poza tym niewiele różniło Żydów konserwatywnych od liberalnych. W asymilację wierzyli wszyscy Żydzi z wyjątkiem biednych i krzykliwie ubranych *Ostjuden*, których traktowano z góry. Konkurowanie synagogi Pod Białym Bocianem z Neue Synagoge przypominało rywalizację dwóch klubów piłkarskich. Lojalność wobec jednej czy drugiej w większej mierze wynikała z tradycji, niż z różnic wizji. Każdy Żyd zna dowcip o Żydzie, który wychodzi cało z tonącego okrętu i zostaje wyrzucony na bezludną wyspę. Kiedy dziesięć lat później zabiera go przepływający tamtędy statek, zaskoczony kapitan pyta go, czemu na wyspie wybudował aż dwie synagogi, a nie tylko jedną. „Nie może pan przecież ode mnie wymagać – odpowiedział Żyd – by moja noga powstała w tej drugiej”.

Prawdopodobnie w rozluźnieniu stosunków między moim dziadkiem a jego rodziną główną rolę odegrała duża różnica wieku. Jedynie Rudolf był od niego młodszy, zaś od pozostałych braci, zwłaszcza przyrodnych, dzieliło go tyle lat, że należeli już do innego pokolenia. Kiedy naziści doszli do władzy, resztki więzi między rodzeństwem nieprzyzwoicie szybko zostały zerwane.

W 1923 roku moja rodzina miała wszelkie powody ku temu, by odczuwać

dumę. Else i Felixowi Peritzom urodził się syn, a poza tym wprowadzili się do własnego mieszkania przy Kohlenstrasse, na północnym brzegu Odry. Werner Siegmund, mój ojciec, został natychmiast uwieczniony w najbardziej rozbieżnych pozycjach. Również Rudolfowi i Minnie urodził się syn, Hans, który tak jak i mój ojciec miał blond włosy i niebieskie oczy.

W świecie oddalonym od szczęścia ich domowych pieleszy tej jesieni w stolicy Bawarii stłumiono pucz garstki awanturników i reakcyjnych zabijaków.



Else Peritz ze swoim synkiem Wernerem w Südpark w Breslau. Jest 1924 rok i mój ojciec ma prawie dwa latka

Czy fakt ten obudził trwogę kogoś z żydowskiej społeczności Breslau? Czy ktoś z nich się zmartwił, kiedy rok wcześniej zamordowano Waltera Rathenaua, ministra spraw zagranicznych Republiki Weimarskiej? Zginął, bo był Żydem; ten sam Rathenau, dzięki któremu w czasie wojny przemysł Niemiec pracował pełną parą i który twierdził, że Belgię po wojnie powinno się wcielić do cesarstwa. A czy moi krewni wiedzieli, że zarówno mordercy Rathenaua, jak i puczyści z Monachium twierdzą, że to Żydzi są odpowiedzialni za porażkę Niemiec, że na froncie tchórz ich ogarniał, zaś swoim lichwiarskim handlem wpędzili ludzi w biedę na froncie domowym? Doszło nawet do tego, że poddano ocenie zachowanie żołnierzy żydowskich. W 1917 roku dowództwo armii pod naciskiem antysemitów zgodziło się na skontrolowanie, czy proporcjonalnie tyle samo zginęło Żydów, co chrześcijan. Kiedy okazało się, że procent poległych Żydów jest wyższy, sztab generalny postanowił oszczędzić deputowanym publicznego blamażu i nie upublicznić wyników badania. Tyle że pogłoski o tchórzostwie i zdradzie Żydów pozostały.

Weterani wojenni Rudolf i Felix Peritzowie oraz Erich Durra bardzo się przejmowali tego typu oszczerstwami. Byli członkami Reichsbund Jüdischer Frontsoldaten^[67] i z dumą nosili odznakę RJF w połach swoich płaszczy.

Stowarzyszenie założył w 1919 roku kapitan Löwenstein z grupką żołnierzy właśnie po to, by odpiąć powszechnie podzielane przekonanie, iż żydowscy żołnierze na froncie wyłącznie się dekowali. W 1933 roku Reichsbund liczył trzydzieści tysięcy członków. Rudolf, Felix i Erich popierali główny cel związku: zupełną integrację z niemieckim społeczeństwem. Mój dziadek, jego brat i szwagier z setkami weteranów trzymali wartę, kiedy na cmentarzu odsłonięta została płyta pamiątkowa z nazwiskami przeszło czterystu poległych żydowskich towarzyszy broni z jedenastego pułku śląskiego.

W lecie 1994 roku całkiem przypadkowo natknąłem się na pomnik postawiony *Elfer*, Jedenastce. Zupełnym cudem ostał się przed wandalizmem nazistów i Polaków. Maciej, mój przewodnik, zaprowadził mnie i moich rodziców w głąb zniszczonego cmentarza. Kozanów (Cosel) tworzył wilgotne, zielone piekło. Drzewa i krzewy, wybujałe na wysokość człowieka pokrzywy, gęsty, splątany dywan chwastów. Gdziekolwiek sięgnąć okiem – zrujnowane grobowce, porozbijane i wysmarowane obscenicznymi graffiti i antysemitkami hasłami.

– Robota skinheadów – wyjaśnił przewodnik. – Włamują się tutaj przynajmniej raz na tydzień. Szukają złotych zębów.

Przyjechaliśmy do Kozanowa, aby odszukać grób Ernsta, braciszka mojego ojca. Płyta nagrobna zniknęła, ale w ciszy zatrzymaliśmy się na kilka minut z pochylonymi głowami nad parcelą, co do której Maciej podejrzewał, że pochowano w niej sześciolatka. Na tablicy pamiątkowej jedenastego pułku śląskiego trafiliśmy na nazwisko Ludwiga Durr, który w 1917 roku poległ pod Verdun.

– Ludwig był bratem twojej babci? – zapytał Hans. – Nigdy o nim nie słyszałem.

Mój daleki kuzyn i ja jechaliśmy samochodem do Parkway Jewish Center na nabożeństwo szabatowe. Ponieważ miałem lekkie zawroty głowy z powodu skutków zmiany strefy czasowej, usłyszałem sam siebie trajkoczącego jak mechaniczna zabawka, której rozregulowały się trybiki. Opowiedziałem Hansowi, co wiedziałem o Durrach, ale informacje te nie wzbudziły u niego wielkiej reakcji. Do czasu, gdy wspomniałem o tym, jak Erich Durra pomógł moim dziadkom wyemigrować.

– Myśmy zostali zostawieni na pastwę losu – fuknął w moją stronę Hans. – Przez wszystkich. Również własną rodzinę. Ci wszyscy, którym udało się zbiec, nigdy się na nas za sobą nie oglądali. Nigdy.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Kiedy ponownie się odezwał, w jego słowach nie słyhać było ani śladu gniewu.

– Parę lat po tym, jak przybyliśmy tutaj z Moną, przeczytaliśmy w jakimś czasopiśmie, że żydowscy emigranci czasami źle reagowali na wiadomość, że ich krewni przeżyli obozy. Za bardzo im przypominaliśmy o ich obojętności. Jak dla

nich wszyscy mogliśmy zginąć.

Moje milczenie tylko zachęciło mojego kuzyna.

– Sam widzisz, że nie bawię się w dyplomację – powiedział. – Takie straszne rzeczy się wydarzyły. Najpierw muszę być w stanie spojrzeć komuś prosto w oczy, zanim zdecyduję się poruszyć tak delikatne tematy. Wydaje mi się, że z tobą mogę to zrobić.

W miarę upływu dni jego podejrzliwość stopniowo malała. Prawie cały czas pozostawaliśmy w domu i nie odstępowaliśmy od przyjętego stylu życia Hansa i Mony. Jedynie przygotowania do wieczoru sederowego^[68] i Paschy burzyły schemat ich porządku dnia. Pojechaliśmy do Squirrel Hill, gdzie znajdowała się większość sklepów żydowskich, i zakupiliśmy pełen wózek puszek *gefillte Fisch*, słodkiego wina z Izraela, i pudełek macy.

Hans bez przerwy tracił nerwy. Na intensywny ruch uliczny, kolejki w sklepach, szukanie miejsca parkingowego; wszystko sprawiało, że zaczynał wzdychać i się zamartwiać. Potem podwójną rozkosz sprawiał mu jego fotel i fajka.

Ja również najchętniej spędzałem godziny, przesiadując z nimi i pijąc kawę. Hans, z bosymi nogami w pantoflach, palił, przysiadając na jednej nodze, kiedy jakaś anegdota szczególnie go ukontentowała. Mona regularnie wstawiała, żeby zająć się w kuchni garnkami albo wyprasować koszulę. Śledziła rozmowę znad kuchenki czy deski do prasowania, a czasem podchodziła do nas, by w jakiejś kwestii wyrazić swoje zdanie.

Poza tym starałem się jak najmniej przeszkadzać. Po południu Hans ucinął sobie drzemkę w sypialni, kiedy ja w pokoju dziennym czytałem książkę, a Mona nie opuszczała ani jednego odcinka swojej ulubionej telenoweli.

Ich życie rozgrywało się w małym, rozgrzanym pokoju dziennym, w którym grube zasłony chroniły ich przed światem zewnętrznym, a trajkot telewizji przypominał głosy serdecznych przyjaciół. Bez problemu dostosowałem się do ich bezpiecznego uniwersum. Nie zadawałem zachłannych pytań i zadowolony przysłuchiwałem się ich opowieściom. Mój spokój zwrócił uwagę Hansa w czasie trwającego prawie trzy godziny nabożeństwa szabatowego.

– Nie jesteś żydem – zauważył – a mimo to masz w sobie coś z żyda, bo inaczej byś zasnął.

– To było moje pierwsze nabożeństwo – odpowiedziałem skromnie. – Wszystko jest nowe i ciekawe.

Tego sobotniego poranka przyjechaliśmy z Hansem jako pierwsi do Parkway Jewish Center, niskiego budynku z ciemnej cegły, z późnych lat pięćdziesiątych.

– Mój ojciec zawsze tłukł mi do głowy, żeby na umówione spotkanie zjawiać się dziesięć minut przed czasem – powiedział Hans. – Załóż jarmułkę.

Ściany synagogi pokrywały brązowe plakiety z nazwiskami członków

rodziny i dobroczyńców. Każda tabliczka miała swoją lampkę. Niektóre płonęły.

– Dzisiaj ci ludzie będą wspomniani – wyjaśnił mój kuzyn. – Dziadek nie ma żadnej tabliczki. Wydają mi się one za bardzo na pokaz i niepotrzebne. Nikt inny nie musi wiedzieć, że go wspominam.

Synagoga powoli się zapełniała. Hans przedstawił mnie swoim przyjaciołom. *This is my cousin from Belgium* – mówił za każdym razem. Nie poprawiałem go, bo mi to schlebiało. Lepiej być kuzynem tego człowieka, niż dalekim kuzynem. Hans potrafił wszystkich natychmiast rozluźnić. Zjednywał sobie sympatię wszystkich swymi żartami lub pełnym troski pytaniem o zdrowie żony czy dziecka tego lub owego.

– Masz tu wielu przyjaciół – pochwaliłem go.

– Ach, nie przyszedłbym dzisiaj, gdyby nie *jorcajt* dziadka – odezwał się burkliwie. – Z większością z nich nie da się gadać.

Nagle rabin rozpoczął pierwszą modlitwę. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Kobiety dalej piszczały, dzieci biegały między rzędami, mężczyźni się śmiali i poklepywali po ramionach. Rabin niewzruszenie kontynuował nabożeństwo. Hałas powoli malał. Zupełna cisza nie zapanowała jednak nigdy. Hans zachowywał się tak, jakby zgiełk uważał za najnormalniejszą rzecz. Czy wiedział, że u katolików marszczy się czoła już na dźwięk szeptu? Książeczka do nabożeństwa zawierała tłumaczenie na angielski hebrajskich modlitw i dzięki nieustającym wskazówkom Hansa udawało mi się jako tako podążać za tekstem.

– Nie spuszczaaj z nich wzroku – rozkazał mi, kiedy zwoje Tory zostały wydobyte ze skrzyni i niesione w uroczystej procesji. Jedną dłonią Hans dotykał zwojów, drugą zaś trzymał cztery frędzle swojego tałesu.

– Te frędzle symbolizują cztery strony świata – opowiadał Hans.

Nie byłem żydem, więc nie wolno mi było wyciągnąć dłoni do tory. Nieoczekiwanie Hans wyskoczył z ławki jak z procy. Chwilę potem ujrzałem, jak wciska jarmułki w dłonie dwóm wyrostkom, którzy przez cały czas sobie gawędzili.

– *Disrespectful jerks*^[69] – syknął.

Mój kuzyn bez przerwy wygłaszał komentarze lub krytyki.

– Widziałeś tych dwóch *Schwarze*^[70]? – zapytał z przekąsem. – *Whatever next?*^[71]

Albo:

– Czytałeś ten wers, w którym wychwala się Pana, bo wszystko zawsze dobrze się kończy? Co za bzdura. Co by sobie o tym tekście pomyślały dzieci, które posłano do komory gazowej?

Albo:

– Ten rabin śpiewa za beznamiętnie, za banalnie. Typowo sefardyjsko. Nie w moim stylu. My, z Europy Środkowej, jesteśmy Aszkenazyjczykami. Nasze

melodie brzmią bardziej żałobnie, głębiej, pełniej.

Hans często głosił swoją wysoce osobistą wersję judaizmu i za każdym razem stawał się wtedy ucieleśnieniem karykatury Żyda, który wszystkich innych demonizuje, a jedynie siebie uważa za wyznawcę prawdziwej wiary.

Nie wynikało to z małostkowości czy nietolerancji. Świadomość hierarchiczna nie istnieje w judaizmie. Żydzi to nie owce prowadzone przez pasterza, ale wolni myśliciele, którzy siedzą z nosami w świętych księgach i do woli interpretują ich wersy. W Sydney byłem świadkiem tego, jak dwóch rabinów w czasie kazania otwarcie ze sobą polemizowało. Nigdy nie doświadczyłem takiego żartobliwego, a jednocześnie traktowanego serio dociekania problemów w chrześcijaństwie. W nim wiodły prym przykazania i zakazy, a nieomylni papieże grozili ekskomuniką i ogniem piekielnym. Żydzi o wiele elastyczniej obchodzili się ze swoimi przykazaniami. W katolicyzmie dzielenie włosa na czworo jest domeną teologów, nie zwyczajnych wiernych. U Żydów każdy jest teologiem.

Krytykanctwo mojego kuzyna wynikało również z jego na nowo odkrytej wiary. Przyznawał, że Auschwitz zabrał mu Boga, a i on przez przypadek na nowo go odkrył.

– Właśnie przeszedłem na emeryturę – odpowiadał – i się nudziłem. Pewnego dnia zacząłem czytać Torę. I już nie przestałem; potem studiowałem też Talmud, Misznę i inne dzieła religijne.

Egzegeza tekstu stała się jego pasją. Przez dziesięciolecia Hans był przekonany, że to przeznaczenie posłało go do Auschwitz. Badanie ksiąg pozwoliło mu zacząć ostrożnie zapuszczać się w tę straszną, niezrozumiałą przeszłość. Jestem pewien, że mój daleki kuzyn nie zaprosiłby mnie do siebie, gdyby wciąż wierzył w nieubłagane zrządzenie losu. Nienawiść i gorycz wciąż go nie opuszczały, teraz gotów był jednak dopuścić do siebie również inne uczucia.

Ponieważ niewiele wiedziałem o judaizmie, zadawałem wiele pytań. Hans był świetnym nauczycielem. Tłumaczył mi prawa i reguły swej religii z zapalem i naturalnym wyczuciem dramatyizmu. Tak jak on sam je postrzegał. Byłem idealnym uczniem. Hans czerpał przyjemność z pełnienia roli nauczyciela, zwłaszcza gdy wykonywał religijną pieśń. Miał szorstki, prawie ochryply głos, który świetnie pasował do tęsknego tonu gatunku. Kiedy go komplementowałem, uśmiechał się błogo.

Tego sobotniego poranka w synagodze po raz pierwszy usłyszałem, jak mój kuzyn śpiewa. Kiedy nadszedł moment wspomnienia rocznicy śmierci jego dziadka, a mojego pradziadka, Hans wystąpił do przodu i odśpiewał modlitwę, w której wspominał Schlomo ben Yehudę. Słowa Hansa zabrzmiały dobitnie nie tylko ze względu na tęskną barwę dźwięków. Był najpoważniejszym, najbardziej skoncentrowanym śpiewakiem. Swoją postawą dawał wręcz do zrozumienia, że miał innym za złe, iż śpiewają lub modlą się niedostatecznie „żydowsko” lub

powierzchnownie.

Parę dni później miał się skarżyć na frywolną i niezborną atmosferę wieczoru sederowego u Maureen i Jeremy'ego Fialków. Fialkowie byli bogatymi Żydami i najlepszymi przyjaciółmi Hansa i Mony. W latach sześćdziesiątych przyjechali do Stanów z Republiki Południowej Afryki. Jeremy pracował jako psychiatra dziecięcy, Maureen skrzętnie wydawała zarobione przez niego pieniądze.

Dla Hansa odprawienie sederu było zaszczytem. Wyjaśnienie znaczenia święta Paschy stanowiło dla niego okazję umiejscowienia opowieści we współczesnym kontekście. Żydom nie wolno było zapominać o wyjściu z Egiptu, mówił, tak samo jak o sześciu milionach zabitych w Holocauście. Twierdził, że stare teksty są wciąż żywe, o ile potrafi się je wierzącym odpowiednio zinterpretować i atrakcyjnie podać.

Czasem, kiedy rabin był chory albo podróżował, Hans zastępował go w synagodze. Choć takie zadania napędzały mu strachu, uważał je także za ogromnie inspirujące. Przez wiele dni przygotowywał modlitwy i pieśni. Wyzwanie go męczyło, a potem nigdy nie był zadowolony z rezultatu, ale kiedy w swych listach opisywał nabożeństwa, wyczytywałem z nich posmak podniecenia i entuzjazmu i zrozumiałem, że nigdy nie czuł się szczęśliwszy niż wtedy, gdy przemawiał do swego narodu wybranego, a w kazaniach udzielał młodym i starym lekcji życia.

Pod koniec wizyty w synagodze rabin zwrócił się do społeczności wiernych z przesłaniem. *Don't be a slave* – powiedział. – *Don't make slaves of others.*

And make sure others are no slaves^[72].

– Zrozumiałeś, o co mu chodziło? – zapytał Hans sarkastycznie, kiedy w przyległej do bożnicy salce jedliśmy bajgle i *noodle cake*, którymi częstowali nas dumni rodzice właśnie obrzezanego dziecka. – Co człowiek może wynieść z takich słów, jeśli się nie postarasz ich wyjaśnić?

Pokręcił z politowaniem głową.

Uczestników wieczora sederowego u Fialków posadzono przy dwóch stołach. Jeremy zasiadł u szczytu jednego, Maureen u szczytu drugiego, a ponieważ chciała być wszędzie jednocześnie, towarzystwo przy jej stole przez większość czasu było pozbawiona jej obecności. Ubrana w czerwonozłotą garsonkę, z polakierowanymi na srebrno ustami, Maureen biegała bez ustanku do kuchni, gdzie posiłek przygotowywało czarne małżeństwo, od wielu lat ich wierni służący, i z powrotem albo rzucała się z rozpostartymi ramionami na któregoś z gości, przyciskając go następnie do swego złotego biustu.

– *Come here, and give me a big hug, my doll, darling, sweetie* – wołała pożądliwie.

Nie byłem jedynym nie-żydem w towarzystwie. Jeremy zaprosił na wieczór

dwóch księży, z których jeden pracował z nim w szpitalu. Drugi uczył w szkole średniej języka niemieckiego. Obaj mieli rumiane twarze i dużo się śmiali. Tak jak otyły mężczyzna zajmujący dwa krzesła, którego wszyscy potajemnie nazywali *The Fat Man*, Grubasem, księża siedzieli obok Hansa, Mony i mnie przy stole Jeremy'ego. Poza nami były również dzieci i wnuki gospodarzy. Joshua, lat szesnaście, poważny, inteligentnie wyglądający młodzieniec, któremu wszyscy – łącznie z nim samym – wróżyli świetlaną przyszłość kompozytora, astrofizyka i reżysera teatralnego. „Jest jeszcze bystrzejszy i wszechstronniejszy niż ja” – powiedziała jego matka. I Natasza, lat dwadzieścia trzy, z włosami ufarbowanymi na fioletowo-czerwono, z nosem i uszami przebitymi srebrnymi symbolami płodności. Przeprowadziła Jima, swojego narzeczonego, który miał cały wieczór spędzić przy stole Maureen w głębokim milczeniu. Hans i ja jako jedyni mieliśmy na sobie krawaty. Mona założyła perukę, by ukryć pod nią swoje niesforne włosy.

Stoły zostały odświętnie nakryte. Na kolorowych porcelanowych talerzach i w miseczkach rozstawiono sederowe naczynia. Ukryte pod serwetką mace; *maror*, chrzan i młoda, gorzka sałata oznaczająca gorycz niewoli żydowskiej w Egipcie; *charoset*, mieszanek orzechów, jabłek, cynamonu i wina, której brązowa barwa symbolizowała glinę, z której żydowscy niewolnicy wyrabiali dla faraona cegły; jajko, które przypominało o świątecznej ofierze; oraz pieczony w ogniu udziec jagnięcy, symbol baranka ofiarnego, i wreszcie dwie miseczki: jedna z rzodkiewkami, a druga z soloną wodą, których znaczenia Hans nie zdołał już wyjaśnić, ponieważ Maureen wyparowała z kuchni i rzuciła mu rozkaz, by zacząć seder.

– Indyk już doszedł – ostrzegła.

Mój daleki kuzyn zaintonował *kidusz*, modlitwę błogosławieństwa. Wszyscy otrzymaliśmy książeczki, by móc za nią nadażyć. Przy drugim stole nadal spokojnie rozmawiano. Następnie postawiono cztery rytualne pytania.

– Dlaczego zebraliśmy się tutaj tego wieczoru? – zapytał Joshua swego ojca.

Jeremy odczytał odpowiedzi z książeczki, po czym Hans wygłosił kazanie o wyjściu z Egiptu i o Holocauście. Następnie Jeremy zapytał mojego kuzyna, jak ma wyjąć mace spod serwetki i połamać je na kawałki.

– Mogliście to sobie przeciwzyć – zawołała Natasza od drugiego stołu.

Zgodnie z tradycją Joshua zapytał, gdzie stoją poszczególne potrawy. Maureen popędziła, by się spieszyć, bo brokułom groziło rozpadnięcie się. Hans poprosił Joshuę, by opowiedział o dziesięciu plagach egipskich. Po każdej pladze moczyliśmy palec w kieliszku słodkiego czerwonego wina, który ustawiono obok naszych nakryć, i każdorazowo strzepywaliśmy po kropli wina na swój talerz. Wszyscy utworzyli rząd kropelek z wyjątkiem płoniących się księży, którzy skonstruowali kwadraty. Kiedy Joshua zapomniał wspomnieć plagę komarów i wrzodów, Hans pospieszył mu z pomocą. Mój kuzyn nie okazywał ani trochę

poirytowania. Cierpliwie prowadził chłopca przez wszystkie rytuały.

Tymczasem chaos w kuchni osiągnął swój punkt kulminacyjny.

– Możemy zacząć? – błagała Maureen.

Na stół wjechały pierwsze dania. Jedliśmy chrzan, śledzia, *gefillte Fisch*, mace, charoset, a także siekaną wątróbkę, którą Mona przygotowała poprzedniego dnia. Podejmowano tematy rozmów, by następnie je porzucać. Kiedy *The Fat Man* zagadnął Hansa o Holocaust, twarz mojego kuzyna spochmurniała. Dla niego wyjaśnienie tego zagadnienia stanowiło integralną część rytuału sederowego. Dyskusowanie następnie na ten temat stanowiło tabu. Sprzeczką była zatem nieunikniona.

– Widziałeś *Listę Schindlera*? – zapytał *The Fat Man*.

– Nie – odburknął Hans.

– Moim zdaniem Spielberg wyśmienicie oddał atmosferę obozu koncentracyjnego – odpowiedział Grubas.

Hans poderwał się na równe nogi i wybiegł na zewnątrz. Joshua pobiegł za nim.

Po chwili talerze zostały napełnione rosółem z ptysiami z macy. Maureen zawołała Hansa i Joshuę do środka. *The Fat Man* wygłaszał swoją interpretację *Kupca z Wenecji*.

– O czym ten idiota teraz gada? – zapytał mnie szeptem Hans.

Napięcie rosło. *The Fat Man* zrozumiał, że z takiej czy innej przyczyny Hans kwestionuje wszystko, co mówi tamten, i dlatego uparł się nie ustąpić pola.

– Szekspir może iść do diabła – wrzasnął mój kuzyn. – *He was an anti-Semite. Case closed*^[73].

W tym momencie między nich wkroczyła Maureen. Nic nie zauważyła z napięcia i podeszła na chwilę do naszego stołu, szczebiocząc. Cierpka atmosfera została przełamana, a jeden z rumianych księży opowiedział dowcip o papieżu i wszyscy Żydzi od razu lepiej się poczuli. Na stół wjechały półmiski z płatami wołowiny, indykiem, brokułami, marchewką i ziemniakami. Poproszono mnie, bym opowiedział o Belgii.

– Nie, Antwerpia nie leży w Holandii – poprawiłem.

– Zaraz będzie deser! – świergotała Maureen. Hans i Joshua ponownie wyszli. Ruszyłem za nimi.

Siedzieli na ławce na werandzie. Hans palił papierosa. Był ciepły wieczór mimo wczesnego kwietnia.

– Ty też uciekłeś? – uśmiechnął się Hans.

– Co za przemądrzalec – wypowiedziałem z koniecznym oburzeniem w głosie.

– *If you don't like a person, be polite* – odparł Hans. – *If you can't be polite any longer, leave*^[74].

Po cieście z truskawkami i sosem czekoladowym oraz serniku z musem malinowym Jeremy dyskretnie skinął na mnie. Zeszliśmy po drewnianych schodach do jego gabinetu. Mój gospodarz oprowadził mnie najpierw po obszernym, zagraconym pomieszczeniu. Dwa komputery, ściany i stoły zavalone książkami i płytami CD. Byłem pewien, że Maureen nigdy się tu nie pojawiała.

– Włączyć jakąś klasyczną belgijską muzykę? – zapytał Jeremy. – Właśnie kupiłem serię CD. De Vreese, De Jong, Mortelmans, De Boeck, Van Hoof, Absil. Świetne! Dobrze wymawiam te nazwiska?

Jeremy chciał porozmawiać o Hansie.

– Cierpi na poważną formę *post-traumatic survivor syndrome*, zespół pourazowy ocalałego – zaczął Jeremy. – Tak zresztą jak i Mona. Nigdy nie przerobili swoich doświadczeń obozowych. Przypominają chomiki, które od pięćdziesięciu lat drepczą w swoim kołowrotku. Gdyby na samym początku byli w stanie opowiedzieć swoje przeżycia, syndrom być może by ustąpił. Teraz już jest za późno. Im dłużej ukrywają Auschwitz, tym mocniej wspomnienia się w nich osadzają. Najgorsze, że nawet nie zdają sobie sprawy, że mają problem. Wystarczy jakaś uwaga, komentarz, opinia – wszystko biorą za atak na swoją nieomylną prawdę, swoje wyjątkowe cierpienie. *The Fat Man* oczywiście nic z tego nie rozumie. Kiedy Hans powiedział mi, że przyjeżdżasz, zupełnie zbaraniałem. Jesteś pierwszym członkiem rodziny, któremu chce opowiedzieć o swojej przeszłości.

– Stawiam możliwie jak najmniej pytań – odpowiedziałem. – Hans udziela tylko tych informacji, których chce. Nic ponad to.

Jeremy pokiwał głową. Jego chłodna analiza nie zaszokowała mnie. Wypowiadał się jako przyjaciel, z pełnym zrozumieniem i bezinteresownie.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy gorycz tego całego cierpienia eksploduje – podjął. – Minęło pięćdziesiąt lat, ale nic, absolutnie nic nie zostało rozwiązane. Najgorsze jest poczucie winy. W obozach byli bezradnymi świadkami śmierci swoich ukochanych. Po wyzwoleniu zastanawiali się, dlaczego to im, a nie ich bliskim dane było przeżyć. Spotkania z krewnymi rozdierają stare rany. Dlaczego ratowali własną skórę, a nie oglądali się na innych? Czy Hans ci już mówił, jak został przyjęty w Nowym Jorku przez swojego wuja i ciotki?

– Tak – odpowiedziałem. – Skandalicznie.

– Bez dwóch zdań – przyznał Jeremy – ale jestem święcie przekonany, że Hans nie spodziewał się innego przyjęcia. Auschwitz był inną planetą, ale kiedy z powrotem wylądowali z Moną na naszej, odmówili wiary w to, że istnieją ludzie, którzy chętnie by się z nimi spotkali. Dlatego Hans i Mona pobrali się już miesiąc po wojnie. Oboje uszli z życiem z jednego zbrodniczego świata i potrzebowali się nawzajem, by przeżyć w innym piekle. Takie pojęcia, jak zaufanie i dobro, w nim nie istniały.

– Hans wydaje się bardzo dobrze dogadywać z twoim synem – zauważyłem.

– Czy więc mu ufa?

– To nie tyle kwestia zaufania – odpowiedział Jeremy. – Joshua jest młody i nie stanowi dla niego zagrożenia. Słucha Hansa i go rozśmiesza. Dlatego twojemu kuzynowi tak podoba się ten jeden książdz. Bo opowiada kawały, lubi się pośmiać i jest dowcipny. To dlatego zaprosiłem go na seder. Dla Hansa to jedyny sposób obchodzenia się z ludźmi. Jak tylko wkrada się powaga, Hans się zasepia i robi się drażliwy. Kiedy do nas przychodzi, natychmiast można wyczuć, czy jest w złym humorze. Wydaje się celowo dążyć do kłótni, jakby chciał sprawdzić, jak daleko będzie mógł się posunąć, a takie zachowanie wciąż zostanie zaakceptowane. Kiedy w takich razach z uśmiechem się mu mówi, żeby się tak nie nabzdyczał, twarz mu się wypogadza.

Kiedy powróciliśmy z Jeremym do jadalni, dowiedzieliśmy się, że ustalono, iż nazajutrz jego żona zabierze mnie na oglądanie Filadelfii, że Joshua dzień później oprowadzi mnie po mieście, zaś jeszcze kolejnego dnia *The Fat Man* wraz z Moną zabiorą mnie na rundkę po mieście. Nie mogłem usłyszeć gorszej wiadomości. Najchętniej zostałbym w domu z Hansem i Moną. Nie przyjechałem tu jako turysta.

Pożegnaliśmy się z gospodarzami. Hans z daleka machał mężczyźnie, który wszystko wiedział o Spielbergu i Szekspirze. W samochodzie powiedziałem Monie, że nie mam ochoty zwiedzać z tym gościem Filadelfii. Mona odetchnęła z ulgą. Również i ona nie śmiała odrzucić zaproszenia *The Fat Man*.

– Jutro zadzwonię i to odwołam – uspokoila mnie.

Hans już wcześniej szczegółowo zrelacjonował mi, jak jego wuj i ciotki zareagowali na jego przybycie do Nowego Jorku po wojnie. Opowieść rozpoczęła się w jego gabinecie, w którym chciał mi pokazać jedyne posiadane przez siebie zdjęcie brata i matki. Fotografię zrobiono w październiku 1938 roku, tydzień po nagłej śmierci jego ojca. Minnie pomiędzy dwoma synami. Fotograf poprosił o uśmiech, ale śmiały się tylko oczy Günthera, wówczas dwunastoletniego, jak gdyby jako jedyny nie pojął, co przytrafiło się rodzinie tydzień wcześniej.

– Śmierć ojca udaremniła wszystkie nasze plany, by opuścić Niemcy – powiedział Hans. – Moja matka nigdy nie zajmowała się praktyczną stroną emigracji. Nikogo nie знаła, ojciec zaś miał koneksje i znał wysoko postawionych urzędników. Matka jednak prosiła o pomoc swego brata w Ameryce. Na próżno.

– Czy moi dziadkowie próbowali wam pomóc? – zapytałem.

– Felix był z bratem pokłócony – odpowiedział Hans. – Twój dziadek nie przyszedł nawet na pogrzeb mojego ojca.

Najboleśniej historie dotyczą bezsilności; to historie o porządnych ludziach, którzy wciągnięci wbrew swej woli przez wir wydarzeń myślą, że mogli powstrzymać rozwój wypadków.

W oczach Hansa cała jego rodzina ponosiła winę. Jak mogłem mu wyjaśnić, że inni w dużo większy sposób przyczynili się do nieszczęścia jego rodziny? Od czego miałem zacząć? Od postawy Kościoła katolickiego, który za ważniejsze od zamartwiania się o garstkę Żydów uznał troskę o swą dominującą pozycję w Trzeciej Rzeszy i zwalczanie komunizmu? Od przypomnienia o entuzjazmie Kościoła protestanckiego dla nazistowskich rządów? Czy może o obojętności dziewięćdziesięciu dziewięciu procent Niemców wobec losu żydowskich współobywateli? Może powinienem przypomnieć o hipokryzji i cynizmie świata na konferencji w Evian w lipcu 1938 roku, na której trzydzieści dwa rządy, w tym Watykanu, pochylały się nad tragedią Żydów, produkując pełne pustych słów dokumenty, które nie zostały przekute w czyny. Czy Hans słyszał o przedstawicielu Kanady, który na pytanie o to, ilu jego kraj zechce przyjąć Żydów, dobitnie oświadczył, że żaden to zbyt wielu^[75]? Czy Hans czytał o Rogerze Makinsie z brytyjskiego Foreign Office, który przyznał, że żaloszny stan, w jakim znajdowali się niemieccy Żydzi, czynił z nich niepożądanych imigrantów? Czy Hans wiedział, że Amerykanie, którzy z inicjatywy prezydenta Roosevelta zwołali konferencję, mogli wpuścić do siebie rocznie bardzo ograniczoną liczbę Żydów, tak że matka Hansa mogła na próżno słać jeszcze tysiące listów do swego brata? Czy może musiałem wymienić swemu kuzynowi przeszło dwa tysiące ustaw antyżydowskich, jakie naziści przyjęli do 1937 roku?

Spór między Rudolfem i Felixem dotyczył pieniędzy. Jeden z partnerów

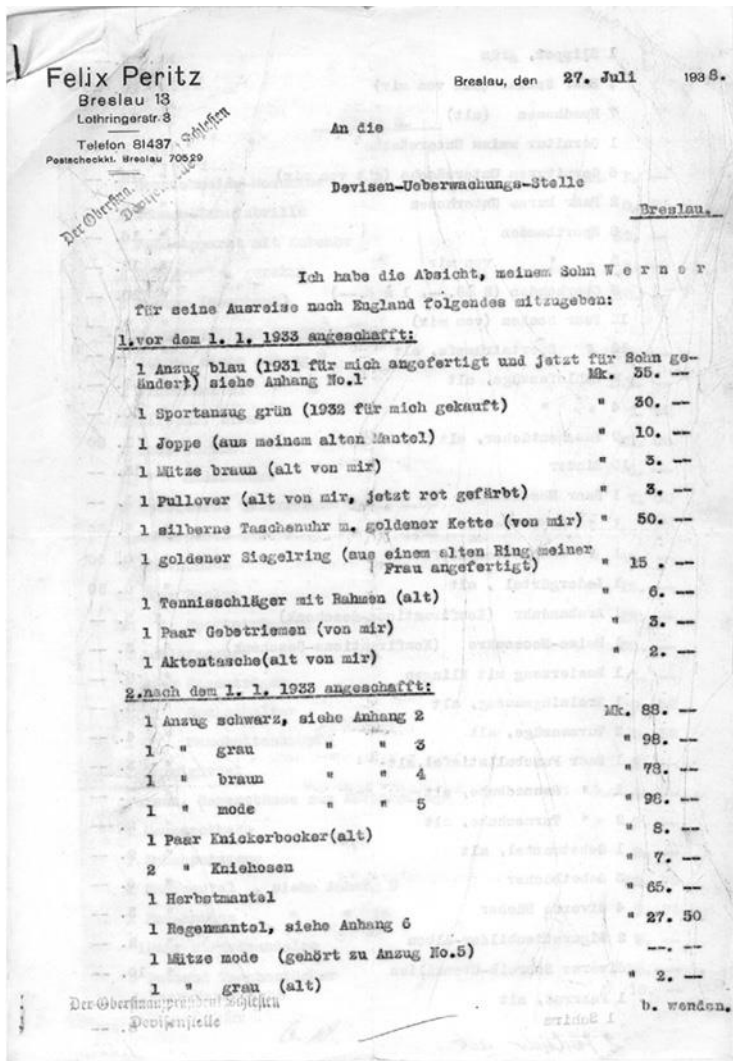
Rudolfa go oszukał i firma konfekcji męskiej zbankrutowała. Był winny swemu bratu sporą sumę pieniędzy. W tamtym czasie Felix również przeżywał finansowe problemy. W 1936 roku odradzano handlarzom prowadzenie interesów z Żydami. Klienci mojego dziadka po kolei się wykruszali, a fabryki butów odmawiały dostaw towarów. Izolacja ekonomiczna osiągnęła swój punkt kulminacyjny 6 lipca 1938 roku, od którego to dnia zakazano żydowskim handlarzom obwoźnym wykonywania zawodu.

W tamtym czasie Felix w pełni był zajęty przygotowaniem do emigracji syna.

Werner otrzymał dziewięciomiesięczną wizę do Anglii, a jego ojciec potrzebował pieniędzy na dokumenty wyjazdowe i podatki. *Reichsfluchtsteuer*, tak zwany podatek od ucieczki z Niemiec, stanowił środek karny. Ponieważ imigranci wyjeżdżali z Niemiec z zakupionymi w kraju towarami, Rzesza domagała się od nich rekompensaty za wszystko, co traciła w związku z wyjazdem żydowskich wychodźców.

To moja babcia wypełniała dwie tekturowe walizki syna. Felix starannie wypisał na maszynie listę z ich zawartością. Wartość każdego przedmiotu została odnotowana i podliczona, a pełna kwota podatku wypłacona w niemieckich markach *Oberfinanzpräsidentowi* Śląska. Mój ojciec zachował ten dokument.

Ich habe die Absicht, meinem Sohn Werner für seine Ausreise nach England folgendes mitzugeben^[76] – rozpoczął Felix. Najpierw zsumował przedmioty, które zostały zakupione przed 1 stycznia 1933 roku.



List mojego dziadka Felixa Peritza do *Oberfinanzpräsidenta Devisen-Ueberwachungs-Stelle* w Breslau ze spisem zawartości walizek, jakie syn Felixa Werner zabierze ze sobą na emigrację do Anglii

1 niebieski garnitur (uszyty w 1931 na mnie, i przerobiony na syna)

35

1 zielony garnitur sportowy (zakupiony dla mnie w 1932)

30

1 kurtka (z mojego starego płaszcza)

10

1 brązowa czapka (po mnie)

3

1 sweter (po mnie, przefarbowany na czerwono)

3

I tak przez dwie strony. Moi dziadkowie pomyśleli o wszystkim. Jeden

płaszcz zimowy, jeden przeciwdeszczowy, skarpetki i zegarek, koszule i rękawiczki, rakietka tenisowa i buty do gry w piłkę nożną, kąpielówki. W zamian za owo żywotne mienie państwowe musiano zapłacić przeszło tysiąc czterysta marek niemieckich.

Kiedy wszystko zostało załatwione, a podróż pociągiem i statkiem zarezerwowana, pewnego wieczoru mój dziadek wszedł do pokoju syna. Robił to rzadko lub nigdy. Werner leżał już w łóżku. Felix usiadł na krawędzi łóżka. Rozplakał się.

– Tylko raz w życiu widziałem ojca płaczącego – opowiadał mój ojciec. – Powiedział, że nie ma więcej pieniędzy i że nie wie, co się dalej z nimi stanie.

Czy to wtedy dziadek udał się do Rudolfa, by poprosić o zwrot pożyczki, czy stało się to jeszcze wcześniej? Nie ma to znaczenia. Jego brat nie miał tych pieniędzy. Poróżnienie obu braci się dopełniło. Trzy miesiące później Rudolf zmarł, a mój dziadek nie poszedł na jego pogrzeb.

– Potem tylko jeden raz widziałem wujka Felixa i ciocię Else – powiedział Hans. Wróciliśmy do pokoju dziennego i zajęliśmy miejsca w fotelach. Hans nabił sobie fajkę. Miał mi jeszcze wiele do powiedzenia.

– Rozumiesz, że o tak delikatnych sprawach nie mogłem pisać – podjął.

Mój kuzyn potwierdził, że u niego w domu o wiele częściej spotykano się z wujem Maxem i Josephem, dwoma starszymi braćmi przyrodzonymi jego ojca. Trójka dzieci Maxa już w 1935 roku wyprowadziła się do Nowego Jorku, a kiedy Max i Joseph krótko potem zmarli, wraz z nimi zgasła również cała nadzieja na pomoc z tamtej strony. Pozostali jedynie Felix i Else, jednak Felix pozostawał w niezgodzie z ojcem Hansa, zaś Else uważała Hansa za hultaja wywierającego zły wpływ na jej syna, jeśli dwaj kuzyni zbyt często by się spotykali.

– Kiedy w niedzielę dzwoniłem do domu wujka Felixa i pytałem, czy mogę się pobawić z Wernerem – opowiadał Hans – ciotka Else zawsze miała w zanadrzu gotową wymówkę. *Werner muss Lateinisch studieren*^[77] – mówiła na przykład. Albo *Werner hat heute keine Lust*^[78].

Hans odchrząknął.

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe, ale twój dziadek obiecywał wywieźć mojego brata z Niemiec. Nie wiem, czemu tego nie zrobił. Kiedy wujek Felix po wojnie się dowiedział, że przeżyłem, napisał list z zapytaniem, czy chcemy przyjechać do Palestyny. Nam się to nie uśmiechało.

W 1948 roku Hans i Mona dotarli do Nowego Jorku. Najpierw przez dwa lata żyli w obozie dla *displaced persons* w Bawarii. Urodził się tam ich syn Rudi, nazwany na cześć dziadka. W porcie w Nowym Jorku wyjechał na ich spotkanie Walter, syn wuja Maxa. Walterowi i jego siostrom, Lilo i Edith, dobrze się w Ameryce powodziło.

– Walter mieszkał w pięknym domu – mówił Hans – ale nas wprowadził do

środka wejściem dla służby. Spotkaliśmy też tam barona von Lojewskiego, męża Edith. Co za arystokrata! Spodnie w kant, monokl, poszetka w kieszonce blezeru, laska. Potem odwieziono nas na kwatery, gdzie na każdym kroku rozdeptywaliśmy karalucha. A po paru dniach wreszcie z siebie wydusili: ty, Hans, możesz u nas zostać, jak się rozwiedziesz z *dieser Ausländerin*^[79].

Mój kuzyn popatrzył na mnie badawczo. Nie wiedziałem, jak mam zareagować. To przechodziło ludzkie pojęcie. Żona Hansa, Mona, urodziła się w Preszowie na Słowacji i aż do deportacji jej rodziny żyła w Koszycach, które w tamtym czasie wcielono do Węgier. Z wyjątkiem Mony i jej siostry Erny cała ich rodzina – rodzice, dziadkowie, bracia i siostry – zginęli zagazowani w Auschwitz. Mona była odważną, inteligentną kobietą. Jak krewni jej męża mogli tak nisko upaść?

Hans uważał, że jego życie nic nie jest warte. Był ofiarą i postanowił nią pozostać. Aby nie załamać się pod ciężarem tej fatalnej myśli, okopał się za obsesyjną amnezją, sarkazmem i wielką potrzebą autoafirmacji. Dlatego z taką wdzięcznością reagował na każdy komplement. Na moment uwalniał się od pogardy wobec samego siebie, która pozwalała mu z większą beztrąską mówić o swoim losie. Bywało, że moje zainteresowanie dla jego przeszłości i miłości do muzyki i religii żydowskiej napawało go satysfakcją. Takie spokojne chwile trwały jednak krótko. W pobliżu stale czaiły się skrajna depresja i uraza. Wiedział, że jego huśtawka nastrojów wielu do niego zrażała, a świadomość, że jego dzieci mocno przez nią ucierpiały, stanowiła jeden z filarów jego samonienawiści. Pomimo ogromu tragedii wiele osiągnął, zaś w autoironii kamuflował swój kompleks niższości.

– Jestem głupkiem – mówił. – Zawsze nim byłem. Chodziłem do *Hilfsschule*^[80] na Einbaumstrasse, blisko domu wariatów. W tej szkole dostawało się dyplom, jak się umiało buty zasznurować. *Tumm (dumm) geboren, nichts dazu gelernt, tumm gestorben*^[81]. Mona jest mózgiem rodziny.

Mimo to nigdy nie potrafił się powstrzymać przed dokuczaniem swojej żonie na temat jej pochodzenia. Kiedy pytałem Monę o Koszyce, Hans niezmiennie jej przerywał.

– Jakie to ma znaczenie? – żartował. – Koszyce składały się z chat, a mieszkało w nich sześć chłopca i jeden łeb koński. Do Breslau nawet by ich nie wpuszczono.

Były to jedyne momenty, w których Mona mu się nie odgryzała. Wiedziała, że Hans uważa ją za inteligentną. W 1942 roku skończyła z wyróżnieniem wyższą szkołę ekonomiczną w Koszycach i rzetelnie doglądała nauki czwórki ich dzieci. W tym czasie Hans zarabiał na życie rodziny jako kierowca ciężarówki.

– Dzieci nauczyły się wszystkiego od Mony – przyznawał Hans. – Poza słowackim akcentem, na szczęście.

Ich córka Laura, dyrektor banku, która miała za mnie wyjść, nie była jedyną, która daleko zaszła. Najmłodsza, Jenny, zdobyła dwa dyplomy MBA i pracowała na uniwersytecie, zaś Jackie zarządzała szkołą w Connecticut. Jeśli chodzi o Rudiego, brakowało dla niego słów pochwalnych. Po karierze prawniczej, obecnie, w wieku pięćdziesięciu lat, pracował jako profesor uniwersytecki w Nowym Jorku. Wykładał w Harvardzie i właśnie otrzymał zaproszenie do Oksfordu, by tam przez rok prowadzić zajęcia z prawodawstwa.

Rudi był oczkiem w głowie Hansa. Oczywiście był wybitny w swojej dziedzinie, ale dla Hansa bardziej liczyło się to, że Rudi rozumie, jak wielkie znaczenie jego ojciec przywiązuje do swego żydostwa. Nie wiem, czy Rudi podzielał żarliwość religijną Hansa. W każdym razie skrupulatnie wypełniał każdy rytuał żydowski.

Mój daleki kuzyn odmawiał przyznania, że dla czwórki swoich dzieci dokonał niemożliwego. Przez trzydzieści pięć lat prowadził tira. Bywało, że przez kilka dni z rzędu nie wracał do domu. Jak mógł coś dla nich znaczyć? Wiecznie marginalizował swoje znaczenie. Nic nie umiał, nic nie wiedział.

– *What else do you expect from a dumb Polish truck driver?*^[82] – mówił, wrzeszcząc ramionami. Było to jego ulubioną taktyką obronną. Uciekał się do niej za każdym razem, kiedy popełnił błąd lub czemuś nie sprostał. Nikt nie powinien niczego od niego oczekiwać. Mona łamała czasem to niepisane prawo, lecz wyłącznie wtedy, gdy go nie było, podczas jego sjesty lub gdy pojechał na zakupy.

– To dobry człowiek – powiedziała, kiedy ją zapytałem, dlaczego tak szybko po wyzwoleniu się pobrali. – Gdybym wtedy zauważyła, że jest zły, od razu bym odeszła. *I am a free spirit, you know*^[83].

Hans za swoją pierwszą pensję kupił Monie maszynę do szycia. Kosztowała sto pięćdziesiąt dolarów, spory uszczerbek w domowym budżecie.

– Kupowaliśmy dla nas wszystkich używane ubrania – opowiadała. – Bez przerwy trzeba je było reperować. Wciąż mam tę maszynę. Kupowaliśmy też dla wszystkich dzieci jednocześnie. Jak jedno potrzebowało nowych butów, to i tak czekaliśmy, aż zbierze się wystarczająca suma pieniędzy, by kupić je wszystkim.

Jeremy Fialkow powiedział mi, że Hans przez trzydzieści pięć lat prowadził ciężarówkę, a także w niej jadł i spał.

– Uciekał w pracę przed wspomnieniami – powiedział mi Jeremy w wieczór sederowy. – Szoferka była jego azylem, miejscem, w którym o wszystkim mógł zapomnieć. Zdawał sobie sprawę, że są z Moną inteligentni i że w tym kraju mogli wieść dostatnie życie. To również wywoływało gorzkość. Dlaczego innym się udało, a im nie?

Pewnego dnia Hans przyznał, że życie trowca ocaliło go od pójścia na dno.

– W trasie zapomniałem, jak los zniszczył moje życie – powiedział. – Lubiłem prowadzić zwłaszcza nocą. Ciemność i tylko światła reflektorów mojej

ciężarówce. Byłem wolny! W takich chwilach kontrast z nocami w Auschwitz, z zimnym światłem lamp i reflektorów nie mógł być większy.

Z nikim nie umiał podzielić się wspomnieniami z obozu.

– Jak tylko zaczynam o tym mówić – dodał – natychmiast tam wracam, a jak się tam znajduję, już nigdy nie powrócę do tego świata.

Jedynie w szoferce tira był w stanie dopuścić do głosu duchy przeszłości. Czerpał pociechę z tego, że nie nawiedzały one nikogo innego. Jego dzieci pochylały się nad lekcjami, jego żona je przepytывała i pomagała rozwiązywać zadania z matematyki.

Czasami syndrom poobozowy Hansa torował sobie drogę na zewnątrz w wyjątkowo gwałtowny sposób. Podczas przejażdżki po Filadelfii Maureen Fialkow zapytała mnie, czy Hans już mi opowiedział o Auschwitz.

– Nie – odpowiedziałem. – Na razie nie chce o tym mówić.

Maureen nagle spoważniała. Postanowiła zwierzyć mi się z czegoś w całkowitym zaufaniu.

– Parę lat temu Hans i Mona pokłócili się ze swoimi sąsiadami – zaczęła. – To byli Włosi. Wyrzucali przez ogrodzenie resztki jedzenia. Pewnego dnia Mona złapała sąsiada na gorącym uczynku. Zapytała, czemu to robi. Przecież nic nam nie zrobiliśmy – powiedziała. Wtedy Hans wyszedł na zewnątrz. Włoch akurat obrzucał Monę wyzwiskami. Hans kompletnie stracił panowanie nad sobą. *He was like a jabbering idiot*^[84] – opowiadała Mona. Gdzieś sobie poszedł i tego dnia nie wrócił do domu. Jimmy i Joshua ruszyli go szukać, ja zostałam przy Monie. Wieczorem zadzwonił. Przyjedź po mnie, Mona – błagał – przyjedź jak najszybciej, SS depta mi po piętach, słyszę już szczekanie psów.

Maureen także wiedziała, że Hans wymyślił tego durnego polskiego tirowca, by uwiarygodnić swój brak poszanowania samego siebie. Lekceważenie własnej osoby stanowiło najlepszy sposób, by wymazać ból wyimaginowanych przez siebie porażek.

– Dlatego Hansowi tak bardzo potrzeba uznania innych – dodała. – Podziękować mu za śpiew, a jest w siódmym niebie. Wiedziałaś, że pozwolił, żeby kariera śpiewaka przeszła mu koło nosa? Mieszkał tutaj dopiero od niedawna, a pewien nauczyciel muzyki zaoferował mu stypendium w konserwatorium. Hans odmówił. Nie potrafił inaczej. Miał rodzinę na utrzymaniu.

Wytrwałość, samodyscyplina, upór: Hans wszystkie swoje cechy charakteru nazwałby wariantami żydowskiej chucpy. Chucpa to coś więcej niż bezczelność. Kto ją odstawiał, wykazywał się odwagą, był przebiegły i w krytycznych sytuacjach reagował w lot. Chucpa to w jednej połowie wyszczekanie, a w drugiej – wykorzystanie słabości przeciwnika; to jednocześnie zabawa i śmiertelna powaga. *Chucpan* wykazuje się stałością charakteru i stalowymi nerwami. W Auschwitz miało się okazać, na ile Hans – poza szczęściem – potrafił

wykorzystać chucpę na swoją korzyść. Już jako dziecko był wiercipiętą. W przeciwieństwie do swojego kuzyna Wenera, którego rodzice, a przede wszystkim matka, wychowali pod absolutnym kloszem, Hans dokazywał, ile wlezie. W pełni zasłużył na swą reputację hultaja.

– Żaden nauczyciel nie uchronił się przed moimi szykanami – przypominał sobie mój daleki kuzyn, kiedy pochylony nad mapą przedwojennego Breslau opowiadał o swoich latach młodzieńczych. – Przechwytywałem listy, jakie dyrektor szkoły wysyłał do moich rodziców, i sam podpisywałem swoje sprawdziany. Byłem zepsuty do szpiku kości. W chórze wiodłem prym. *I was the star*^[85]. Inni chłopcy byli ode mnie biedniejsi, a ja ich z tego powodu dręczyłem.

Po „nocy kryształowej” wyzbył się swego dziecinnego okrucieństwa. Stał się żywicielem rodziny, w jego rękach spoczywało życie matki i brata. Auschwitz nie rozbudził w nim prymitywnego upodobania do dręczenia z jego lat szkolnych. W dniu ich ślubu w maju 1945 roku przyjaciele Hansa i Mony zaproponowali im, by przejęli od Niemców dom w wiosce, a jego mieszkańców wygonili.

– Nie ma mowy – sprzeciwił się Hans. – Nie zrobimy innym tego, co nam zrobiono.

Dla mojego dalekiego kuzyna Breslau było jednym wielkim placem zabaw. Z kilkoma przyjaciółmi przemierzał na rowerze całe miasto. Mój ojciec nigdy nie uczestniczył w tych wyprawach. Kiedy Werner wychodził ze szkoły, natychmiast biegł na Tauentzienplatz i wskakiwał do tramwaju do domu. Od czasu do czasu wstępował do Wertheim, domu towarowego przy Schweidnitzer Straße. Tam na stoisku z zabawkami stała cudowna kolekcja ołowianych żołnierzyków, a personel raz w miesiącu za darmo rozdawał gazetkę komiksową *Schmetterling*.

Hans sam wolał odgrywać żołnierzyka, w Südpark albo w większym Scheitniger Park, idealnych miejscach, by potajemnie palić papierosy, całować się z dziewczętami i wyczyniać inne psoty. Dla Hansa żaden zakątek Breslau nie krył w sobie tajemnicy. Tuż za miastem można było pływać w Odrze, znajdowała się tam nawet mała piaszczysta plaża, innymi razy jeździł tramwajem na lotnisko, gdzie cały dzień przyglądał się samolotom, popijając lemoniadę. Także i on należał do żydowskiej drużyny skautów. Tak samo jak grupy Wandervögel^[86] oraz chłopcy z Hitlerjugend, tak i jego drużyna co tydzień wyruszała poza miasto. Na Schlossplatz, między pałacem królewskim a operą, Hans codziennie kopał w piłkę z kolegami. Breslauczycy nazywali ten wielki, piaszczysty teren Exerzierplatz – placem ćwiczeń, ponieważ dawniej to tam żołnierze pułku straży przeprowadzali swoje musztry. Sport był jego życiem. Należał do szkolnego klubu pływackiego oraz do klubu piłkarskiego Bar Kochba. Kibicował Breslauowi 02, najlepszemu klubowi w mieście.

– Jak nie miałem pieniędzy – opowiadał Hans – wspinałem się przez ogrodzenie. Po „nocy kryształowej” chodziłem wiecznie splukany, nie mieliśmy

pieniędzy na życie, ale nie przestałem oglądać Breslau 02.

Mój daleki kuzyn był właścicielem blond włosów i niebieskich oczu – perfekcyjnego kamuflażu. Począwszy od 1939 roku Żydom nie wolno było wchodzić do kina ani teatru. Zarezerwowano dla nich ogrodzone kąpielisko nad Odrą, niedaleko Universitätsbrücke, mostu uniwersyteckiego. Parki, kawiarnie i restauracje stały się obszarami, do których wstęp mieli wzbroniony.

– W 1941 roku w Stadttheater widziałem *Otella* – powiedział. – Musieliśmy już wtedy nosić żółtą gwiazdę, ale jeden kolega załatwił mi garnitur i płaszcz. Bardzo mi się to przedstawienie podobało. Nie bałem się, że zostaną nakryty. To była moja ostatnia opera.

11

Kiedy 30 stycznia 1933 roku Hitler został kanclerzem Rzeszy, Werner i Hans przygotowywali się do pójścia do szkoły średniej. Werner mieszkał na południu miasta, na Menzelstrasse. Jego rodzice przenieśli się pod ten lepszy adres, ponieważ sprzedaż butów dobrze szła. Mój dziadek Felix przemierzał pociągiem duży obszar Śląska, docierając do Trebnitz i Obernigk na północy, do Liegnitz na zachodzie, Schweidnitz na południu, a na wschodzie nawet do Oppeln i odleglejszego Gleiwitz, na granicy z Polską. Każdego ranka jego syn widział go wyruszającego z wielkimi, ciężkimi walizkami. Pod domem czekał na niego tragarz dworcowy z wózkiem bagażowym, który ładował towar i przewoził na Hauptbahnhof lub Freiburger Bahnhof.

Menzelstrasse była poprzeczną ulicą do Kaiser-Wilhelmstrasse (później przemianowanej na Strasse der SA), szerokiego, wysadzonego drzewami bulwaru, który łączył centrum miasta z Südpark. Wcześniej rodzina mieszkała przy cienistej alei w małym, ciemnym mieszkaniu kamienicy czynszowej, po której wewnętrznym podwórku kręcili się katarzyniarze i inni żebracy, którym mieszkańcy rzucali kawałek chleba czy kiełbasy.

W nowym mieszkaniu rodzina mogła pozwolić sobie nawet na służącą. Hedwig, kucharka i opiekunka do dzieci, zajmowała mikroskopijne pomieszczenie pod schodami. Wkrótce Felix miał kupić samochód, by nie musieć już dźwigać waliz.

Wszyscy kuzyni Wenera mieszkali od siebie w odległości spaceru. Hans na Goethestrasse, a później Gabitzstrasse. Franz z braćmi zajmowali dom przy Fehrbellinstrasse, zaś Wolfgang mieszkał na Frobenstrasse. Jeśli na wysokości mieszkania Wenera w samochodzie wrzucało się bieg na luz, można było w ten sposób wyjechać z ulicy i dotrzeć aż do domu Franka.

Chłopcy nieczęsto ze sobą przebywali. Frank i Wolfgang byli za młodzi, Hans za dziki, Werner wycofany. Gdyby ciotka Else wiedziała, że Hans po kryjomu wkłada garnitur ojca, by wślizgnąć się do kina na filmy dla dorosłych, być

może na zawsze by go przepędziła. Else bezwzględnie zwalczała takie wybryki.

– Kiedy matka wychodziła na zakupy – wspominał mój ojciec – oczekiwała, że w tym czasie będę grzecznie ćwiczył na pianinie albo odrabiał lekcje. Pewnego razu ośmieliłem się włączyć radio. Miałem szczęście, bo śpiewali Comedian Harmonists, których uwielbiałem. W tym czasie stałem przy oknie na czatach, a kiedy zobaczyłem, że nadchodzi, wyłączyłem muzykę. Ku mojemu oburzeniu ona natychmiast po wejściu położyła ręką na aparacie. A ten był ciepły! Musiałem położyć się na krześle i spuścić spodnie, a ona uderzyła mnie kilka razy biczykiem po pupie.

– Dlatego nigdy nie podniosłem nawet palca na własne dzieci – powiedział Hans. – Przez załadowywanie i rozładowywanie ciężarówek ręce mi się zrobiły szorstkie. Nigdy nie śmiałem ich użyć.

Mój ojciec ani Hans nigdy nie skarżyli się na surowość swoich rodziców. Kary cielesne należały do repertuaru porządnego niemieckiego wychowania. Także w klasie wymagano ścisłego posłuszeństwa i wielkiego zaangażowania, choć chuligaństwo Hansa świadczy o tym, że mocno restrykcyjna szkoła potęguje w uczniach ducha liberalizmu.

Nawet grzeczny jak tylko to możliwe Werner raz pewnego podjął się pewnej inicjatywy. Jego ofiarą padł pan Speck. Ów nauczyciel prowadził lekcje francuskiego w mundurze esesmana i każde zajęcia zaczynał i kończył pozdrowieniem *Heil Hitler!* Od wszystkich uczniów wymagał wykrzykiwania go razem z nim. Ci nie mieli o wykładowcy wysokiego mniemania. Wiecznie skwaszony, mówiący dyszkantem, rzadko zdołał utrzymać spokój w klasie. A jakie idiotyczne nosił nazwisko! Za każdym razem, kiedy chłopcy obrzucili go kulkami papieru, obracał się wściekły i wołał piskliwie: „*Wer schmeisst denn hier mit Dreck?*”^[87] Na co każdy w myślach odpowiadał: pan Speck.

Pewnego razu mój ojciec wysłał do niego list. Wyśmiał go w nim i podpisał „V. Lerwitz”. Nauczyciel nigdy nie dowiedziałby się, że za tym głupim kawałem krył się Werner Peritz, gdyby chłopiec, wciąż rozkoszując się swym zuchwałym czynem, nie wygadał się o nim podczas wycieczki szkolnej. Wychowawca Wernera, pan Opitz, musiał poważnie wstawić się u dyrekcji za chłopcem.

W lecie 1933 roku Werner i Hans zmienili szkołę. Werner poszedł do Realgymnasium am Zwinger w centrum miasta, Hans do Jüdisches Realgymnasium am Rehdiger Platznie opodal domu. Wybór szkół odzwierciedlał poglądy rodziców. Felix i Else dążyli do całkowitej integracji i nie zależało im na odrębnym, żydowskim wykształceniu dla syna. Rudolf i Minnie tymczasem uznali za logiczne, że ich żydowski syn będzie chodził do żydowskiej szkoły.

Werner nie miał w gimnazjum wielu przyjaciół. Przeważnie siedział na podwórku szkolnym samotnie, ze swoim drugim śniadaniem. Nie miało to nic wspólnego z jego żydowskim pochodzeniem. Koledzy z klasy nie widzieli w nim

wroga.

– Kiedyś z kolegą szkolnym jechaliśmy tramwajem do domu – opowiadał mój ojciec – a do środka weszła grupka esesmanów. „Jak dorosnę, chcę wstąpić do SS – powiedział mój kolega. – Do elity”.

Chłopcu nie przyszło do głowy, że może tym urazić Wenera, Żyda. Nawet pan Speck nigdy nie robił żadnych antysemitycznych uwag; nawet nie po incydencie z V. Lerwitzem. Werner był introwertykiem. Dużo czytał, również książki z biblioteki swoich rodziców, i musiał się sporo uczyć, zwłaszcza łaciny, gdyż z materiału przerabianego w pierwszym dniu szkoły mógł być przepytany nawet w ostatnim.

W okolicach Wielkanocy 1935 roku ojciec opuścił Realgymnasium am Zwinger. Ustawa o zagęszczeniu niemieckich szkół i placówek szkolnictwa wyższego, która obowiązywała już od 7 kwietnia 1933 roku, ograniczając liczbę żydowskich uczniów i studentów do minimum, do tamtego czasu nie była przestrzegana przez dyrekcję większości szkół. W 1935 roku władze zaczęły ściślej kontrolować jej stosowanie. Werner Peritz został poproszony o odejście ze szkoły. Pan Sengfelder, wychowawca klasy, wystawił mu świadectwo nienagannego zachowania.

Er verlässt die Anstalt um die jüdische Schule zu besuchen. Seine Führung war einwandfrei^[88].

Pół roku później, na kongresie partii w Norymberdze, naziści zatwierdzili dwie ustawy, które przecięły ostatnie prawne i społeczne więzy łączące Żydów z Niemcami. *Reichsbürgergesetz*, ustawa o obywatelach Rzeszy, pozbawiła pięćset tysięcy Żydów (około 0,6 procent całego społeczeństwa) prawa głosu, czyniąc z nich obywateli drugiej kategorii. *Gesetz zum Schutze der Deutschen Blutes und der Deutsche Ehre*, ustawa o ochronie niemieckiej krwi i niemieckiego honoru, wprowadzała zakaz pobierania się Żydów z nie-Żydami, doprowadzając do powstania skomplikowanej klasyfikacji na Żydów, pół-Żydów i ćwierć-Żydów.


Czy Werner rozumiał, że ustawy te były wymierzone również przeciwko niemu? Zdarzało mu się czytać *Der Stürmer*. To nazistowskie pismo, które podjudzało do nienawiści wobec ludności żydowskiej, publikując pamflety i karykatury, co tydzień wywieszane było w gablotach najważniejszych ulic miasta. Kiedy Werner oglądał ponure postacie z haczykowatymi nosami oraz w czarnych płaszczach i czytał oskarżenia i nawoływania do bojkotu żydowskich sklepów, zdawało mu się, że *Der Stürmer* mówi o jakiś obcych. A przynajmniej, jak uważał, nie on stanowił cel tych ataków. On, tak jak i inni, był Niemcem.

A kiedy ciepłego, bezchmurnego dnia lata ponad Breslau przelatywał *Hindenburg*, mój ojciec śledził z nieukrywaną dumą lot wdzięcznego, srebrzystego zeppelinu, aż ten zniknął za Odrą. Werner ujrzał, jak sterowiec dostojnie pikuje nad główną obwodnicą, jakby chciał pozdrowić miasto. Werner jeszcze nigdy nie

widział czegoś równie majestatycznego. Jakie szczęście, że tu mieszkał.

Trzynastolatka ogarnął dużo większy strach, kiedy z domu towarowego Wertheim wyniósł gazetkę, którą uznał za darmową. Kiedy przy wejściu zauważył, że kosztuje dwadzieścia fenigów, wybiegł w panice na ulicę, błyskawicznie wyrzucił folder do kosza na śmieci – pod nowymi rządami nie wolno było wyrzucać papierów na ulicę – i na Tauentzienplatz wskoczył w tramwaj, który szczęśliwie natychmiast odjechał. Czy stał się złodziejem? Czy ktoś zauważył, jak lekkomyślnie przeszedł przez ulicę, co również było karalne?

Gymnasium und Realgymnasium am Zwinger Breslau



Führungs-Zeugnis


Werner Peritz,

geboren den 30. IX. 1922 zu Breslau Kreis -

hat die Anstalt seit Ostern 1932 von VI an,
zuletzt seit Ostern 1935 als Schüler der UII Ir² besucht.
Er verläßt die Anstalt, um die jüd. Schule zu besuchen.
Seine Führung war einwandfrei.

Breslau, den 27. August 1935.

Raum
Oberstudienleiter



H. Sengfelder
Klassenlehrer der UII Ir²

Wielkanoc 1935 roku. Werner Peritz musi opuścić Gymnasium und Realgymnasium am Zwinger, ponieważ jest Żydem. Doktor Sengfelder, jego wychowawca, podpisuje świadectwo nienagannego zachowania

Dojście nowych ludzi do władzy miało też swoją korzyść. *Fräulein* Deutsch, nauczycielka pianina, stłumionym głosem i ze spuszczoneym wzrokiem oznajmiła

rodzicom Wenera, że już dłużej nie może udzielać mu lekcji. „Nic przeciwko wam nie mam – powiedziała – ale sami państwo wiedzą”. Werner, który od ósmego roku życia pobierał lekcje gry na pianinie i był w wieku, w którym wszystko, co kosztuje pewien wysiłek, uważa się za nudne, przyjął tę wiadomość jak uśmiech losu. Tydzień później matka znalazła mu nową nauczycielkę.

W tamtym roku w rodzinie Wenera doszło do wydarzenia, które wywarło na niej większe piętno niż wszystkie antysemityczne środki razem wzięte. 29 października 1934 roku zmarł Ernst, młodszy brat mojego ojca. Miał sześć lat. Moja babcia go ubóstwiała. Z jego śmiercią rozprysło się jej kruche szczęście. Nagle na nowo dały o sobie gwałtownie znać obawy i wątpliwości, spięcia między nią a jej mężem, niezadowolenie z pozycji społecznej, zadręczanie się kruchością jej emocji. Else była tak załamana, że posłano ją do sanatorium w Zuckmantel w Czechach.

„Panuje przejmujący ziąb” – napisała na pocztówce do męża Felixa – ale słońce świeci, a więc w południe siedzimy na tarasie. Wszyscy są bardzo mili, zwłaszcza personel, i dużo nam dają jeść. Przypilnujesz, by Werner odrabiał lekcje?”

Pobyt w Zuckmantel niczego nie rozwiązał. Mój ojciec jeszcze dobrze pamięta wieczór, kiedy zmarł jego brat. W mieście szalała epidemia dyfterytu. Kiedy u Ernsta pogorszyło się złośliwe zapalenie błon śluzowych, w domu bez przerwy czuwała przy chłopcu pielęgniarka. Kiedy zaczynał się dusić, zakładała mu maskę tlenową.



i Werner (jedenaście lat)

1933 rok. Bracia Ernst (pięć lat)

– Doktor Weigert, nasz lekarz domowy, codziennie przychodził badać mi puls – opowiadał ojciec. – Potem zostawał na kolację. Tego wieczoru leżałem już w łóżku. Doktor Weigert siedział jeszcze przy stole. Usłyszałem, jak ojciec

wchodzi do pokoju Ernsta, tuż przy moim. „Doktorze! Doktorze!” – usłyszałem, jak woła. Było już za późno, mój braciszek się udusił. Matka zawsze utrzymywała, że to była wina pielęgniarki, która zapomniała założyć mu na czas maskę. Ernst mówił na tę maskę *Wasserstof*, wodór, nie wiem czemu.

Album rodzinny zawierał wiele zdjęć chłopczyka. Ładne jest to, na którym pozuje razem ze starszym bratem. Mój ojciec ma rozmarzone, ciepłe oczy, zaś Ernst niesfornie spogląda na świat. Widać, że był to swawolny, filuterny chłopiec, i nie dziwi, dlaczego jego matka straciła w nim swojego najlepszego towarzysza zabaw.

Pół roku później jej już wtedy jedyny syn przeniósł się do Jüdisches Realgymnasium am Rehdiger Platz. Werner szybko przystosował się do nowej szkoły i zawarł przyjaźń z kilkoma chłopcami. W szkole na szczęście więcej uwagi przywiązywano do innych dyscyplin sportu niż do gimnastyki. Werner był kiepskim gimnastykiem – ku rozpaczy swego ojca, entuzjastycznego członka klubu gimnastycznego Froh, Frisch, Fromm, Frei^[89]. Jego syn wyróżniał się jednak w skokach w dal i w sprincie, a także sprawdzał się w piłce nożnej i ręcznej na trawie. W weekendy chodzili z ojcem na spacery albo wyruszali razem do żydowskiego klubu sportowego na meczyk *Fausthandball*, fistballa.

Werner rzadko utrzymywał kontakt z Hansem. Kuzyn Wenera wstąpił do drużyny skautów Schwarze Fähnlein^[90] i flirtował z syjonizmem w stowarzyszeniu sportowym Bar Kochba. Obie organizacje kładły nacisk na określony charakter judaizmu. Ich członkowie reprezentowali prawicowy odłam judaizmu i nie byli niechętni odrębnemu statusowi społecznemu Żydów w Niemczech. Niektórzy przyjaznym okiem patrzyli na antysemityczne środki, jakie przyjmowało państwo. Miały one bowiem zachęcić wielu do wyemigrowania do Palestyny, zaś innym na nowo uświadomić ich żydowską tożsamość i położyć kres ich asymilacji i integracji. Niektórzy uważali się za sojuszników Hitlera. Odpowiadał im jego ideał czystej rasy. Czyż sami Żydzi nie byli odrębnym narodem?

Wstępując do skautów czy stowarzyszenia sportowego, mój daleki kuzyn nie żywił absolutnie żadnych złowrogich przesłanek. Kluby szkolne przynajmniej zapewniały to, że rozrabiaka Hans nie szwendał się po ulicy.

W 1939 roku Hans zdobył miejsce w transporcie dzieci do Wielkiej Brytanii. Jego młodszy o dwa lata brat nie znalazł się na liście. Kto załatwił ten wyjazd? I dlaczego tylko dla niego, a nie dla Günthera? Ostatecznie Hans nie wyjechał. Jego *Kindertransport* był zaplanowany na 4 września 1939 roku. Dzień wcześniej Hitler wypowiedział wojnę Brytyjczykom.

Hans dokonywał selekcji swych informacji. Czy niektóre tematy pomijał ze wstydu? *Schwarze Fähnlein* stanowił imitację paramilitarnego harcerstwa Hitlerjugend. Mundury i marsz, męskość i dyscyplina. Nie było w tym nic dziwnego. Swego czasu mój ojciec również spoglądał z zazdrością na silnych

chwatów z ich sztyletami u skórzanych pasów. Chłopcy, którzy jak on czytali *Ivanhoe'a* i *Emila i detektywów*, prawdopodobnie jeszcze bardziej niż inni marzyli o przygodach i wyzwaniach, niewątpliwie wzdychali do dziewcząt o blond włosach i niebieskich oczach z Bund Deutscher Mädels, Federacji Niemieckich Dziewcząt (chłopcy nazywali ją Bund Deutscher Milchkühe, Federacją Niemieckich Krów Mlecznych), wciskających im pod nos puszkę do kwestowania na datki dla Winterhilfe albo Kraft durch Freude^[91] organizujących wyjazdy wakacyjne dla ubogich.

Ponieważ mój ojciec umknął przed najgorszymi prześladowaniami nazistów, potrafił z większym obiektywizmem spoglądać na swą młodość. Bez problemów przystosował się do życia w Anglii. Wierność religii żydowskiej wykruszyła się w nim. Zawieruszył gdzieś tańce z cicitami, który dała mu matka. Po wojnie bez szemrania przeszedł na katolicyzm. A kiedy dowiedział się, że Niemcy wypłacają Żydom odszkodowania, wzruszył ramionami i nie złożył podania o *Wiedergutmachung*. Nie czuł się ani winny, ani współwinny czegokolwiek. Jego młodość w Breslau nie wyglądała może jak sen w technicolorze, ale nie była też koszmarem.

Taki spokój ducha był nie do pomyślenia u Hansa. Jego życie było jedną świętą wojną przeciwko nazistowskiemu reżimowi. Jego nienawiść była tak czysta, że jedna iskra rozniecała w nim na nowo obawę, iż nienawidzi niedostatecznie mocno.

Ledwie od paru dni byłem w Filadelfii, kiedy to Mona mi wyznała, że Hans wraz z dużą grupą więźniów został wysłany do Warszawy, by tam pomagać w uprzątnięciu ruin po stłumieniu powstania w getcie warszawskim w kwietniu i maju 1943 roku. Miał tam pozostać przeszło rok. Tuż przed dojazdem do stolicy Polski Hans zobaczył w przestrzelonym domu dzbanek z kawą. Kawa w nim była jeszcze ciepła! „Spadajmy stąd! – zawołał do swoich towarzyszy z *Arbeitskommando*. – Jeszcze nas ostrzelają!”

Tuż przed 1 sierpnia 1944 roku, kiedy polskie podziemne siły zbrojne zaczęły walczyć, żydowscy więźniowie zostali wywiezieni do podobożu w Dachau.

Hans złożył mi obszerną relację z pobytu w Dachau. Po jakimś czasie zechciał nawet opowiadać o Auschwitz. Dlaczego jednak przemilczał Warszawę? Rok pracy w ruinach getta żydowskiego prawdopodobnie był lżejszy niż wytrzymanie jednego dnia Auschwitz, choć i w polskiej stolicy setki więźniów umierały z niedożywienia, chorób lub od bezwiednie wypalonego pistoletu strażnika. Czy mój kuzyn wyobrażał sobie, że przeżycie na ulicach Warszawy to pestka w porównaniu z przeżyciem w cieniu komór gazowych? Czy miał poczucie winy, że w Auschwitz przebywał krócej niż inni?

Czy piekło obozu zagłady stanowiło jedyną miarę jego cierpienia i nienawiści? Jeremy Fialkow wyjaśnił mi, jak to ludzie z *post-traumatic survivor*

syndrome uważają się odpowiedzialni za wszystko. Kiedy kochane przez nich osoby są mordowane, czują się winni, że ich nie ratują. Kiedy żywi opuszczają obozy, żałują, że nie zginęli razem z ofiarami. Aby przeżyć, pisał Primo Levi, trzeba było w pierwszym rzędzie myśleć o sobie. Czy Hans uważał, że tylko egoiści zdołali przeżyć Auschwitz? Że sam wziął udział w morderstwie swoich współwyznawców? Czy uważał się za kryminalistę?

The only thing necessary for the triumph of evil is for good men to do nothing [Dla triumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili]. Hans kiedyś wyciął z gazety i przykleił w kuchni do drzwi lodówki ten cytat z angielskiego historyka Edmunda Burke'a. Czy Hans uważał, że zachował się jak bierny obserwator, zbyt tchórzliwy i wystraszony, by rzucić się na morderców?

Tragedia Hansa rozpoczęła się w „noc kryształową” 9 listopada 1938 roku. Pogrom trwał piętnaście godzin. W całej Trzeciej Rzeszy naziści podpalili sto jeden synagog, a kolejne siedemdziesiąt sześć zrównali z ziemią. Niezliczona ilość sklepów została zniszczona. W szczególności w dużych miastach dochodziło do bezpośrednich napaści na Żydów. Tej nocy dwadzieścia tysięcy z nich zostało aresztowanych i wysłanych do Buchenwaldu, Dachau i Sachsenhausen. Dziewięćdziesiąt jeden osób zamordowano: na ulicy, w domu, na komisariacie policji czy w lesie. W Breslau spłonęła Neue Synagoge, a setki mężczyzn wywieziono do Buchenwaldu pod Weimarem. Przed ogniem uchroniła się jedynie synagoga Pod Białym Bocianem, ponieważ budynek był ciasno otaczany przez domy, w których mieszkali także prawdziwi Niemcy.

„Właśnie wróciłam do domu – wspominała Suzanne Durra – kiedy dowiedziałam się, że zaginął mój ojciec. Szukałam go przez wiele godzin. Na próżno, we łzach. Na Polizei Präsidium przy Schweidnitzer Stadtgraben oraz na Landesgericht przy Neue Graupenstrasse, nazywanej przez breslauczyków *Graupe*, stały kobiety i dzieci w oczekiwaniu na wiadomości. Nigdy nie zapomniałam strachu i paniki tamtego dnia”.

Suzanne i jej siostrę Lilli poznałem dopiero w 1994 roku, kiedy Frank z Melbourne napisał mi, że dwie kuzynki mojej babci mieszkają w Londynie.

Jesienią 1938 roku większość rodziny wciąż jeszcze nie wyemigrowała. Pozostała część rozstała się z krajem dopiero trzy lata wcześniej. Nie z przerażenia, jak uchodźcy w pierwszych miesiącach 1933 roku. Patrioci nie dezertują. A nuż Hitler się długo nie utrzyma, a jeśli nawet miałby pozostać u władzy, niezwłocznie pewnie wygładzi ostre kanty swej ideologii. Dźwiganie politycznej odpowiedzialności było o wiele trudniejsze niż pisanie antysemitycznych ulotek.

Co pisali swoim przyjaciołom i znajomym za granicą? Że do Breslau powrócił spokój? Jeden raz brunatne koszule zamieniły centrum miasta w morze flag ze swastykami. Hitler właśnie został kanclerzem Rzeszy. Wszyscy uznali za normalne świętowanie zwycięstwa przez jego zwolenników. Zresztą trochę wcześniej komuniści również zorganizowali wielką demonstrację.

A co z przemocą? No dobrze, prawda, że żydowscy sędziowie i adwokaci zostali wyrzuceni z budynku sądu – wiadomość trafiła na strony *Allgemeine Frankfurter Zeitung* – a jednego studenta uniwersytetu, niejakiego Waltera Steinfelda, znaleziono martwego. Zamordowany został także jakiś robotnik, a przynajmniej rozniosła się taka plotka. Ale przecież takie rzeczy zdarzyły się już wcześniej, prawda?

Czy może przekazywano sobie wyłącznie dobre wiadomości? Że prezydent Hindenburg dał temu kapralikowi z Czech^[92] lekcję i zabronił mu zwalniać

z zajmowanych stanowisk urzędniczych żydowskich kombatanów? I że bojkot żydowskich sklepów spalił na panewce? Żydzi na własne oczy widzieli, że klienci jak dawniej wchodzili do Blassego i Soglowka, do Käseböhma i Kwantena, i że niektórzy klienci nawet lżyli i wyśmiewali się z esesmanów trzymających wartość u wejścia. Akcja bojkotowa 1 kwietnia? Co za frajda. Nie, najlepiej było wykazać się cierpliwością. Żydzi zawsze w tym celowali.

Dwunastoletni Werner Peritz zauważył pierwsze radykalne zmiany po wyglądzie domów towarowych. Nagle zniknęli z nich inwalidzi wojenni. Przesiadali oni zwłaszcza przed Wertheimem i Baraschem. Żołnierze Wielkiej Wojny. Niektórzy stracili dwie nogi. W podartych płaszczach wojskowych podjeżdżali drewnianymi wózkami i zajmowali pozycję przy drzwiach.

– Już nigdy więcej ich nie zobaczyłem – opowiadał mój ojciec. – Prawdopodobnie *Führer* był zdania, że za bardzo kojarzyli się z porażką wojenną. Nie pasowali do nowych Niemiec.

Werner zapytał matkę, co się stało z kombatanami wojennymi. Wzruszyła ramionami.

W 1934 roku tysiące Żydów zdecydowały się powrócić do Niemiec. Wyglądało na to, że ci, którzy nie opuścili kraju, mieli jednak rację. Aż do „nocy kryształowej” emigracja przebiegała powoli. Kraj opuściła niecała jedna trzecia z półmilionowej społeczności żydowskiej. Przyczyny tego spowolnionego exodusu były złożone. Żydowskie stowarzyszenia apelowały do swoich współwyznawców o zachowanie spokoju. Wspólnie miano przejść przez burzę. Poza tym naziści rzucali kandydatom do emigracji szereg kłód pod nogi. Każdy mógł wyjechać, kosztowało to jednak wiele czasu i pieniędzy. Poza tym ustawy antysemitki przenikały do świadomości społeczeństwa stopniowo. Nie zamierzamy za jednym zamachem unicestwić Żydów – głosił Goebbels. Z powolnego ich dławienia wynikały dwie korzyści: nie wpadną w panikę oraz sporo można by się na tym obłowić. Wreszcie, większość Żydów nie mogła wierzyć, że nie ma już dla nich w Niemczech przyszłości. Czy nie był to najbardziej cywilizowany kraj na świecie?

Po wojnie wielu emigrantów zapomniało, jak bardzo byli przywiązani do ojczyzny. W lutym 1998 roku odbyłem podróż do Izraela, by odnaleźć grób swojego dziadka oraz spotkać się z Fredim Durra, kuzynem mojej babci. Na marginesie tej wizyty umówiłem się z Mordechaiem Hauschnerem, redaktorem czasopisma skierowanego do byłych breslauskich Żydów.

– Byliśmy strasznie dyskryminowani – zaświadczył. – Antysemityzm opanował miasto. Zresztą nie zaczęło się to w czasach nazistowskich. Nigdy nie czuliśmy się w nim u siebie.

Kiedy podzieliłem się stwierdzeniem Hauschnera z Fredim Durra, wybuchnął szyderczym śmiechem. Eva Preiss, z którą dzielił mieszkanie

w Naharijji, nadeła z oburzenia policzki. Sama dorastała w Hamburgu.

– *Quatsch mit Sosse!*^[93] – zaprotestował Fredi. – Byliśmy zupełnie zasymilowani. Nie tylko czuliśmy się Niemcami, ale byliśmy Niemcami. I pozostaliśmy nimi pod Hitlerem. Pewnego dnia zadzwonił do naszych drzwi chłopiec na posyłki z piekarni. Była *Pesach*, a on przyniósł mace. Matka mu otworzyła drzwi. *Heil Hitler, Frau Durra* – powiedział – *ich bringe die Matse*^[94].

Eva potwierdzała opowieść Frediego, kiwając z zapalem głową.

Czy Hauschner przesadził, opisując antysemicką atmosferę? Czy należał do tych, którzy po fakcie przepisują historię mądry o doświadczenia z przeszłości? Czy może Fredi i Eva żyli w Niemczech w zaślepieniu i łatwowierności?

W 1935 roku rozpoczęła się dla mojej rodziny pierwsza fala emigracji. Erich i Erna Durrowie z synkiem Franzem (Frankiem) wyruszyli do Pragi razem z Fritzem i Elsie Fröhlichami i ich małym Gerdem Alfredem (Freddym). Walter, Edith i Lilo Peritzowie, trójka dzieci Maxa, wyruszyli ze swoją rodziną do Nowego Jorku. Hans Durra, brat Suzanne i Lilli w Londynie, skorzystał z możliwości wyjechania do kibucu w Palestynie. Dlaczego decydowano się na wyjazd? Z powodu makabrycznych żartów nazistów? Czy pod wpływem lektury licznych afiszy i wywieszek u wjazdów do wsi i miast? *Juden sind hier nicht erwünscht! Juden ist das Hausieren und Betreten dieser Gemeinde verboten! Der Jude ist auf der Menschheit Rücken, was für den Hund sind Flöhe und Mücken!*^[95] Czuli poniżenie? Rozczarowanie? Strach?

W Beuthen, Ratibor, Görlitz i innych miastach Górnego Śląska kilku Żydów zostało *auf der Flucht erschossen* – „zastrzelonych w czasie ucieczki”. W Breslau również dochodziło do aktów przemocy. *Breslauer Nachrichten* donosiły o Edmundzie Baumgartnerze, którego esesmani zabili po meczu piłki nożnej razami zadanyymi kijami, pejciami i nożami. Pan Eckstein, przywódca partii socjalistycznej, zmarł po wielodniowych torturach. Max Margoliner, dwudziestoczteroletni kupiec, w Braunes Hausna Karlstrasse został tak poważnie zmasakrowany, że zmarł w szpitalu. Doktor Alexander, adwokat, i doktor Kuhn, lekarz, zostali aresztowani, a w więzieniu tak strasznie męczeni, że krótko potem skonali.

Czy może moi krewni przejrżeli taktykę nazistów? Przewidzieli, że niedogodności, liczne prowokacje i wprowadzenie mnóstwa regulacji nie było końcem, ale początkiem czegoś o wiele poważniejszego? Wydarzenia z 16 marca 1935 roku moja rodzina musiała odczuć wyjątkowo boleśnie. Tego dnia, jak co roku, wspominano ofiary pierwszej wojny światowej. Po raz pierwszy nie zezwolono Żydom na udział w tej uroczystości. Erich Durra, tak jak mój dziadek Felix oraz Rudolf, ojciec Hansa, przeczytali w *Das Schild*, piśmie członków Reichsbund jüdischer Frontsoldaten: „Wśród wielu wieńców, które złożono pod pomnikiem na Unter den Linden, znalazł się również jeden od RJF” – pisał

redaktor naczelny. – Naciskano na usunięcie naszego wieńca. Nie zgodziliśmy się na to. Natychmiast potem nakazem władz wieńiec został sprzątnięty”.

Jaki poziom tymczasem osiągnęło przerażenie w Breslau? Czy wreszcie zaczęto zazdrościć emigrantom?

W 1941 roku w mieście pozostawało jeszcze 9184 Żydów, czyli czterdzieści pięć procent liczby tych, którzy od początku zamieszkiwali Trzecią Rzeszę. Odsetek ten był wyższy niż na pozostałym obszarze kraju, gdyż tuż przed wybuchem wojny dwie trzecie z połowy miliona Żydów opuściły Niemcy. Dlaczego trudniej im było wyjechać z Breslau? Czy większość była za biedna? Jüdische Winterhilfe^[96] już w 1936 roku musiało udzielić materialnej i finansowej pomocy czterem tysiącom Żydów. Być może też wielu z nich się łudziło. Kulturbund Deutscher Juden zakładało kluby sportowe i wspierało aktorów i muzyków, tym samym utrzymując pozory tego, że dzięki współpracy i uporowi uda się ominąć wszystkie klify.

Kto w burzliwych latach zachowywał trzeźwą głowę? Zwolennicy i przeciwnicy emigracji wzajemnie się atakowali. Otrzymanie wizy wymagało czasu i energii. Skąd należało zdobyć pieniądze? Na kogo przyszła kolej oddania własnego przedsiębiorstwa w ręce Aryjczyków? Rodziny się rozpadały. Czy odważyłeś się wysłać dzieci same w świat? Czy Palestyna była najlepszym rozwiązaniem? A może Anglia? Podobno Ameryka już nikogo nie wpuszczała. W listach błagano krewnych o pomoc. Zachowywano nadzieję i ją tracono. A może lepiej było jednak zostać i czekać? Sytuacja nie mogła przecież się jeszcze bardziej pogorszyć!

Nie potrafię powiedzieć, jak moi krewni z Breslau w tych latach oceniali sytuację polityczną. W swoich listach do brata i bratowej w Pradze i Londynie babcia Else pisała tylko o wydarzeniach rodzinnych. Trzeba było powiadomić o różnych przypadkach zgonów i oswoić się z nimi. Nieoczekiwanie, tuż przed sylwestrem, zmarł jej ojciec. Równie niespodziewanie zmarła *Tante* Lucie, ta ukochana *Tante* Lucie. Wuj Max również zmarł, akurat gdy trójka jego dzieci wyemigrowała do Ameryki. Ale była też dobra wiadomość. Edith i Maxowi Adamom urodziła się córeczka, Steffi. Lilli Durra zaręczyła się z Kurtem Havellandem, dyrygentem. A dzieci? Te się bawią jak zwykle. Werner właśnie spędził tydzień w Krummhübel. Pogoda nie dopisała. Góry często zasnuwała mgła.

Mój ojciec nigdy nie zapomniał tamtych ferii w górach.

– Czasem jeszcze śni mi się Krummhübel – opowiadał. – Widzę siebie, jak wspinam się na Schneekoppe. Ścieżka najpierw skręcała na lewo, a potem biegła prosto. We śnie nigdy nie docierałem na szczyt. Stała tam prosta drewniana chata. Można w niej było dostać chleb i kiełbasę. Wszystko za pieniądze, nawet szklanka wody kosztowała. Oczywiście to logiczne, wszystko trzeba było wnieść na górę. Przy jednym ze stołów jakiś mężczyzna grał na cytrze. Chodziłem w góry sam.

Matka zostawała w pensjonacie i czytała.

Jego ojciec nigdy tam z nimi nie jeździł. W tamtych latach nie mógł już sobie pozwolić na to, by pozostawić na pastwę losu coraz bardziej kurczący się krąg klientów.

Ojciec szczególnie zapamiętał lato 1936 roku. Na tarasie pensji, której wykończenie stolarki i doniczki z czerwonymi pelargoniami przypominały Szwajcarię, codziennie słuchał na *Volksempfänger*^[97] relacji z igrzysk olimpijskich w Berlinie. Niemiecka drużyna liczyła kilku Żydów, niezbity dowód na to, że nastąpiły lepsze czasy.

– Serce waliło mi w piersiach jak dzwon, kiedy rozległ się strzał na znak rozpoczęcia finału na sto metrów – wspominał Werner. – Strasznie byłem rozczarowany, że wygrał Jesse Owens. Niemcy nie zdobyły żadnego medalu. Amerykanin Metcalfe zdobył srebro, a Osendarp, Holender, brąz. Hitler również był w złym humorze. Nasz faworyt, Borchmeyer, dobiegł dopiero jako piąty. W rzucie oszczepem zwyciężył jednak Niemiec, Gerhard Stöck. Zapamiętałem jego nazwisko, bo mi się wydało takie śmieszne. Stöck, który ciska *Stock*.

Także jego kuzyn Hans Peritz regularnie wyjeżdżał w góry. Spędzał ferie w Brückenbergu, wioseczce położonej na zboczu góry nieco wyżej od Krummhübel. Peritzowie jeździli tam swoim kasztanowym oplem. W wiosce mijali dużą tablicę przy jednym z niebezpiecznych zakrętów. *Achtung Todeskurve! Juden dürfen 120 Stundenkilometer fahren!*^[98] Dla Hans ta tablica nigdy nie istniała. Brückenberg stanowi część mitycznego krajobrazu jego szczęśliwej młodości. Wiosną 1983 roku jeszcze raz tam powrócił.

– Niedługo trwało, a dojechaliśmy do Brückenberg. Natychmiast je rozpoznałem. Poza tym w wiosce znajdował się hotel dla członków loży (jego ojciec był członkiem Odd Fellows, swego rodzaju masonów), ale myśmy nigdy się w nim nie zatrzymywali. Mój ojciec czasem zachodził do niego, jak wiedział, że siedzą w nim jego przyjaciele. Zostawał tam wtedy na karty. My jeździliśmy do małego pensjonatu, zwykle w okolicach Bożego Narodzenia i Nowego Roku, a czasem też w lecie. Aż do roku 1937. Moi rodzice jedli posiłki w jadalni, ja w kuchni, z dziećmi rodziny Hering, właścicieli pensjonatu. Rano tak długo kręciłem się w okolicach stajni, aż wychodził parobek, by zaprząć konie do sań. Mogłem jeździć z nim do wioski, gdzie robił zakupy. Od czasu do czasu pozwalał mi nawet końmi powozić. Świetnie pamiętałem, jak wyglądał pensjonat, i byłem pewien, że go odnajdę. Dwie godziny chodziliśmy z Henrykiem, moim polskim przewodnikiem, dokoła. Na próżno. Kiedy znowu staliśmy przed samochodem, zobaczyłem, że rozpoznaję pagórek przed sobą! To z niego kiedyś zaliczyłem pechowy zjazd na nartach. Po drodze nieoczekiwanie na mojej drodze stanęła szopa. Przerażony wjechałem prosto w nią. Jedna z nart się złamała na dwoje, druga przeorała mi twarz. Ojciec strasznie mnie wieczorem zwymyślał. Te narty

były pożyczone od jednego z synów Heringów. Dzięki temu wspomnieniu wiedziałem, że nasz pensjonat leży nieco dalej, na prawo od drogi. Zadzwoniliśmy do drzwi. Otworzyła nam jakaś kobieta. Henryk powiedział, po co przyjechaliśmy. Jej męża nie było w domu, powiedziała, ale i tak wpuściła nas do środka. Zapytałem, czy pomieszczenie na prawo wciąż jest jadalnią. Otworzyła drzwi. Jakbym nigdy stamtąd nie wyjechał. Także mój pokój wyglądał dokładnie tak samo jak kiedyś: łóżko, drewniana podłoga, nisza okienna z widokiem na góry. Henryk jeszcze został porozmawiać. Ja wróciłem do samochodu.

W relacji z podróży nie było miejsca dla jego matki ani brata. Hans wymazał wszystkie wspomnienia o nich. Chociaż na wakacje jeździli całą rodziną, Minnie i Günther wyłaniali się tylko w najczarniejszych myślach. Nie pozwalał na to, by wtargnęli do jego szczęścia. Ich śmierć stanowiła cezurę w jego życiu. Po jednej stronie leżała jego młodość: skąpana w słońcu i wyidealizowana. Jego matka i brat trwali milcząco po drugiej stronie, za murem nienawiści i bezsilnej złości.

Po *Kristallnacht* wszędzie wybuchła panika. Każdy chciał wyjechać.

Max Adam, ojciec Wolfganga, został wywieziony do Buchenwaldu.

– Czternaście dni później stanął nagle z powrotem w drzwiach – opowiadał jego syn w La Paz. – Matka zawsze twierdziła, że to dzięki jej interwencji tak szybko wyszedł. Poszła do biura Gestapo i oznajmiła, że zamierzamy w każdej chwili wyemigrować. Ojciec był jednym z pierwszych, którzy powrócili z obozu. Wieść rozniosła się lotem błyskawicy i parę godzin później nasz dom zalały dziesiątki ludzi. Wszyscy chcieli się dowiedzieć, czy ojciec w Buchenwaldzie widział czyjegoś brata, syna lub ojca i czy byli w dobrym zdrowiu.

Także Erich Durra, ojciec Frediego z Izraela, należał do grona deportowanych. Jego matka codziennie udawała się na komisariat policji pytać, czy są jakieś wiadomości z Buchenwaldu. Po paru tygodniach wywieszono listy z nazwiskami mężczyzn, których miał przywieźć pociąg na Hauptbahnhof.

– Te listy nie zawsze były kompletne – opowiadał Fredi. – Parę razy na próżno czekaliśmy na stacji. Pewnego dnia znowu wjechał pociąg. Nikogo nie zobaczyliśmy i już straciliśmy wszelką nadzieję, kiedy to na samym końcu peronu dojrzelśmy samotnego ojca. Strasznie wychudł, a jego długi płaszcz był brudny i podarty. „Chodź, *Mutti* – powiedział – idziemy do domu”. Tylko tyle. Wciąż widzę spojrzenie jego oczu. Ani cienia radości czy ulgi. Wyłącznie apatia. I pustka.

Natychmiast po tym Erich Durra zapisał piątkę swoich najmłodszych dzieci na wyjazd do Palestyny. Jedynie Fredi wyruszył do syjonistycznego obozu. Nauczył się tam uprawiać ziemię i krótko później otrzymał wizę wyjazdową. Jego ojca, dwóch braci i dwie siostry w 1942 roku deportowano do Auschwitz, gdzie zostali zagazowani. Ich matka zmarła rok wcześniej w żydowskim szpitalu w Breslau. Również Alice, najstarsza siostra Frediego, która miała dwójkę dzieci, zginęła ze swoją rodziną w Auschwitz.

Dla Hansa Peritza *Kristallnacht* oznaczała początek pracy przymusowej. Został przydzielony do brygady, która w Deutsch Lissa kładła tory kolejowe prowadzące do obozu wojskowego. Jego dzień pracy zaczynał się o pół do ósmej rano. Już przed piątą był w drodze do małej miejscowości pod Breslau, jadąc trzema tramwajami. W zimie robotnicy cały dzień spędzali na odśnieżaniu i usuwaniu lodu.

– Moja pensja wynosiła szesnaście *Reichsmark* tygodniowo – przypominał sobie Hans. – Sam tramwaj kosztował już sześć marek. Pozostałe dziesięć nie wystarczały na przeżycie, dlatego matka zmuszona była szukać pracy. Na szczęście znalazła posadę w domu starców. Poza tym nie mieliśmy za wiele do jedzenia. Dostawaliśmy kartki i tylko w ciągu jednej godziny wieczorem można było zrobić na nie zakupy w specjalnych sklepach. Owszem, funkcjonował czarny rynek, ale myśmy nie wiedzieli, jak on działa. W niedzielę można było pójść do jednego kina, tylko dla Żydów. Nigdy nie miałem pieniędzy i przeważnie nie udawało mi się chyłkiem wślizgnąć do środka.

Kto nie zameldował się na czas w Deutsch Lissa, ścigał sobie na głowę wizytę Gestapo. Geheime Staatspolizei miała biura w Polizei Präsidium. Żydzi zobowiązani byli odnieść tam swoje wartościowe przedmioty. Goering zdecydował bowiem, że to Żydzi mają zapłacić za wszystkie zniszczenia i straty, jakie odniosły budynki i towary w czasie „nocy kryształowej”. Zdaniem Goeringa to właśnie Żydzi byli winni spontanicznemu wylaniu się złości ludu. Zniszczenia zawdzięczali sami sobie.

– Złoto, zegarki, radia, zażądali wszystkiego, co posiadaliśmy – opowiadał Hans. – Zabrali mi także rower. Ciągle strasznie jestem o to zły. Gdybym mógł jeździć rowerem do bazy, moja matka nie musiałaby tak ciężko pracować i zachowałaby lepsze zdrowie. Poza tym rower ten mogłem sobie kupić dopiero po paru latach oszczędzania, za pieniądze, które zarobiłem w chórze synagogi.

W ciągu dziesięciu miesięcy, jakie dzieliły „noc kryształową” od wybuchu wojny, z Niemiec uciekło prawie tyle samo Żydów, co w ciągu wcześniejszych sześciu lat. Choć wyemigrowanie nie stawało się łatwiejsze, żydowskie organizacje wyciągnęły lekcję z doświadczenia z niemiecką i zagraniczną władzą. Po 9 listopada 1938 roku wzmógł się nacisk na rządy krajów w Europie i poza nią, by przyjmowały one Żydów, ale w znikomym stopniu doprowadziło to do przyspieszenia procedur lub zwiększenia liczby wydanych pozwoleń na imigrację. Żydowskie instancje zrozumiały, że teraz należało przedsięwziąć wszystkie środki, by pomóc swym współwyznawcom wydostać się z kraju.

Rozpoczęła się druga fala emigracji mojej rodziny. Strach i niepewność w końcu podkopały ich lojalność i łatwowierność. Moi dziadkowie przez Anglię popłynęli do Palestyny. Edith Adam, siostra mojej babci, z mężem i dwójką małych dzieci zdobyli wizę do Peru i ostatecznie wylądowali w Boliwii. Lilli i Suzanne

Durrowie, jedna krótko po drugiej, wyemigrowały do Anglii, tak jak ich wuj Max Schottländer z swoją drugą żoną Jenny Hase i z Eleonore oraz Liese Peritz, dalekimi kuzynkami mojej babci. Ich inny daleki kuzyn, Erich Peritz, razem z żoną Grete wyjechał do Australii. Inni członkowie klanu Peritzów udali się do Palestyny i Stanów Zjednoczonych. Ferdinand i Margarethe Steinmetzowie uciekli do Francji, ich syn Heinz-Wolfgang – do Anglii. Karl Joachim Durra, kuzyn mojej babci, podążył do Południowej Afryki, podczas gdy Curt Peritz, ortodoksyjny rabin, z synem Josephem, przyrodnim bratem mojego dziadka – trafił do Chicago. Grete, córka Hermanna Peritza, kolejnego przyrodniego brata mojego dziadka, nie dostała wizy. W Hilfsverein der Juden in Deutschland^[99] dowiedziała się, że do Szanghaju można wjechać bez wizy. Emigranci ruszyli do tego miasta, wiedząc, że miastu zagraża japońska armia, a Japonia to sojusznik nazistów. Mimo to osiemnaście tysięcy Żydów wybrało niebezpieczeństwa Szanghaju ponad zagrożoną wojną Europę.

Przeżyli sześć lat chorób, głodu i przemocy. Stłoczeni w getcie, bez przerwy żyli na skraju zagłady. Hitler nie przestawał wzywać Japończyków do likwidacji Żydów z Szanghaju. Władze w Tokio nie skłaniały się ku temu nawet wtedy, gdy wiosną 1942 roku Heinrich Himmler wysłał na Daleki Wschód pułkownika Josefa Meisingera, „rzeźnika Warszawy”, by przekonał Japończyków do zastosowania również w Szanghaju *Endlösung* w stosunku do kwestii żydowskiej.

Przyczyny japońskiej odmowy miały dziwaczne podłoże. Najwyższe kręgi polityczne były do Żydów ustosunkowane przychylnie. Nie zapomniano, że w czasie wojny rosyjsko-japońskiej w 1904 roku niejaki Jacob Schiff, przebogaty amerykański Żyd, udzielił Japonii poważnych pożyczek, jednocześnie odmawiając ich antysemickiemu carowi Mikołajowi II. Jeszcze bardziej kluczowa i dziwaczniejsza była wiara Japończyków w *Protokoły mędrców Syjonu*. W broszurze tej, spreparowanej przez tajną policję carską, opisano szczegółowo żydowski plan podboju świata. Teoria spiskowa osiągnęła fenomenalny sukces w całym świecie. Każdy antysemita twierdził, że w tej kompletnie wyssanej z palca opowieści znalazł ostateczny dowód na fałsz Żydów. *Protokoły* wpadły w ręce Japończyków właśnie wtedy, gdy po rosyjskiej rewolucji pomagali oni Białej Armii na Syberii zwalczać bolszewików. W przeciwieństwie do Adolfa Hitlera i Henry’ego Forda, którzy wynieśli ów sprokurowany dokument do Biblii antysemityzmu, japońscy politycy postanowili tak zwaną władzę Żydów (polegającą jakoby na kontroli banków, gospodarki i rządów Zachodu) wykorzystać do własnych celów. Gdyby Japończycy dobrze traktowali Żydów w Szanghaju, być może ich potężni plutokratyczni przyjaciele gotowi byliby udzielić pomocy Japonii? A może nawet dałoby się przejąć żydowskich emigrantów do skolonizowania dla ich japońskich przyjaciół słabo zaludnionej Mandżurii?

W Breslau ostało się kilkunastu bezradnych członków rodziny. Minnie Peritz z synami Hansem i Güntherem liczyli wciąż na pomoc z zewnątrz. Sama Minnie nie odnajdywała się w urzędniczych labiryntach, Günther był jeszcze dzieckiem, a Hans – wówczas żywiciel rodziny – co wieczór wracał późno z pracy i nie miał czasu zajmować się emigracją.

Z moim dziadkiem zobaczyli się jeszcze tylko raz. Czy wuj Felix obiecał zabrać ze sobą Günthera? Czy udało mu się zarezerwować dla Hansa miejsce w Kindertransporcie do Anglii?

Zimą 1939 roku moi dziadkowie przygotowywali się do wyjazdu do Palestyny. Na zdjęciu z ich ostatnich odwiedzin na grobie synka Ernsta widać Else o poszarzałej i śmiertelnie zmęczonej twarzy. Miała na sobie ciemny, nisko opuszczony na czoło kapelusz i czarny płaszcz zimowy. Panował mróz. Śnieg na ziemi utworzył twarde grudy, a czarne drzewa wyciągały w niebo upudrowane na białą konary. W tym ostatnim obrazie z Breslau krył się cały tragizm życia Else. Straciła wszystkich. Pod płytą nagrobną spoczywał jej ukochany Ernstl. Jej drugi syn przebywał w Anglii, a jej męża również na zdjęciu brakowało. Jako fotograf dokumentował samotność jej zgryzoty. Już po wszystkim.

Moi dziadkowie pożegnali się w Southampton z Wernerem. Ich syn wyglądał dobrze. Mieszkał już od przeszło pół roku w Anglii i dostosował się do nowych warunków życia.

Czy tęsknił za swoimi rodzicami? Od 17 sierpnia 1938 roku tyle się wydarzyło. Najpierw pojechali z ojcem pociągiem do Berlina, gdzie przenocowali u wuja Samuela i ciotki Jenny. Następnego dnia, pod eskortą dwóch znajomych rodziny, ruszyli dalej. W Hoek van Holland statkiem nocnym przeprawili się do Harwich. Morze było niespokojne, a mój ojciec – przywykły tylko do rejsów statkiem wycieczkowym po Odrze – wyszedł na brzeg błady jak ściana. W Westgate-on-Sea w hrabstwie Kent został zakwaterowany w domu pana Cruikshanka, bezrobotnego nauczyciela, który miał go poduczyć angielskiego. Zdaniem nauczyciela Werner miał do języka smykałkę. Podstawy angielskiego wyłożyła mu jeszcze w Breslau Rosa Anspach, siostra pewnej stryjenki, na prywatnych lekcjach pobieranych w perspektywie jego emigracji. Ku zaskoczeniu Wenera pan Cruikshank posługiwał się zupełnie innym angielskim niż panna Anspach.

Parę tygodni później mojego ojca przyjął do siebie pan Shaffer z Movement for the Care of Children from Germany w Cheltenham Spa. W sercu schludnego miasteczka zdrojowego w Gloucestershire Werner znalazł pracę w firmie produkującej meble C. Taylor and Sons przy Church Street. Otrzymał pracę stolarza i heblował, piłował i fryzował w niej drewniane elementy do myśliwców i bombowców. Miał zarabiać trzydzieści funtów rocznie i pozostać w firmie przez pięć lat. W tamtym okresie nie było pewne, czy zostanie mu wydane pozwolenie na pobyt czasowy. Urzędnicy w Breslau już przygotowywali mu powrót. W prawym górnym rogu jego aktu urodzenia wbito nowy stempel. *Das nebengenannte Kind führt vom 1.1.1939 ab zusätzlich den jüdischen Vornamen ISRAEL*^[100]. W chwili, w której Werner Siegmund Peritz ponownie pojawiłby się w mieście, jako Żyd natychmiast zostałby schwytany za kolnierz.

Długo dziwiłem się, że mój ojciec nie podjął dalszej nauki w Anglii. Wielu podobnych mu emigrantów chodziło do szkoły, zdawało egzaminy, a nawet kończyło uniwersytety. Ilekroć pytałem ojca, czemu zamiast zdać *Abitur*, został stolarzem, reagował na to opryskliwie. „Byłem dzieckiem-uciekinierem – odpowiadał w takich razach gorzko. – Nikt nigdy nie pytał mnie o zdanie”.

Zawsze pozostał bardzo wyczulony na swoje tak zwane braki w wykształceniu. Nie rozumiał, że niczego mu nie zarzucam, a ja nie rozumiałem, dlaczego moje pytanie tak bardzo go rani. To przecież najnormalniejsza rzecz na świecie, że siedemnastolatek wciąż chodzi do szkoły!

Trudności czy pragnienia, które przeżywał tamtego lata 1938 roku, nie

zaprzętały mi głowy. Dorośli, którzy posłali go do Cheltenham, wiedzieli, co robią. I być może on sam odetchnął z ulgą, że nie musi już chodzić na lekcje ani odrabiać pracy domowej. Nigdy nie lubił się uczyć. Jedynie ze względu na nieustępliwość swojej matki wciąż kontynuował naukę łaciny.

Kiedy ja zacząłem profil z łaciną, ojciec postanowił na nowo zacząć się jej uczyć. Utwór *O wojnie galicyjskiej* poznał lepiej ode mnie i martwił się moimi słabymi stopniami. Łacina nie była przecież taka trudna!

Zawsze pozostał miłośnikiem literatury. Czytał powieści po angielsku, francusku, a czasami po niemiecku, nigdy jednak po niderlandzku. Uważał ten język za o wiele za ubogi dla bogactwa prozy.

Zmienił zdanie, kiedy przeszedł na emeryturę. Mój brat podarował mu książkę Maurice'a Gilliamsa. Nieoczekiwanie otworzył się przed nim nowy świat. Elsschot, Multatuli, Nescio. Ubóstwiał ich tak bardzo, że przetłumaczył ich teksty na angielski, i chociaż utrzymywał, że to tylko hobby, tak się wgryzł w to zajęcie, jakby jego życie od niego zależało. Jego tłumaczenia okazały się lepsze niż te opublikowane. Korespondował z tłumaczami i ku swojemu ogromnemu zadowoleniu odkrył setki błędów w ich utworach.

Dla jego kuzyna Hansa oraz innych pozostałych w Breslau Żydów dodanie nowych imion (Izreal mężczyznom, Sarah kobietom) stanowiło najmniejszy z problemów. Europa była w stanie wojny, a w sercu kontynentu Żydzi czekali na nieuniknione. Utracili wszelką pewność prawną, a lawina nowych przepisów odcinała ich od jakiegokolwiek kontaktu z resztą świata.



Werner Peritz krótko po przybyciu do Cheltenham wiosną 1939 roku. Mój ojciec ma wtedy szesnaście i pół roku

Od 1 września 1939 roku nie wolno im było po godzinie ósmej wieczorem wychodzić na zewnątrz. W tym samym miesiącu skonfiskowano im radioodbiorniki. 7 grudnia obniżono im racje żywnościowe, następnie inne przydziały. Pół roku później mieli oddać aparaty telefoniczne, a od 19 września 1941 roku zakazano im przemieszczać się środkami transportu publicznego. Wyrzucano ich z domów i przenoszono do *Judenhäuser*, domów żydowskich. Tego samego dnia po raz pierwszy wprowadzono obowiązek noszenia gwiazdy Dawida.

Wyizolowani, zaszczeni i zdeprymowani; wielu z nich targano się na swoje życie. Przyjaciele rozdzielali między sobą tabletki z trucizną, a w żydowskich szpitalach i domach starców lekarze przygotowywali strzykawki ze śmiertelnym zastrzykiem.

Nawet dzieci przygotowywały się na to, by odebrać sobie życie. I tak Renate i Anita Lasker, szkolne koleżanki Hansa, ukrywały w kieszeni płaszcza kapsułkę z cyjankiem na wypadek aresztowania przez gestapo. Obie dziewczynki były utalentowane muzycznie, a Hans i mój ojciec często spotykali je na ulicy, gdy szły z instrumentami muzycznymi.

– Dokąd idzie ta wiolonczela z dziewczyną? – zawołał kiedyś Werner za Anitą.

Kiedy policja aresztowała Laskerówny, natychmiast przegryzły trującą pigułkę. Ku ich zaskoczeniu nic się nie wydarzyło. Parę dni wcześniej Konrad Latte, jeden z przyjaciół, poprosił o zwrot pigulek, by – jak powiedział – wymienić w nich truciznę na mocniejszą. W rzeczywistości napełnił je cukrem. Renate i Anita trafiły do Auschwitz. Tam wylądowały w orkiestrze obozowej Armii Rosé. Po wojnie Anita stała się jedną z założycielek English Chamber Orchestra. Także Renate zrobiła karierę muzyczną. Nie wiedziała, że w Auschwitz uratowała życie koledze z tej samej klasy – Hansowi Peritzowi.

Hans nigdy nie myślał o popełnieniu samobójstwa. Do ostatniej chwili opiekował się matką i bratem. Bywało, że nie starczało im jedzenia. Mówił wtedy, że nie jest głodny, i wychodził na miasto bez gwiazdy Dawida. W dzielnicy robotniczej w okolicy Tschepiner Platz małe restauracyjki wydawały zupę z chlebem, a czasem mięso i ziemniaki. Ludzie wiedzieli, że jest Żydem. Pomaganie mu stanowiło jedyną formę protestu przeciwko reżimowi. Dzielnica miała reputację komunistycznej, a sierp i młot pojawiały się w niej na murach i ogrodzeniach również za czasów Hitlera. Nawet w 1939 roku naziści nie śmieli zapuszczać się samotnie w tamtejsze uliczki.

Kiedy Hans musiał meldować się na komisariacie policji, żeby odnieść radioodbiornik, telefon albo inny sprzęt domowy, cieszył się, że upiekł mu się jeden dzień pracy przymusowej w Deutsch Lissa.

Na Polizei Präsidium poznał członków rodziny z całej prowincji. Żydom z mniejszych miejscowości na Śląsku konfiskowano domy, zmuszało ich to zatem do koncentrowania się w dużych miastach. Hans spotkał się po raz pierwszy z potomkami swoich pradziadków i prawujków, którzy w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku przez Argenu przybyli do Breslau, a potem rozjechali się do Landeshut, Waldenburga czy Bunzlau. Niektórych spotkał ponownie w obozie pracy, inni ostatni raz przemknęli mu w Auschwitz. W listopadzie 1941 roku dobiegł końca liczący osiem wieków okres obecności Żydów w Breslau.

Erich Durra, kuzyn mojej babci, był świadkiem deportacji. Przeżył wojnę, bo przeszedł na katolicyzm. Takie osoby los długo oszczędzał. Dopiero pod koniec wojny zaczęło grozić im niebezpieczeństwo. Erich miał szczęście. Zimą 1945 roku nazistów za bardzo zaprzętała obrona Breslau, by mogli zajmować się losem pozostałych przy życiu Żydów.

Dopiero 17 listopada w 1946 roku Erich napisał list do mojej babci do Palestyny.

„Kiedy mojego brata Alberta z jego rodziną deportowano z miasta, spędziliśmy u nich cały poprzedni dzień i noc. Mogliśmy oczywiście dzień wcześniej się z nim pożegnać, ale nikt nie miał odwagi powiedzieć *auf Wiedersehen*. Mieliśmy świadomość, że rozmawiamy ze sobą po raz ostatni. Nazajutrz rano na stacji towarowej czekał na nich niekończący się pociąg. Pod eskortą policji z karabinami w dłoni do wagonów bydłowych ładowano mężczyzn, kobiety i dzieci. Nie mogłem się powstrzymać i ruszyłem na rowerze wzdłuż pociągu, by po raz ostatni uścisnąć dłoń mojej rodzinie, ale odgonili mnie strażnicy z psami myśliwskimi. Mimo to Alfred i Hanne (jego żona) mnie zobaczyli. *Lieber Erich, alles gute!*^[101] – zawołał mój brat. Możesz sobie wyobrazić, jak się wtedy poczułem? Obaj wiedzieliśmy, że wysyłają ich na śmierć, aż tu słyszysz jeszcze raz jego głos”.

Pociągi najpierw jechały do obozów przejściowych w Riebzig, Tormersdorf i Grüssau. Krótco potem rozpoczynała się ostatnia podróż. Między 25 listopada 1941 roku a kwietniem 1944 roku z Breslau w piętnastu transportach deportowano dziewięć tysięcy Żydów, przede wszystkim do Auschwitz i Theresienstadt. Erich Durra był jednym ze stu pięćdziesięciu osób, którym odroczone wyrok.

Hansa Peritza, jego matkę i brata wysłano do Tormersdorf. Wprowadzili się do nieco dalej położonej wioski. Hansa ponownie wybrano do pracy przymusowej. Tym razem pracował dla firmy Niesky, w której budował wagony towarowe. Część fabryki rozlokowano w zakładzie dla umysłowo chorych, którego mieszkańców naziści uprzednio zlikwidowali. Pracownikom przymusowym ukradkiem podtykali jedzenie francuscy jeńcy wojenni, którzy pracowali w okolicznych gospodarstwach i łatwo mogli kraść żywność. Francuzi i Żydzi spali w sali na najwyższym piętrze restauracji. Pomieszczenia rozdzielone były na dwie części przepierzeniami. Żydom i jeńcom wojennym nie wolno było się ze sobą komunikować, ale Hans nic sobie nie robił z zakazu. Dostatecznie opanował w szkole francuski i potrafił przekonać żołnierzy, by im pomagali.

– Kradli całe worki ziemniaków – opowiadał Hans. – Musieliśmy po nie chodzić pod ogrodzenie z drutu kolczastego. Na szczęście wystawiano tylko jednego żołnierza na warcie.

Na kuchence gazowej w sali gotowano ziemniaki. Hans z przyjacielem Leo Prinzem przeszukali swoją kwaterę od stóp do głów. W jednej z piwnic znaleźli dziesiątki słoików z przetworami z owoców i warzyw. Codziennie wynosili chyłkiem jeden słoik na zewnątrz.

– Rozbijaliśmy go na polu – opowiadał Hans. – Okruchy skrzętnie zakopywaliśmy w ziemi.

Tak im się dobrze powodziło, że nie kusiły ich nawet borówki. Jagody im nie

smakowały. Kiedy kradzież przetworów wyszła na jaw, gestapo wszczęło dochodzenie.

– Zapytali, czy jestem złodziejem – powiedział Hans. – Zaprzeczyłem. Co mogli ze mną zrobić? Posłać mnie do obozu pracy?

Czasami w nocy Leo i Hans przełazili przez ogrodzenie, żeby w wiosce kraść z ogrodów gruszki i śliwki. Pewnego razu siedzieli na drzewie, kiedy nadjechał samochód strażacki i ze swoimi drabinami rozpoczął tuż pod nimi ćwiczenia. Leo i Hans przez całą godzinę siedzieli z bijącym sercem uwięzieni na drzewie. Mój kuzyn jeszcze bardziej się przestraszył, kiedy pewnego wieczoru grał z francuskimi żołnierzami w karty, a tu do środka nieoczekiwanie wszedł wartownik. Graj normalnie dalej – nakazali mu jeńcy – ten żołnierz jest tak głupi, że nawet cię nie zauważy. Francuzi mieli rację.

Na wiosnę Żydów z Tormersdorf podzielono na dwie grupy. Wszyscy w wieku od siedemnastu do trzydziestu pięciu lat musieli zostać na miejscu, resztę ponownie załadowano na transport. Matka Hansa miała czterdzieści sześć lat, brat – szesnaście.

Po dokonaniu selekcji nie pozwolono im się pożegnać. Kto miał zostać w wiosce, tego zamknięto w sali sypialnej. Minnie, Günther i inni wymaszerowali na stację. Stał już na niej podstawiony pociąg do Lublina. W pobliżu tego miasta leżała miejscowość Izbica. Żydzi musieli najpierw wykopać rów, a potem się rozebrać. Następnie ich rozstrzelano.

Parę tygodni po rozstaniu z rodziną Hans oraz pozostali w wiosce Żydzi opuścili ją. Ich również popędzono z powrotem do Tormersdorf. Budynek, w którym czekali na pociąg, zavalony był ubraniami i walizkami pozostawionymi przez poprzedni transport.

– Rozpoznałem buty swojego brata – opowiadał Hans – i zobaczyłem rozrzucone ubranie matki. Obrazów tych już nigdy nie potrafiłem z siebie wyrzucić. Potem przewieziono ich do nowego obozu pracy w Grüssau, na południu Waldenburga. Tam zostali zakwaterowani w budynku klasztornym.

Wszystkie przewodniki podróży zgodne są co do tego, że opactwo cysterskie w Grüssau stanowi najważniejszy barokowy kompleks klasztorny na Śląsku. Opiewają one piękno i przepych fasady o dwóch wieżach i wychwalają pyszne freski, ołtarze i rzeźby. Warto nadłożyć drogi, by odwiedzić Krzeszów – jest w nich napisane.

Kiedy Hans powrócił tam w 1983 roku, rozpoznał miejsce po skrzynce na listy przy wejściu.

– Teraz jest pomalowana na czerwono, ale wtedy była szara. Ale to była ta sama skrzynka.

Chociaż ślanie listów było zabronione, Hans wysłał wtedy jeden do przyjaciela w Breslau, by powiadomić go o miejscu swojego pobytu.

Henryk, przewodnik Hansa, odwiózł go samochodem do samego Krzeszowa. Henryk wyjaśnił zakonnicy, która im otworzyła, po co dzwonią. Następnie całą historię opowiedział jeszcze matce przełożonej.

– Matka przełożona przebywała w klasztorze od 1946 roku – opowiadał Hans. – Słyszała, że w czasie wojny siedzieli w nim Żydzi, ale nie wiedziała, co się z nimi stało. A potem zapytała, czy pamiętam jeszcze, gdzie spałem. Opisałem wysoko sklepioną salę z dużymi oknami po jednej stronie i z maleńkimi po drugiej. „Proszę pójść za mną” – powiedziała. Przechodziliśmy niezliczonymi korytarzami, wspinaliśmy się po schodach i z nich schodziliśmy, przypominało to sceneryę z jakiegoś horroru, chociaż nie przypominam sobie, żebym w 1942 roku kiedykolwiek tam truchlał ze strachu. Wreszcie doszliśmy do jakichś drzwi. Za nimi mieszkały siostry. Normalnie mężczyznom nie wolno za nie wchodzić, ale jakaś zakonnica wyciągnęła wielki klucz, *oh boy!* kluczyśko, a matka przełożona wpuściła nas do środka. Zapytała, w której celi spałem. Czwartej – odpowiedziałem, ale już do środka nie mogłem wejść. Wyjrzałem przez okno i myślałem o tych licznych ludziach, których tam poznałem. Czy pachniało tam jedzeniem? W każdym razie przed oczyma stanęła mi ponownie Hanne Lange, dziewczyna, która pracowała w kuchni, u której czasem wypraszaaliśmy jedzenie. Nikt z tych ludzi już nie żyje. Hanne miała trzyletnią córeczkę, śliczne dziecko z burzą rudych włosów. Nie żyje, tak jak cała reszta. Jestem jedynym z Grüssau, który przeżył.

Żydów posłano do pracy w piaskowni niedaleko klasztoru. Hans codziennie załadowywał furi piasku. Pewnego razu zachorował. Szef brygady zobaczył, że Hans nie pracuje dostatecznie szybko, i próbował łopata rozłupać mu czaszkę na dwoje, ale Hans odruchowo osłonił sobie głowę oboma ramionami, tak że szpadel odbił się i jedynie głęboko przeciął mu parę palców.

Po srogiej zimie, w czasie której bez przerwy cierpiał głód, 22 lutego 1943 roku Hans z resztą więźniów z Grüssau został wywieziony do Auschwitz.

W tamtym czasie jego kuzyn Werner objechał już cały świat. Kiedy latem 1940 roku Hitler wziął szturmem Holandię i Francję, władze w Londynie wydały rozkaz zatrzymania i internowania przeszło siedemdziesięciu tysięcy cudzoziemców przebywających w Wielkiej Brytanii. Pierwotne plany przewidywały aresztowanie kilku tak zwanych *enemy aliens*^[102], zwłaszcza obywateli niemieckich, austriackich i włoskich, których podejrzewano o szpiegostwo i prowadzenie innej działalności antybrytyjskiej. Pozostałych obcokrajowców określono mianem *refugees from Nazi oppression*^[103]. W przypadku wybuchu wojny im nie miało nic grozić.

Panika, jaka wybuchała w maju i czerwcu 1940 roku, sprawiła, że sprawy potoczyły się inaczej. Pod naciskami opinii publicznej i szeregu deputowanych minister spraw zagranicznych sir John Anderson postanowił, że cudzoziemcy między 16. a 60. rokiem życia zostaną zamknięci w obozach, a potem odesłani w najodleglejsze krańce *British Empire*, gdzie nie mogli szkodzić interesom kraju. Dla wielu z tych, którzy sądzili, że są mile widziani w Wielkiej Brytanii, interwencja władz brytyjskich okazała się katastrofą. Sześćdziesiąt lat po tych wydarzeniach dokumenty polityczne dotyczące tej sprawy wciąż postrzegane są jako drażliwe i nie ma do nich wglądu.

Mój ojciec nigdy nie potrafił zrozumieć zamieszania wokół uchodźców.

„Rząd brytyjski nie mógł postąpić inaczej – twierdził. – Było wśród nas wielu szpiegów i członków piątej kolumny”. Nigdy się nie zastanawiał, dlaczego wszystkich emigrantów oceniano tą samą miarą i czemu Brytyjczycy nigdy nie wszczęli śledztwa zmierzającego do schwytania podejrzanych lub niebezpiecznych jednostek. On bezwarunkowo popierał Anglię.

Od swojego przybycia w sierpniu 1938 roku tak bardzo mu się w niej podobało, że ledwie co myślał o Breslau. Jego deportacja do Australii nie zmąciła tego poczucia szczęścia. Oznaczała dla niego kolejną, nową przygodę.

Cheltenham Spa, w którym od 1939 roku mieszkał, symbolizowało dla niego kraj mlekiem i miodem płynący. Otrzymał wsparcie tyłu przyjaznych ludzi. Pewna angielska rodzina użyczyła mu swojego nazwiska. Nic zatem dziwnego, że czuł się bardziej brytyjski niż sami Brytyjczycy.

Jego wdzięczność emanowała z niego w czasie wizyt w Cheltenham. Miasto ma reputacją nudnego kurortu, w którym emeryci, majorzy i pułkownicy oczekują na śmierć za łuszczącymi się fasadami swoich wili z okresu regencji. Mój ojciec narodził się w nim na nowo.

Mieszkał u państwa Baldwinów przy Alston Lane, schludnej uliczce zabudowanej małymi domkami robotniczymi. Charles i Dorothy Baldwinowie byli biedni, ale porządni i schludni. Po jedzeniu pan Baldwin zawsze zostawiał na

talerzu kawałeczek ziemniaka. Tym samym dawał do zrozumienia, że się najadł. *Very nice dinner, dear*^[104] – mówił, kiedy kończył jeść. Charles był pracownikiem magistratu. Obsługiwał w Town Hall pompę, którą płynęła w górę woda źródłana. Choć mój ojciec dopiero w 1942 roku, po powrocie z Australii, zmienił nazwisko, ludzi, którzy mu go użyczyli, poznał już przed wojną, kiedy to często odwiedzał George'a i Gretel Pearce'ów prowadzących otwarty dom dla kilku żydowskich emigrantów. Gretel była niemieckiego pochodzenia. Poznała swojego męża po kapitulacji Niemiec w 1918 w eleganckim Adlon Hotel w Berlinie. Był szoferem brytyjskiego generała, ona zaś kwiaciarką w hotelu. Poirytowana usiłowała pozbyć się tego narzucającego się jej Anglika. Pół roku później pobrali się.

Rzadko widziałem swojego ojca równie podekscytowanego co podczas naszej ostatniej wizyty w Cheltenham w 1995 roku. Ciągnął nas po wszystkich miejscach, z którymi wiązały się jego miłe wspomnienia. Do domu rodziny Pearce'ów przy Kipling Road, który był sporo za mały dla sześćosobowej rodziny, a mimo to mieścił się w nim pokój od frontu, w którym nikomu nie wolno było siadać z wyjątkiem okazji Bożego Narodzenia, kiedy to George i Gretel oraz ich goście wypijali w nim kieliszek sherry. Do stolarni Messrs. Taylor and Sons na spokojnym placyku w cieniu St. Mary's Church, w którym to zakładzie mój ojciec został przyuczony do zawodu i skąd dzień w dzień z wybiciem zegara w południe oglądał swojego szefa wyruszającego na codzienny kufel piwa do pubu *Plough Inn* przy High Street. I wreszcie do *Pump Room*, pijalni wód – statecznego domu zdrojowego o śnieżnobiałej kolumnadzie, skąd rozciągał się widok na Pittville Park. Organizacja, która sprowadziła ojca do Anglii, wyprawiała w nim recitale pianistyczne, racząc obficie upudrowane małżonki majorów i pułkowników walcami i mazurkami Szopena.

Pewnego czerwcowego poranka 1940 roku dwóch brytyjskich policjantów wyciągnęło mojego ojca z łóżka i powiodło na komisariat. Wraz z nim tamtego tygodnia z fabryk, bibliotek uniwersyteckich, szkół i biur wyluskano dziesiątki tysięcy niemieckich i austriackich Żydów i zamknięto ich w zaimprovizowanych obozach. Tymczasem rządy Kanady i Australii wydały pozwolenie na przyjęcie w swoich krajach internowanych.

„Najpierw trafiłem do obozu w pobliżu Bristolu, a potem w Huyton pod Liverpooliem – wspominał mój ojciec. – Tam zapytali nas, czy wolimy jechać do Kanady, czy do Australii. Ja miałem łatwy wybór, bo wujek Erich i ciocia Erna mieszkali w Melbourne”.

Nim ojciec opowiedział o swoim internowaniu, upłynęło sporo czasu. Zawsze mówił, że nic takiego mu się nie przytrafiło. Nie była to z jego strony poza. Zdawał sobie sprawę, że jego perypetie w porównaniu z okropnościami, jakie przyszło znieść jego rodzinie w Niemczech, narzucały powściągliwość.

O kontrowersjach, jakie narosły wokół historii okrętu *HMT Dunera*, ojciec

po raz pierwszy usłyszał od swojego kuzyna Franka w Melbourne. Okazało się, że rejs tego statku oraz internowanie dwóch tysięcy Żydów w Australii przybrało większe rozmiary niż jedynie wzmianka na marginesie historii drugiej wojny światowej. O wydarzeniu napisano książki, nakręcono filmy i reportaże, badano i opublikowano na jego temat dokumenty.

Pogłoska, że transportowiec *Dunera* miał wyruszyć do Kanady, nie została wysłana z palca, gdyż dwa transporty wyruszyły już w kierunku północnego Atlantyku. Jeden z nich, *Arandora Star*, nie dotarł daleko. Tuż za Liverpooliem został storpedowany przez niemieckiego u-boota. Utonęło przeszło siedmiuset z tysiąca dwustu pasażerów. Po tym rozpętał się skandal, gdyż natychmiast po odstawieniu na brzeg ocalańcom nakazano wsiąść na pokład *Dunery*. Internowanych nadzorował oddział wojska. Żołnierze dopuszczali się na porządku dziennym aktów przemocy, złego traktowania i kradzieży. Po wszystkim komendant statku miał zostać postawiony w stan oskarżenia i zdjęty ze stanowiska.

Dunera wyruszyła 22 sierpnia 1940 roku. Klucząc, statek torował sobie drogę po niespokojnym Morzu Irlandzkim. Mój ojciec tak źle znosił rejs, że kiedy usłyszał głucho uderzenie stawiające wszystkich na równe nogi, uznał, że mu się to przyśniło. Niektórzy usiłowali w panice dostać się na pokład, ale uderzenia kolb karabinów zmusiły ich do powrotu na dół. *Dunera* umknęła atakowi u-boota. Nieokielznane fale i przypadkowa komenda kapitana statku, żeby po wypaleniu torped zmienić kurs, sprawiły, że jeden pocisk odbił się od burty, a drugi go ledwie drasnął.

„Nie było wystarczającej liczby hamaków, tak że część z nas musiała spać na podłodze albo na ławkach – wspominał ojciec. – Nie wolno się nam było golić, ponieważ bano się, że któryś z nas popełni samobójstwo. Przez pierwsze tygodnie nawet nas nie wypuszczano na pokład. Przed redą Takoradi na Żłotym Wybrzeżu i przed Kapsztadem staliśmy w kolejce do bulaja w latrynie, żeby dostrzec skrawek łądu. Parę sekund, tylko tyle”.

Tylko jeden incydent zakłócił nudny rejs mojego ojca. Ktoś ukradł mu buty.

„Z początku byłem strasznie nieszczęśliwy. Miałem tylko jedną parę. A co można działać bez butów? Wzdrygałem się już na samą myśl, że w skarpetkach albo na boso miałbym przejść po zafajdanej podłodze do ubikacji. Musiałem i zamierzałem odzyskać swoje buty”. Wciąż bawiło go wspomnienie planu, jaki sobie wykoncypował.

„Postanowiłem, że nie wyjdę na pokład. Było to wielkim poświęceniem z mojej strony, ponieważ owo pół godziny na świeżym powietrzu stanowiło zwieńczenie naszego dnia. Zamiast tego zapytałem wartownika, czy mogę zostać posprzątać toalety. Przyjrzał mi się z niedowierzaniem, ale mimo wszystko wydał pozwolenie. Kiedy reszta była na górnym pokładzie, w mgnieniu oka przeszukałem wszystkie rzeczy. Gdy tylko znalazłem parę butów wyglądających na moje,

zaczynałem je obmacywać, ponieważ mój lewy but miał lekkie wybrzuszenie przy czubku. Właśnie kiedy reszta wróciła na dół, z powrotem znalazłem swoje buty”.

Na Oceanie Spokojnym ponownie śladem statku miała ruszyć niemiecka łódź podwodna. Kiedy u-boot wynurzył się na rekonesans, wachta zobaczyła unoszące się na falach bagaże. To żołnierze *Dunery* otworzyli i wybebeszyli walizki, a następnie wyrzucili do wody. Marynarze u-boot wyłowili kilka sztuk i uznali, że *Dunera* przewozi niemieckich jeńców wojennych, gdyż walizki oznaczone były niemieckimi nazwiskami. Komendant okrętu podwodnego natychmiast zaprzestał pościgu. Apokryficzna opowieść jedynie przydała sławy i reputacji *Dunerce* i jej pasażerom.

7 września statek dobił do Sydney. Po trwającej dziewiętnaście godzin podróży pociągami mój ojciec wylądował w Hay, maleńkiej miejscowości w New-South-Wales. Inni opuścili statek w Melbourne i zostali zamknięci w Taturze, obozie w południowym stanie Australii, Wiktorii. Po drodze dostali od wojska australijskiego po kubku herbaty i kanapki z mielonką.

„W życiu nie jadłem nic lepszego” – przypominał sobie mój ojciec.

<p>Nothing is to be written on this side except the date and signature of the sender.</p> <p>Sentences not required may be struck out.</p> <p>If anything else is added the postcard will be destroyed.</p> <p>My address now is—Care of Prisoners of War Bureau, Melbourne, Australia.</p> <p>I am quite well.</p> <p>I have been admitted to hospital and am going on well and hope to be discharged soon.</p> <p>Letter follows at first opportunity.</p>	<p>Ausser Datum und Unterschrift des Absenders darf nichts auf diese Seite geschrieben werden.</p> <p>Saetze die nicht zutreffen koennen ausgestrichen werden.</p> <p>Diese Postkarte wird vernichtet falls irgend etwas anderes hinzugeschrieben wird.</p> <p>Meine Adresse ist folgende: Bueru der Kriegsgefangenen, Melbourne, Australien.</p> <p>Es geht mir gut.</p> <p>Ich bin im Krankenhaus, es geht mir bereits besser und ich hoffe es bald wieder zu verlassen.</p> <p>Brief folgt bei naechster Gelegenheit.</p>	<p>E vietato scrivere niente da questa parte, eccetto la data e la firma del mittente.</p> <p>Le frasi inapplicabile debbono essere cancellate.</p> <p>Se si aggiunge qualsiasi parola, la cartolina sarà distrutta.</p> <p>Il mio indirizzo è — Presso Prisoners of War Bureau, Melbourne, Australia.</p> <p>Sto molto bene.</p> <p>Mi trovo in ospedale; sto bene, e spero, fra poco tempo, di essermi ristabilito.</p> <p>Scrivero una lettera il più presto possibile.</p>
<p>Signature Only Unterschrift Firma</p> <p>Date Datum La Data</p>	<p><i>Wolfgang Steinmetz</i></p> <p><i>17th September 1940</i></p>	

<p>SERVICE OF PRISONERS OF WAR</p> <p>The address only to be written on this side.</p> <p>If anything else is added the postcard will be destroyed.</p> <p>Nur die Adresse auf diese Seite schreiben.</p> <p>Diese Postkarte wird vernichtet falls irgend etwas dazu geschrieben wird.</p> <p>L'indirizzo soltanto sulla questa parte.</p> <p>Se si aggiunge qualsiasi parola la cartolina sarà distrutta.</p>	<p>SYDNEY POST OFFICE</p> <p>PASSENGER MAIL</p> <p>DEFENCE FORCES</p> <p>3 9 30AM 25 SEP 1940 3</p> <p>S. 101 MAIL</p> <p>NO POSTAGE REQUIRED</p> <p>M.S.W.AUST. <i>Dunera</i></p> <p><i>23, Lexington Ave</i></p> <p><i>Melbourne - Prahran</i></p> <p><i>Victoria</i></p>
--	---

Pocztówka, jaką Żydzi

zatrzymani w australijskim obozie dla internowanych w Hay mogli wysłać swoim rodzinom. Informacje ograniczono do minimum. Wolfgang Steinmetz, który wysłał tę kartkę, był krewnym Wenera Peritza (mojego ojca), przebywającego w tym obozie

Hay położone było na niegościnnym terenie, gdzie panował piekielny upał. W rzadkiej trawie leżały zbielełe szkielety owiec. O chłodnej wodzie z Murrumbidgee, która płynęła za ogrodzeniem z drutu kolczastego, można było jedynie pomarzyć. Więźniowie początkowo mogli tylko wysłać do rodziny pocztówki bez jakiegokolwiek informacji.

„Tutaj wpisz tylko adres (adresata) – widniało na przedzie kartki w językach angielskim, niemieckim i włoskim. – W razie dodania czegokolwiek kartka ta zostanie zniszczona”.

Na odwrocie więzień notował datę wysłania oraz swoje nazwisko i mógł wybrać między dwiema wiadomościami: „Czuję się dobrze” albo „Zabrano mnie do szpitala, ale mam nadzieję wkrótce go opuścić”. Australijscy strażnicy niezbyt mieszały się do życia w obozie, tak iż Żydzi w miarę szybko mogli ustanowić w nim cały system organizacyjny. Mianowano urzędników, wprowadzono do obiegu banknoty, założono szkołę oraz bibliotekę i organizowano zawody sportowe i koncerty. Jeśli chodzi o religię, uwzględniano wszystkie wyznania, zaś higiena i użyteczna praca stanowiły dla wszystkich absolutny priorytet.

Mojemu ojcu powierzono pracę w stołówce. Poza nakrywaniem i usługiwaniem do stołu oraz sprzątaniami z niego miał również szczególne zadanie. „Żeby pozbyć się wielkich chmar much – opowiadał – zbierałem wszystkie resztki jedzenia na jednym stole, po czym owady, które się na nich gromadziły, zabijałem co do jednego packą na muchy”.

Ojciec grał w piłkę nożną i w *Faustball*, i wraz ze swoim równolatkiem Leo Sauerem tworzył parę do brydża. Występowali przeciwko mistrzom obozu, Levenbachowi i Schönemannowi.

Ojciec nigdy się nie dowiedział, że pewien jego daleki kuzyn przebywał w tym samym obozie Hay. Tak jak Werner Peritz, tak i Wolfgang Steinmetz został w czerwcu 1940 roku aresztowany i w Liverpoolu wsadzony na pokład *Dunery*. Wolfgang był synem Ferdinanda Steinmetza i jego drugiej żony, Margarethe Kohn.

Pierwsza żona Ferdinanda Hulda była ciotecznią babką mojego ojca.

Książki i filmy poświęcone losowi uchodźców w australijskich obozach internowania niemalże nie wspominają o antysemityzmie. A było to zaskakujące, gdyż rząd robił wszystko, by powstrzymać napływ europejskich Żydów. Między 1933 a 1939 rokiem w Australii wylądowało ich zaledwie siedem i pół tysiąca. Australijscy obywatele również żywili wobec nich podejrzenia. Kiedy dowiedzieli się, że *Dunera* ma wysadzić na brzeg przeszło dwa tysiące Żydów, premier został

zasypany listami protestacyjnymi.

„Wystarczy nam już tutaj szumowin – napisał niejaki pan Gibbs z Sherton Park. – Wielu Australijczyków jest bez pracy. Dlaczego ci uchodźcy mogą odbierać nam pracę? Już teraz otrzymują większe wsparcie od nas. Nie jestem mściwy, w końcu ci *aliens* również są dziećmi bożymi. Mimo to mam nadzieję, że jakiś u-boot pośle ich wszystkich do diabła”.

Ksenofobia zaczęła opadać dopiero po ataku Japonii na Pearl Harbour. Nagle Australia znalazła się na linii ognia, a żydowskich uchodźców poproszono o przyłączenie się do walki z wrogiem.

Pół roku później setki internowanych, wśród nich mój ojciec, powróciły do Wielkiej Brytanii. Krótko przedtem zamknięto obóz w Hay. Ekstremalne upały i burze piaskowe sprawiły, że wielu internowanych chorowało, tak iż major Layton, wysłannik władz brytyjskich, zgodził się, by wszystkich przenieść do Orange i Tatury. W czasie swojej inspekcji Layton obiecał poruszyć kwestię uwolnienia internowanych. Kto by dobrowolnie się zgłosił do Pioneer Corps^[105], mógł w krótkim czasie wyruszyć do Anglii.

Tel. YORK 4121.

Subject:- Change of Name.

Our Ref:- 102/43/21/129A

To Whom It May Concern.

13807059 Cfn. Peritz (Werner)
R.E.M.E.

The above named soldier, on the strength of this Unit, has been authorised under the provisions of A.C.I. 475/43 and R.E.M.E. Records letter R.E.M.E./E/1325/DM & A dated 30.6.43., to change his name and Army number as follows:

16001247 Cfn. Pearce, (Vernon).



Captain, for
Officer Commanding,
102 Coy. R.E.M.E.,

Cavalry Barracks,
YORK.
27 July, 43.

OC/S/MEW.

Lipiec 1943 roku. Werner Peritz zmienia imię i nazwisko na Vernon Pearce. Kapitan Taylor z Cavalry Barracks w Yorku wystawia ojcu zaświadczenie o zmianie nazwiska

Werner Peritz nie zastanawiał się długo nad tą propozycją.

„Miałem obozów po dziurki w nosie – opowiadał mój ojciec. – Nie wiedziałem, jak długo potrwa wojna. Może mieliśmy jeszcze całe lata w nich siedzieć! Wujek Erich wysyłał mi co prawda regularnie pieniądze, raz nawet sam mnie odwiedził w Taturze, ale tych, którzy chcieli zostać w Australii, nie wypuszczano. Moja cierpliwość się skończyła”.

Warunki wstąpienia do Pioneer Corps były proste: trzeba było być sprawnym, w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu lat, chociaż nawet lekka niepełnosprawność i słaby wzrok nie stanowiły tu przeszkody. Brytyjski rząd płacił za rejs powrotny, a w Wielkiej Brytanii werbował do nieuzbrojonej jednostki korpusu.

12 października 1941 roku wraz z trzystoma trzydziestoma siedmioma innymi kandydatami Werner rozpoczął swój rejs powrotny. Luksusowy statek pasażerski *Stirling Castle* płynął do Liverpoolu przez Kanał Panamski, zawijając po drodze do Dunedin. Znowu mieli szczęście. Inny statek, *Waroonga*, został storpedowany na Morzu Irlandzkim.

Wolfgang Steinmetz, tak jak większość internowanych, postanowił zostać w Australii. Kiedy rok później zwrócono im wolność, większość z nich wstąpiła do wojska australijskiego.

Werner Peritz zmienił godność na Vernon Pearce. Zmianę imienia i nazwiska umożliwiło mu brytyjskie wojsko. Również żołnierz bez broni mógł się dostać w ręce Niemców. Dlatego lepiej było, gdy Żydzi zmieniali swoje nazwiska na angielskie.

„Większość wybierała takie, które kojarzyło się ze starym – mówił ojciec. – Ja miałem łatwo. Ponieważ czułem się u rodziny Pearce’ów jak u siebie w domu, aż się prosiło, żebym wybrał ich nazwisko. A Werner przypominało Vernona. Nie żeby mi się jakoś specjalnie podobało, ale było jedynym, które trąciło Wernerem, zwłaszcza jeśli «Werner» wymawiało się z angielska”.

Po przejściu przeszkolenia w Pioneer Corps szeregowego Vernona Pearce’a przydzielono do Royal Electrical and Mechanical Engineers, gdzie jako numer 16001247 znalazł wikt i opierunek. Rozpoczęły się dla niego tłuste lata. Był młody i umiał otaczać się ludźmi, którzy dobrze się z nim dogadywali. Czasem ojciec wspominał *spirit of Dunkirk*^[106] z tamtych czasów. Inni mogli postrzegać to za mit starannie opracowany przez brytyjską propagandę, dla mojego ojca oznaczało to prawdziwy wybuch energii i radości życia. Wchłonał w siebie owego „ducha”, który nadawał mu siłę i wskazywał kierunek na nowym etapie jego życia.



Werner Peritz, już Vernon Pearce, w mundurze Royal Electrical and Mechanical Engineers

Ojciec najdłużej pozostał w Cavalry Barracks w Yorku. Przez osiemnaście miesięcy pracowicie malował tam drewniany sprzęt wojenny na stalowoniebieski kolor.

Prawdopodobnie elementy w odcieniu *battleship grey* wykorzystywano, by budować atrapy czołgów i dział, za pomocą których wprowadzano Niemców w błąd co do lądowania w Normandii. Życie w Yorku nie zawsze było nudne.

W mieście było aż nadto kin i pubów, i nietrudno było przygruchać sobie w nich jakąś *sweetheart*. Czegóż więcej potrzebował do szczęścia żołnierz?



Werner Peritz po powrocie z obozu dla internowanych w Australii. Tutaj z Desney i Carol Pearce, dwiema spośród trzech córek George'a i Gretel Pearce'ów, w których domu w Cheltenham czuł się jak u siebie

W wojsku inżynieryjnym ojciec nauczył się prawdziwego angielskiego, z jego śmiesznymi, dwuznacznymi odzywkami oraz aluzyjnymi żołnierskimi piosenkami. To tam jego wielkie zainteresowanie językiem i miłość do literatury nabrały wiatru w żagle. W bardzo krótkim czasie mówił i pisał po angielsku równie dobrze jak jego brytyjscy współtowarzysze broni.

Bo też kumple bardzo mu leżeli na sercu. Kto ruszał na urlop, mógł zamówić u niego kuferek, który ojciec majsterkował z płyty pilśniowej, wyposażając go w zawiasy i zamknięcie. Swoje dzieło sztuki miał jakiś czas później wybudować w koszarach w Haren pod Brukselą. Jesienią 1944 roku, krótko po oswobodzeniu Brukseli i zdobyciu serca pewnej Flamandki, sfabrykował supernowoczesną budkę wartowniczą.

„Stała tam jeszcze do lat sześćdziesiątych – ojciec opowiadał z dumą. – W środku miała ławeczkę, na której mógł usiąść wartownik, a od zewnątrz umieściłem w niej szczeliny, jedną na wysokości wzroku osoby stojącej, drugą – osoby siedzącej, aby zawsze można było zobaczyć, kiedy nadchodzi oficer. Nie było to do końca ściśle z regułami wojskowymi, ale nikt tego nie skomentował. Moim kolegom ogromnie się budka podobała. Jeden z nich zapytał, czy jest w niej również ubikacja”.

Po powrocie z Australii ojciec spędzał urlopy u gościnniej rodziny Pearce'ów w Cheltenham. Szczególnie Gretel emanowała temperamentem. Dzięki jej serdeczności i humorowi młodzieńcy, których przyjmowała w domu, odnajdywali

w niej matkę. Gretel nie czyniła różnicy między wrogiem a przyjacielem. Kiedy po desancie w Normandii Anglię zalali niemieccy jeńcy wojenni, na swoje pikniki zapraszała zarówno niemieckich żołnierzy, jak i żydowskich emigrantów.

Mój ojciec rzadko się kontaktował z własną rodziną. W Londynie raz spotkał się z ciotką Emmą, żoną Josepha Peritza, zanim ta nie wyjechała do Nowego Jorku. Poza tym utrzymywał tylko kontakt listowny ze swoimi krewnymi. Ojciec wiernie pisał, ale doręczanie listów przebiegało powoli.



Moi dziadkowie Felix i Else Peritzowie podczas wycieczki do Jerozolimy w 1939 roku. Parę miesięcy wcześniej wyemigrowali do Palestyny

Jego rodzice w Palestynie z niecierpliwością wyczekiwali wszelkich wieści. Cieszyła ich każda informacja. Wszystkich przepytowano, wszystkich o wszystkim informowano. Pełna obaw niepewność co do losu krewnych i znajomych zapełniała stronę po stronie: „Dlaczego twoi rodzice są tak załamani? – pytała babcia swoją

bratową Ernę w Melbourne. – Czy przebywają w obozie koncentracyjnym? Jak sobie radzi Grethe w Szanghaju? Czy Lenchen Peritz wciąż pisze? Gdzie są jej dzieci? Dostałaś wiadomość od Gerdel Steinmetz?” Każdy z listów przekazywał dalej ostatni strzęp informacji. Nawet to, co wydawało się nieważne, mogło zainteresować kogoś innego. „Odwiedziła nas Edith Hurwitz – pisała babcia w tym samym liście. – Ruth znalazła pracę. Lutz z kolei znowu bez pracy. Oczywiście przekażę wasze pozdrowienia. Także Bertel. Dowiedziałam się od Rity, że jej najstarszy brat, Henri, dobił do Palestyny, tak samo jak syn Ludwiga Eisnera. Na razie wciąż przebywają w obozie dla nielegalnych uchodźców”.

Wiosną 1941 roku minęły dokładnie dwa lata, odkąd moi dziadkowie zamieszkali w Palestynie. Przez cały ten czas wynajmowali mały dom przy ulicy Bielika w Ramat Gan położonym kilka kilometrów na wschód od Tel Awiwu. Przystosowanie do nowego miejsca przebiegało opornie. W porównaniu z Breslau Palestyna była zacofaną dziurą. Regularnie rozogniały się akty przemocy między Żydami, Arabami i Brytyjczykami. Do kraju przenikały złe wieści o okupowanej Europie.

Felix rzucił się na nowo w wir interesów. Sprzedawał papierosy i artykuły spożywcze. Miał dużą konkurencję, a i nikomu nie można było zaufać. Kiedy dziadek zimą 1941 roku poważnie zachorował, jego partner natychmiast przejął krąg dziadkowych klientów.

Else czuła się nieszczęśliwa. Tuż po przyjeździe oznajmiła Felixowi, że chce jeszcze jednego dziecka. Jej mąż się na to nie zgodził. Błagała go i groziła mu, ale Felix nie ustąpił ani na krok. Czy martwił się o jej zdrowie? W 1939 roku Else miała już czterdzieści cztery lata. Czy może odrzucił jej propozycję, bo zdał sobie sprawę, że jego żona usiłuje tylko zwalczyć swoją samotność?

Pomiędzy dokumentami w kufrze Adamów w La Paz znajdował się również zbiór cytatów kontemplacyjnych. Na kartkach wyrwanych z zeszytu lub książki biurowej moja babcia przepisywała aforyzmy i wiersze, które szczególnie ją poruszyły w Palestynie. Wyjątkowo pociągał ją Goethe. Czasami poeta dodawał jej otuchy. Pisał o pięknie życia i boskiej naturze, o sile woli i radości życia. Przeważnie poezja artykułowała jej najgłębszą melancholię. W coraz większym stopniu babcia poddawała się również poczuciu przemijalności. Postrzegała się jak pyłek w wieczności. Notowała najmroczniejsze spostrzeżenia Hartmanna:

*Aber aus den Sternenfeuern
Will kein Geist hernieder steigen.
Augen nur, erfüllt von Schweigen,
Blicken aus den dunklen Schleiern^[107].
Ale z ognia gwieździstego
Żaden duch nie zstąpi na dół
Oczy przepelnione ciszą*

Spozierają z za nocy woalu [przekład tłum.]

W pierwszych miesiącach po swoim przybyciu do Ramat Gan Else zdarzało się jeszcze zapisywać optymistyczne myśli. Potem odzywały się już tylko głosy defetystyczne.

Od czasu do czasu kupowała w antykwariacie jakąś książkę. W Belgii pozostawiła ich cały stos. Najczęściej wertowane były dziełami filozoficznymi. Auerbach komentujący Spinozę, a Rickert Schopenhauera. *Kritik der Urteilskraft*^[108] Kanta, *Ueber den menschlichen Verstand*^[109] Hume'a, *Entpersönlichung*^[110] Ricardy Huch i *Leib und Seele*^[111] Hermanna Schwartza. Rozważania, introspekcja, samoanaliza.

„Poza tym oboje czujemy się świetnie – na wiosnę 1941 roku pisał jej mąż. – Ponieważ nikt inny nie mieszka w domu, panuje w nim cudowny spokój. Błogosławieństwo dla naszych nerwów!”

Nerwy Else zostawały wystawione na próbę nie tylko z powodu jej udręczenia. Listy z Melbourne i La Paz zawierały niewiele podnoszących na duchu wieści. Wszyscy się skarżyli. Jej siostra Edith w Boliwii musiała sama zarabiać na życie, zaś brat babci, Erich, miał ogromne problemy z rozbudowaniem swojej klienteli w Australii, ponieważ liczba żydowskich imigrantów z powodu ograniczenia ich wolności była znikoma. Poza tym nawet żyjąca w Australii społeczność żydowska spoglądała z góry na nowych (nazywano ich *thirty-niners*, ponieważ przybyli do kraju dopiero w 1939 roku). Ponieważ *thirty-niners* rzucali się w oczy, panowało przekonanie, że narażają na niebezpieczeństwo wszystkich Żydów, i dlatego nowo przybyłym odradzono posługiwanie się na ulicach językiem niemieckim i zalecano jak najdyskretniejsze zachowywanie. Kazano im również oddać radia i co jakiś czas meldować się na policji. I wreszcie Helene, matka Else, bez przerwy klóciła się ze swoją synową Erną, żoną Ericha.

Helene miała siedemdziesiąt cztery lata, kiedy w maju 1942 roku z goryczą relacjonowała córce w Palestynie swoje bolączki. „Nie chcę podburzać przeciwko Ernie – pisała – bo mam nadzieję, że wy się kiedyś tutaj osiedlicie, razem z Wernerem oczywiście, którego Erna bardzo kocha. Ale musisz zdać sobie sprawę, kochana Else, jak ciężko mi na stare lata. Poskarżyłam się już kilka razy synowi na swój los. Po takich razach sytuacja się poprawia. Najchętniej mieszkałabym sama, ale Erich nalega, bym pozostała u nich”.

Następnie Helene w szczegółach opisała swój konflikt z Erną. Że tamta jest bez charakteru i powierzchowna. Że ma fanaberie i o byle co zaczyna się klócić, po czym zachowuje się tak, jakby nic się nie stało.

13 kwietnia 1945 roku Erna wysłała do swojej bratowej Elise w Palestynie list.

„Nie myśl sobie, że chcę się skarżyć – napisała. – Kreślę tylko możliwie najpełniejszy obraz sytuacji w domu. Jaka szkoda, że nie możemy siedzieć teraz

naprzeciwko siebie i się przed sobą wyżalać”.

Po czym przedstawiła szczegółową analizę utrapień i zgryzot, jakie przeżywała ze swoją teściową. Helene była uparta jak osioł. Wszystko wiedziała najlepiej. Tak, Erna wiedziała, że tamta jako wdowa długo żyła sama i dlatego nie była przyzwyczajona do znoszenia rozkazów czy bezstań, ale teraz wszyscy mieszkali razem i powinna od czasu do czasu pójść na kompromis. Poza tym Erich obchodził się ze swoją matką jak z rośliną cieplarnianą.

„Cały dzień słyszy się tylko «Mamusia to, Mamusia tamto». Jego pierwsza i ostatnia myśl w ciągu dnia dotyczy matki. Kiedy wchodzi do domu, od razu jest «Gdzie jest *Muttl*? Coś się stało? Szkoda, że cię przy tym nie było». Nie, no to naprawdę przesada”.

Synowa i teściowa sprzeczały się o wszystko. O prowadzenie domu, o ubranie i gotowanie, wyjścia i pozostawianie w domu, a przede wszystkim o zachowywanie przepisów religijnych. I tak, w Australii, nie świętowano szabat, który Else obchodziła w Palestynie. Starsza pani wyrażała również krytykę „religijną” odnośnie do sprzątanía. Upierała się, żeby zamiatać i myć podłogę według „starych rytów”.

„Tutaj wszystkie kobiety biorą szczotkę i używają Rinso czy Persilu, w ten sposób sprząta się szybciej i dużo higieniczniej, ale matka zawsze szorowała podłogi na kolanach, a więc uważa naszą metodę za niekoszerną”.

Narzekania z Melbourne miały swą pozytywną stronę. Moja babcia najprawdopodobniej często czuła się samotna, melancholijna i nieszczęśliwa, tymczasem dzięki niesnaskom jej rodziny udawało jej się wykrzesać siły, których nie zdołała znaleźć dla siebie. Odpisywała, a swoje odpowiedzi zapełniała radami i słowami otuchy.

„Twoje listy są niezrównane” – chwaliła Erna.

Owo uznanie sprawiało Else przyjemność. Rzucanie na prawo i lewo dobrych rad zmniejszało nieco napięcie ze strony jej obsesyjnej samoanalizy i odwracało jej uwagę od permanentnego zamartwiania się lichym życiem w Ramat Gat, gdzie bez przerwy trzeba było oszczędzać, a przyjaciele i znajomi cię wykorzystywali, gdy tylko zauważyli, że ci się lepiej powodzi.

Nie udało mi się ustalić, czy Erich pomagał moim dziadkom. Prawdopodobnie przez całą wojnę słał im pieniądze albo paczki żywnościowe jak Maxowi i Jenny Schottländerom w Penrith w Anglii.

„Serdeczne podziękowania za użyteczne i cudowne artykuły żywnościowe – 8 grudnia 1943 napisał Max. – Dżem, kakao w proszku, herbata, cukier! Kiedy otwieramy paczkę takich smakołyków, cieszymy się jak małe dzieci”.

Mój dziadek dostawał sporo mniej wiadomości od swojej rodziny. Dzieci jego przyrodniego brata mieszkające w Nowym Jorku niemalże z nim nie korespondowały. Curt z Chicago zupełnie się nie odzywał. O Grethe wiedział tylko

tyle, że przebywa w Szanghaju. Ciotka Emma mieszkała w Londynie i jego syn raz u niej gościł. A od 1941 roku wszystkie kontakty z Niemcami zostały zerwane.

Po wojnie okazało się, że wszyscy pozostali w kraju Peritzowie – z wyjątkiem jednego – zginęli w Holocauście. Martha Peritz z Bunzlau razem z córką Erną, jej mężem Herrmanem Ruppinem oraz ich córeczką Inge; Georg Peritz, brat Leonarda, męża Marthy; Margarethe Peritz, córka Davida, który był kuzynem mojego dziadka; Hertha Peritz, jej mąż Herbert z ich córeczką Schauschaną; Minnie Peritz z synem Güntherem. Tylko Hans Peritz przeżył obozy.

Mój daleki kuzyn z Filadelfii nie znosił świadectw innych ocalańców. Przeczytał dawniej kilka ich książek i nie wywarły na nim wrażenia. W jednej kłamano i fantazjowano, w innej przesadzano, trzecia wszystko upiększała. Tylko on, Hans, mógł wypowiadać się ze znanstwem o tych sprawach; tylko on wszystkiego doświadczył.

Nie dało się wówczas przewidzieć tego, co opowie mi o Auschwitz i Dachau. Skrawki wspomnień pojawiały się nagle i równie szybko znikwały. Zupełnie pozbawione były chronologii zdarzeń i struktury.

– Mogę nakłonić ludzi do uwierzenia we wszystko – opowiadał Hans – ale nie mogę podkasać sobie rękawa i udawać, że nie mam na ramieniu wytatuowanego numeru. Po wszystkich tych latach ani krztynę nie wyblakł.

Numer ten kiedyś niechętnie mi pokazał. Nie zdążyłem do końca go odczytać. Poza granatową barwą moją uwagę zwrócił toporny, prawie rozedrgany ścieg, jak gdyby nakłuwanie odbywało się poprzez twardą skórę, a ramię nie przeszło tej próby należycie.

22 lutego 1943 roku transport z Grüssau wjechał do Auschwitz. W tamtym czasie obóz składał się z trzech sektorów: Auschwitz I był tak zwanym *Stammlager*, obozem macierzystym, który Himmler w 1940 roku założył w szczególności z myślą o polskich więźniach politycznych. Rok później wydał rozkaz, by parę kilometrów dalej zbudować większy obóz. Stał się nim Birkenau, inaczej Auschwitz II. To tu, począwszy od marca 1942 roku, trafiali Żydzi z całej Europy. Esesmani najpierw na *Rampe* dokonywali selekcji. Kto był zdrowy i młody, wyruszał do baraków. Pozostałych ładowano na ciężarówki i odwożono do komór gazowych. Później tory kolejowe doprowadzono aż pod komory gazowe, by Żydzi szli pieszo na śmierć. Pierwszy transport przybył z pobliskiego Śląska. Auschwitz III, wreszcie, położony był w Monowitz, gdzie przedsiębiorstwo Buna chciało założyć fabrykę syntetycznego kauczuku.

Kiedy Hans przybył do Auschwitz, od samego początku uśmiechało się do niego szczęście. Po *Selektion* zjawił się jakiś esesman. „Ty, ty i ty, *mitkommen!*”^[112] – wskazał na pięciu młodych ludzi. Hans był jednym z nich. Pozostali na rampie poszli na śmierć.

Szczęście, jak stale podkreślał mój kuzyn, miał często. Czasami owemu szczęściu pomagali inni. Różni breslauczy, zarówno *Kapo*, *Blockältest*, jak i *Vorarbeiterzy*, a nawet sami podoficerzy SS pomagali Hansowi w kluczowych momentach i ratowali mu życie. Ich współczucie zapamiętał równie wyraźnie jak brutalne poniżenia. Kiedy o nich mówił, głos mu drżał z wdzięczności. A mimo to nigdy nie wyszedłby z obozów żywy, gdyby sam nie pomógł temu szczęściu. Czy wykorzystywał swój „aryjski wygląd”? Hans miał blond włosy, niebieskie oczy

i mówił z czystym breslauskim akcentem. Gdzie się tylko pojawił, natychmiast eksponował tę wymowę. Strażnicy i żołnierze nadstawiali uszu. Hans zwracał na siebie uwagę. Czy ten chłopak był Żydem? Ależ miał perfekcyjny akcent z Breslau! Gdzie wcześniej mieszkał? Na jakiej ulicy? Co? Ja też tam kiedyś mieszkałem! Znasz *Herr* Maiera? A rodzinę Stemmler? Co za parszywa wojna, a niech to! Za te same pieniądze lepiej byłoby usiąść na rynku przy piwie.

Przyjaciele i krewni, których Hans spotkał w obozie, wkrótce po przybyciu zmarli, jak jego przyjaciel od serca Georg Vogel.

– Leżałem na dur brzuszny w baraku szpitalnym – opowiadał Hans – kiedy Peter Schwarz, jeden kolega z klasy, który pracował w *Krankenbau*, powiedział, że widział Georga. Kiedy opuściłem oddział szpitalny, poszedłem go szukać. Znalazłem Georga. Leżał obok baraku, skręcony wśród innymi zwłok. Nie podszedłem bliżej. Nagle wszystkie ciała wydały mi się identyczne. Może nie chciałem uwierzyć, że postać, którą widzę, to mój najlepszy przyjaciel. Być może śmierć upodobniła wszystkie ciała do siebie, by ochronić mnie przed szokiem rozpoznania.

Hans wciąż był ogromnie słaby po pobycie w *Krankenbau*. Cud, że nie zmarł na gruźlicę, silną biegunkę czy omdlenie pojawiające się przy durze brzuszny.

– Kiedy wybudziłem się z długiej śpiączki – opowiadał – lekarz mi oznajmił, że mogę się zbierać. Jesteś gotowy do pracy, powiedział. Zdałem sobie sprawę, że jakakolwiek praca oznaczać będzie dla mnie koniec. Była ze mnie skóra i kości, nie umiałem normalnie stawiać kroków. Ale w kwietniu 1943 roku żyła jeszcze garstka chłopaków z Breslau. Jeden z nich poradził mi pogadać z człowiekiem, który formował *Arbeitskommandos*. Nazywał się Werner Krumme i też pochodził z Breslau. Krumme nie był Żydem. Wywieziono go z żoną do Auschwitz za pomaganie Żydom. Powiedziałem mu, że tak jak on jestem z Breslau i że Renate Lasker chodziła ze mną do tej samej klasy. Słyszałem, że dobrze znał Laskerów. Kiedy następnego dnia rano na apelu wywołano mój numer, okazało się, że Krumme załatwił mi pracę w hangarze. Miałem wyciągać z desek gwoździe, prostować je i wrzucać do pojemnika, a deski układać w stos. Nikt mi nie patrzył na ręce. Mogłem pracować tak wolno, jak mi się chciało. Panował wtedy straszliwy ziąb, ale ja cały dzień siedziałem w środku i słońce ogrzewało mi twarz i ramiona przez okno. Słońce uratowało mi życie. Krumme. I Renate Lasker. Dali mi trochę nadziei, bym nie rezygnował z życia.

Werner Krumme zmarł kilka lat temu. W Jad wa-Szem w Jerozolimie posadzono drzewo ku pamięci tego dobroczyńcy. Ruth, jego żona, zginęła w Auschwitz.

Hangar, w którym pracował Hans, położony był w *Stammlager*. To również okazało się zrzędzeniem losu. Zatrudniano w nim tylko więźniów, którzy nie musieli się obawiać codziennych selekcji ani wynikających z nich zagazowań.

Po Birkenau wałęsało się tysiące tak zwanych muzułmanów. Nie wiadomo, skąd się wzięło to przezwisko, byli to jednak więźniowie, którzy już pogodzili się ze śmiercią. Snuli się po obozie jak zombie. Pusty wzrok, wychudzone na szkielet ciała, zapadnięty brzuch; wszystko wskazywało na to, że porzucili nadzieję na przeżycie. Codziennie byli zabierani z baraków i zagazowywani.

– Po przyjeździe do Auschwitz mnie również opuściła cała ochota do dalszego życia – przyznał Hans. – Nie dbałem o siebie, wszystko było mi obojętne i modliłem się, by Bóg jak najszybciej wybawił mnie z tego piekła. I wtedy zapadłem na dur brzuszny. To już koniec, myślałem. Poza tym w baraku szpitalnym nie było żadnej opieki. Nie wiem, po co w ogóle istniał ten *Krankenbau*. Pielęgniarki i lekarze patrzyli przez ciebie jak na powietrze. Nikt nie dawał ci lekarstw.

Hans nie spotkał swej przyszłej żony w Auschwitz. Monę Rosenthal z rodziną deportowano do obozu zagłady latem 1944 roku. Mona nigdy tego faktu ani nie wybaczyła, ani o nim nie zapomiała. Na swój sposób była równie zgorzkniała jak Hans.

W normalnym obyciu nikt niczego nie zauważał. Była osobą skorą do śmiechu i wielkoduszną. Dzieci i wnuki uwielbiały jej oddanie i kulturę osobistą. Nic nie wytrącało jej z równowagi. Ceniła argumenty i pryncypia, ale za jeszcze ważniejszy uznawała zdrowy rozsądek. Jedyne wyjątek stanowiła wojna. Pod tym względem fakt posiadania liberalnych poglądów w jej oczach uchodził za przestępstwo. Dlatego nie zgadzała się mówić po niemiecku i denerwowała się, kiedy Hans oglądał na wideo film o swoim rodzinnym mieście, a przy obrazach zniszczenia Breslau wykrzykiwał, jak bardzo jego ukochane miasto ucierpiało.

– To tylko cegły – odzywała się Mona zaciekle. – Wszystkie zniszczone domy i ulice razem wzięte nie zdołają zadośćuczynić śmierci jednego z naszych braci w wierze.

Dlatego też nigdy nie chodziła do synagogi. Pieśni przenosiły ją z powrotem do domu, na Słowację. Ponownie trafiała do bożnicy w Koszycach i z rodziną przysłuchiwała się pełnemu skargi głosowi kantora. W śpiewie tym zamykało się całe jej cierpienie, cierpienie jej krewnych i narodu. Jej matka pochodziła z rodziny Schreiber, a ród Schreiberów obfitował w wybitnych rabinów i uczonych w piśmie, którzy w wiekach średnich uciekli z Francji i na Wschodzie zakładali jesziwy i szkoły talmudyczne.

– Oni tu, w Ameryce, myślą, że mieszkałam w zacofanym kraju – odezwała się Mona, kiedy Hans znowu uczynił wesolą uwagę o jej pochodzeniu. – Dawno temu odwiedziła mnie jedna przyjaciółka, która właśnie wyemigrowała z Czechosłowacji. „Wreszcie kraj z bieżącą i elektrycznością – wdychała z ulgą – nareszcie domy bez klepiska”. Skąd, na Boga, pochodziła? Czechosłowacja była nowoczesnym państwem. Mojego ojca-rabina opłacało państwo. W Koszycach nie

istniało żadne getto. Oczywiście, były takie miejsca, gdzie Żydzi stanowili połowę społeczeństwa, ale nawet i tam żyli oni pośród nie-Żydów.

Mona nie potrafiła sobie wyobrazić piekła Auschwitz. Była równie naiwna, co elegancko ubrani niemieccy Żydzi, którzy głośno protestowali, kiedy na rampie musieli oddawać swoje walizki.

Jej narzeczony uciekł tuż przed jej aresztowaniem do Budapesztu. Mona się wahała. Mężczyznę, za którego miała wyjść, nie zostawia się tak sobie na pastwę losu. A co w takim razie z rodziną? Postanowiła przy niej zostać.

W przeciwieństwie do Hansa, który już lata wcześniej doznał impertynencji i niedostatków pracy przymusowej oraz *Arbeitslager*, Mona w najmniejszym stopniu nie mogła się domyślać, do jakiego upodlenia zdolny jest człowiek. Kiedy przybyła do Auschwitz, tak jak wszyscy inni od trzech dni nic nie jadła. Mdły, prawie słodki zapach mięsa, które gdzieś palono, sprawił, że strasznie zachciało się jej jeść. Pytanie, jakie zadała *Kapo*, świadczyło o tak dalekosiężnej niewinności i tak fundamentalnej ufności w ostateczne dobro człowieka, iż jej prostoduszność zarówno oszalała, jak i wzrusza.

– Gotują dla nas jedzenie? – zapytała.

Strażnik się roześmiał.

– Wy jesteście jedzeniem – odpowiedział. – Widzisz ten popiół, który spada ci na głowę? To prawdopodobnie twoja matka.

Monę i jej siostra Ernę oszczędzono podczas selekcji i tak pozostały przy życiu. Ich dziadkowie, rodzice, bracia i pozostałe siostry godzinę później zostali zagazowani.

– Boże, ależ byłam łatwowierna – opowiadała Mona. – Myślałam, że *Kapo* sobie żartuje. Potem moja naiwność szybko się ulotniła. Następnego dnia jedna *Kapo* nieźle mnie pobiła. Bez przyczyny wychłostała mnie swoim paskiem. Byłam Żydówką i to wystarczyło za powód. A może biła, bo jakiś esesman się patrzył, a ona chciała mu dać do zrozumienia, kto rządzi w baraku. Od tamtej pory źle słyszę na lewe ucho.

Nazistom nie wystarczyło, że skazują Żydów na powolne konanie w obozie. Prowadzili z nimi również sadystyczne gierki. I tak kobiety musiały czasem w środku nocy *zum Appel antreten*^[113], zdejmować ubranie i parę razy obiegać teren placu. Słyszały, jak esesmani rubasznie się śmieją i opowiadają żarty o tych kobiecych szkieletach o zapadniętych piersiach.

Przez dziesięć tygodni Mona z siostrą należały do grupy więźniarek, które przeniesiono do Mühlendorf, jednego z podobozów Dachau. Tam zapytano, która z nich mówi po niemiecku. Mona wyciągnęła rękę i dostała pracę w biurze.

– Zajmowałam się księgowością – powiedziała. – Dobrze mnie tam traktowano. Znowu nie rozumiałam, co się tam dzieje. W Auschwitz wszyscy się na ciebie wydzielali. Zwłaszcza polscy *Kapo* niemiłosiernie się znęcali.

Kobiety zajęły w Mühldorf miejsce rosyjskich jeńców wojennych. Kiedy przybyły, właśnie wymaszerowywali Rosjanie. *Jewriejskie kapitalisti!* – wrzeszczeli. „Kapitalistyczni Żydzi!”.

W porównaniu z Auschwitz Mühldorf było rajem.

– Każda z nas miała siennik – przypominała sobie Mona. – Nie musiałyśmy dzielić jednego posłania w trójkę lub czwórkę. Tak mi tam było dobrze, że po jakimś czasie ośmieliłam się poprosić mojego szefa, czyby moja siostra nie została przyjęta do pracy w biurze. „Zaproponuję to mojemu przełożonemu” – odpowiedział. Ten *Lagerkapo* nazywał się Hans Rohr. Był kobieciarzem. Mnie nigdy nie dotknął. Wobec innych zachowywał się jak bestia. Ganiał z pejcem i czerpał przyjemność z chłostania ludzi.

Nawet najwyższy rangą esesman w biurze był miły.

– Ma pani ochotę na muzykę? – pytał i włączał radio. W obozie mężczyźni zachowywał się bezlitośnie. Do tego, kto mu nie podpasował, strzelał z rewolweru.

W sierpniu 1944 roku dotarł do nas transport żydowskich mężczyzn z Warszawy. Mona musiała ich zarejestrować. W *Waldlager*^[114], dokąd doprowadzono nowych więźniów, jako pierwszego zobaczyła Hansa.

Na liście widniało: „Hans Israël Peritz, *Reichsdeutscher*”.

– Patrzył na mnie, uśmiechając się – roześmiała się zawstydzona Mona. – *He hadn't seen girls for a long time*^[115]. Momentalnie ujął mnie swoim urokiem. W Birkenau żyłam w transie, jakby ktoś mnie walnął w głowę, co mnie zupełnie zamroczyło. Hans przywrócił mnie do życia. W zasadzie byłam zaręczona, ale po wszystkim, co spotkało moją rodzinę, mój narzeczony przestał stanowić część mojego życia. Hans – tak.

Ponieważ Mona musiała przeliczać mężczyzn na apelu, codziennie go widywała. Po wieczornym apelu czasami ze sobą rozmawiali, tyle że rozdzieleni podwójnym drutem kolczastym między obozem męskim i żeńskim. Czasem Hans śpiewał jej *J'attendrai*, popularny szlagier Riny Ketty.

– *J'attendrai, le jour et la nuit, j'attendrai toujours, ton retour*^[116] – na potwierdzenie Mona zaśpiewała cicho drżącym głosem. Wokół jej ust błąkał się nieśmiały uśmiech. Hans właśnie drzemał w swojej sypialni. Nie mógł słyszeć piosenki, którą zdobył jej serce.

– Nie lubię śpiewać – wyznała mi Mona. – Pieśni przenoszą mnie z powrotem do przeszłości, do domu. Nie mów o tym Hansowi. Również wtedy, kiedy on śpiewa, natychmiast znowu siedzę w synagodze i widzę wszystkie te szczęśliwe twarze. Czasami to mnie przerasta. Dlatego nigdy więcej nie chcę powrócić do Koszyc. Nasz syn był tam jakieś dziesięć lat temu. Chciał, żebym z nim pojechała. Prawdopodobnie umieram z tęsknoty, ale to byłby za straszny ból. Boję się tego. Zazdroszczę Hansowi. Jego tęsknota za Breslau dodaje mi sił. Breslau nie może wyrządzić żadnego zła. Jego mieszkańcy to osobna rasa

wywyższona ponad zwykłych śmiertelników.

– Gdybym miał w Breslau spotkać ludzi, którzy mieszkali w nim przed wojną – mówił Hans – spontanicznie bym ich przytulał i na własny koszt zaprosił na ucztę do najlepszej restauracji.

Nie tylko Werner Krumme otoczył Hansa protekcją i ochroną. *Blockälteste*^[117] w Auschwitz II był pospolitym przestępcą. On również pochodził z Breslau. Człowiek ten ostrzegał Hansa przed niektórymi wartownikami i wbijał mu do głowy, by nie przestawał o siebie dbać. Po jakimś czasie Hans został przeniesiony do jednego z obozów wokół Birkenau. Pewnego dnia on i trzech innych więźniów otrzymało polecenie wysprzątania kwatery SS. Okazało się, że jeden z sierżantów Waffen-SS pochodzi z Breslau. „Chodź no tu” – rozkazał Hansowi. W piwnicy znajdowało się pomieszczenie z materacami. „Tutaj możecie z kolegami odpocząć” – powiedział sierżant. „Chodź ze mną” – rozkazał ponownie. Wprowadził Hansa do swojego biura i otworzył kredens pełen jedzenia. „Jesteś głodny?– zapytał. – Jedz, ile zechcesz. Chleb, kiełbasa, szynka. Jedz”. „Mogę coś zabrać dla kumpli?” – zapytał Hans. „Pewnie” – odpowiedział esesman. Po kilku godzinach spędzonych na szorowaniu i zmiataniu czterej więźniowie mogli zapalić w kantorku papierosa. „Codziennie was będę tu sprowadzał” – obiecał esesman. Hans nigdy więcej tego człowieka nie zobaczył.

Innym razem Hans musiał wyładowywać worki cementu. Ledwie co zdołał unieść ten ładunek. Jakiś wartownik z *Organisation Todt* dowiedział się, że Hans, tak jak i on, mieszkał kiedyś w Breslau. Jak się za bardzo zmęczysz, powiedział do Hansa, odpocznij sobie po prostu w składzie. Kiedy inny strażnik wychłostał Hansa, bo ten upuścił worek cementu, Hans zainfekował sobie dłoń pyłem cementowym. Breslauczyk zatroszczył się o opatrunek i środek odkażający oraz pozwolił mu w magazynie złapać oddech.

Także w Mühlendorf Hans mógł liczyć na pomoc swoich krajanów.

– Przez wszawicę dostałem tyfus – opowiadał. – To była śmiertelna choroba. W baraku szpitalnym pracował jeden lekarz z Czechosłowacji, to znaczy był studentem, ale musiał odgrywać lekarza. Ten Glaser powiedział: „Jedyny sposób, by ci pomóc, to znaleźć kogoś, kto przeżył tyfus. Wstrzykniemy ci jego krew”.

Hans zaproponował Glaserowi, by wykorzystać Monę jako pośredniczkę. W tym czasie miała już nową pracę i rozdzielala ubrania oraz inne niezbędne przybory z zapasów w magazynie. Mona przez wiele tygodni sprawdzała wszystkie listy więźniów i przypomniła sobie, że jeden Holender, niejaki Max Fraenkel, nie zmarł na tyfus. Od razu go odnalazła. Jeszcze tego samego dnia Fraenkel podał swoją krew Hansowi.

– Następnego dnia na *Krankenbau* weszło SS – ciągnął opowieść Hans. – „Wyzdrowiałeś – powiedzieli. – Wynocha! Natychmiast!” Ledwie zdołałem utrzymać się na nogach. Dwaj kumple musieli mnie podtrzymywać. I wtedy

wydarzył się cud. W pracy nadzorca zapytał, po co przychodzę. Kiedy zacząłem mu tłumaczyć, przerwał mi. „Jesteś z Breslau” – powiedział. Odesłał mnie z powrotem do baraku i od następnego dnia stałem w kuchni z miotłą i udawałem, że zamiatam. Najmniejsza oznaka sympatii, przyzwoitości i serdeczności dodaje człowiekowi otuchy. Kolejny dzień, który się przeżyło. Gdyby wszyscy byli zwierzętami, nikt z nas by się nie wywinął.

Ktoś inny, kto również mieszkał w Breslau przy Gabitzstrasse, zapytał Hansa kiedyś, czy umie skręcać papierosy. Hans potwierdził. „Skręć mi z trzy, czwarty będzie dla ciebie” – odparł tamten. A później w kuchni Hans miał rozładować ciężarówkę z Dachau z zapasami żywności. Szofer pochodził z Breslau.

– Za każdym razem po kryjomu wciskał mi jeden bochen chleba – wspominał Hans. – Wieczorem dzieliłem się nim z kolegami i oczywiście z Moną. Pewnego razu zobaczyłem, że jej siostra też ma ekstra chleb i rozdziela go wśród więźniów, nie zostawiając Monie ani kawałka. Wybuchłem i zwymyślałem ją od najgorszych. Wyobraź to sobie! Własną siostrę tak potraktować!

Pod koniec kwietnia 1945 roku Mühldorf zostało ewakuowane. Wśród więźniów zapanował wielki niepokój. Krążyły pogłoski o *Todesmärsche*. Wszystkich załadowano do pociągu. Wartownicy z SS próbowali ich uspokajać. Dawali im do zrozumienia, że przewożą ich do Szwajcarii, jakoby na wymianę. Nikt w to nie uwierzył.

Kiedy pociąg zatrzymał się na jakiejś stacyjce w środku lasu, więźniowie zrozumieli, że zostaną w puszczy rozstrzelani. Nieoczekiwanie nadjechał *Kübelwagen* z paroma oficerami SS. Po nieco chaotycznym pokrzykiwaniu między tyłem a przodem pociągu rozłączono z niego lokomotywę. Ktoś usłyszał, że potrzebna jest do przewozu oddziałów. Ledwie maszyna ruszyła, kiedy nad taborem przeleciały dwa amerykańskie myśliwce, które zaczęły pikować i ostrzeliwać pociąg. Wśród esesmanów wybuchła panika. Kiedy ci nurkowali pod wagonami, mężczyźni wyłamali się ze swoich wagonów i uwolnili kobiety z pozostałych. Ponieważ samoloty zniknęły równie szybko, jak się pojawiły, nikt nie zdołał uciec. Strażnicy zapędzili wszystkich do pewnego gospodarstwa, gdzie przebywali francuscy jeńcy. Hansowi i jego towarzyszącom nie dano czasu na odsapnięcie. Ponownie musieli ruszyć w drogę. Dalej czeka na was Czerwony Krzyż, mówili esesmani. Wskazywali na las. Żydzi dowiedzieli się od Francuzów, że w lesie strzelano i że rozsądnie było w tamtą stronę nie iść. Kiedy opuszczali podwórze, wszyscy strażnicy nieoczekiwanie dali drapaką poza jednym rumuńskim esesmanem, który z takiej czy innej przyczyny chciał zostać przy więźniach. Ktoś zaproponował, by mu odebrać karabin, ale Mona powiedziała, że wtedy grozić im będzie jeszcze większe niebezpieczeństwo egzekucji. Grupka się rozproszyła. Rumun zniknął, Francuzi sami ruszyli w drogę, a Żydzi rozbiegli się we wszystkich kierunkach. Hans, Mona, Erna i pewien Ernst, który smażył cholewki do siostry

Mony, ukryli się w rowie. Wieczorem znaleźli schronienie u chłopca. Ten ostrzegł ich, że SS poszukuje zbiegłych więźniów. Najpierw ukrył ich na strychu z sianem, potem w piwniczce na ziemniaki pod podłogą mleczarni. Dostali od niego chleb, mleko, a nawet butelkę whisky, a także końskie derki do spania. Jego żona o niczym nie wiedziała, powiedział uczynny człowiek, śmiertelnie się bała i mogłaby ich zdradzić.

Nazajutrz rano przyjechał pluton esesmanów. Wszystko przeszukali, również strych z sianem, ale dziury pod podłogą nie znaleźli. Tej nocy (Hans podchodził do sprawy formalnie: była druga w nocy, z 30 kwietnia na 1 maja) chłop zaprosił ich do swojego domu. Niebezpieczeństwo minęło, stwierdził i powiadomił o wszystkim żonę. W kuchni paliło się w piecu, a na stole stał garniec z parującą, gorącą potrawą. Zjedli, pozmywali i z powrotem przemknęli do swojej kryjówki. Spadł śnieg. Nikt nie widział, że w Berlinie Adolf Hitler popełnił samobójstwo.

Parę godzin później zostali szorstko wyrwani ze snu.

– *Die Amerikaner sind hier! Die Amerikaner sind hier!*^[118] – krzyczał chłop. Hans jako pierwszy zobaczył oswobodzicieli. Mijała ich kolumna czołgów. Jeden z nich się zatrzymał i wyskoczył z niego żołnierz.

– To był żydowski chłopak – opowiadał Hans – Miał na imię Freddy. Freddy z Chicago. Rozmawialiśmy ze sobą w jidysz. *Oh boy, did we celebrate that day!*^[119] Amerykanie rozdzielali papierosy i czekoladę, piliśmy wino. Niektórzy żołnierze mi nie dowierzali. Ich zdaniem wyglądałem o wiele za niemiecko. Że niby jest ze mnie esesman, który sprytnie chciał się wymigać od odpowiedzialności. Pokazałem im numer na ramieniu.

Hans i Mona zdali sobie sprawę z tego, że wojna na dobre się skończyła dopiero wówczas, kiedy nazajutrz powędrowali do wioski. Pogoda się poprawiła. Świeciło słońce i powietrze drżało w oddali od gorąca.

– Rozglądaliśmy się wokół siebie – opowiadał Hans. – Nikt nas nie śledził. Wreszcie byliśmy wolni.

Na wsi zmienili swoje pasiaki na ubranie khaki Wehrmachtu. Było tak ciepło, że Hans poprosił o szorty. Miesiąc później się pobrali się, a Hans fuksem dochrapał się pierwszego zajęcia. Choć nigdy wcześniej nie siedział za kierownicą, został kierowcą ciężarówki. Pracodawcy powiedział, że umie prowadzić. Bajeczka zadziałała. Ponieważ Hans przypomniał sobie, jak ojciec przed wojną kierował oplem 6/48, udało mu się uruchomić ciężki wóz i nim odjechać.

Po paru tygodniach pięćdziesiąt tysięcy żydowskich ocalańców z obozów zebrano w ośrodkach UNRRA^[120] w Niemczech i Austrii. Liczba osób w kolejnych miesiącach wzrosła, kiedy do obozów UNRRA trafiły setki tysięcy Żydów z obszarów kontrolowanych przez Armię Czerwoną. Prawie nikt spośród tych *displaced persons* nie chciał wrócić do domu. W Kielcach czterdziestu sześciu Żydów zginęło w pogromie. W innych miejscowościach ludzie, którzy zajęli domy po Żydach, wyganiali poprzednich właścicieli, kiedy ci pojawiali się, roszcząc sobie prawo do swojej własności. Niemalże zewsząd zostały wyrugowane całe społeczności żydowskie.

Hans i Mona również stracili wiarę w swoją przyszłość w Europie. Breslau i Śląsk stały się polskie, Słowacji groziło popadnięcie w ręce komunistów. Kiedy w 1946 roku urodził się Rudi, jego rodzice wciąż czekali na pozwolenie, by wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. Wojna się skończyła, lecz Żydzi nigdzie nie byli mile widziani. W Palestynie Brytyjczycy odsyłali ich z powrotem do obozów internowania na Cyprze.

Amerykanie początkowo wykazali się większym zrozumieniem. Pod naciskiem prezydenta Trumana warunki życia w obozach UNRRA znacznie się poprawiły. Żydzi otrzymywali większe racje żywnościowe i otwierano nowe ośrodki, by zaradzić przeludnieniu. Earl G. Harrison, wysłannik amerykańskiego prezydenta, zwrócił także uwagę na potrzeby duchowe Żydów. „Pierwszą i najbardziej oczywistą potrzebą tych ludzi jest uznanie ich aktualnego statusu i mam tutaj na myśli ich status Żydów” – donosił w swoim raporcie Harrison. – Odmówienie uznania ich za Żydów to tak, [...] jakby zamknąć oczy na ich wcześniejsze i bardziej barbarzyńskie prześladowania”.

W samych Stanach Zjednoczonych politycy usiłowali powstrzymać emigrację Żydów. Kiedy się to nie udało, przyjęto ustawę dyskryminującą żydowskich imigrantów. Wolno im było wyemigrować, jeśli do obozów UNRRA

dotarli przed 22 grudnia 1945 roku. Nie-Żydzi (zwłaszcza Volksdeutsche z Prus Wschodnich, Śląska, Kraju Sudeckiego oraz innych obszarów dawnej Rzeszy Niemieckiej) mogli wjechać do Stanów Zjednoczonych jeszcze wtedy, gdy zarejestrowali się w obozach do 1 lipca 1948 roku.

Wobec Żydów jak mój ojciec i dziadkowie, którzy nie doświadczyli obozów koncentracyjnych, Hans nie wykazywał się żadnym zrozumieniem.

– No, no, mam być pod wrażeniem? – zadrwił, kiedy zrelacjonowałem mu perypetie swojego ojca na pokładzie *Dunery*.

Jednak moim niezręcznościami i gafami okazywał wyrozumiałość. Opanowywał się, a trochę później, kiedy Momy nie było w pobliżu, spokojnie mnie ganił:

– Wczoraj zadawałeś Monie za dużo pytań o Auschwitz – mówił. – Miała od tego koszmary.

W jego głosie brzmiała wyłącznie troska. Ja sam najchętniej bym zwiął i wsiadł w pierwszy lepszy samolot do Europy. Kiedy Mona weszła do środka, podszedłem do niej i ją przytuliłem. Poprosiłem o przebaczenie za swoją głupotę. Mona mnie pocieszyła.

– Tylko z obozem nie mogę sobie poradzić – powiedziała. – Sama powinnam o tym wiedzieć. Przysięgłam sobie już nigdy o nim nie wspominać, ale kiedy weszliśmy na ten temat, wydawało mi się, że nic złego nie może się wydarzyć.

Hans miał duże poczucie humoru, które przebijało się poprzez jego opryskliwość w najmniej oczekiwanych momentach. Rozkosznie rechotał z gier słów i nie posiadał się z radości, gdy stroiło się z niego żarty. Parę dni przed moim powrotem do Belgii zapytałem Hansa i Monę, czy przyjadą mnie odwiedzić.

– *I wouldn't want your parents to put up with a meshuga person like me*^[121] – odpowiedział mój kuzyn.

– *Then we'll build you a meshuga extension to the house for you to feel at home in*^[122] – odparłem.

Zaniósł się takim śmiechem, że aż dostał ataku kaszlu typowego dla palacza.

Kto potrafił go rozbawić dowcipem, tego przyjmowano do klanu Peritzów. Prawdziwie peritzowy humor, jak go nazywał, był najwyższej próby. Przypominał Hansowi jego ojca.

– Miał dziwaczne poczucie humoru – śmiał się. – *Der Apfel fällt nicht weit vom Birnbaum*^[123], mawiał, kiedy opowiadałem jakiś dowcip.

Logiczne, że Hans wysoko cenił Mela Brooksa, a nie lubił Woody'ego Allena.

– Co za wulgarny typ z tego Brooksa – szydziła Mona.

Czasami mój daleki kuzyn sam był w stanie żartować z obozów.

– Miałem szczęście, że zostałem wywieziony do Dachau – powiedział. – Gdybym trafił do brytyjskiej armii albo do Jewish Brigade, na pewno bym poległ

we Włoszech.

Tak niepoważne chwile zdarzały się rzadko. Hans przez cały czas podlegał huśtawce nastrojów. Rzucano się to w oczy zwłaszcza podczas pobytu u jego czwórki dzieci.

Hans napisał, że chce wykorzystać moją obecność, by odwiedzić swoje dzieci. Tylko Laurę często spotykał. Mieszkała w Filadelfii i miała syna, którego Hans darzył ogromnym uczuciem prawdopodobnie dlatego, że był on mistrzem ciętych replik.

Rudi i Jackie mieszkali za daleko, w New Jersey i w Connecticut, ponieważ jednak to ja prowadziłem przez większą część drogi, Hans ośmielił się stawić czoła ośmiusetkilometrowej podróży.

Na początek pojechaliśmy do Jenny mieszkającej w Harrisburgu położonym o godzinę drogi od Filadelfii. Rodzice nie widzieli jej od sześciu lat.

– Zostaliśmy raz z Moną zaproszeni na Boże Narodzenie – opowiadał Hans. – Kiedy weszliśmy do domu, stała w nim choinka. *I yelled at my daughter. The SS murdered your grandparents and your family, and you put a Christmas tree in the house?*^[124] Natychmiast wyjechaliśmy. Niemiecka choinka! Wyobraź sobie. W obozach esesmani ubierali wielką choinkę. W Wigilię przestawali na parę godzin bić i mordować, i śpiewali o pokoju na świecie.

Tymczasem droga wiodła przez gęsty las sosnowy. *Indiana County. Christmas Tree Capital of the U.S.*^[125] widniało na potężnym billboardzie.

– Jenny ma też psa – ciągnął Hans. – Nienawidzę psów. Niemieckie owczarki w Auschwitz były niebywale złośliwe. Jeden z moich kumpli miał rękę do zwierząt. Pewnego dnia udało mu się zbawić jednego z tych bydlaków. Smacznie sobie na nim podjedliśmy.

Z odwiedzinami u Jenny wiązało się jeszcze więcej niebezpieczeństw. W ceglanych budynkach uniwersytetu Hans dojrzał baraki Auschwitz. A kiedy jego córka postawiła na stole pudding chlebowy, Hans z odrazą odsunął swój talerz. W Auschwitz więźniom dawano zupę ugotowaną na chlebie pochodzącym ze świeżo przybyłych transportów. W zupie znajdowano broszki, wsuwki do włosów i monety ukryte przez deportowanych w chlebie.

Przez dziesięciolecia Hans żył skłócony ze swoimi dziećmi. Mona, która była dużo bardziej tolerancyjna, nigdy nie mogła udobruchać swojego męża. Jego ogromne niezadowolenie ustąpiło teraz miejsca niepewnej miłości. Hans z jednej strony czuł się winny za wiele lat bezduszości, a z drugiej ciągle nie mógł się pogodzić z tym, że Jackie i Jenny wyszły za nie-Żydów, a ich dzieci rosły nieświadome swoich żydowskich korzeni.

Tylko Rudiemu i Laurze wybaczył. Swego czasu demonizował swojego syna, kiedy przed ślubem zamieszkał z przyszłą żoną Janice. W drodze w podróż poślubną do Europy para chciała przenocować u Hansa i Mony. *Not in my house,*

you won't!^[126] – rzucił im opryskliwe. Owa wściekłość została ugaszona. Janice nawróciła się na judaizm, a ich dwunastoletnia córka Jessica była wychowywana zgodnie z wszystkimi zasadami religijnymi. Uraza wobec Laury przeszła Hansowi, kiedy jej mąż-nierób ją porzucił. To, iż Hans widział we mnie kandydata na męża dla swojej córki, świadczyło o tym, że sporo złagodniał. Albo porzucił nadzieję.

Jenny w Bellefonte również miała problemy małżeńskie. Mieszkała z dwoma synami w dużym, nowym domu (poprzedni spłonął) na zalesionej, dwuhektarowej działce, podczas gdy jej mąż mieszkał na tej samej parceli w dobudówce. Dla Benjamin i Nathana było to idealne rozwiązanie. Kiedy się pokłócili z matką, uciekali do ojca, a kiedy kolacja była gotowa, Jenny dzwoniła do ich ojca i w mgnieniu oka chłopcy siedzieli u matki przy stole.

Jenny miała duże, brązowe oczy i początkowo nie śmiała na mnie patrzeć. Czy domyślała się, że zauważyłem, jak nieswojo podchodziła do swojego ojca, a on do niej? Kiedy Mona smarowała kanapki na lunch, ja grałem na dworze z Benjaminem i Nathanem w koszykówkę. Pokazywałem im, jak powinni wykonać zagrywkę Boba Cousy'ego, potem oni uczyli mnie łapać piłkę do futbolu amerykańskiego i posługiwać się kijem do baseballa. Sport był ich życiem. Ściany sypialni mieli wytapetowane wielkimi zdjęciami swoich idoli. Obaj marzyli o karierze w futbolu albo baseballu. Nie cierpieli się uczyć. Kiedy Jenny zaczęła się użalać na słabe wyniki w nauce szesnastoletniego Benjamin, dziadek palnął mu kuzanie.

– *Who cares if you become a bum? – drwił. Do you think I care? Do you think PHILADELPHIA cares? Do you think BELGIUM cares?*^[127]

Pieklił się tak przez dobre dziesięć minut. Benjamin uważnie słuchał i od czasu do czasu z zakłopotaniem się uśmiechał. Jego matka głaskała go po ramieniu.

Hansowi tak bardzo zależało na wnukach, że nigdy nie chciał tego przyznać, jakby się obawiał, że nadmiar miłości wywrze skutek odwrotny od zamierzonego.

– Chciałam się wszystkiego dowiedzieć o Auschwitz – szepnęła mi Jenny, tuż zanim wyruszyliśmy z powrotem do Filadelfii. – Ale mnie nigdy niczego nie opowiedzieli.

Hans tak samo traktował swojego wnuka. Nie okazywał prawdziwych uczuć. Gdyby Benjamin stwierdził, że dziadek go kocha i martwi się o jego przyszłość, jeszcze by nie zrozumiał, że sam jest odpowiedzialny za swoje życie. Benjamin tak jak Hans był skazany na siebie. Pomoc trzeba było znaleźć w samym sobie.

Hans i Mona wszystko poświęcili dla czwórki swoich dzieci. A mimo to Jenny rozumiała, że jej rodzice sami potrzebują pomocy. Miała świadomość, że tragizm tej pary wynika z ich samotności i że swoim milczeniem o przeszłości sami wzniesli wokół siebie mury. Wiedziała, że pomoc, która wychodzi jedynie z wnętrza, odcina emocje i zasklepia duszę. Głaskała ramię Benjamin, ponieważ gotowa była razem z nim zająć się problemem szkoły. Nie chciała go stracić, jak

straciła swoich rodziców, mimo że ci żywili wobec niej najlepsze zamiary.

U swojej najstarszej córki Jackie i jej męża Johna w Connecticut Hans otwarcie opowiadał o swoim związku z wnukami. Siedzieliśmy sami przy śniadaniu. Jackie była na gimnastyce, jej mąż w pracy w banku w Nowym Jorku, ich dzieci – osiemnastoletni Simon i dziesięcioletni Dwight – w szkole, a Mona na górze, pod prysznicem. Zeszłej nocy spadł śnieg. Światło przefiltrowane przez jego grubą warstwę wlewało się do środka bladą poświatą, co wywoływało wrażenie, że dzień dopiero musi się zacząć, a my możemy przesiedzieć jeszcze całe godziny, nim czas zacznie płynąć.

Hans dzień wcześniej doszedł do wniosku, w jak niewielkim stopniu jego synowie zdają sobie sprawę ze swoich żydowskich korzeni. Był tym faktem zszokowany.

– Widziałem tyle dzieci idących do komór gazowych – odezwał się przybity.
– Mnóstwo. Jak widzę, co robią Simon z Dwightem, i stwierdzam, że nie zdają sobie sprawy, że należą do tych dzieci, boli mnie to jak policzek.

– Dlaczego więc im tego nie powiesz? – zapytałem.

– To nie moje sprawy – odpowiedział bezceremonialnie. – To ich życie.

– Czy nie złagodziłoby to twojego bólu, gdybyś wyjaśnił swoim wnukom, co czujesz? – naciskałem.

– Oni muszą uczynić pierwszy krok – skwitował. – Jeśli zadadzą pytania, udzielę odpowiedzi. Wcześniej nie.

Przebywałem ze swoim kuzynem już od prawie dwóch tygodni. Po raz pierwszy sprzeciwiłem się mu w rozmowie. Odniosłem wrażenie, że szanuje moją dezaprobatę. Tego ranka czułem się najsilniej z nim związany. Chwilami przestawaliśmy rozmawiać. Hans pociągał swoją fajkę, ja wyglądałem na zewnątrz, na niezmienione srebrzystobiałe światło i śnieg, który spowijał dom ciszą, a nas zdawał się chronić przed wszelką niedolą. Podczas śniadania ogarnęło mnie nawet poczucie winy, że zjadam grzanekę, podczas gdy Hans, jak przystało w tygodniu Pesach, ograniczał się do macy.

Czy chciałem naszą intymność przypieczętować porcją „żydowskości”? Mojemu kuzynowi udało się już wcześniej odkryć we mnie, jak to nazywał, *pintele Yid*, żydowską iskrę w sercu. Kiedy jakiś Żyd twierdzi, że kryje się w tobie „odrobina Żyda”, jest się skłonny do zaakceptowania tego, zwłaszcza jeśli samemu już się tak uważało lub tego pragnęło.

Nie minął jeszcze tydzień mojego pobytu w Filadelfii, gdy rzucił mi się w oczy wpływ, jak Hans wywarł na mnie. Na przystanku autobusowym (chciałem pojechać do księgarni w centrum miasta) wdąłem się w rozmowę z jakąś panią. Byliśmy jedynymi pasażerami. W Ameryce jazda transportem publicznym jest równie niepatriotyczna jak przynależność do partii komunistycznej.

– Ciepło jak na tę porę roku – odezwała się kobieta. – A Wielkanoc wypada

przecież wcześniej. Idealna pogoda dla dzieci na zbieranie jajek wielkanocnych.

Chociaż życzliwie przyznałem jej rację, ku własnemu zaskoczeniu zauważyłem, że poczułem się urażony. Jakim prawem przyjmowała, że jestem chrześcijaninem?

I am not a Jew, just Jewish – wypowiedział w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku Jonathan Miller w satyrycznym show w Londynie. Swaim żartem trafił w samo sedno. Czy można czuć „żydowskość”, nie będąc Żydem? Sam byłem kiedyś katolikiem. Poranna msza i służba ministrancka, post i pokuta, cuda i zbieranie datków na Murzynków w Kongu; przeszedłem przez wszystkie stadia kuglarstwa. Ten okres był zamknięty. Nie miałem żadnej potrzeby, by po komży wdziawać chałat. A mimo to judaizm umożliwiał mi to, czego nie dało się dokonać nigdzie indziej: odrzucić Boga, jednocześnie czując się związanym z narodem, który wierzy w tego Boga.

Isaiah Berlin udzielił praktycznej rady w tej kwestii. Ów filozof powiedział, że żyd to nikt inny niż ten, kto czuje się związany z historią Żydów. Tej solidarności można było nadać własny kształt. Jej definicja dla wierzącego Żyda jest oczywiście o wiele za obszerna, gdyż surowo pilnuje on, by do jego małej klasy należeli tylko uczniowie, którzy na pytanie, czy ich matka była Żydówką, unoszą palec.

Również nie-Żydzi mają trudności ze stanowiskiem Berlina. Przyjaciele nie chcieli brać mnie na poważnie, gdy zaczynałem o swojej „żydowskości”. Oceniali równie surowo jak twórcy dzieła B izraelskiego „prawa powrotu” z 1950 roku, na podstawie którego „Żydem jest ten, kto urodził się z matki Żydówki lub dokonał konwersji i nie jest wyznawcą innej religii”. Ci sami przyjaciele jak najbardziej nazwaliby Żydami Schönberga, Chagalla, Kafkę lub Prousta, choć artyści ci przystąpili do szeregów Żydów świeckich. Moim problemem nie było to, że jestem „żydowski”, ale czy byłem nim ze szczyrych pobudek.

– Żydzi interesują cię tylko dlatego, że zawsze byli ofiarami – zarzucił mi jeden z przyjaciół. Sugerował, że ja również łaknę litości i wyrozumiałości, ponieważ sam należę do tych odwiecznych męczenników. Krytyka ta mnie zabolęła, znak, że być może miał on rację. Czy byłem jednym z tych ludzi, których Alain Finkielkraut opisywał w *Le Juif imaginaire*^[128]? Kimś, kto przygnieciony śmiercią sześciu milionów Żydów, wysługuje się własną rodziną dla szpanu? Czy dlatego wszcząłem poszukiwania rodziny ze strony ojca?

Odpowiedzi okazywały się fragmentaryczne i niewystarczające. Moja ciekawość była bardziej złożona niż syndrom ofiary. Nigdzie w Boliwii ani Australii nie spotkałem ofiar. Dzięki emigracji złapali wiatr w skrzydła. Kochali swoje nowe ojczyzny i się w nich zintegrowali. Ich przeszłość nie obciążała długiem ich przyszłości. Z całą stanowczością występowali przeciwko antysemitkiemu wybrykom.

Hans udzielił mi innych odpowiedzi. Na początku przekonał mnie jako ofiara i dałem się uwieść jego intensywnie odczuwanemu cierpieniu. Połapał się w mojej nieporadności i obszernie opisał wszystko, co chciał z siebie wyrzucić na temat obozów. Nigdy nie wyrażałem krytyki, nigdy nie okazywałem poirytowania, kiedy dopadał go atak wściekłości (*Give me an atom bomb and I'll nuke Germany!*^[129]) czy też godzinami z goryczą klarował swoją rację. Moja sympatia łała się obficie.

Dzisiaj, w białym świetle dnia, który się zatrzymał, dotarła do mnie bardziej skomplikowana prawda.

– Potrafisz dochować tajemnicy? – zapytał Hans. Spojrzałem na niego przenikliwie. Pewnie, że potrafiłem. – Wiesz, dlaczego zerwałem wszelki kontakt z twoim ojcem? – zapytał. – W 1959 roku dostałem od niego list. Napisał mi o swoim przejściu na katolicyzm. Dlatego.

Kiwnąłem głową i z przerażeniem zrozumiałem, iż on widział w moim ojcu zdrajcę swego narodu, narodu, który został wymordowany właśnie z przyczyny żydostwa i któremu dlatego byliśmy winni całkowitą wierność. Czy Hans zauważył moją odrazę?

– Jestem starym, upartym typkiem – powiedział. Stwierdzał fakt, nie usprawiedliwiał się. – Kiedy moje dzieci się pobierały, nie poszedłem nawet na ich ślub.

Jego wierność żydowskiej tożsamości dławiała jakąkolwiek możliwość pojednania.

W połowie drogi do Connecticut zatrzymaliśmy się na lunch. Mona upiekła bułeczki z praśnej mąki i zrobiła domowy pasztet wątrobowy. Hans przede wszystkim miał ochotę na *schluck of coffee*, łyk kawy. Muzyka ze *Skrzypka na dachu* wydała mi się niewinnym tematem rozmowy. Mój kuzyn ponownie zareagował zaskakująco.

– Kiedy Kozacy przerwali przyjęcie weselne, wybiegłem z sali kinowej – rzucił nagle ze złością.

W dużym, pustym domu jego najstarszej córki ujrzałem, jak bezradnie Hans opiera się własnemu przeznaczeniu i jak bardzo byłem pretensjonalny, zakładając, że swoim zrozumieniem i współczuciem zdołam mu pomóc. Mój kuzyn nie był zwyczajną ofiarą, jaką zdarza się nam wszystkim być w chwilach niepowodzeń, kiedy tracimy za wcześniej kogoś, kogo kochamy, lub kiedy użalamy się nad niewykorzystanymi szansami i zaprzepaszczonymi planami. Na jego ból nie składała się nawet w pierwszym rzędzie świadomość bycia Żydem. Motyw żydowski pojawił się dopiero później, kiedy Hans zakwestionował siebie jako człowieka.

Aż do śmierci swojego ojca w październiku 1938 roku religia odgrywała pewną rolę, jednak bezwzględnie najważniejszym filarem, na którym budował swe oczekiwania względem życia, była jego miłość do Breslau i wszystko, co Niemcy

wydały dobrego i pięknego. *Kristallnacht* roztrwonila tę nadzieję. Za jednym zamachem zaprzepaszczona została wszelka ufność, wszelka pewność. Członkowie rodziny odwrócili się od niego, rozpoczęły się poniżenia. Hans był ledwie dzieckiem. I dlatego też nie potrafił zrozumieć, czemu jego matka i brat, czemu tyle dzieci jemu podobnych musi umrzeć. Jakiej to zbrodni się dopuścili? Cóż złego zrobił on sam?

Żydzi byli mordowani, ponieważ istnieli. Najpierw likwidowano człowieka, ponieważ tym samym usuwało się Żyda. W podarowanej Hansowi książce o jego rodzinnym mieście tekst wprowadzenia kończył się cytatem rabina Leo Baecka, którego w 1942 roku deportowano do Theresienstadt. *Dies war alles eine Illusion*^[130] – stwierdził przywódca żydowskiej społeczności w Berlinie. Hans przeczytał słowa Baecka na głos. Miał w oczach łzy. Baeck był szkolnym przykładem zasymilowanego niemieckiego Żyda. Kiedy SS przyszła aresztować go w jego mieszkaniu, zapytał, czy może zapłacić jeszcze rachunek za prąd. Uiszczenie tej małej należności było jego ostatnim i najbardziej imponującym aktem wdzięczności dla tego kraju, który w ciągu sześćdziesięciu minionych lat udzielił Żydom większej wolności i możliwości niż jakikolwiek inny naród w Europie z wyjątkiem Niderlandów. Kraj bez pogromów jak w Rosji, bez odrazy nakręconej katolickim nauczaniem panującej w Polsce czy w Austrii, bez agresji Francuzów czy zaskorupiałego podziału klasowego Anglików.

Również dla Hansa wszystko okazało się iluzją. Został porzucony z prostej przyczyny, iż się urodził, i zaledwie szesnaście lat wystarczyło, by fakt ten dotarł do jego świadomości i nim zawładnął. Żyd jako ofiara? Tak, ale najpierw człowiek jako ofiara.

Hans i Mona pobrali się miesiąc po wyzwoleniu. Na zdjęciu ślubnym, które wisi w gabinecie mojego kuzyna, spogląda on w obiektyw z ustami zastygłymi w sztywnym uśmiechu. Nowożeńcy musieli pożyczyć garnitur i sukienkę. Dowody tożsamości otrzymali od komisarza policji w monachijskim ratuszu. Mężczyzna był breslauczykiem i z miejsca załatwił papiery. Rabina nie było. Gdyby znalazł się jakiś ksiądz, Hans poprosiłby go o pobłogosławienie małżeństwa. Mona zdecydowanie sprzeciwiła się temu pomysłowi, więc otrzymali tylko ślub cywilny. Ich małżeństwo stanowiło ostateczny wyrok. Dzielili taką samą przeszłość, do której nikt inny nie miał przystępu.

Wspólnie zachowywali straszliwą tajemnicę, iż przeżycie Auschwitz nie jest tym samym, co zostać na nowo obudzonym do życia. Mieli siebie nawzajem. Reszta była oszustwem. Wojna nie tyle wypędziła ich z ojczyzny, co z ludzkości.

Hans i Mona wciąż jeszcze czuli się wygnańcami. Przez pięćdziesiąt lat ostro występowali przeciwko wszelkim próbom podważenia tego przekonania. Przeciwko pytaniom swoich dzieci, przeciwko wyrazom sympatii przyjaciół, przeciwko oznakom zainteresowania członków rodziny jak ja, a także przeciwko

wszelkim przemądrzalcom, którzy z politowaniem kiwali głowami, mrużąc, że to okropne, ale czas już uporządkować sprawy; innymi słowy – przeciwko wszystkim tym, którzy próbowali zrozumieć i wyjaśnić, i zgłębić, przeciwko wszystkim tym, którzy nigdy ich nie rozumieli i zarzucali im, iż wiecznie odgrywają ofiary.

Kiedy rozpoczynałem swoje poszukiwanie, zastanawiałem się, czy dzięki mojej żydowskiej rodzinie dowiem się czegoś o przeszło tysiącletnim niepokojem. Odpowiedź okazała się zaskakująca. Uzmysłowiłem sobie, że postawiłem to pytanie, ponieważ w Żydzie Wiecznym Tułaczem postrzegalem ideał człowieka. Takie podejście, rozumiałem obecnie, było co najmniej niestosowne. W perwersyjny sposób na własną korzyść odwróciłem przesąd, jaki Kościół przez wieki upowszechniał o Żydach. Dla chrześcijan Ahasverus był ukaranym Żydem skazanym na to, by nigdzie nie poczuć się u siebie i by do końca świata być prześladowanym. Dla mnie błąkał się on po świecie, który sam był zabłąkany. Aspirował do wyższej i bardziej autentycznej świadomości. Szlachetna postać, która miała w nosie ojczyznę i wybrała wewnętrzne uchodźstwo ponad wiarę w przytulne pewniki i proste wyjaśnienia. Symbolizował jednostkę, która wyprzedzała o krok każde złudzenie.

Nikomu nie wolno płacić tak wysokiej ceny. W Boliwii i Australii uderzyło mnie poczucie rzeczywistości moich krewnych. Nikt nie zapominał o przeszłości, ale nazistowskie Niemcy nie ryglowały im na głucho przyszłości. Czuli by się obrażeni, gdyby nazwać ich wygnańcami lub ofiarami. Tak samo jak wszyscy inni walczyli o swoje szczęście. Tak samo jak wszyscy inni wygrywali i przegrywali bitwy.

Tymczasem Hans i Mona nie wybrali swojego losu. Tułali się, chcąc nie chcąc. Woleliby prowadzić normalne życie. Ich wygnanie ciążyło im bardziej niż najcięższe brzemie. Zapomniani, upokorzeni i odczłowieczeni – żyli w świecie, który domagał się od nich postawy ofiary.

Kiedy Hans skończył palić fajkę, poprosił mnie, bym za nim poszedł. Wiedziałem, co chce mi pokazać. Przeszliśmy do salonu gigantycznego domu Jackie i Johna. W kącie komody stało kilkadziesiąt oprawionych fotografii. Córka Hansa z mężem, Simonem i Dwightem, ich krewni, przyjaciele i znajomi, w domu i w podróży, na przyjęciach i uroczystościach, w lecie i w zimie.

– Zauważyłeś, że mnie na nich brakuje? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałem. – Wczoraj zwróciłem na to uwagę.

Przyjrzał mi się zaskoczony.

– Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy – odezwał się – a mimo to jakbym cię znał od dawna.

Hans nie po to przyprowadził mnie do tego pokoju, by wzbudzić we mnie współczucie. Jackie i John go wykluczyli, ponieważ to on się od nich odwrócił. Rozumiał ich reakcję i chociaż w sercu tego żałował, wiedział, że jego ból był

ceną, jaką płacił za swoje zasady.

To samo zadręczanie nigdzie nie przybrało równie wielkich rozmiarów jak tutaj, w Connecticut. Jackie wyszła za mężczyznę, który wyglądał jak wcielenie rasy aryjskiej. John był wysokim, niebieskookim blondynem. Nie chodził – kroczył. Prosty jak świeca. Miał po części norwesko-niemieckie korzenie, po części zaś angielsko-irlandzkie. Do swoich teściów podchodził przyjacielsko, ale ostrożnie. John wobec wszystkich był miły. Czy obawiał się fanaberii Hansa i dlatego podjął się schodzić mu z drogi w przypadku każdej niezgodności?

Mój kuzyn dokładał wszelkich starań, by nie budzić nieufności Johna. Pewnego wieczoru podczas posiłku Mona napełniła swój talerz spaghetti. Jedzenie makaronu w okresie Pesach jest zabronione.

– *You're eating spaghetti?* – syknął Hans.

– *I think it will do my cold good*^[131] – odpowiedziała jego żona zdecydowanie.

W domu wywaliłby talerz spaghetti do kosza na śmieci i okropnie by się zezłościł. Tutaj, ze skwaszoną miną, zachował zaciśnięte usta.

Jackie była równie uprzejma jak John. Trzymała się z daleka od ojca i przede wszystkim rozmawiała z Moną. Obaj synowie za bardzo zajęci byli własną nastoletniością, by mieć czas dla dziadków. Co rano Simon wpadał na dziesięć minut przed rozpoczęciem szkoły do kuchni, gdzie jego matka przygotowywała mu miseczkę muesli i szklankę soku pomarańczowego. Chwilę potem wskakiwał już do samochodu i pędził na lekcje. Simon grał w Mock Turtle Soup, zespole pop z ambicjami. Kiedy pojechaliśmy razem do sklepu, bo chciałem kupić dla goszczącej mnie Jackie belgijskie pralinki, puścił mi do posłuchania demo swojej najnowszej piosenki, *Ego Maniac*. Tydzień później miała wyjść ich płyta, której nagranie opłacono trzema tysiącami dolarów zarobionych występami na imprezach.

Simon chciał wiedzieć, jak mi się spodobało *Ego Maniac*.

– Świetne – powiedziałem. – Bardzo profesjonalne. Wyślij mi, proszę, płytę. Rozpromienił się. Natychmiast wykorzystałem jego zadowolenie.

– Co myślisz o swoich dziadkach? – zapytałem.

Spłoszył się.

– Mój dziadek zawsze wszystko wie lepiej – odpowiedział. – Nie wiem, czego chce. Prawdopodobnie jestem za młody, żeby go zrozumieć.

Zobaczyłem, że się zmieszał, i nie drażyłem tematu.

Jego młodszy brat Dwight również był utalentowany muzycznie, ale ostatnio stracił ochotę do gry na pianinie i więcej czasu spędzał przed komputerem lub na grze w tenisa stołowego w piwnicy, która była tak rozległa, że w przypadku ataku atomowego zmieściłaby się w niej cała wioska.

Hans był pod wrażeniem wielkości i kosztowności wystroju domu Jackie i Johna. Często ich za to komplementował. Właściwie chwalił osiągnięty przez nich

status, nie sam przepych. Przedmioty go nie wzruszały.

– Widziałem załadowany nimi cały pociąg – mówił. – Obrazy, porcelana, meble. Wszystkie skradzione. Ile były warte w porównaniu z ludzkim życiem?

Przed kolacją u Laury, mojej przyszłej żony, Mona postawiła na stole kryształowe kieliszki.

– *Nice crystal* – zauważyła. – *Good sound*.

– *Mama* – odgryzł się sarkastycznie Hans – *if you want crystal, break them. You'll have another Kristallnacht*^[132].

W jego życiu liczyło się tylko jedzenie. Przez dziesięć lat po wojnie objadał się nim do granic możliwości. Cukier zjadał łyżkami i potrafił opróżnić słoik dżemu za jednym posiedzeniem.

Z tego okresu ostały się dwie kolosalne lodówki i spiżarnia – wypełnione po brzegi i natychmiast dopełniane, kiedy tylko regał lub półka wyglądały na półpustą. Teraz już Hans nie jadł za wiele ani zbyt często, ale przynajmniej nigdy już nie miał cierpieć głodu.

Mona podzielała opinię swego męża.

– Poza dwiema obrączkami niczego nie posiadamy.

Podawała mi swoją dłoń.

– Złotą obrączkę dostałam od Hansa w dwudziestą piątą rocznicę ślubu, ale ta jest najcenniejsza. W Mühldorf jeden ze współwięźniów, Litwin, wytopił ją z kawałka metalu. *Litvak* był smutny, kiedy dowiedział się, że wychodzę za męża. *Schepsele*, powiedział, owieczko, czemu nie wyjdiesz za mnie?

Mona często chorowała. Pięć lat temu przestała palić, ponieważ zapadała na jedno zapalenie oskrzeli po drugim. Również w Connecticut trzeba było wezwać lekarza. Wszystko zaczęło się od przeziębienia Hansa. Jego zdaniem winny był temu jego przyjaciel Erich Schwarz w synagodze.

– Jak się jest przeziębionym, nie idzie się między ludzi – wyrzekął mój kuzyn.

Hans przekazał zarazki mnie, a ja – Monie. Dopiero u niej choroba rozwinęła się na dobre. Czowała się już źle w drodze do Jackie. Jej płuca poświstywały, a kiedy kaszłała, ból aż podrywał jej ramiona.

– *If you've got pain when you cough, don't cough*^[133] – radził jej obcesowo Hans.

Mona nic nie mówiła. Jej mąż zawsze ukrywał swoje zatroskanie pod sarkazmem. Jego nieczułość zniknęła dopiero na widok Laury i Rudiego. Oni też nie bali się swojego ojca, a jego wybuchy nie robiły na nich wrażenia.

W dodatku Laura przysłała z wizytą ze swoim synem Jeremym w dobrym momencie. Kiedy Mona gotowała, Hans od wielu godzin przysłuchiwał się ze mną muzyce religijnej, czerpiąc przyjemność z komentowania tekstów. Najpierw nastawił taśmę, którą mój ojciec przegrał mu z płyty gramofonowej. Kantor

Nachum z okazji setnej rocznicy Wielkiej Synagogi w Antwerpii. Hans przyłączył się do śpiewu i przesadnie wymachując rękami, naśladował takty utworu.

– *Oh boy, what a Schreier*^[134] – zakpił. – Normalnie papier ścierny.

– Oddaj tę taśmę na prezent komuś, kogo nie lubisz – zażartowałem.

– Nie, na pewno nie – odpowiedział. – Może jeszcze od tego faceta coś podłapię. Z wyjątkiem głosu, oczywiście.

Jego ulubionym kantorem był Mosze Kusewicki, który robił karierę w Wielkiej Synagodze przy ulicy Tłomackie w Warszawie, a w czasie wojny został uratowany z Treblinki. W 1947 roku Kusewicki wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Miał niezwykle pełny, liryczny głos. Słuchaliśmy *Akbvia ben Mahalalel*, ulubionego utworu mojego kuzyna. Tym razem wtórował pieśni, mamrocząc jej słowa, po czym wydeklamował tekst.

– Zastanów się nad trzema następującymi sprawami, a nigdy nie popadniesz w grzech – uroczyście wygłosił Hans. – Wiedz, skąd pochodzisz, wiedz, dokąd zmierzasz, i wiedz, komu kiedyś będziesz musiał zdać sprawę.

Odczekał chwilę jak ksiądz, który na ambonie wstrzymuje oddech, zanim potraktuje swoich parafian opisem najgorszych kar piekielnych.

– Skąd pochodzisz? Z kropli, która przemija. Dokąd zmierzasz? Do miejsca kurzu, robactwa i czerw. A komu kiedyś będziesz musiał zdać sprawę? Królowi Królów, Najwyższemu, Świętemu, niech będzie Błogosławiony.

Hans nie wygłosił tego dla mnie. Modlił się za cały świat i za siebie. Można było tyle potępić, mieliśmy tyle na sumieniu. Nikt nie uniknie swej sprawiedliwej kary.

Dla Hansa nie można być sprawiedliwym, nie będąc jednocześnie surowym. Mona tutaj się z nim nie zgadzała.

– Życie nie składa się tylko z zakazów – mówiła, kiedy wbrew woli swojego męża przyrzadzała dla mnie belgijskie gofry. – Nabożeństwo nie może pętać człowieka – ciągnęła. – Trzeba się w tym móc czuć wolnym. Bóg nie patrzy ci stale na ręce, żeby jak tylko zgrzeszysz, uderzyć.

Hans nigdy nie dyskutował o kwestiach religijnych. Mnie je wyjaśniał, swą żonę – ignorował. To nie my studiowaliśmy święte księgi. Mnie udzielił kredytu ze względu na moją ignorancję, Monie – z uwagi na jej wicherzycielskie poglądy. Nie krytykował jej. Był dostatecznie zajęty korygowaniem własnych błędów.

Hans wobec nikogo nie był równie bezwzględny co wobec samego siebie. Zrozumiałem później, jak bardzo żydowska była to wizja życia. Człowiek, który w oczekiwaniu na przyjście Mesjasza musi się zmagać z własnym sumieniem, które wiecznie zawodzi, czuje się zobowiązany dążyć do perfekcji.

Na Squirrel Hill Hans kupował u lubawickiego Żyda^[135] tabaki do fajki. Na oknie wystawowym pysznił się wielki afisz. „Mesjasz nadchodzi. Jesteś gotowy?”

Zapytałem Hansa, co myśli o tej sekcje.

– *They're fools*^[136] – odpowiedział pogardliwie. – Kiedyś się pokłóciłem z właścicielem. Jakoś nie widziałem Mesjasza, kiedy siedziałem w Auschwitz, powiedziałem mu. Czemu teraz miałby się ukazać?

Po recitalu kantora Kusewickiego nadszedł czas na zupę Mony. Muzyka i kurs miszny poprawiły Hansowi humor.

– Mona – zawołał entuzjastycznie – twoja dzienna porcja pornografii się rozpoczyna.

Zadowolony wycofał się do sypialni, jego żona i ja obejrzelśmy *Guiding Light*, serial, nad którym pracowało więcej fryzjerów i kosmetyczek niż scenarzystów. Fragment między dwoma blokami reklamowymi sponsorował Head and Shoulders, „Zdrowa skóra głowy to podstawa pięknych włosów”.

Ich córkę Laurę przepełniała chęć życia. Miała węglowoczarne oczy i pod burzą hebanowych włosów wyglądała na jeszcze szczuplejszą, niż w rzeczywistości była. Jej syn był bardziej flegmatyczny i bez przerwy doprowadzał do śmiechu swojego dziadka niewzruszenie chłodną ironią.

Cały wieczór przebiegł w atmosferze rozluźnienia. Słodkie wino z Izraela uderzyło mi do głowy, a kiedy Hans pokazał córce i wnukowi fotografię swoich rodziców, okazali nią ogromne zainteresowanie, po czym długo i lekko dyskutowano nad tym, kto był do kogo podobny i dlaczego.

Po jedzeniu Laura i ja pozmywaliśmy, podczas gdy reszta towarzystwa kontynuowała ożywioną rozmowę. Laura zapytała, co myślę o swoim tutaj pobycie.

– Twoi rodzice z miejsca mnie zaakceptowali – powiedziałem. – Czuję się naprawdę jak w domu.

– Ojciec za bardzo nie marudzi? – drążyła.

– Próbuję go przyjmować takim, jaki jest – odpowiedziałem.

– To nie jest łatwe, prawda? – uśmiechnęła się. – Na szczęście mama ma więcej zdrowego rozsądku. Zawsze miała praktyczny umysł. Kiedy ojciec się zadreślał, ona podwójnie się starała, zajmując się nami oraz żeby nas uspokoić.

Laura obiecała poszukać w mieście butelki szampana. Chciałem go dać Hansowi i Monie jako prezent pożegnalny. Szampan – zapewniła mnie ich córka – był ich ulubionym trunkiem.

Również spotkanie Hansa z synem przebiegło serdecznie. Rudi zaprosił mnie ze swoimi rodzicami na kolację i przyjechał po nas samochodem z Connecticut. Mieszkał w Trenton, miejscowości odległej o godzinę drogi od Jackie i Johna. Z żoną Joanną codziennie dojeżdżali do pracy na uniwersytecie w Nowym Jorku. On wykładał prawo, ona literaturę angielską, specjalizując się w literaturze kobiecej osiemnastego wieku. Ich dwunastoletnia córka Jacqueline, tak jak jej ojciec i dziadek, miała fioła na punkcie futbolu. Grała w szkolnej drużynie, którą trenował Rudi. Jacqueline mówiła tak szybko, że zdarzało jej się tracić oddech i żeby go

zaczepnąć, musiała zamilknąć, gdy nie potrafiła skończyć jednego zdania na jednym oddechu.

– Szybkie mówienie to oznaka inteligencji – skwitował Hans.

Pomimo brody Rudi wyglądał młodziej niż na pięćdziesiąt lat. Miał pociągłą twarz i tak samo jak Laura smolistoczarne oczy. W przeciwieństwie do swojej córki wypowiadał się powoli i z wahaniem, jak gdyby również w banalnej rozmowie nie chciał dopuścić do tego, by – jak przy układaniu tekstu prawniczego – nie umknął mu żaden niuans ani by nie wkradła się doń jakaś dwuznaczność.

Rudi z rodziną zajmowali odrestaurowany przez niego stary dom, który wyglądał przytulnie z jego parkietem, dywanami i stylowymi meblami. Z wszystkich wnętrz, które widziałem, to najbardziej przypominało europejskie, tak iż wylewnie skomplementowałem za to Rudiego. Kiedy Joanna wróciła do domu, Rudi chciał pójść ze swoim ojcem na spacer.

– Przyłączysz się do nas? – zapytał. Podziękowałem, gdyż widać było, że chętniej poszedłby z ojcem sam.

Joanna kojarzyła mi się z jedną z tych gadatliwych matron z powieści Jane Austin. W jednym zdaniu potrafiła przeprowadzić czyjeś przesłuchanie, szczegółowo opowiedzieć cały swój dzień pracy i wygłosić opinie o pogodzie, świecie i chorobie wściekłych krów w Anglii. Jej wylewność była zaraźliwa.

– Spacer świetnie mi zrobił – powiedział pogodnie mój kuzyn. – Rudi mi powiedział, że wydał przyjęcie sederowe. Fantastycznie, prawda? Wszystkie specjały zamówił w delikatesach.

Rudi zdecydował się zamówić chińszczyznę. Potrawy wybieraliśmy z kart dań. Kiedy ktoś wymienił potrawę ze śladową ilością mąki, wszyscy z troską spozierali na Hansa. Poszedłem z jego synem odebrać jedzenie z restauracji *takeaway*. Po drodze wstąpiliśmy do supermarketu. Nazajutrz mieliśmy jechać do Filadelfii i Rudi chciał dla nas kupić chleb i coś na kanapki.

– Mam nadzieję, że mają przASNĄ mąkę – powiedział. – Inaczej mój ojciec nic nie zje.

Powiedziałem mu, jak Hans był uradowany rozmową z nim na spacerze. Rudi się roześmiał.

– Co roku wydaję seder – powiedział.

Podróż powrotna zmieniła się w drogę przez mękę. Trzy razy wybrałem złe trasę, pierwszy raz już na ulicy Jackie i Johna. Hans strasznie się zdenerwował. Spadło dużo śniegu, na moście Tappen Zee nad rzeką Hudson uformował się korek, a Mona była śmiertelnie chora. Jej głos skrzypiał jak złe nastrojona kobza. Cały dzień spędziliśmy w samochodzie. Hans od czasu do czasu zapadał w drzemkę. Kiedy się budził, był nadąsany i czepialski.

– Ostatni raz wyjeżdżam z domu – warczał. – Jak ktoś chce się z nami zobaczyć, niech sam do nas przyjedzie.

Na granicy między Jersey a Pensylwanią zjedliśmy kanapki z praśnego chleba z wątrobianką. Panował przejmujący ziąb. Z Moną od razu wróciliśmy do samochodu. Hans zatrzymał się na ciętym wietrze. Prawdopodobnie rzucił swojemu Bogu w twarz, że nawet najdotkliwszy ziąb nie jest mu straszny po okropieństwach minionych dni u Jackie i Johna. Im bliżej domu, tym bardziej mój kuzyn stawał się przygnębiony.

– Gdyby to ode mnie zależało – odezwał się gorzko – nigdy bym nie przyjechał do tego kraju. Ale nie mieliśmy wyboru. Najchętniej wyprowadziłbym się na Grenlandię. Albo Nową Zelandię. Jestem tutaj pięćdziesiąt lat i nie istnieje ani jedno miejsce, o którym mógłbym powiedzieć: „Tutaj byłem szczęśliwy”.

Po raz pierwszy poprosiłem Hansa, by od razu odwiózł mnie do hotelu. Potrzebowałem spokoju. A Mona – zastrzyków. Lekarz w Connecticut zdiagnozował zapalenie oskrzeli. Wieczorem zadzwoniła Laura. Brzmiała „na dystans”. Czy już usłyszała od ojca o wszystkich okropnościach? Czy to moja wina, że teraz przez cały tydzień będzie musiał dochodzić do siebie?

Laura poinformowała mnie, że nie znalazła szampana. Ja powiedziałem jej, że zapomniałem w Connecticut o belgijskich czekoladkach, które dla niej kupiłem.

W łóżku uzmysłowiłem sobie, że nie umówiłem się z Hansem na kolejny dzień. Mój samolot odlatywał późnym popołudniem. Nie śmiałem do niego zadzwonić. I co mogłem znaleźć na prezent pożegnalny?

Rozżalenie i niepewność długo nie pozwalały mi zasnąć. Nade wszystko irytował mnie egoizm mojego kuzyna. Dlaczego na jego ustach nie powstało choćby jedno słowo troski o chorą żonę? W swoim oburzeniu uznałem, że lepiej, iż Hans nie odwiedzi mojego ojca. Auschwitz czy nie Auschwitz, z Hansa był upierdliwiec.

Wstrząsnęły mną własne rozgorączkowane myśli. Przecież wiedziałem, że jest udręczonym człowiekiem. Czy to nieprzewidywalność jego wybuchów tak mi przeszkadzała? Tylko wtedy, gdy śpiewał swoje żydowskie pieśni, był w pełni szczęśliwy. Jego niespokojne dążenie do perfekcji splatało się w tych melodiach z perfekcją jako taką. Sprzeczności i impertynencje traciły wtedy całą władzę nad jego storturowanym duchem.

Moja uraza ustąpiła miejsca poczuciu winy. Poczulem wdzięczność dla Hansa, że doprowadził mnie aż do wejścia do swojego piekła. Zauważyłem poza tym, że Hans potrafi jeszcze, choćby na chwilę, odnaleźć w muzyce pełnię spokoju, i uznałem to za cud.

Tuż przed naszym wyjazdem z Connecticut razem z Hansem odśnieżaliśmy samochód. Kiedy skończyliśmy, skinął na mnie. Wydobył portfel z kieszeni i wyjął z niego kopertę.

– Popatrz – powiedział. – Zawsze mam to przy sobie na wypadek, gdybym zapomniał, co naprawdę się w życiu liczy.

W kopercie znajdowały się trzy przedmioty. Zdjęcie paszportowe jego ojca i mojego dziadka, na którym obaj bracia ramię w ramię poważnie spoglądali w obiektyw. Zdjęcie pieca w krematorium. Skrawek jego szaro-niebieskiego pasiaka.

– Wystarczy, że chwilę na nie popatrzę – podjął Hans – a wiem znowu, kim jestem. To mój zastaw przeciwko pysze i niepamięci. Nie obchodzi mnie, co sobie myśli reszta świata. Naziści zrobili, co zrobili. Jestem tym, kim jestem.

Czy dlatego Hans nie cierpiał tego, co nazywał trasą ocalańców? Nie dla niego były zjazdy współwięźniów, praca jako przewodnik w muzeach Holocaustu. Turystyczna eksploatacja Auschwitz przyprawiała go o dreszcze nie dlatego, że powojennym pokoleniom odmawiał prawa dowiedzenia się o nim wszystkiego, ale ponieważ był przekonany, że między nim a resztą ludzkości ziele przepaść nie do pokonania. Nie miał nic przeciwko opowiadaniu o Holocaustu. Jednak za nieprzyzwoite uważał pretensje niektórych ocalańców, żeby Auschwitz wytłumaczyć, a ich słuchaczy, żeby go odczuć. Nic nie doprowadzało go do większej pasji niż pełne dobrych zamiarów stereotypowe wyrazy współczucia. „Och, świetnie zdajemy sobie sprawę z tego, co przeżyłeś! To straszne! Współczujemy ci. Spielberg wyśmienicie oddał atmosferę obozu koncentracyjnego, prawda?”

Hans mimo wszystko dochodził swoich praw. Kiedy w Niemczech rozpoczęto *Wiedergutmachung*, zrobił wszystko, by wyciągnąć ich jak najwięcej. Udało mu się nawet załatwić, iż jego żona, która nie spełniała odpowiednich warunków, również otrzymała odszkodowanie. Rodzina potrzebowała przecież dużo pieniędzy na wykształcenie czwórki dzieci. Odkąd z Moną przeszli na emeryturę, czeki nie przestały co miesiąc regularnie przychodzić. Przysługiwały im śmiesznie niskie państwowe emerytury, a rachunki za lekarzy i szpitale były wysokie.

Hans z Moną pomogli mi lepiej zrozumieć, dlaczego fascynował mnie Holocaust. Uświadomiłem to sobie podczas przejażdżki po mieście z Maureen Fialkow. Maureen bez ustanku trajkotała. Udawałem, że słucham, od czasu do czasu wydając potwierdzający pomruk.

– Czy Hans opowiedział ci o niemowlętach, które esesmani zabierali matkom, podrzucali do góry i łapali na swoje bagnety? – zapytała niespodziewanie.

– Nie – odpowiedziałem, a jednocześnie poczułem narastającą we mnie wściekłość wobec człowieka, który wspomina takie okropieństwa, jakby chodziło o kociaka, który siedzi uwięziony na drzewie, głośno miaucząc.

Kiedy tego wieczoru zapisywałem w dzienniku wydarzenia minionego dnia, zastanowiłem się, czemu tak się zezłościłem. Przypomniałem sobie widok Żydów na peronie, których ładowano do bydlęcych wagonów. Były to przede wszystkim kobiety. Niektóre stały z dzieckiem na ręku, inne trzymały małe dzieci za obie rączki. Stały cierpliwie w kolejce. Musiało być gorąco, gdyż wszystkie nosiły kwieciste spódnice i białe bluzki. Od czasu do czasu któraś spoglądała w kierunku kamery. Ze spojrzeń tych nie można było wyczytać ani niepokoju, ani zrezygnowania. Ta spokojna scena mną wstrząsnęła. Na niej zwyczajni ludzie wiodący zwyczajne życie w całkowitym spokoju szli na swoją śmierć. Jej powszechność szokowała. Hannah Arendt mówiła o banalności zła. Miała na myśli chłód, z jakim sprawcy eliminowali swoje ofiary. Żydzi z filmu posiadali banalność niewinności. Ich tragedia kryła się w letnich ubraniach i porządnie zaczesanych włosach ich dzieci, w spokoju i jasnych oczach, które liczyły na pozytywne zakończenie.

Niewinność Hansa i Mony również nie kryła się w ich męczeństwie. Imponowali mi tym, przez co przeszli w obozach, akceptowałem nawet, że stali się symbolem cierpienia milionów ich współziomków, ale przede wszystkim kochałem ich za to, że byli dobrymi ludźmi.

Tuż po wyzwoleniu w 1945 roku Hans i Mona wraz ze swoją siostrą Erną i jej mężem Ernstem zostali dokwaterowani do chętnych udzielić im pomocy Niemców. Pewnego dnia Ernst sprzedał swojemu gospodarzowi za spore pieniądze diamentowy pierścionek. Oszukał go, bo kamień był oszlifowanym szkłem. Kiedy Hans opowiadał tę historię, jego oczy wciąż ciskały pioruny.

– Sprawilem Ernstowi manto – wypalił. – Powiedziałem, że ludzi tak się nie traktuje. Nie słuchał mnie. „Oni mają dość pieniędzy” – powiedział i rzucił mi wściekły, czy już zapomniałem, co Niemcy nam zrobili.

Gdybym powiedział swojemu kuzynowi, że w pierwszym rządzie był dobrym człowiekiem, a dopiero potem dobrym Żydem, obdarłby mnie żywcem ze skóry. Oczywiście że wspomnienia o wojnie rozdarły go na dwoje. W tym obszarze walka z samym sobą przybrała apokaliptyczne rozmiary. Kiedy Hans w 1983 roku zmierzał do Breslau, w samolocie do Frankfurtu siedziało bardzo wielu Niemców. „Część z nich pochodziła z Berlina – napisał mi po fakcie w relacji ze swojej podróży – wyraźnie było słychać ich berliński akcent. Uderzyły mnie sformułowania, których od dawna już nie słyszałem, i o dziwo, sprawiało mi to przyjemność, podczas gdy w zasadzie oczekiwałem, że mnie zdenerwują”.

Takie paradoksy opanowały jego życie. Zdolność przebaczenia i zemsta walczyły na zmianę o jego duszę. Żyd pozostawał pamiętliwy, człowiek – tolerancyjny.

Ponieważ w żaden sposób się z Hansem nie umówiliśmy, minęło dużo czasu, nim przyjechał po mnie do hotelu w dniu mojego powrotu do Belgii. Był zły.

– Czemu do mnie nie zadzwoniłeś? – burczał.

Przeprosiłem. Nie śmiałem mu powiedzieć, że nie chciałem do niego telefonować, bo w czasie naszego powrotu z Connecticut zachowywał się tak opryskliwie. Hans nie wyglądał na weselszego, kiedy najpierw poprosiłem go o podwiezienie do supermarketu. Przebiegałem między wszystkimi regałami jak obłąkany w poszukiwaniu szampana. Nie znalazłem żadnego. W końcu złapałem kogoś z obsługi.

– Szampan, *sir*? Nie sprzedajemy alkoholu, *sir*.

Po raz pierwszy w ciągu czternastu dni życzyłem temu krajowi co najgorsze. Do tej pory uśmiechałem się rozczulony wszystkimi malowniczymi zwyczajami Nowego Świata. Na widok kobiety, która ze zdziwieniem uniosła brwi, dowiedziawszy się, że chcę pójść pieszo do księgarni położonej trzy przecznice dalej. Kierowcami samochodów, którzy nie wysiadając z wozów, pobierali pieniądze z okienek w banku. Na widok studentów historii dwudziestego wieku w Room 232 Cathedral of Learning, cudownego drapacza chmur w stylu neogotyckim Uniwersytetu Carnegie Mellon, którym wykładowca klarował to, co wiedziały szesnastolatki w Belgii czy Holandii. Ale supermarket bez wina musującego? Na każdym rogu ulicy można było kupić narkotyki, każdy sklep zawierał arsenał pistoletów i strzelb, jednak zbyt pruderia nie pozwalała Amerykanom wstawić na półki sklepowe wina!

Hans musiał za długo czekać w samochodzie. Wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Bukiet róż dla jego żony go nie zmiękczył. Na szczęście niebo szybko się wypogadzało. Mona podała jedzenie i ostatnie godziny dobrodusznie przegadaliśmy. Nie miałem trudności w przekonaniu Hansa, by zawiózł mnie wyjątkowo wcześniej na lotnisko. Pożegnanie z Moną było krótkie i serdeczne. Rozumieliśmy się, bo żadne z nas nie lubiło wielkich ceremonii.

Po drodze Hans zachowywał się ciszej niż zwykle. Zanim mnie wysadził, zapytał mnie, po co przyjechałem.

– Bo już najwyższy czas było poznać rodzinę od strony ojca – wypaliłem, jakbym spodziewał się tego pytania.

– Jesteś żydem czy katolikiem? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Wiem tylko, że tysiąc razy bardziej czuję się związany z żydowskimi korzeniami.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Instyktownie. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Tak – odezwał się. – To właśnie ta *pintele Yid* w tobie. Nic ani nikt nie może ci tego odebrać.

Po raz pierwszy tego dnia na twarzy pojawił mu się szeroki uśmiech.

Na lotnisku szybko wysiedliśmy, żeby Hans nie musiał szukać miejsca parkingowego. Niezręcznie się objęliśmy. Żaden z nas nie miał doświadczenia w przytulaniu.

W Auschwitz niektórych więźniów nazywano *Geheimnisträger*, niosący tajemnicę. To oni prowadzili transporty nowo przybyłych do komór gazowych, obcinali im włosy, zabierali ubrania i ich uspokajali. Pod groźbą śmierci musieli trzymać język za zębami na temat nieuniknionego losu, jaki czekał deportowanych. Na *Geheimnisträger* spoczywała ogromna odpowiedzialność. Bez nich nie byłoby mowy o sprawnym działaniu maszyny śmierci. Tam, gdzie wszystkie wartości stawia się na głowie, różnica między pomocnikami oprawców a ofiarami wydaje się zanikać. Każdy ginie, każdy przyczynia się do zgonu.

Hans i Mona również są niosącymi tajemnicę. Było im dane żyć w świecie, który upokorzenie i zabijanie wyniósł do rangi najwyższych cnót. Ponieważ bezsilnie musieli się temu przyglądać, w ich serca wkradała się najstraszniejsza z wszystkich myśli. „Czy jesteśmy współwinni? Winni śmierci swoich ukochanych? Winni własnego przeżycia?”

Byli przekonani, że owo samozadęczenie jest dziedzictwem ich pobytu w hitlerowskim Nowym Świecie. Kto mówił, że się mylą, w reakcji słyszał szyderczy śmiech. Kiedy się ich wychwalało za odwagę i opór, spoglądali na ciebie poirytowani.

A mimo to Auschwitz ich nie zniszczył. Codziennie, na nowo Hans i Mona udowadniali, że pozostali dobrymi ludźmi. Myśl tę gwałtownie odrzucali. Ich niewiara stanowiła najtragiczniejszą z ich tajemnic.

Wjechanie do Izraela było trudniejsze niż odkrycie Eldorado. Na brukselskim lotnisku dwie agentki bezpieczeństwa maglowały mnie przez godzinę. Pierwsza zadała mi sto siedemdziesiąt osiem pytań, druga przebiegła tę listę od początku do końca na nowo. Potem zaczęły się w kąciku szeptem naradzać, spoglądając przy tym na mnie ze ściągniętymi brwiami. Najwyraźniej odkryły w mojej opowieści wystarczająco wiele sprzeczności, gdyż pierwsza agentka poinformowała mnie, że bardzo jej było przykro, ale nie jest zadowolona. Zagotowało się we mnie. Dowiedziały się więcej o moim życiu prywatnym niż wszyscy moi krewni i przyjaciele razem wzięci. W najmniejszym szczególe opowiedziałem im, że w Tel Awiwie chcę odnaleźć grób mojego dziadka, a w Naharijji umówiłem się z Fredim Durra, kuzynem mojej babci. Pokazałem im drzewo genealogiczne mojej żydowskiej rodziny, podsunąłem pod nos dokumenty, listy i dziennik, a wreszcie streszczenie moich podróży do La Paz, Melbourne i Filadelfii.

W międzyczasie brodaci mężczyźni w czarnych kapeluszach i chałatach piorunem przechodzili kontrolę, jak gdyby ich wynajęto, by ludzi takich jak ja wpędzić w kompleks niższości. Właśnie gdy miałem zrezygnować z mojej podróży, inkwizytor zapytał mnie, czy mam numer telefonu pana Durry w Naharijji. Zmartwiałem. Fredi Durra przechodził rekonwalescencję po ataku serca i w czasie naszej ostatniej rozmowy telefonicznej brzmiał jak ktoś rozkojarzony i zamroczony. Co jeśli mnie sobie nie przypomni? Co jeśli nie ma go w domu? Ale Fredi był na stanowisku i mnie oczekiwał. Agentka przepuściła mnie z promiennym uśmiechem.

Jej przezorność wynikała oczywiście z sytuacji politycznej w regionie. Działo się to w lutym 1998 roku i istniało niebezpieczeństwo wybuchu wojny. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania były gotowe zaatakować Irak. Sekretarz generalny ONZ wkrótce ruszał do Bagdadu. Jeśli jego wysiłki pojednawcze okazałyby się daremne, samoloty zachodnich mocarstw miały rozpocząć bombardowanie, zaś Saddam Husajn ponownie wystrzelić na Izrael rakiety Scud. Nikt nie wierzył w pozytywne zakończenie misji Kofiego Annana. Zachodni sojusznicy obiecali jednak, że nie rozpoczną wojny w czasie zimowych igrzysk olimpijskich w Nagano. Olimpiada zakończyła się w połowie mojej podróży. Świat wstrzymał oddech. Moja matka miała niebawem przeżyć swoje pierwsze bezsenne noce. Tak jak inni członkowie mojej rodziny w Belgii sądziła, że postradałem zmysły, żeby właśnie teraz ruszać na Bliski Wschód. „A po co ty tam w ogóle jedziesz?” – zapytała mnie zaskoczona jedna z ciotek. „Szukać grobu dziadka” – odpowiedziałem. Popatrzyła na mnie z politowaniem. Większej bzdury w życiu nie słyszała.

Mój ojciec nie pamiętał już, gdzie pochowano jego ojca.

– Jechaliśmy z matką na cmentarz autobusem – opowiadał. – Jestem pewien, że to było na północ.

Na planie Tel Awiwu tylko Kiryat Sha'ul położony był na północ od Ramat Gan. Moi dziadkowie przez dziesięć lat mieszkali w tej miejscowości. Chciałem jak najszybciej znaleźć ten grób. Był piątek, a już wczesnym popołudniem miał się zacząć szabat. Natychmiast po śniadaniu zapytałem o radę recepcjonistę w hotelu, jowialnego staruszka, który potrafił wmówić człowiekowi, że wynajmuje mu za grosze najdroższy pokój hotelowy.

– Kiedy umarł pański dziadek? – zapytał.

– W 1948 roku – odpowiedziałem.

– No to nie leży na Kiryat Sha'ul – odparł. – Założono go nie tak dawno. Proszę spróbować Nakhlat Yitskhak, a jak nie, to inny cmentarz przy Trumpeldor Street.

Choć Nakhlat Yitshkak znajdował się na południu Ramat Gan, spróbowałem swojego szczęścia najpierw tam. Trumpeldor Street wydał mi się bardziej wątpliwy. Był bardzo mały i leżał tuż nad morzem, w sercu Tel Awiwu. Nie mogłem sobie wyobrazić, że w miejscu tym grzebano mieszkańców Ramat Gan, który jeszcze pół wieku temu stanowił oddzielne miasto na wschód od Tel Awiwu.

Kierowca taksówki okazał się skończonym złodziejem tak jak jego kolega po fachu, który zeszłej nocy odwoził mnie z lotniska do hotelu. Przewodniki podróży się nie myliły: turyści w Izraelu padają łatwym łupem oszustów, którzy nazywają siebie taksówkarzami. Ich taksometry zawsze są zepsute, sami walizek się nie chwytają, zachowują się nieprzyjemnie i przy już i tak za wysokiej taryfie mają czelność domagać się dużego napiwku. Nie wolno pozwolić sobie wejść na głowie, jeśli nie chce się zostać oszukanym.

Potulnie zapłaciłem taksówkarzowi, podziękowałem mu z szerokim uśmiechem i poprzysiągłem sobie nigdy więcej nie wsiadać w izraelską taksówkę. Mój daleki kuzyn w Melbourne w konfliktach z chciwymi taksówkarzami zdecydowanie nie dawał sobie w kaszę dmuchać. W Nowym Jorku Frank odmówił kiedyś napiwku nieskoremu do pomocy typowi.

– *Where's my tip?* – zapytał bezczelnie facet.

– *Always love your mother*^[137] – odpowiedział mu Frank.

Przy wejściu na Nakhlat Yitshkak, w brudnym kantorku pochylony nad gazetą, jedząc drożdżówkę, siedział dozorca religijny. Choć nosiłem jarmułkę, mężczyzna popatrzył na mnie z nieukrywaną wrogością. Kiedy go zapytałem, czy mówi po niemiecku lub angielsku, pokręcił ponuro głową.

Napisałem na kartce nazwisko swojego dziadka i mu ją pokazałem. Westchnął, odłożył ciastko na gazetę, strzepał okruchy z brzucha i wyjął z szuflady grubą książkę. Za chwilę znalazł Felixa Peritza. Z kolei on ujął skrawek papieru.

„Grób szesnasty, ósmy rząd, kwatera numer pięćdziesiąt osiem”. Następnie wydobyl plan cmentarza i lepkim palcem wskazał kwaterę pięćdziesiątą ósmą.

Choć Nakhlát Yitshkak był rozległy, dzięki ponumerowanym tabliczkom odwiedzający łatwo trafiał do celu. Tyle że ja nie znałem hebrajskiego i ostatecznie stanąłem przed grobem, co do którego nie miałem pewności, że mój dziadek w nim rzeczywiście leży. Zrzędała mi mina. Nigdzie nie było śladu żywej duszy. Miałem znów u prosić o pomoc tamtego zrzędę?

Nieoczekiwanie zobaczyłem dwie dreptające w moją stronę staruszki. Zagadnąłem je. Ku mojej uldze mówiły po niemiecku. Wykazały się zrozumieniem dla mojego problemu i były gotowe pójść za mną do ósmego rzędu, kwatery numer pięćdziesiąt osiem.

– Mój dziadek nazywał się Felix Peritz – powiedziałem. Powoli posuwaliśmy się wzdłuż grobów.

– Mordechaj Peritz? – zapytała młodsza.

– Tak – odpowiedziałem.

– To tutaj. – Po czym zapytały: – Gdzie mieszkał?

– W Ramat Gan – odpowiedziałem.

Kobiety popatrzyły po sobie ze zdziwieniem.

– My mieszkamy w Ramat Gan – powiedziała młodsza. – Gdzie dokładnie w Ramat Gan mieszkał pański dziadek?

– Na Bialik Street – odparłem.

– Znamy ją – odpowiedziały. – A gdzie na Bialik Street?

– Rosenberg House.

– Znamy Rosenberg House – powiedziały. – Czy pański dziadek był krawcem?

– Chyba nie – odpowiedziałem z wahaniem.

– *Mutti*, przypominasz sobie krawca damskiego, który miał na nazwisko Peritz?

Zmarszczki na czole jej matki znacznie się pogłębiły.

– Nazywał się Perl – powiedziała. – A może Stern?

Kiedy dowiedziały się, że przyjechałem z Antwerpii, córka zaproponowała, by poprosić opiekuna religijnego o zamówienie modlitwy na grobie.

– Żeby nie było, że przyjechał pan tu po nic – podsumowała. – I proszę mu wcisnąć parę szekli, a przyjdzie na pewno.

Na skrawku papieru napisała jedno słowo: *askara*.

– Proszę mu to dać – poleciła. – On wie, co ma robić.

Przedstawiciel władz religijnych otwarcie dał mi do zrozumienia swoją odmowę, gdy chciałem mu lęklonie wręczyć banknot dwudziestoszekłowy. Nie poruszywszy ani jednym mięśniem w twarzy, przeczytał liścik kobiety, po czym milcząco ruszył do grobu mojego dziadka. Ponieważ zapomniałem go jakoś

oznaczyc, znowu nie byłem na sto procent pewien, że stałem przed Felixem Peritzem.

Najpierw mój towarzysz wydeklamował jakąś modlitwę, następnie inną odśpiewał. Miał przyjemny, donośny głos. „To dla ciebie, dziadku” – myślałem wzruszony. Melodia wznosiła się i opadała między grobami. Smukłe, ciemnozielone cyprysy spoglądały na nas z góry. Płakałem niepostrzeżenie, mając nadzieję, że pieśń potrwa wiecznie.

– *Father of Mordechai?* – nagle zapytał mężczyzna.

Były to pierwsze słowa, jakie ze mną zamieniał.

– Schlomo – odpowiedziałem.

Mężczyzna modlił się dalej.

Kiedy skończył, położył kamyczek na grobie. Wręczyłem mu banknot dwudziestoszklowy.

– *Todah* – powiedział, „dziękuję”, i odszedł.

Ani razu się nie uśmiechnął, ani razu nie okazał cienia zainteresowania. Być może dlatego śpiewał tak dobrze, aby dać mi odczuć, że między nim a moim dziadkiem istnieje ściślejsza więź niż między moim dziadkiem a mną. Niewątpliwie od razu zauważył, że w najlepszym wypadku jest ze mnie wiarołomny żyd, a w najgorszym – żaden. Ktoś nieznający hebrajskiego, jedynie posiadający żydowskich krewnych zasługiwał tylko na lekceważenie. Moja jarmułka bynajmniej nie zamydliła mu oczu.

Zająłem miejsce na grobie przeciwległym do dziadkowego i zacząłem z nim rozmawiać. Kilka razy wstawałem, żeby odejść, ale za każdym razem na nowo stwierdzałem, że mam mu jeszcze wiele do powiedzenia, i powracałem. „Bardzo cię kocham” – mówiłem.

Wypowiedziałem szereg bzdur, jakbym w ciągu godziny chciał zadośćuczynić temu, co z powodu jego przedwczesnej śmierci stało się niemożliwe: zawiązaniu relacji dziadka z wnukiem, dzieleniu wielu wspólnych przeżyć i staniu się przyjaciółmi od serca. Tęskniłem za nim i mówiłem, że mi przykro, iż nic nie ma po śmierci. Poinformowałem go o wszystkich wydarzeniach w rodzinie i dumnie podzieliłem się z nim wiadomością, że niecałe trzy miesiące wcześniej został pradziadkiem Lauren, pierwszego dziecka mojego brata. Wybrał to imię, bo podziwiał Lauren Bacall. Czy mój dziadek wiedział, że ta aktorka była Żydówką?

1 listopada 1949 roku moja babcia i jej syn również tutaj stali. Następnego dnia wyruszyli do Brukseli. Dzisiaj był 20 lutego 1998 roku. Na zdjęciu sprzed pół wieku na cmentarzu nie można było dostrzec ani źdźbła trawy. Teraz silne krzewy wdzierały się między groby, a kwatery okalały cyprysy. Grób dziadka znajdował się w cieniu krzewu. Na nagrobku niektóre litery tak się wytarły, że ledwie można je było odczytać. W swoim zdenerwowaniu zapomniałem zapytać kobiet, co

wyryto w tekście pod nazwiskiem Felixa Peritza.

W La Paz oczyściłem grób babci, jak tylko się dało. Tutaj zostawiłem go takim, jakim był. Mech, chwasty, roślinkę, która wybijała z krawędzi nagrobka, parę zeschniętych listków.

– Dobrze nad nim czuwajcie – powiedziałem.

Obok kamyczka opiekuna religijnego położyłem jeden w imieniu ojca, a drugi od siebie.

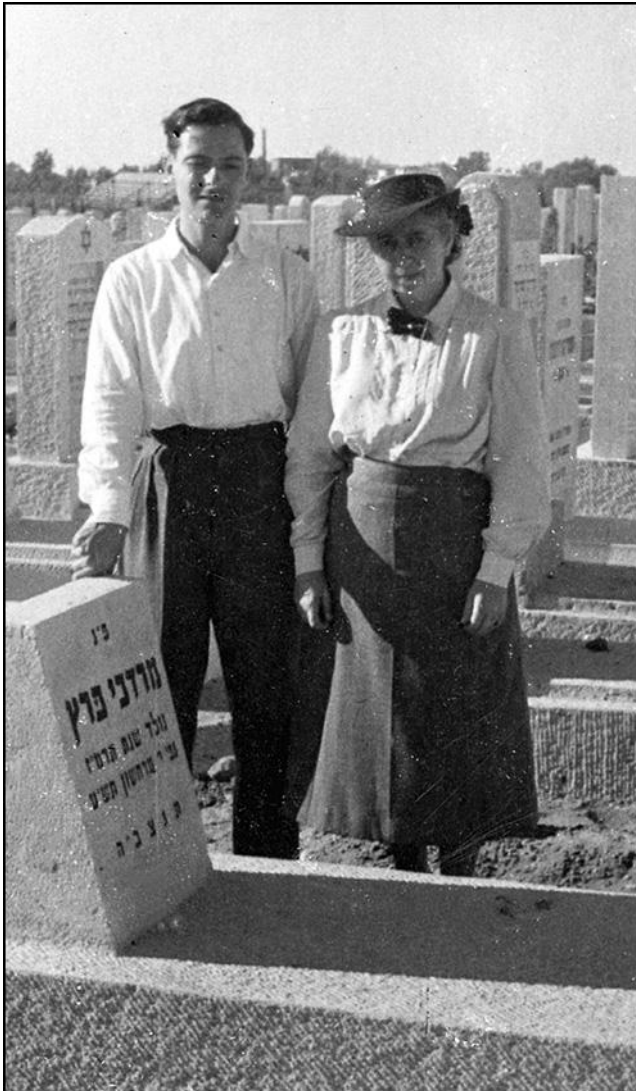
Autobusem powróciłem do centrum miasta i poszedłem na róg Ha-Melekh George Street i Dizengoff Street. Na obskurnym betonowym placu, niewątpliwie zaprojektowanym przez jakiegoś mizantropa, zostałem zagadnięty przez ortodoksyjnego Żyda.

– Nie mówię po hebrajsku – powiedziałem.

– *Are you Jewish?* – zapytał z czystym amerykańskim akcentem.

– Nie – odpowiedziałem.

– *Have a nice day* – powiedział przyjacielsko.



Listopad 1949 roku. Vernon Pearce ze swoją matką odwiedzają grób Felixa w Ramat Gan. Dzień później mieli wyruszyć do Belgii

Zapytałem go, co on i dwójka jego kolegów stojących trochę dalej przy stoliku robią.

– Prosimy wszystkich mężczyzn, by zechcieli przywiązać sobie *tefilin* wokół ramienia, a drugim rzemieniem pudełeczko z tekstem Tory do czoła – wyjaśnił mi z pewnością siebie zahartowanego w boju nauczyciela. – Kto ma powyżej trzynastu lat, musi w ten sposób się codziennie modlić.

Stoliczek zapełniały rzemienie modlitewne, tałesy i czarne pudełeczka. Ortodoksyjni Żydzi opasywali dwóch młodzieńców w dżinsach i białych podkoszulkach. Stali, recytując tekst z książeczek i rytmicznie kołysząc górną połową ciała. Ich dziewczyny z odległości kilku metrów przyglądały im się bez zainteresowania.

Nic nie wskazywało na to, że zaczynał się szabat. Plac przepelniał warkot i jazgot ruchu ulicznego. Klienci wchodzili do świątyń zakupowych, a w ogródkach kawiarnianych dziewczyny w spódniczkach mini rozmawiały z chłopcami w okularach-lustrzankach. Miasto nie przejmowało się rozdzwieniem pomiędzy zasadami religijnymi a świeckim hedonizmem. Choć większość sklepów pozostawała zamknięta w szabat, wszyscy gotowali się na dzień odprężenia. W Jafie nakrywano stoliki restauracji rybnych, w Tel Awiwie nad morzem czekały już gotowe leżaki plażowe i parasole. Minięcie się tutaj z ortodoksyjnymi Żydami było wykluczone. Ci odwiedzali swoje synagogi i stamtąd wracali prosto do domów. Nie barykadowali ulic, nie zatrzymywali ruchu ulicznego ani nie skandowali hasel wymierzonych przeciwko naruszającym odpoczynek szabasowy.

O napięciu wokół kryzysu w Iraku w ogóle nie było mowy. Owszem, kiedy przyjechałem do hotelu, recepcjonista wręczył mi *emergency leaflet*, w której wskazywano gościom hotelowym drogę do specjalnego pomieszczenia na wypadek ataku broni biologicznej i chemicznej.

– To tylko formalność – zarzekł się pogodnie.

Kofi Annan zmierzał do Saddama Husajna, Brytyjczycy i Amerykanie coraz groźniej potrzęsali bronią, ale w Tel Awiwie rozkoszowano się całą gębą perfekcyjną sobotnią pogodą. Nadmorskim bulwarem wędrowali rozmarzeni spacerowicze. Na białym piasku plaży grano w piłkę nożną i w tenisa, a zakochane pary przechadzały się nad lazurowym morzem. Było dostatecznie ciepło na bikini i kąpielówki.

Nie zaskoczył mnie ów brak zainteresowania politycznymi czy religijnymi konfliktami w tym kosmopolitycznym kurorcie nadmorskim. Chociaż na porządku dziennym dochodziło do kłótni między zwolennikami i przeciwnikami procesu pokojowego z Palestyńczykami oraz wybuchały intrygi polityczne, odnosiłem wrażenie, że solidarność spajała mieszkańców równie silnie, jak rozdzierały ich różnice religijne oraz matactwa polityków.

Ostatecznie chodziło o to, by Izrael przeżył. Zamordowanie Icchaka Rabina wywołało powszechny szok. Ale zamach zrodził także nowy i konieczny realizm. Państwo żydowskie o wiele za długo pławiło się w pełnych samoubóstwienia, niemalże mistycznych sloganach. Wszystkich zaślepiła propaganda. Koniec samozadowolenia wytyczył linie podziału we własnym społeczeństwie. Izrael nie był jeszcze gotów na rozwiązanie, a mimo to panowało w nim niespożyte poczucie jedności na przekór utarczkom między wszystkimi partiami i grupami nacisku, między Żydami z Europy, dawnego Związku Radzieckiego, Maroka i Etiopii, między fanatycznymi kolonialistami i równie namiętymi zwolennikami procesu pokojowego. Solidarność nie dochodziła do głosu wśród erupcji wyzwick polityków; nie dało się jej wyczytać z cierpkich, reakcyjnych komentarzy.

Nadzorca Nakhlata Yitshak na swój arogancki, wrogi sposób utarł mi nosa.

Język hebrajski zapewniał ci dostęp do jego świata – nie tylko jego religii, ale również samego Izraela.

Parę dni później ponownie uzmysłowiono mi, kto ma prawo przynależeć do tego kraju. Uwaga nie pochodziła od ponurego sprzymierzeńca kasty religijnej, ale od przyjacielskiej, światłej kobiety.

Dora urodziła się w Krakowie i mówiła płynnie po niemiecku. Spotkałem ją w Beth Hatefutsoth, Muzeum Diaspory znajdującym się na terenie Kampusu Uniwersytetu Tel Awiw. Siedziała skupiona w ciasnym pokoiku, w którym można było obejrzeć mikrofilmy z danymi genealogicznymi, przeglądając archiwa ze swojego rodzinnego miasta. W czasie wojny Dora przez jakiś czas siedziała w niesławnym obozie pracy w Płaszowie, pracowała nawet przez pewien czas w Deutsche Emailwaren Fabrik Oskara Schindlera. Jej rodzice i dziadkowie zginęli w obozie zagłady w Bełżcu. Ona sama przeżyła Auschwitz i Ravensbrück. Szybko wdaliśmy się w dyskusję o Izraelu. Choć nie zapytała mnie, czy jestem Żydem, zakładała, że jestem bezkrytycznym zwolennikiem jej kraju.

– Szkoda, że jest nas tylko pięć, a nie dziesięć milionów – stwierdziła – wtedy Arabowie nigdy nie ośmieliliby się na nas napaść.

Niewiele zrozumienia okazywała wobec arabskiej mniejszości w Izraelu.

– Ach, ci ludzie mają zupełnie inną mentalność – mówiła. – *Wir sind europäisch*. Nigdy się nawzajem nie zrozumiemy.

– Dwa tysiące lat temu żydzi również byli ludem Wschodu – odciąłem się.

– Ach, tak – powiedziała na to i wzruszyła ramionami.

Takie proste poglądy o Arabach pokutowały u wielu starszych Izraelczyków. Oni wznosili kraj na fundamencie wartości europejskich. Izrael był jak najbardziej starotestamentalną Ziemią Obiecaną, tymczasem Herzl dążył do stworzenia państwa świeckiego, w którym doszłoby do pełnego rozwoju osiągnięć Oświecenia oraz takich europejskich koncepcji, jak liberalizm i demokracja. Pionierzy byli nimi przesiąknięci.

Anegdota o niemieckich imigrantach z lat trzydziestych była więcej niż dowcipem o niemieckiej naturze narodowej. W walce pionierów wszystko musiało dosłownie zostać wyrwane ziemi. Rękawy zakasywali zarówno budowniczowie i brukarze, jak i docenci uniwersyteccy oraz adwokaci. Przy budowie domu natychmiast można było odróżnić od reszty niemieckich intelektualistów. Przy przekazywaniu sobie cegieł z rąk do rąk niezmiennie rozbrzmiewało: *Bitte, Herr Doktor; Danke, Herr Doktor*. Niemieckie poczucie wytworności uzewnętrzniało europejską mentalność, która zderzała się z arabską. Talent organizacyjny z niedbałością, pracowitość z lenistwem, samodyscyplina z nonszalancją, kulturalne wyrafinowanie z zacofaniem.

Sześćdziesiąt lat później europejscy pionierzy wciąż określali swoje poszanowanie lub pogardę wobec innych, kierując się tym samym kodeksem

zachowania. Nie tylko Palestyńczycy byli krytykowani. Również nie-zachodnich Żydów oceniano wedle tych starych kryteriów.

– Marokańscy żydzi są nieznośni – mówiła niezrażona Dora. – Większość nie potrafi czytać ani pisać. Mimo to domagają się natychmiast wszystkich praw. Czy z analfabety da się tak sobie zrobić kasjera bankowego?

Kiedy się żegnaliśmy, Dora zapytała, czy może mi udzielić pewnej rady.

– Proszę się nauczyć hebrajskiego – wypowiedziała poważnie. – Jesteśmy jedną wielką rodziną. Nikt z nas nie może zawieść drugiego. Musi się pan nauczyć hebrajskiego.

Był to wyrzut. Oceniała mnie gorzej niż marokańskiego żyda. Ci przynajmniej żyli tutaj – na dobre i na złe. Dopiero poznawszy jej język, mogłem domagać się szacunku.

Poglądy Dory o jej rodakach składały się ze sprzeczności i uprzedzeń. Co znamienne, ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Jej największy wróg mieszkał poza granicami kraju. Nie tylko nieugięte reżimy, które czyhały, jakby tu zniszczyć Izrael, ale również jednostki mi podobne – za leniwe i zbyt obojętne, by nauczyć się hebrajskiego – przyczyniały się do jej fanatycznego przywiązania do swojego narodu.

12 listopada 1948 roku w Ramat Gan zmarł mój dziadek. Rok później wdowa po nim wprowadziła się do swego syna i synowej w Belgii. Czy Felix i Else Peritzowie przywiązaliby się do Izraela, gdyby razem się tam spokojnie zestarzeliby? Kiedy wojna się skończyła, najpierw musieli uporządkować sprawy rodzinne. Krewni pisali do siebie jeden list po drugim. Kto miał wieści o rodzinie w Europie? Przywracano równowagę po dziesięciu latach chaosu i wykorzenia.

Moi dziadkowie pogodzili się ze swoim pobytem w Palestynie. Zrezygnowali z emigracji do Australii. Erich Durra w swej korespondencji z siostrą nie przebierał w słowach. Przeprowadzka do Melbourne tylko by wszystkim przysporzyła kłopotów. W Australii było mało pracy, widoki na przyszłość dla imigrantów wciąż wyglądały ponuro, a wprowadzenie się do chorej matki wystawiłoby nerwy wszystkich na próbę. Moja babcia jak zwykle zaakceptowała radę brata.

Raczej liczyła na powrót syna. Latem 1945 roku armia brytyjska udzieliła Wernerowi trzymiesięcznego urlopu, by odwiedził swych rodziców w Palestynie. Felix i Else nie posiadali się ze szczęścia.

„Kiedy dziś rano przyszedł list od Ciebie i przeczytałam twoje pytanie, co masz nam przywieźć, tak mnie zemdliło z podniecenia, że nie mogłam dalej jeść – napisała 4 września jego matka. – I nawet nie wiesz, kiedy przyjedziesz?! Akurat był u nas Fredi, który powiedział: «Co to dopiero z tobą będzie, jak Werner naprawdę przed tobą stanie?» Odpowiedziałam, że nie wiem. Ach, mój ukochany synu, nie mogę sobie tego po prostu wyobrazić. *Gott gebe, dass es Wirklichkeit wird.* Być może lepiej najpierw powolutku się przyzwyczaić do myśli, że znowu cię zobaczę”.

Jej radość nie przeszkodziła jej robić Wernerowi wymówki. Nie miało żadnego znaczenia, że zalężniony uczeń z 1938 roku stał się pewnym siebie dorosłym. „W swoim ostatnim liście zrobiłeś parę błędów stylistycznych – strofowała go. – Następnym razem ci je poprawię. Od tej pory masz pisać bez zarzutu, słyszysz?!”

Odwiedziny mojego ojca w zimie 1946 roku stały się wyborną okazją dla jego rodziców i krewnych do nakreślenia jego przyszłości. Erich Durra miał w tym oczywiście czynny udział. Jego przemyślenia w liście do Else, Felixa, a także Wenera prawdopodobnie nie bardzo przypadły mojej babci do gustu. „Trzeba nade wszystko dobrze się zastanowić, do jakiego kraju Werner ma się wyprowadzić – pisał 8 stycznia 1946 roku. – Czy zostaje w Anglii? A może chcecie, by przyjechał do Palestyny? Sam nie jestem zwolennikiem tego pomysłu, choć rozumiem, że wy macie inne zapatrywania na ten temat”.

Erich obawiał się, że jego siostrzeniec nie znajdzie w Palestynie żadnej

pracy. Twierdził, że powierzchowne przyuczenie do zawodu, jakie Werner otrzymał w Anglii, nie uczyniło z niego pełnowartościowego stolarza. Złą wiadomość zachował dla Else na koniec listu.

„A co sam Werner właściwie chce? – pytał ją brat. – Ma już coś na oku?”

Pytania tego moja babcia wołała nie słyszeć? Werner miał dwadzieścia trzy lata, oczywiście miał święte prawo działać na własną rękę, ale gdzie chłopcu-bezpaństwowcowi, wciąż żołnierzowi, bez pracy i niezwiązanemu z nikim na stałe byłoby lepiej, jak nie u swoich rodziców?

„Opowiedz mi, proszę, o waszych planach dotyczących przyszłości Wenera” – napisał Erich.

Nikt nie wiedział, że tymczasem Werner podjął postanowienie zaręczenia się z pewną Flamandką. Poznał ją półtora roku wcześniej na balu. Miała wtedy siedemnaście lat. Wieczór w Białym Lwie wrył się w jej pamięć głównie z powodu zabawnego incydentu. Kiedy jeden z żołnierzy, który tańczył z jej starszą siostrą, zapytał ją, czy mówi po angielsku, ta odpowiedziała: *Nein*. Może jeszcze ci Anglicy pomyśleli sobie, że te dziewczyny wychodziły tylko z niemieckimi żołnierzami!

– Zapytałam swoich rodziców, czy Werner może przychodzić w niedzielę pograć na pianinie – opowiadała moja matka. – Nie mieli nic przeciwko temu.

Werner (Vernon) miał również szczęście, że jego jednostka nie zamierzała szybko się zwijać z Haren. Miejscowość była oddalona od jego ukochanej o krótką przejażdżkę tramwajem.

„Chodzą pogłoski, że zostaniemy w Haren do października 1946 roku. *Mazzeltow!*” – napisał do swoich rodziców.

Z wieścią o zaręczynach poczekał na odwiedzin w Palestynie. Tak ważkiej wiadomości nie oznajmiało się listownie.

– Rodzice bynajmniej nie zareagowali pozytywnie – opowiadał mój ojciec. – Nie pamiętam już dokładnie, co powiedzieli.

Nie mogli nie być zadowoleni ze względu na syna, ale rozumieli, że powrót ich ukochanego Wenera był wykluczony. Czy czuli rozczarowanie? W każdym razie Else nie od razu powiadomiła swojego brata Ericha w Melbourne o zaręczynach.

„Już cztery tygodnie czekamy na wiadomość – pisał Erich wyraźnie poirytowany. – Nie potrafię wytłumaczyć sobie waszego milczenia. Po odwiedzinach Wenera mogliście nam przynajmniej wysłać obszerną ich relację. Niepokoiemy się. Zwłaszcza *Mutti* się martwi. Co rano idzie do skrzynki na listy i za każdym razem powraca rozczarowana. Wyślij, proszę, list pocztą powrotną!”

Długa cisza moich dziadków była znamienna. Czy Else nie potrafiła pozbierać się po ciosie utraty syna?

Czy może nie śmiała powiadomić brata, że Werner ożeni się z katoliczką

i przechodzi na katolicyzm?

– Nigdy nie słyszałem twoich dziadków skarżących się na swoją przyszłą chrześcijańską synową – opowiadał Fredi Durra w swoim mieszkaniu w Naharijji.

– Ale zakładam, że przykro im było o tym słyszeć. Który żyd nie uważa tego za przykre?

Fredi był pół roku starszy od mojego ojca. Gałąź jego rodziny przed wojną utrzymywała niewielki kontakt z moimi dziadkami w Breslau. Dopiero w Palestynie dobrze ich poznał. Był atrakcyjnym chłopcem i do tego tak czarującym, że zdołałby wywabić niedźwiedzia ze sklepu z miodem. Swoją nieskrępowaną aparycją zdołał zaskarbić sobie względy przede wszystkim mojej babci. Bratanek i ciotka tak dobrze się ze sobą dogadywali, że Fredi stał się dla Else drugim synem. Mieszkał poza tym zupełnie sam w Palestynie. Wszyscy jego pozostali w Breslau krewni zginęli w Auschwitz.



Rosa Vandenbrande, w 1946

roku zaręczona z Vernonem Pearcem

Koniecznie chciałem spotkać Frediego. Był jedynym ważnym świadkiem palestyńskiego okresu moich dziadków. Krótco po samobójstwie jego ciotki w La Paz w 1951 roku wysłał moim rodzicom wieloznaczny list. Pisał, że zawsze był powiernikiem mojej babci. Następnie precyzyjnie, acz bezlitośnie wyłożył swoje zdanie o jej charakterze.

Dobry rok później zerwał wszelki kontakt z moim ojcem. Z absurdalnych powodów.

Fredi od jakiegoś już czasu prowadził w Tel Awiwie klub nocny, Yarkon Bar, w którym występował jako kabareciarz, a w swoim zespole jazzowym zarówno śpiewał, jak i grał na perkusji. Jego żona, Tikvah Cohen, elegancka i piękna córka żydowskiego bankiera z Jemenu, zajmowała się finansową stroną przedsięwzięcia. W 1952 roku Fredi uznał, że nadszedł czas, by popchnąć swoją karierę w świecie rozrywki trochę dalej. Marzył mu się Nowy Jork. Mieszkało w nim wielu niemieckich Żydów, których śmieszyłyby jego dowcipy i którzy doceniliby jego komiczne piosenki. Poza tym Tikvah urodziła się w Nowym Jorku. Mogłaby go wprowadzić w odpowiednie środowisko. Ponieważ do realizacji tego przedsięwzięcia potrzebował sporo pieniędzy, poprosił swego dalekiego kuzyna o wsparcie finansowe.

– W tamtym okresie się nam nie przelewało – opowiadał mój ojciec. – Mimo to postanowiliśmy mu pomóc. Zdecydowaliśmy się z matką sprzedać futro matki, które ta zostawiła w Belgii, i wysłać mu uzyskaną sumę. W liście, który dołączyłem, wytłumaczyłem mu, że na więcej nie było nas stać.

Krótko potem nadeszła odpowiedź Frediego. Zamierzał dotrzeć do Nowego Jorku przez Paryż.

„Za wasze pieniądze mogę ledwie zapłacić za taksówkę z Gare du Nord do hotelu” – napisał bez ogródek.

Moi rodzice byli oburzeni. W 1998 roku wciąż jeszcze nie przetrwali tego incydentu. W oczach mojej matki rozbłysnął ogień, kiedy dowiedziała się, że zamierzam odwiedzić Frediego, choć dzień przed wyjazdem wcisnęła mi do ręki pudełko belgijskich pralinek jako prezent dla „tego niewdzięcznika”.

Zimą 1946 roku mój ojciec często spotykał się z Fredim w Ramat Gan. Werner był pod wrażeniem swojego towarzysza. Chociaż Fredi był w jego wieku, z nich dwójga tamten wydawał się dojrzałszy, a to za sprawą swojej asertywności. Dojrzałość Frediego opierała się na jego niezachwianych przekonaniach. Nie kwestionował nic ani nikogo, również samego siebie. Dlatego był idealnym uczniem mojej babci. Ona emanowała intelektualną aurą, on chłonał jej rady jak gąbka.

A jednak Fredi nie do końca zdołał przekonać do siebie mojego ojca. Przede wszystkim uwierało mu samozadowolenie Frediego. Werner dorastał w zupełnie

innej postawie. Matka zawsze bacznie go obserwowała. Jej syn miał być grzeczny, dobrze się uczyć i schludnie ubierać.

Ten, kto stale musi spełniać najsurowsze wymagania, płaci wysoką cenę. Else nigdy nie była zadowolona. Zawsze można było zrobić coś lepiej. Często prowadziło to do paternalizmu. Dopiero w Anglii ojciec uwolnił się od jej wścibstwa. Kiedy ogłosił, że się zaręczył, to w nim dokonała się przemiana, nie w jego matce. Gdzie się podział ten miły i skromny chłopiec, którego wszyscy tak jej zazdrościli? Dlaczego się jej nie poradził, nim dokonał tak odważnego kroku?

Babcia długo nie oddała się smutkom. Należało oszacować przyszłą synową. Czy ta była wystarczająco dobra dla jej syna? Wernerowe opisy estetycznych, moralnych i intelektualnych przymiotów swojej narzeczonej nie mogły w pełni przekonać Else. Ku jej zaskoczeniu oblubienica nie dała sobie w kaszę dmuchać. W swoim pierwszym liście do przyszłych teściów najpierw wylewnie podziękowała Else i Felixowi za skrzynkę pomarańczy, którą jej przysłali, ale potem uznała za konieczne nieco skorygować swoją teściową.

„Vernon powiedział mi, że nie odpowiadają wam książki, które czytam – napisała poirytowana. – Sądził, że czytam tylko tanie romansidła. Nie ma w tym za grosz prawdy. Najchętniej czytam powieści historyczne”.

Wyraźnie poczuła się dotknięta w swej miłości własnej. Nie był to dobry początek jej stosunków z Else.

Zaręczyny przemieniły mego ojca. Od swojej emigracji do Anglii w lecie 1938 roku praktycznie nie musiał dokonywać żadnych wyborów. Jediną poważną decyzję podjął w Australii, kiedy chciał opuścić obóz dla internowanych, by zaciągnąć się do brytyjskiej armii, lecz decyzja ta wynikała w większej mierze z rozpacz niż mądrości.

Od 1946 roku sam wziął sprawy w swoje ręce. Opuścił armię i wystąpił o brytyjskie obywatelstwo. Nadszedł też czas, by poszukać pracy. Definitywnie zrezygnował z wyjazdu do Palestyny. Jego żona nigdy nie zechciałaby mieszkać w kraju, który w każdej chwili mógł eksplodować. Można było rozważyć Anglię. Zatrudnił się w biurze sir Roya Feddena, właściciela fabryki silników turbośmigłowych w Stoke Orchard, miejscowości między Cheltenham a Gloucester. Krótco potem rząd brytyjski wstrzymał dofinansowanie dla sir Roya. Ojciec został zwolniony. Matka jego narzeczonej zaoferowała mu pracę w rodzinnej firmie. Prawdopodobnie nie zrobiła tego wyłącznie ze względów filantropijnych. Babcia ze strony matki była bystrą bizneswoman, która w lot przejrzała, czy ktoś nadaje się do spędzania długich i ciężkich godzin pracy w jej hurtowni towarów kolonialnych. Do mego ojca miała pełne zaufanie. Jego przyszłość została rozstrzygnięta. Pozostało mu tylko przejść na katolicyzm i się ożenić.

Sytuacja polityczna w Palestynie pogarszała się. Arabowie napadali na

Żydów, żydowscy terroryści dokonywali coraz częstszych zamachów na brytyjskie cele, brytyjskie władze internowały lub wydalały nielegalnych imigrantów.

Tymczasem jedynie korespondencja listowna podtrzymywała wrażenie, że więzi rodzinne wciąż były równie silne, a przyjaciele o sobie nie zapomnieli.

„Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy dziś rano otrzymałem twój list – pisał Georg Sternberg do Felixa, swego przyjaciela z młodości. – To jedyny dowód na to, że przyjaciele wciąż pozostają przyjaciółmi, choć rozdzielają ich kontynenty”.

Georgowi Sternbergowi udało się uniknąć deportacji. Był świadkiem oblężenia Breslau i zdał dziadkowi obszerną relację ze zniszczenia miasta.

Od swojej rodziny Felix nie otrzymywał niemalże żadnych wiadomości. Jedynie o Hansie, synu swego brata Rudolfa, wiedział, że przeżył on Auschwitz i wraz z żoną przebywa w obozie w Niemczech. Resztę klanu Peritzów jakby zmiotło z powierzchni ziemi.

Trwająca całe lata izolacja zaczynała ciążyć moim dziadkom. Babcia nie potrafiła otrząsnąć się z brzemienia samotności.

„Twoją matkę znałem jako wiecznie nieszczęśliwą i niezadowoloną osobę” – napisał po jej śmierci Fredi do mojego ojca. Zdaniem Frediego owo rozżalenie wynikało w równej mierze z jej charakteru, co z odebranych w życiu ciosów.

„Już jako dziecko była nerwowa i drażliwa – ciągnął Fredi. – W rodzinie uchodziła za wyjątkowo uzdolnione dziecko. Tak się składa, że Durrowie byli swobodnymi i spontanicznymi ludźmi, czego twoja matka nie cierpiała. Prawdopodobnie i ona pragnęła móc okazać takie niewymuszone zachowanie, ale nie za dobrze jej to wychodziło. Ubóstwiała swojego ojca, który cieszył się reputacją błyskotliwego człowieka o ciętej riposćcie. Wydaje mi się, że zawsze uważała się za lepszą od innych. Wiesz przecież, że wśród Durrów było szereg inteligentnych ludzi. Tylko że w przypadku twej matki zawsze odnosiłem wrażenie, że jej wiedza i odczytanie nie narastały naturalnie, ale miały zapełnić jakąś pustkę, jak gdyby jej erudycja rekompensowała jej utracone w życiu szanse”.

Felix Peritz również nie spełniał jej wysokich oczekiwań. „Else i Felix nigdy siebie nie zawiedli – pisał Fredi do ojca. – Zawsze się ze sobą we wszystkim zgadzali, a mimo to umysłowo i cieleśnie pozostawali niespełnieni. Twój ojciec był szczerym, otwartym i prostym człowiekiem, pracowitym i nieskomplikowanym – całkowitym przeciwieństwem twojej matki. Ich związek szybko przerodził się w małżeństwo z rozsądku. Dla Felixa niewiele to zmieniło. Miał swoją pracę i często był poza domem. Na twoją matkę miało to katastrofalne oddziaływanie. Świadomość, że nie może osiągnąć tego, czego zawsze pragnęła, czyniła ją melancholijną i niezadowoloną. Poza tym była za słaba i niepraktyczna, by od niego odejść. A do tego rodzina, którą taki rozwód by wstrząsnął! Więc przy nim została”.

Najprawdopodobniej babcia poddałaby się losowi, gdyby nie straciła swoich dzieci. Kiedy zmarł jej sześćoletni synek Ernst, Else się załamała. Mój ojciec był pewien, że nigdy nie pozbięrała się z tego załamania nerwowego. Nagła śmierć Ernsta dla niego stanowiła najważniejszą przyczynę jej późniejszego cierpienia. Czy tak bardzo kochał swoją matkę, iż nie dojrzał jej predyspozycji do zadreżczania się i narzekań? Czy nigdy nie zdał sobie sprawy z tego, jak niebywale surowo oceniała siebie i innych, i dlatego ustawicznie narażała się na niezadowolenie? W każdym razie sama babcia wykorzystywała utratę Ernsta jako przyczynę wszystkich swoich dolegliwości.

„Twoja matka nigdy nie wylizwała się ze swego załamania nerwowego” – potwierdził Fredi mojemu ojcu. Żeby uniknąć wszelkich wątpliwości, podkreślił słowo „nigdy”. Któż inny wmówił mu to przekonanie, jeśli nie jego ciotka?

W 1938 roku jej jedyne ocalałe dziecko wyemigrowało.

„Wydaje mi się, że twoi rodzice tym samym popełnili swój jedyny wspólny błąd – wyjaśniał Fredi dalej w liście. – Byłeś jedynym, co wspólnie posiadali. Wszystko inaczej by się potoczyło, gdybyście uciekli z Niemiec razem. Ale oni chcieli cię ocalić, oszczędzić ci wszelkiego cierpienia. I tak tych dwoje samotnych, starych ludzi cierpiało cicho dalej na własny sposób, samotnie. Nie zdołam ci opisać, jak bardzo czuli się nieszczęśliwi i opuszczeni, oderwani od rodziny, która powinna być dla nich jedynym źródłem radości w ich niezadowalającym życiu”.

Fredi Durra mieszkał w Naharijji, małym kurorcie wypoczynkowym na północy Izraela, pod granicą z Libanem.

Miasteczko założyli w latach trzydziestych dwudziestego wieku niemieccy imigranci. W miejscu tym opada ze wzgórz pienisty strumień i wpada do morza. Pionierzy nazwali osiedle *Flüsschen* (Naharijja), ponieważ malownicze miejsce budziło ich tęsknotę za *Heimatem*.

– Fredi przyjmie cię z wyciągniętymi ramionami – zapewniała mnie w Londynie Suzanne Priestley. – To czarujący mężczyzna i bardzo gościnnie. Na pewno będziesz się mógł u niego zatrzymać.

Suzanne pochodziła z Durrów, a na jej ślad trafiłem dopiero w 1996 roku. Jej siostra Lilli również mieszkała w Londynie, zaś ich brat Hans wyemigrował do Palestyny jeszcze przed wojną. W Ajjelet ha-Szachar, kibucu w Górnej Galilei, pozostawił liczne potomstwo.

Klan Durrów nie tylko był dużo bardziej rozległy, niż przypuszczałem, ale również kontakty między gałęziami z Breslau i Berlina okazały się aż do wojny intensywne.

– Oczywiście, że pamiętam twojego ojca – wykrzyknęła entuzjastycznie osiemdziesięcioczeroletnia Lilli Jacob. Siedzieliśmy obok siebie w fotelu w salonie jej eleganckiego apartamentu w Hampstead Garden Suburb, dzielnicy solidnych domostw z okresu międzywojennego. W 1933 roku naziści złamali jej młodą karierę aktorki i śpiewaczki. Pięć lat później, w chwili, kiedy wszystkie przygotowania do jej ślubu były zakończone, nieoczekiwanie zmarł jej narzeczony Kurt Havelland, dyrygent żydowskiego *Kulturbund*. Havelland udzielał kiedyś mojemu ojcu lekcji pianina, ale uważał, że Wernerowi brakuje talentu.

Lilli wciąż była piękną kobietą. Chociaż chorowała na chorobę Parkinsona, a jej pochylone plecy rzucały się w oczy, bo poruszała się o lasce, jej twarz, niczym przezroczyta porcelana, nadal promieniała bladym pięknem. Jej ciemne oczy pały z podekscytowania, choć może i za sprawą whisky, której bez ustanku dolewała nam do kieliszków.

Lilli i Suzanne przybyły do Anglii po „nocy kryształowej”. Pierwsze miesiące przystosowania przebiegły wyjątkowo ciężko. Lilli wstąpiła na służbę do węgierskiej rodziny, która traktowała ją jak członka rodziny. Jej siostra została opiekunką do dzieci u bogatych Żydów w Holland Park. Strasznie tam tęskniła. Córeczka jej państwa wyśmiewała się z niej. *She can't speak English, she can't speak English*^[138] – kpiła bez przerwy.

W 1940 roku Lilli wyszła za Paula Demela. Po jego śmierci w 1946 roku ponownie wyszła za mąż, za Johannes Jacobiego. Jej drugi mąż również zmarł i mieszkała teraz z Ernestem, jowialnym, starszym panem, który czuwał nad nią jak

sumienna przyzwoitka.

– Często przychodziłam do twoich dziadków – opowiadała Lilli. – Byli takimi miłymi ludźmi. Else jednak zawsze otaczał jakiś nimb melancholii. Po naszym wyjeździe z Breslau zupełnie straciliśmy ich z oczu. Co się z nimi w ogóle stało?

Streściłem jej ostatnie lata ich życia. Wieść o samobójstwie Else wstrząsnęła Lilli.

– To musiało być straszne dla twojego ojca – wymamrotała.

Upiła spory łyk whisky. Naraz jej oczy rozświeciły się.

– Przypomniała mi się piosenka, którą śpiewałam kochanemu Wernerowi – wypowiedziała entuzjastycznie. – Miałam dwanaście lat, on był jeszcze niemowlęciem. Wydaje mi się, że twoja babcia wyszła za jakimś sprawunkiem i żeby uspokoić Wernerle, wzięłam go na kolana.

Głos Lilli brzmiał krucho i ładnie, jakby chciała odtworzyć dokładnie ten sam czuły nastrój, w jakim dawno temu chciała ukoić dziecko.

Wo isser denn, wo isser denn, wo ist denn unser Werner?

Wo ist denn unser Wernerle hingekommen?

Er ist mal in den Wald gegangen, in den grünen Wald,

Da wollt er sich ein Mäusele fangen,

und kommt dann bald.

Roześmiała się perliście, dumna, że bezbłędnie przypomniała sobie kołysankę.

– Nie fałszowałam za bardzo? – zapytała z udaną skromnością.

W czasie wojny pracowała dla niemieckojęzycznej rozgłośni radiowej BBC. Śpiewała tam również lekkie piosenki i arie operetkowe. Od czasu do czasu występowała w jakimś filmie. Nie miała nic przeciwko temu, że nazywano ją „Demelle” zamiast Demel. Wymowa z francuska brzmiała o ileż bardziej artystycznie. Na zdjęciu wykonanym w studio Bush House, rozgłośni BBC, pozowała między innymi z Kurtem Differingiem, który później odgrywał arystokratycznego nazistowskiego generała w hollywoodzkich filmach wojennych. Chociaż dzieci i wnuki jej brata zapełniały pół kibucu, nigdy nie odwiedziła Izraela. Od wczesnej młodości przyzwyczajona była w czasie podróży rozpieszczać się w luksusowych hotelach. Również po wojnie jeździła do szykownych niemieckich i austriackich kurortów.

Z kolei dla Suzanne Izrael był drugim domem. Ściany jej mieszkania w Cricklewood obwieszane były ozdobnymi talerzami i malunkami, które przywoziła z podróży do tego kraju. Na kominku i stolikach w salonie stało mnóstwo zdjęć jej brata. Hans miał dużą, ogorzałą głowę, jakby malarz wykonał szkic, po czym uznał, że nieskończona praca go zadowala. Suzanne ogromnie kochała brata.

– Dlatego co roku jeżdżę do Ajjelet ha-Szachar – powiedziała. – Jego synowie bardzo przypominają ojca. To tak, jakby znowu był przy mnie.

Głos Suzanne skrzypiał jak u żaby z zapaleniem gardła. Parę lat wcześniej pewien chirurg przez przypadek przeciął jej struny głosowe, kiedy była operowana na guza. Tak jak jej starsza o pięć lat siostra, również Suzanne dbała o siebie w każdym calu. Z wysokimi kośćmi policzkowymi, dyskretnie umalowana, prezentowała się nader dystyngowanie.

Jej ciekawski, niemalże świdrujący wzrok zdradzał, że natychmiast chciała się dowiedzieć, kim jestem i czy można mi zaufać. Wy tłumaczyłem jej, dlaczego chcę pisać o mojej rodzinie, i dałem jej w prezencie parę zdjęć przedstawiających ją z jej rodzicami w ich domu w Breslau, które znalazłem w La Paz i w Melbourne.

– Bardzo mi przykro, że mojego syna w ogóle nie obchodzą jego żydowski przodkowie – wyznała ze skargą. – Mieszka z żoną na Lazurkowym Wybrzeżu. Tylko pieniądze się dla nich liczą. Przestało mnie to napawać goryczą, ale wciąż mnie smuci.

Suzanne była *war bride*, jedną z wielu młodych kobiet, które wychodziły za mąż tak szybko, jak to możliwe, nim poległ ich mąż. Jej małżonek, Heinz Priester (Priestley), zmarł w wieku pięćdziesięciu sześciu lat. W jego rodzinie mężczyźni nigdy nie dożywali więcej niż pięćdziesiąt sześć lat, zapowiedział.

Suzanne miała siedemnaście lat, kiedy Hans wyemigrował do Palestyny. Wyjazd jej ukochanego brata stanowił pierwszy wielki szok w jej życiu. Kiedy w 1920 roku zmarła jej matka Alice, Suzanne była jeszcze za małą, by rozumieć smutek.

– Mój ojciec był zagorzałym syjonistą – opowiadała. – Szkoda, że wtedy potrzebowali w kibucach przede wszystkim chłopców. Z wielką chęcią bym tam pojechała.

W czasie wojny Hans zaciągnął się na służbę do Jewish Brigade, żydowskiej jednostki pod dowództwem Brytyjczyków. Żydowska brygada walczyła między innymi w kampanii włoskiej.

Willi Durra, ich ojciec, w 1938 roku odwiedził syna w Palestynie. Następnie Willi powrócił do Breslau. W 1942 roku wraz z drugą żoną został wywieziony do Theresienstadt. Został zagazowany w Auschwitz, jego żona przeżyła Theresienstadt.

Suzanne koniecznie chciała prędzej czy później pojechać do Auschwitz.

– Wiem, że to będzie straszne – powiedziała. – Prawdopodobnie dlatego wciąż odkładałam ten wyjazd. Ale muszę to zrobić. *I have to*. Gdzie indziej mogę się pożegnać z ojcem?

Jej brat zmarł w Anglii. Po wczesnej śmierci żony Myry wyruszył w podróż do Londynu, by u swych sióstr dojść do siebie po tej stracie.

– Był niepokieszony – wspominała Suzanne. – Codziennie pisał list do

Myry. Po jakimś czasie jego przygnębienie i melancholia zaczęły wszystkim ciążyć. Odetchnęłam z ulgą, kiedy raz wybrał się z Walterem, synem Lilli, do Lake District. „Tutaj wreszcie zaczyna się czuć większą wolność” – powiedział do Waltera. W tej samej chwili dostał ataku serca, a parę godzin później już nie żył.

Rok w rok Suzanne z niecierpliwością wygląda podróży do Izraela.

– *Ayelet Hashahar is more of a spiritual home for me than are Breslau or London*^[139] – przyznaje. – Prawda, że posiadam brytyjski paszport, ale choć jestem niewierząca, dużo bardziej czuję się Żydówką niż Niemką czy Brytyjką. Dlatego nie chcę wrócić do Breslau. Świadomość, że byliśmy w tym mieście, jest zbyt bolesna. Bo też Breslau było takie piękne i tyle można było w nim przeżyć. Dlatego od małego uczyłam syna języka niemieckiego. Ostatecznie nie tylko w nim dorastałam, niemiecki jest także symbolem kultury, również językiem muzyki, która w domu odgrywała tak dominującą rolę. Pewnego razu kąpałyśmy z Lilli mojego syna Stefana. Jak zwykle prowadziłyśmy z siostrą rozmowę po niemiecku. Nagle Stefan zapytał, dlaczego mówimy po niemiecku. *Du hast doch den Krieg verloren!*^[140] – zawołał oburzony. Tak bardzo wytrąciło to Lilli z równowagi, że uznała za konieczne się bronić: *Aber ich habe einen Britischen Pass!*^[141]

W czasie pobytu w kibucu Suzanne zawsze odwiedzała Frediego w Naharijji. Kiedy jej powiedziałem, że za wszelką cenę chcę porozmawiać z jej kuzynem, ponieważ znał moich dziadków z tak bardzo prywatnej strony, spojrzała na mnie z lekką drwiną. Najpierw pochwaliła gościnność i urok Frediego, po czym jednak mnie ostrzegła.

– Fredi interesuje się tylko sobą – powiedziała. – Przez dziesięciolecia był czołowym konferansjerem w Izraelu. Sukcesy odnosił nawet w Australii i Niemczech. Poznał wszystkie wielkie gwiazdy na świecie i zna milion dowcipów. Nie będzie miał czasu, by rozmawiać o twoich dziadkach.

W pociągu do Naharijji martwiłem się tym, co Suzanne powiedziała o Fredim. Jej wyznania wzmogły moją determinację. Nie zamierzałem pozwolić Frediemu wywinąć się od mojego uprzejmego, lecz nieustępliwego przesłuchania. Zresztą sam potwierdził w liście, że da z siebie wszystko.

„Naturalnie jestem gotowy pomóc ci w realizacji twoich planów – napisał. – Po tylu latach nie będzie jednak łatwo przypomnieć sobie wszystko w szczegółach”.

Pociąg z Tel Awiwu włókł się ospale przybrzeżną równiną w kierunku północy. Nic nie przełamywało monotonii niekończących się sadów i pól. Wagony w większości zajęte były przez żołnierzy. Tych, którzy się zdrzemnęli, bez przerwy wyrывał ze snu przenikliwy terkot telefonów bezprzewodowych. Na pierwszej stronie gazety, którą czytał młodziutki żołnierz, pyszniło się wielkie zdjęcie Kofi Annana i Saddama Husajna. Wieczór wcześniej BBC World ogłosiło porozumienie osiągnięte między Stanami Zjednoczonymi a Irakiem. Umowa miała zostać

podpisana jeszcze dzisiaj. Nie doszło do wojny, mimo iż Sky News zdążyło jeszcze pokazać zdjęcia Izraelczyków chomikujących maski gazowe, jakby komercyjna stacja miała trudności z otrząśnięciem się z napięcia minionych tygodni.

W pobliżu Hajfy przejeżdżaliśmy nad morzem. W 1975 roku z wysokości górnego miasta podziwiałem panoramę miasta portowego i jej zatoki. Od strony brzegu Hajfa prezentowała się mniej atrakcyjnie. Trzęsąc się, pociąg niemiłosiernie wolno sunął przez opuszczony krajobraz podupadłych obszarów przemysłowych i magazynów z wybitymi szymbami. Kilka rdzewiejących frachtowców zalegało na nabrzeżu.

Podczas swojej pierwszej podróży do Izraela ani przez chwilę nie myślałem o żydowskich korzeniach. Zgrywałem perfekcyjnego turystę. W Jerozolimie zakupiłem dla swoich ciotek obrazek z prawdziwym listkiem oliwnym z Ogrodu Oliwnego, brodziłem w Jordanie i podziwiałem dokonania Izraelczyków, którzy zdołali użyźnić pustynię Negew. Ostatniego wieczoru wylądowałem na parkiecie nocnego klubu, gdzie nasz przewodnik przy skowycie trzech apatycznych muzyków uczył nas pseudofolklorystycznych kroczków, a mnie – z powagą i mądrością wyroczeni z Delft – zaklął, bym jak najszybciej poszukał sobie żony i następnym razem przywiózł ją do kraju.

Naharijja była stacją końcową pociągu wleczonego się z Tel Awiwu. Fredi mieszkał niedaleko od stacji, przy spokojnej, obrośniętej drzewami alei wychodzącej na Ha Ga'aton Boulevard, najważniejszą ulicę sklepową. W poprzek głównej ulicy płynął strumień górski, w którym w latach trzydziestych dwudziestego wieku zakochali się pionierzy. Obecnie ciek wodny opasało kamienne koryto i biegł on do morza.

W ogródku frontowym białego, trzypiętrowego budynku mieszkalnego zapytałem starszą kobietę w wózku inwalidzkim, czy tutaj mieszka Fredi Durra. Uśmiechnęła się konspiracyjnie.

– Pan jest gościem z Belgii? – zapytała, wdzierając się w uśmiechu.

– Tak – odpowiedziałem zaskoczony.

– *Ich Ibn die Eva* – odpowiedziała. – *Eva Preiss, und ich bin die Untermieterin*^[142].

Fredi był niskim, krępy, łysiejącym mężczyzną, który przywitał mnie gromkim głosem i przedstawił swojej córce Monice. Natychmiast zasiedliśmy do stołu. Specjalnie dla gościa Monica przyrządziła rosół oraz ich ulubione danie: kurczaka w sosie pomidorowym z purée.

– Tylko Żydzi potrafią robić taki pyszny rosół – powiedziałem do Moniki, która zajęła miejsce obok mnie.

Córka Frediego zaczerwieniła się. Słabo znała niemiecki i być może zrozumiała coś zupełnie innego. Przez całą rozmowę Monica trzymała się na uboczu. Po deserze szybko wstała i poszła zmywać w kuchni.

Jej ojciec był mniej nieśmiały. Podczas gdy Eva kroїła mu mięso na kawałeczki i regularnie dopełniała talerz purée i warzywami, Fredi komentował moje pytania. Oczywiście, że logiczne było najpierw okazać zainteresowanie jemu i jego rodzinie, ale liczyłem na to, że potem, kiedy zacznę go przepytować o swoich dziadków, potraktuje mnie życzliwie.

Fredi był urodzonym gawędziarzem. Czterdzieści lat konferansjerki wyrobiły w nim świetne wyczucie czasu i odpowiedniej puenty. Słuchałem go z zapartym tchem.

Eva niewiele wносиła do rozmowy. Być może wszystko to już słyszała parokrotnie. Wyglądała również na chorą. Miała napuchniętą twarz, a pod oczami grube, ciemne kręgi. Fredi opowiedział mi później, że jej syn, jedyne dziecko, parę lat wcześniej zginął w wypadku drogowym. Zdaniem Frediego wciąż nie pogodziła się z tą śmiercią. Poza tym cierpiała na szereg dolegliwości. Miała astmę i schorzenie płuc, a kiedy podagra i artroza kolan zbytnio jej dokuczały, przesiadała się na wózek inwalidzki. Czuła się lepiej tylko po wizycie swojego fizjoterapeuty. Człowiek ten urodził się w Antwerpii, ale w latach sześćdziesiątych wyemigrował do Izraela.

Z Evą chwilami porozumiewaliśmy się bez słów. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie i za każdym razem, kiedy wybuchałem śmiechem z jednego z żartów Frediego, spoglądała na mnie z lekką drwiną, jakby chciała wysłać mi sygnał, że przejrzała na wylot moją przesadzoną reakcję i że ją akceptuje. W tym czasie Fredi upajał się swoim występem.

– Pewien facet przysłuchuje się w pociągu rozmowie dwóch Żydów. Kiedy ci milkną, mężczyzna się odzywa: „Wszystko z waszej rozmowy zrozumiałem poza jednym słowem: *mischpoche*. *Ist das was...*” Joseph, wiesz, co znaczy *mischpoche*, prawda? – sam sobie przerwał Fredi.

– Oczywiście – odpowiedziałem – Rodzina.

– *Also*. Facet pyta więc: *Ist das was zum Essen?* Nie – odpowiada jeden z Żydów – *das ist zum Kotzen*^[143].

Dla pewności Fredi zapytał mnie, czy spodobał mi się jego wic.

– Jak najbardziej – odpowiedziałem, ocierając łzy uciechy. Za wszelką cenę należało dobrze usposobić do siebie tego człowieka.

– Mam jeszcze jeden – podjął. – Syn rabbiego przeszedł na katolicyzm. Rabbi jest zrozpaczony i wzywa na pomoc wszystkich mędrców i uczonych w piśmie. Nikt nie potrafi mu pomóc. Rabbi tak długo rozpacza i użala się nad swym losem, że tej nocy ukazuje mu się Bóg. „Czemu tak płaczesz, mój synu?” – pyta go. „Mój syn został katolikiem” – szłocha rabbi. „No i co z tego?” – odpowiada Bóg. – Mój przecież też”.

Fredi wyrywał się do opowiedzenia mi najlepszych swoich dowcipów, ja zaś usiłowałem sprowadzić temat rozmowy na rodzinę. Moje wysiłki szły na marne.

Jakiegokolwiek wspomnienie przywodziło mu na myśl jeden z jego megadowcipów.

Kiedy po posiłku pomagałem sprzątać ze stołu, Monica szepnęła mi swoją łamaną angielszczyzną, że nic nie wie o swojej rodzinie.

– Cieszę się, że zadajesz wiele pytań – powiedziała. – Może ojciec zechce kiedyś mnie o wszystkim poinformować.

W albumie rodzinnym Frediego widniało więcej zdjęć dokumentujących jego karierę kabareciarza, niż przedstawiających jego najbliższą czy dalszą rodzinę. Żony Tikvah nigdzie nie dostrzegłem. Przy stole nie wspomniał o niej ani słowem. Z kolei o jej rodzie, Cohenach, serwował jedną anegdotę po drugiej. Podejmował nawet najdelikatniejsze czy najbardziej poufne kwestie.

Suzanne w Londynie wypowiadała się o Tikvah z ogromnym podziwem. Jej zdaniem Fredi źle traktował swoją żonę, a ona była bardzo nieszczęśliwa.

– Tyrała jak wół w tym jego klubie nocnym – opowiadała Suzanne. – Co noc była w nim zajęta do trzeciej czy czwartej nad ranem, a następnego dnia rano musiała zajmować się mężem i dwójką dzieci. *Ich möchte ein biss'l Glück* – kiedyś do mnie powiedziała. Przy Fredim nigdy tego szczęścia nie znalazła.

Tikvah zmarła w 1985 roku. Osiem lat później umarła ich starsza córka Ariella. Miała dopiero czterdzieści pięć lat. Fredi milczał również na jej temat. Czy smutek z powodu śmierci Arielli był wciąż tak świeży, że ból zdołał oddalić jedynie żartami?

Jak przestrzegala mnie Suzanne, Fredi domagał się uwagi dla siebie. List, który mu przywiozłem od ojca, zostawił nieotworzony na stoliku salonu. Dwa dni później, tuż przed swoim odjazdem, zapytałem go, czy go przeczytał. „Nie” – odpowiedział niewzruszenie. Miałem ze sobą również zdjęcia z domu. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

Być może też Fredi tak się popisywał, bo nie mógł znieść tego, że jego kariera już przeminęła. Tęsknił za aplauzem.

– Odniosłem *Riesenerfolg*, nieprawdopodobny sukces – ustawicznie podkreślał. – *Das war unglaublich*.

W rupieciarni otwierał szafę na ubrania i prezentował kostiumy, które nosił w czasie występów.

– To drogie garnitury – chwalił się. – *Tailor made*, szyte na miarę. To była jedna z moich specjalności. Słyszałem z eleganckich garniturów. Co wieczór przebierałem się trzy, cztery razy. To mój granatowy smoking. *Sehr schick, nicht?* A ten pluszowy kazałem sobie uszyć w Australii. To moher. Dotknij, jaki miękki! A to kremowe, lniane ubranie nosiłem, kiedy wygłaszałem lekkie przemówienie satyryczne o *Jeckes*, niemieckich Żydach. Kojarzyło im się z upalnymi latami w *Heimat*.

Fredi *den Leonard Bernstein sehr sehr gut gekannt*^[144], wychwalał Sofię Loren, z którą występował w romantycznym filmie pod tytułem *Judith* (Fredy grał

szypra łodzi, który wioził włoską gwiazdę do jej ukochanego), i zmusił mnie do podziwiania zdjęcia Leny Horne z dedykacją.

Także na ulicy przyjaciele wciąż mu kadzili. Siegele Stern objął go i ucałował.

– Wreszcie cię widzę – powiedział wzruszony. – Kiedy znowu u nas wystąpisz? Chcemy usłyszeć twoje *Witze* i *Gesang*.

Stern był właścicielem małego teatru w Naharijji.

– Już nie umiem tak dobrze śpiewać, jak dawniej – przyznał Fredi.

– Ach, najważniejsze jak ludzie znowu cię zobaczą na scenie – naciskał Siegele Stern.

– W Naharijji nie ma już wystarczająco wielu *Jeckes*, którzy zrozumieliby moje żarty – powiedział Fredi.

– Bzdura – odparował jego przyjaciel. – Ile mieszkańców liczy to miasto? Czterdzieści tysięcy. A ilu potrzebujesz do mojej sali? Stu pięćdziesięciu!

Kiedy się ze sobą pożegnaliśmy, Fredi opryskliwie zaczął się zastanawiać, czemu Siegele Sternowi nagle tak bardzo na nim zależało.

– *Quatsch mit Sosse!* Nigdy się nie lubiliśmy – wyznał kwaśno. – Często się kłóciliśmy. Jego teatr to był koszmar dla poważnego artysty. Garderoba jest tak mała, że ledwie można się w niej obrócić. A w czasie pauzy trzeba było przeciskać się przez publiczność, by dotrzeć do garderoby. To było najgorsze ze wszystkiego.

Bez trudu uwierzyłem Frediemu. Jak mógł u Siegele Sterna cztery razy zmienić swój garnitur?

Propozycję przenocowania u Frediego odrzuciłem, uciekając się do argumentu wykorzystywanego wcześniej z powodzeniem. Powiedziałem, że codziennie muszę opracowywać swój dziennik podróży, a do tego potrzebuję paru godzin kompletnego odosobnienia. Wyłącznie pokój hotelowy mógł mi zapewnić taki spokój.

Hotel Rosenblatt położony był zaledwie kilka przecznic od budynku mieszkalnego Frediego. Wszystko w nim było czyściutkie, ale ściany musiano wykonać z kartonu. Pierwszego wieczoru jakiś mężczyzna w sąsiednim pokoju brał kąpiel, a ja niemalże słyszałem, które z poszczególnych części ciała w danej chwili mył. Kolejnego wieczoru w restauracji tuż pod moim łóżkiem odbywało się przyjęcie zaręczynowe. DJ puszczał izraelskie przeboje i sądząc po odgłosach, tańczono w chodakach. Czytałem *Niewolnika* Isaaca Bashevisa Singera i zazdrościłem Jakubowi Bzikowi, biednemu, samotnemu żydowskiemu parobkowi, że mieszkał w górach oddalonych od zamieszkałych terenów.

Wczesnym popołudniem, podczas godzinnej drzemki Frediego, wędrowałem po jego mieście. Kurort był bardzo popularny jeszcze w latach siedemdziesiątych, potem jednak ataki rakietowe z Libanu wypłoszyły stąd urlopowiczów. Mimo iż od 1982 roku Izrael okupował obszar przygraniczny z Libanem, Naharijja nigdy nie

odzyskała swej dawnej popularności. Degrengoladę najlepiej było widać nad morzem. Wokół piaszczystego terenu zarzuconego śmieciami i zardzewiałymi palami okopały się dwie betonowe kawiarnie niczym bunkry Wału Atlantyckiego. Trochę dalej kilka buldożerów przemieszczało z jednego miejsca na drugie zwały piasku i gruzu. Czyżby Naharijja przygotowywała się do sezonu letniego?

– Burmistrz to debil – huknął Fredi do mnie i swoich dwóch kolegów, Benedikta i Josefa. – Swoimi idiotycznymi przepisami i rozporządzeniami podpisał wyrok śmierci na Naharijję. Reszta to *Quatsch mit Sosse*. Słyszeliście najnowszą wiadomość? Ten idiota chce pomalować wszystkie domy na białą!



Kabareciarz Fredi Durra

Jego przyjaciele kiwali głowami z politowaniem. Siedzieliśmy w ogródku kawiarnianym na placu przy Ha Ga'aton Boulevard. Benedikt pochodził z Wiednia, Josef – z Frankfurtu. Znali Frediego od czterdziestu lat i co rano spotykali się

w tym miejscu. Ich rozmowa przebiegała w zgryźliwym tonie, w porywach przechodząc w opryskliwy. Przerzucano się błyskotliwymi replikami. Fredi był nie w sosie. Nie zawsze udawało mu się odpowiedzieć równie celną ripostą co jego przyjaciele. Jego humor stworzony był dla sceny, na której niepodzielnie mógł imponować swoim widzom. Poza tym Benedikt i Josef w mniejszym stopniu ekscytowali się poczynaniami burmistrza czy opłakanym stanem ich miasta. Pili piwo i z przyjemnością zaciągali się papierosami, pozwalając Frediemu burczeć w najlepsze, a nawet spoglądali na niego kpiąco, kiedy po wypiciu naparu z mięty rozboleł go żołądek.

Fredi zżymał się nie tylko na Naharijję. Bacznie śledził rozwój wypadków politycznych w kraju i o wszystkich i każdym z osobna wydawał niewybredne opinie. Zwłaszcza skrajnie religijnym partiom musiało się dostać.

– *Arschlöcher!*^[145] – zaklął, usłyszawszy w serwisie radiowym, że Wysoki Rabinat nakazał pewnemu pobożnemu Żydowi – szczęśliwemu małżonkowi i ojcu dziewiątki dzieci – rozwieźć się z żoną, ponieważ ta została zgwałcona. Nieszczęsny mężczyzna był równie winny jak rabini – dowodził Fredi. Jak można być tak głupim, by zasięgać rady owych osobników? Normalny człowiek rozwiązuje problemy w rodzinie, uciekając się do zdrowego rozsądku.

W czasie takich dysput Eva stanowczo obierała stronę Frediego. Tak samo jak on ze wszystkich sił buntowała się przeciwko *fromme Juden*^[146], którzy terroryzowali społeczeństwo, zaś polityków szantażowali.

– Najgorszymi fanatykami są Żydzi amerykańscy – mówiła. – Liderzy ich sekt przysyłają ich tutaj za wielkie pieniądze, żeby ci podzęgali ogień nieposłuszeństwa.

Zgorzknienie Frediego i Ewy było zrozumiałe dla pokolenia starszych Żydów, zwłaszcza pochodzących z Niemiec, którzy współtworzyli państwo, a teraz stwierdzali, że niewiele pozostało z ich syjonistycznych ideałów.

W Naharijji nie spotykało się wielu głęboko religijnych Żydów. Pewnego razu główną ulicą miasta przechodził tuzin ortodoksyjnych mężczyzn. Zajmowali całą szerokość chodnika i prowadzili dyskusję, tak wylewnie gestykułując, że tracili całą uwagę dla otoczenia i bezceremonialnie zmuszali innych przechodniów do zejścia im z drogi. Parę lat wcześniej Eva padła ofiarą ortodoksyjnych Żydów. W dniu szabatu przejeżdżała z Fredim przez Hajfę. W pewnej chwili z powodu objazdu trafili do nieznanego sobie dzielnicy. Nagle jakiś *meschuggener frommer Yid* zastąpił im drogę. „W czasie szabatu tędy się nie jeździ” – zawołał. Trochę dalej drogę blokował szlaban. Kiedy Fredi przekomarzał się z facetem, jakaś ciężarówka najechała na ich samochód. Eva doznała ciężkich obrażeń. Służby drogowe musiały ją z wraka wycinać. Frediemu nic się nie stało.

Sztucznie triumfujące usposobienie pobożnych żydów ostro kontrastowało z zachowaniem ludu Felaszów. Etiopscy żydzi – kobiety i mężczyźni

w kolorowych, długich arabskich tunikach – trwali jak figury woskowe w wejściu do banku. Był to poruszający widok. Tłoczyli się blisko siebie i wpatrywali zgaszonym wzrokiem w ziemię, jakby się obawiali, że komuś sobą zawadzają.

– Rząd traktuje Felaszów jak gówno – wyznał oburzony Fredi. – Lata całe gnieździli się w namiotach i barakach, a tymczasem Rosjanie natychmiast po przyjeździe otrzymywali za darmo domy.

Na temat inwazji rosyjskich Żydów nie powiedział ani jednego dobrego słowa.

– Przyjeżdżają tutaj tylko po to, żeby się obłowić – prychnął. – Nie mają żadnej więzi emocjonalnej z krajem. Dostają czterdzieści procent zniżki na nowy samochód. Więc co robią? Wsadzają samochód na statek i sprzedają go z zyskiem w Rosji. Zostają tam, aż im się skończą pieniądze, a potem z powrotem jadą do Izraela, bo z ich mafijnymi praktykami można tutaj zarobić dużo pieniędzy. Prostytucja, spekulacje budowlane; wszędzie się wkręca.

W Naharijji również mieszkało wielu Rosjan. Nad niektórymi sklepami widniały szyldy tak po hebrajsku, jak i cyrylicą. Nawet do świata Frediego i Ewy zdołali się przedrzeć. Galina była zalęknioną dziewczyną o rozmarzonych oczach, pochodziła z Białorusi i wieczorami przychodziła do nich gotować i zmywać.

– *Die Galinkele ist ein sehr hübsches Mädchen, nicht?* – gruchał Fredi. – *Und sie ist auch sehr lieb*^[147].

Czułem ulgę, że mój pobyt dobiega końca. Przez dwa długie dni przysłuchiwałem się Frediemu – artyście kabaretowemu. O moich dziadkach nie powiedział mi dosłownie nic. Byli równie nieistotni jak inni ludzie w jego życiu. Jedną anegdotę znałem już jednak z jego listu. Była to kuriozalna historia.

Pewnego dnia z moją babcią filozofowali na temat idealnej żony. Fredi właśnie poznał Tikvah.

„Aby wiedzieć, czy twoja partnerka jest odpowiednia – powiedziała mu Else – musisz z nią pójść na spacer. Jak zauważysz, że oboje spontanicznie zaczynacie iść tym samym krokiem, znaczy to, że ona do ciebie pasuje”.



Pearce'ów. Pobraли się 31 maja 1948 roku

Zdjęcie ślubne Vernona i Rosy

Fredi zastosował się do tej rady i zauważył, że jego przyjaciółka nie chodzi jego rytmem. Mimo to się z nią ożenił. Logiczne więc, że małżeństwo z Tikvah zakończyło się porażką.

Czy Fredi rzeczywiście wierzył w taką bzdurę? Czy pokolenie, które głosiło ścisły podział ról przypisywanych płciom, łykało taki stek bzdur? Kobieta do garów. Mężczyzna do pracy. Kobieta krok w krok za mężem. Czy Else udzieliła tej pierwszorzędnej wskazówki również mojemu ojcu?

Ciężko mi było pogodzić tę anegdotę z obrazem mojej babci. Ze wszystkich swoich listów wylaniała mi się jako wzór rozsądku i krytycznego myślenia. Czytała Nietzschego, a na jej szafce nocnej leżało wydanie teorii względności Einsteina. Jak to pożenić z obskuranckim przesądem?

Łatwiej udało mi się dopasować do niej parę innych wspomnień Frediego.

– Często z Else wybieraliśmy się na długie spacery – opowiadał. – Zawsze chodziliśmy, trzymając się za ręce. Twoja babcia powiedziała kiedyś... *nun wird die Eva schmunzeln...*

Eva popatrzyła na mnie, delikatnie się uśmiechając. Znała ciąg dalszy.

– „Fredy – powiedziała twoja babcia – *du hast die schönsten Hände in der Welt*^[148]” – zakończył Fredy. A Eva zachichotała.

– Po narodzinach Arielli Else chciała często wychodzić na spacer z nią w wózek – westchnął Fredy. – Na dłuższą metę moja żona uznała, że Else za bardzo się miesza do wychowania dziecka. Wynikała z tego kłótnia. Twoja babcia nie zawsze zdawała się akceptować to, że Tikvah miała więcej prawa do tego dziecka, niż ona.

Else podobno ubóstwiała małą Ariellę. Zrozumiałem, czemu w kufrze w La Paz leżało tyle zdjęć jej ulubienicy i dlaczego w papierowej torebce przechowywała lok niemowlęcych włosów. *Haar von Ariella* – napisano na odwrocie torebki.

Córeczka Tikvah i Frediego urodziła się 12 marca 1948 roku. W Belgii szykowano się pełną parą do ślubu Wenera z jego flamandzką narzeczoną. Moich dziadków nie stać było na podróż do Belgii na wesele. Nic nie wskazywało na to, by ich syn i synowa mieli niebawem przyjechać do Ramat Gan. Ariella stała się dla Else jedyną gwarancją natychmiastowej miłości. Byłem zażenowany jej walką z Tikvah o uwagę dziecka. Choć rozumiałem, że moja babcia była samotna i nieszczęśliwa, nie potrafiłem sympatyzować z dorosłą, wykształconą kobietą, która miała pretensje do posiadania mądrości życiowej, nie potrafiła jednak poskromić swojego egoizmu.

Agenci bezpieczeństwa na lotnisku w Ben Gurion uwinęli się ze mną w pięć minut. Podróż pozostawiła mnie w stanie konsternacji. Już sam nie wiedziałem, czy lubię ten kraj, czy go nienawidzę.

– To najbardziej skomplikowane państwo w świecie – mówił Fredi.

Czy miał rację? Niektórzy z moich przyjaciół uważali, że Izrael to państwo policyjne, bo opowiedziałem im o ścisłych kontrolach i opisałem ulice pełne wojskowych. Dlaczego przesadzałem? W państwie policyjnym życie publiczne trzymane jest w ryzach i wolność polityczna nie istnieje. Tymczasem w Izraelu byłem świadkiem bardziej ożywionej debaty politycznej, niż gdziekolwiek indziej, oraz zaangażowania społeczeństwa we wszystko, co dotyczyło ich kraju. Zaś żołnierze wyglądali równie groźnie jak policjanci.

– *Der Krieg ist unser Schicksal*^[149] – narzekał zrezygnowany Fredi. – Skoro nie potrafimy zachować pokoju między sobą, jak moglibyśmy się pojednać z Arabami?

Jego defetyzm mnie zaskoczył. Izrael przeprowadził pięć wojen. Ostatecznie większość społeczeństwa gotowa była rozwiązać konflikt między Palestyńczykami i innymi Arabami. Przed budynkiem uniwersytetu w Tel Awiwie stał ambulans z gwiazdą Dawida. Na boku pojazdu hojni darczyńcy nanieśli takie przesłanie. „Oto dziewiętnasty ambulans podarowany przez Betty, Nathaniela i Myriam Goldmanów z Minesto, USA. *To the gallant people of Israel*^[150]”.

Ów mężny lud powoli zaczął mieć dosyć prezentów, które służą jedynie tamowaniu krwi. Czy inne państwa zachowałyby swoje demokratyczne instytucje pod tak wielkim naciskiem wewnętrznym i wobec takiej wrogości z zewnątrz?

Na lotnisku przewidziano oddzielne pomieszczenie dla wyznawców ściśle ortodoksyjnej sekty lubawickiej, w którym wolno im się było do woli modlić, kołysząc górną połową ciała. Wokoło dewocyjnych sług Jehowy mrowiła się cizba pasażerów służących mamonie sklepów bezcłowych.

To właśnie był Izrael. Pomimo konfliktów i przeciwieństw wkrótce adepci obu religii mieli wsiąść do tego samego samolotu.

Nie dało się kochać tego kraju bezwarunkowo. Prawdopodobnie da się pokochać jakiś kraj, jeśli zdecyduje się pokazać nam swą przyjacielską twarz, a nie swą złą naturę. Czyż nie wszyscy lubią Bawarię? Piwo, góry, *Dirndl* i orkiestry dęte. Cóż bardziej urokliwego? Kiedy jednak starsi panowie w lokalnej knajpce pewnej dzielnicy Monachium usłyszeli, że pochodzę z Flandrii, wyśpiewali hymn pochwalny Hitlerowi, chwając więzy braterskiej krwi łączącej Flamandów i Niemców.

Również w Izraelu nic się nie dało ukryć. Postępowano tam w myśl zasady: „Co w sercu, to na języku”. Mili ludzie zwracali na siebie uwagę. W restauracji

w Tel Awiwie obsługiwała mnie bardzo ponura kelnerka. Kiedy dałem upust swemu niezadowoleniu z powodu jej braku dobrych manier, przeprosiła mnie i wyczarowała na swej twarzy rozbrajający uśmiech. „Typowa sabra!^[151] – wykrzyknąłby mój ojciec. – Twarda na zewnątrz, miękka od środka”.

Skąd brała się ta szorstkość i nieustępliwość? Z faktu, że przez pół wieku musiano się przeciwstawiać wrogom? Czy dziesięć wieków prześladowania Żydów wydało ludzi, którzy nie dają sobie w kaszę dmuchać? Czy może uparte trzymanie się tradycji religijnej zrodziło taką zarozumiałość i arogancję?

Nie wierzyłem, że Else i Felix zachowywali się równie nieokrzesanie. Jedyne szarmanckimi Izraelczykami byli starsi ludzie, którzy – tak jak moi dziadkowie – dorastali w Europie Środkowej.

Palestyna w każdym razie nie stanowiła dla nich nowego wyzwania, wyzwolenia. Dla mojej babci pisanie i otrzymywanie listów stało się jedynym sposobem poradzenia sobie z wyjazdem z Breslau. Najprawdopodobniej korespondencja była jej najważniejszym zajęciem. Prowadziła staranną jej księgowość. Na każdej kopercie notowała datę dojścia listu oraz datę wysłania odpowiedzi. W ten sposób mogła kontrolować, kto pozostawał jej wierny.

W korespondencji spełniała się bardziej niż Fredi, najbliższy jej krewny i przybrany syn. W swoim liście po jej śmierci Fredi przyznał, że Else również co do niego się zawiodła.

„Chciała mi matkować, wychowywać mnie i się o mnie troszczyć, i robić ze mną wszystko, co chciała robić z tobą i twoim braciszkiem – pisał do mojego ojca. – Niestety sprawy nie szły po jej myśli. Wyszedłem z innego środowiska. Poza tym już w wieku czternastu lat poszedłem do pracy. Potem wylądowałem w kibucu, tak że nie mogłem się dalej kształcić, jak twoja kochana matka by sobie życzyła. Byłem już też muzykiem i poznałem życie nocne. To kłóciło się z jej filozofią życiową”.

Czy Else zarzucała mu także niestałość i nierzetelność? W jednym z listów do syna wyłożyła to kawa na łąkę.

„Fredi kiedyś mi powiedział: *das einzige Beständige an mir ist meine Unbeständigkeit*^[152] – napisała. – Cytował Balzaka. Taki sposób myślenia sprowadził na Balzaca koniec. Dokładnie to samo spotka Frediego, jeśli mnie nie posłucha i nie będzie nad sobą pracować”.

Z lektury listów Else nie można było wysnuć, że jest zawiedziona lub nieszczęśliwa. Okazywała ciepłe i autentyczne zainteresowanie troskom swych przyjaciół oraz krewnych i rozwodziła się szeroko na temat życia w Ramat Gan, a także sytuacji w Palestynie. Nawet jeśli zaczynało w niej wrzeć, Else zawsze usiłowała uspokoić czytelnika. W Ramat Gan nie popełniano zamachów i chociaż ciężko było ze zdobyciem pożywienia, nie należało wpadać w panikę.

Rok po ogłoszeniu przez syna zaręczyn Else napisała do swej przyszłej

synowej pełen czułości list. Styl Else był jak zwykle elegancki i precyzyjny. Najpierw uprzejmie odpowiedziała na wszystkie punkty, które w swoim liście poruszyła narzeczona Wenera. Następnie matka nakreśliła portret swego syna. Jej synowa musiała wiedzieć, za jak cudownego chłopca wychodzi. Pełen miłości opis Wenera niewątpliwie uszczęśliwił moją matkę. Bezinteresowna teściowa przepowiadała jej cudowną przyszłość.

A jednak wyglądało na to, że jeśli tak gloryfikuje swego Wenera, to dlatego, iż zdaje sobie sprawę, że go utraciła. Nie tylko streszczała jego życie – podkreślała również znamienne rolę, jaką sama w nim odegrała. Werner był jej dziełem. To, kim się stał, należało zawdzięczać jej. Pomiędzy pochwałą a życzeniami szczęścia krył się ból z powodu utraty jej chłopca.

„Nie wiesz, ile szczęścia i radości przyniósł nam ten chłopiec – wzdychała. – Nie musisz myśleć, że wszystko tak ci tu odmalowuję, ponieważ to nasz syn. Zawsze był grzeczny i posłuszny. Również jako starszy. Kiedy mówiłam mu, że o siódmej ma być w domu, dzwonił do drzwi za pięć siódma. A mimo to był z niego żywy dzieciak, nie jakiś mól książkowy. Oczywiście, że był ciekawski. I śliczny jak obrazek. Wszyscy go podziwiali. Chyba nie puszczasz go samego na ulicę, mówiło mi wiele osób. Naprawdę! Vernon nigdy nie zdawał sobie sprawy ze swojej urody. Zawsze pilnowałam, by nigdy go z tego powodu nie komplementowano... Był równie inteligentny jak skromny i przystojny”.

Bardzo krótko, w jednym zdaniu, które w nadmiarze dobrodziejstw ledwie co się odznaczało, dała wyraz swemu smutkowi.

„Teraz jeszcze, kiedy siedzę tutaj samotnie w Palestynie, myślę o wszystkim, co dałam swojemu synowi”.

Else zaczynała się nade wszystko denerwować, kiedy korespondujący z nią nie odpisywali regularnie. Szybko wyciągała wniosek, że o niej zapomnieli. Poza tym list nie mógł zawierać nieistotnych treści, wypełniaczy. Musiał być upajającym naparem upodobań, wyznań od serca i porad. Pisanie stanowiło coś na kształt rozmowy w cztery oczy.

Mimo to Else choćby jednym słowem nie wspominała o swych depresjach. Kryła się przed światem zewnętrznym z użalaniem nad samą sobą. W oczy rzucały się już raczej jej optymizm i głód wiedzy. Kiedy Werner podarował swojej narzeczonej *Łaskawą ziemię* Pearl S. Buck, Else pogratulowała synowi.

„Świetny wybór – chwaliła. – To przepiękna książka. Ależ jej się spodoba”.

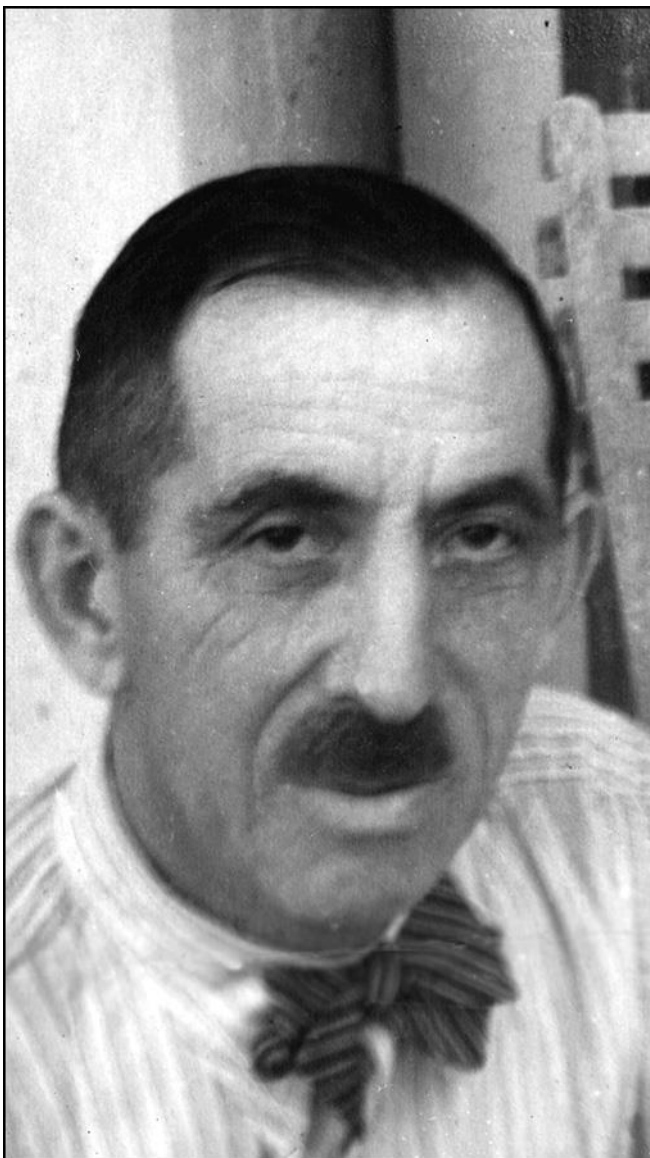
Nie wątpiła również we własny gust w zakresie wyrafinowania kulturalnego. Niebezpiecznie blisko owemu przekonaniu było do pyszałkowatości i mentorstwa.

„Właśnie przeczytałam wyjątkową książkę – pisała do mojego ojca. – *Stern der Ungeborenen* Franza Werfela, który zmarł w zeszłym roku. Była jego ostatnią książką. Nie wydaje mi się, że ją przeczytasz. To powieść futurystyczna o filozoficznych ideach, oryginalna, a jednocześnie humorystyczna. Pan Glaser

z biblioteki powiedział, że niewiele osób ją rozumie. Nie pominęłam żadnej z sześciuset pięćdziesięciu stron, a różne fragmenty przepisałam. Powieść wywarła na mnie głębokie wrażenie. W każdym razie nie znajdzie ona uznania szerokich mas. Uważam Werfla za jednego z największych wśród wielkich. Prawdopodobnie wiesz, że był Żydem”.

Werfel dawał jej zwodniczą pociechę. Literatura i filozofia utwierdzały Else w przekonaniu, że istnienie jest ciężkim zadaniem. Naznaczało ono człowieka egzystencjalną samotnością. Życie i zamartwianie się stawało się jednym i tym samym działaniem. W ten sposób moją babcię wciągało bagno smutku. Odurzona melancholią, przypieczętowanie swego przeznaczenia znalazła w głębokich przemyśleniach pisarzy i filozofów.

Czasem śnił jej się ukochany Ernstl. Głaskała go i spoglądała mu w oczy. Czy tym razem udałoby się go uratować? Innym razem się z nim żegnała. Ernst leżał w łóżku, a ona musiała go w nim zostawić. Następnego dnia Else była zmęczona i przygnębiona.



śmiercią w listopadzie 1948 roku

Felix Peritz krótko przed

Mój dziadek był w takich przypadkach bezradny i mógł się jedynie posiłkować niewyczerpaną cierpliwością. Jej nerwowość i posępność nie wytrącały go z równowagi. Nigdy się nie skarżył. Wszystko omawiali i ustalali razem. Kiedy Felix nagle zmarł, babcia dopiero wtedy zdała sobie sprawę, w jakim stopniu na nim polegała.

Chociaż mój dziadek był łagodnym i zrównoważonym człowiekiem, spokoju, którym emanował, potrzebował również dla własnej równowagi. Ponieważ jego żona nie lubiła prostej rozrywki, Felix nauczył się podejmować określone działania, kiedy Else nie było w pobliżu.

„Dobrze się dogadywaliśmy z twoim ojcem – pisał Fredi do Wenera. – Graliśmy w karty, a on opowiadał mi o swoich perypetiach wojennych i podróżach

służbowych. Wspominał młodość, ale tylko wtedy, gdy twojej matki nie było w pokoju. *Wir verstanden uns grossartig...* Był przeszczęśliwy, kiedy przyjechałeś w odwiedziny. Wydaje mi się, że chciał ci w zaufaniu powiedzieć wiele rzeczy. Nigdy nie nadarzyła się ku temu okazja. Czy podczas twojego urlopu choć raz udało ci się być z nim sam na sam?”

Czy mój dziadek chciał ostrzec swego syna przed niezrównoważonym stanem Else? Listownie nie mógł tego zrobić. Jego żona czytała całą korespondencję, ponieważ do każdego listu męża za każdym razem dopisywała jeszcze parę własnych zdań.

Felix pisał o swojej pracy i zdrowiu. Mój ojciec otrzymał ostatni jego list parę miesięcy przed jego śmiercią. Werner właśnie się ożenił, Izrael właśnie uzyskał niepodległość. Moi dziadkowie nie mogli sobie pozwolić na wyjazd do Belgii na wesele. Felixowi ostatnio dokuczało serce i chociaż był zdrowy, nie stać go było, by na parę tygodni móc porzucić pracę. Poza tym kraj był w stanie wojny. W chwili, gdy jego syn z synową kroili tort weselny, Felix i Else usłyszeli ze schronu spadające na Tel Awiw bomby. 10 lipca 1948 roku niebezpieczeństwo wciąż nie minęło.

„Po czterotygodniowej przerwie wojna znowu się rozpętała – pisał mój dziadek. – Dzisiaj, w szabat, tak często był ogłaszany alarm przeciwlotniczy, że zrezygnowaliśmy z wyjścia do Tel Awiwu”.

Ofiarą walk padli również przyjaciele i znajomi. Zginął syn Oschinskych, wysoki, silny blondyn i niezastąpiona pomoc dla rodziców w prowadzeniu ich firmy. Na szczęście interesy Felixa szły lepiej. Był przedstawicielem handlowym Fama Food Products Ltd. i poza papierosami Empire sprzedawał teraz także artykuły spożywcze. Trzy dni w tygodniu wynajmował samochód z kierowcą. Ten pomagał mu załadowywać i rozładowywać towary oraz towarzyszył przy ich sprzedaży. W inne dni tygodnia Felix inkasował swe należności u klientów i zbierał nowe zamówienia. Papierosy dostarczał głównie wojsku. Artykuły spożywcze były strasznie drogie, ponieważ jednak obecnie nimi handlował, dziadkom niczego nie brakowało. Większych trosk przysparzał im ruch poczty. Z powodu wojny jej dostawy miały ogromne opóźnienia.

Telegram *Cable and Wireless* moich rodziców zawierał tylko jedno zdanie: „głęboko zasmuceni z pow. strasznej wieści – list w drodze”.

12 listopada 1948 roku Felix dostał na ulicy ataku serca. Na miejsce natychmiast przybył lekarz, a z domu wybiegła pielęgniarka. Kiedy karetka pogotowia dotarła do szpitala, mój dziadek już nie żył.

Else się załamała.

Fredi obawiał się, że Else ze sobą skończy. Wśród listów z La Paz znalazłem firmową kopertę Fama Food Products Ltd. Na niej pismem babci napisano: *letzte Aufzeichnungen von Felix. 12/ 11/48*. W środku znajdował się świstek, na którym

dziadek zanotował ołówkiem swoje ostatnie zamówienie: „oliwki, cytryny, pomarańcze pilnie przed 15 listopada”.

Po raz pierwszy Else dała upust swemu smutkowi. Była zaskoczona licznymi wyrazami sympatii.

„Wiele osób powiedziało mi, że przez parę dni nie mogło spać – napisała tydzień po jego śmierci. – Na przykład Lutz Lewinger; śmierć ojca stanowiła dla mnie okropny cios”.

Codziennie przyjmowała zastępy odwiedzających.

„Właśnie wyszła ode mnie pani Kempinsky – zameldowała mojemu ojcu 27 listopada. – Tak jak i ja urodziła się w Rawitsch. Błagała mnie, bym dała jej jakąś pamiątkę po ojcu. Modlitewnik albo coś takiego, prosiła. Spełnię oczywiście jej prośbę”.

Współczucie pomogło jej przetrwać najcięższe tygodnie. Także Fredi powrócił do łask.

„Fredi załatwił pogrzeb – pisała. – Co za pociecha, że zmówił kadisz. W przeciwnym razie musiałabym prosić o to kogoś obcego. Chciałabym, żebyś i ty, kochany Wernerze, zmówił modlitwę, dla siebie samego. Wyobraź sobie twarz twojego drogiego ojca. Napisz mi, gdy to zrobisz. Załączam tekst modlitwy”.

Felix zmarł tuż przed szabatem, dlatego pochowano go dopiero w niedzielę. Tak długo, jak mogła, Else pozostawała u Frediego i Tikvah w Tel Awiwie. Piątkową noc spała jeszcze w Ramat Gan, wbrew radzie Frediego. Szczęście, że jej mąż nie umarł w domu. Musiałby wtedy przez dwie noce leżeć w mieszkaniu, ponieważ nowy cmentarz Nakhlat Yitshkak nie miał jeszcze kostnicy.

Fredi i Tikvah tak dobrze zajmowali się Else w ciągu tych tygodni, że ta postanowiła, iż co weekend będzie do nich przyjeżdżać. Najchętniej na zawsze opuściłaby swoje mieszkanie na Bialik Street. Wszystko przypominało jej Felixa. Kiedy słyszała jakiś dźwięk, miała nadzieję, że to on wejdzie.

Miłość do męża znalazła swe ujście w listach. Czasami wynurzenia brzmiały teatralnie, jakby chciała naśladować swych literackich idoli.

„Jak wiesz, nie było mnie przy ostatnich chwilach życia twojego ojca – pisała. – Ach, Wernerze, jak bardzo chciałabym go móc wziąć w ramiona i scałować śmiertelny pot z jego czoła! *Mein treuer Lebenskamerad, mein immer sorgender Mann!*^[153] Jestem mu winna wdzięczność na wieki. Pozostanę mu wierna aż do własnej śmierci!”

Największą pociechą napawała Else nadzieja ponownego zobaczenia Wenera. Natychmiast po śmierci Felixa zaczęła błagać swego syna, by mogła u niego zamieszkać; Werner bez wahania się zgodził. Już od jakiegoś czasu nosiła się z planem, by pojechać do Belgii. Czy omówiła to z Felixem? Dwa dni po jego śmierci podzieliła się z moim ojcem wiadomością, że Felix w ostatnich miesiącach swego życia wyglądał ponownego spotkania z Wernerem.

„Ojciec tak bardzo pragnął znowu cię zobaczyć – skarżyła się. – Głęboko ubolewam nad tym, że nie zostało mu to dane. Myśl, by do ciebie pojechać, przepełniała go wielką radością. Nadzieja ta dawała mu taką pociechę, że może to nas oboje, ale przede wszystkim ciebie, mój kochany chłopcze, pokrzepić”.

Moi rodzice nic nie wiedzieli o planach Felixa i Else. Czy Else próbowała tylko pocieszyć swego męża opowieścią o ewentualnej podróży do Belgii? Czy przygotowywała się sama i swego syna na własny przyjazd? Dlaczego tak szybko po śmierci Felixa wspominała o jego tęsknym pragnieniu, by znowu zobaczyć Wernera? Skąd to podkreślenie? Czy nie było to raczej jej najintymniejsze życzenie?



Fredi Durra ze swoją żoną Tikvah i ich córką Ariellą, ulubienicą mojej babci, 1950 rok

Natychmiast skontaktowała się z konsulatem Belgii w Jerozolimie. Droga do miasta od kilku dni była otwarta, choć niebezpieczeństwo arabskich zamachów nie

było wykluczone. Zamierzała poprosić o wizę przez Brukselę? Odkąd Belgia pojawiła się na horyzoncie, nadszedł czas udobruchania swojej synowej. Najpierw należało przyznać się do poważnego błędu. Na klepsydrze opublikowanej w izraelskich gazetach Else zapomniała umieścić imię mojej matki na liście żałobników. Dopiero parę tygodni później znajomy zwrócił jej na to uwagę.

Ich war perplex – pisała do swojego syna. – *Wie konnte mir das passieren!* Przerazenie zupełnie mnie dezorientowało. Obawiam się, że twoja żona bardzo będzie mi to miała za złe. Wybij jej, proszę, z głowy myśl, że zapomniałam o tym celowo. Właśnie ona była ostatnią radością ojca. Już na sam dźwięk jej imienia się rozpromieniał. *Sie war wirklich Vaters Liebling*^[154].

Od tej pory Else prowadziła regularną korespondencję ze swoją synową. Else chciała wiedzieć, co ma ze sobą zabrać, a co zostawić. Czy lepiej było kupić belgijską walutę w Izraelu?

Nim Else Peritz opuściła Izrael, minął rok. Były to miesiące wielkiego psychicznego napięcia. Moja babcia szybko otrzymała wizę, ale dopiero jesienią 1949 roku dostała pozwolenie na pobyt. Długie nań czekanie doprowadziło ją na skraj rozpacz.

„Nie chciałam ci pisać, czego doświadczyłam w ostatnich tygodniach – skarżyła się w liście z 3 września 1949 roku. – Teraz również nie zamierzam tego poruszać. Muszę ci jednak powiedzieć, że jestem u kresu sił. Miałam różne ataki nerwowe, które tak mnie osłabiły, że nie byłam nawet w stanie spakować walizek. Przyjedź jak najszybciej! Sama dłużej już nie wytrzymam... Niedawno znowu dostałam silny środek uspokajający. Mam nadzieję, że wytrzymam do twojego przyjazdu. Wtedy wreszcie, nareszcie wyzwolę się z mojej niedoli”.

Jej niemalże histeryczne wołanie o pomoc niespecjalnie zaniepokoiło moich rodziców. Ostatecznie przeżywała wyczerpujący nerwowo okres. Śmierć Felixa, odwołanie się do uzyskania wizy, przygotowania do podróży, przeprowadzka. Jak tylko przyjedzie do Belgii, wszystko się ułoży, pisała przecież. Moi rodzice jej uwierzyli.

Mimo wszystko musiało wydać się im dziwne, że Else upierała się, by najpierw jakiś czas spędzić sama z moim ojcem w Europie. Twierdziła, że chce odzyskać równowagę. Jej syn z początku nie zareagował na tę prośbę, tak iż musiała ją ponowić. Werner pozostał sceptycznie nastawiony do pomysłu.

Fredi widział przyszłość w mniej różowych kolorach. Znał Else lepiej niż Werner. Kiedy wbijał mojemu ojcu do głowy, by nie zgodził się na zamieszkanie swojej matki z nimi, lecz by poszukał jej mieszkania, Werner krzywo na niego popatrzył i odrzucił tę propozycję.

5 listopada 1949 roku ojciec z babcią dotarli na lotnisko w Melsbroek. Werner wolał podróżować statkiem (uważał, że tyle jest wypadków lotniczych), ale ostatecznie zgodził się sprowadzić matkę samolotem. Była to długa podróż.

Najpierw lot do Rzymu, gdzie przenocowali, potem podróż pociągiem przez Mediolan do Zurychu. Po spędzeniu nocy w Szwajcarii – przelot do Brukseli.

Pierwsze spojrzenie, jakie wymieniły między sobą teściowa i synowa, było symptomatyczne.

Niedawno moja matka wyznała swojemu mężowi, co wtedy poczuła. Ojciec zrobił wielkie oczy. Nigdy nie przypuszczał, że jego żona od pierwszego wejrzenia poczuła wrogość Else. Matka powiedziała, że się wystraszyła i natychmiast pomyślała, że czekają ich ciężkie czasy.

Else została serdecznie przyjęta przez rodzinę swojej synowej. Z entuzjazmem pisała o tym krewnym i przyjaciółom. Wydawało jej się, że trafiła do raju. Jej synowa na powitanie objęła ją i wiele minut przytulała. Jej oczy napełniły się łzami. Najwyraźniej często płakała. Kiedy Else opowiadała o śmierci Ernsta, na nowo straciła panowanie nad sobą. Opinia Else o mojej matce odpowiadała jej wyobrażeniom o synowej: była miłym i dobrym człowiekiem o głębokim i szlachetnym wnętrzu. Werner nie mógł lepiej wybrać.

Pierwszą relację babcia napisała do rodziny w Melbourne. Ta musiała jej list przesłać do La Paz. Kiedy babcia pisała ów list, moja matka przyniosła jej pudełko ciastek. Szczęśliwa jak dziecko Else odnotowała ten miły gest na marginesie. Ciasteczka były wyśmienite! Rodzina jej męża myślała o wszystkim.

„*Ich glaubte zu träumen*^[155] – dzieliła się uradowana. – Mam dwa duże pokoje, każdy o dwóch oknach. W sypialni mam bieżącą wodę oraz szerokie i miękkie łóżko. Przygotowali mi górę kołder i zdziwili się, że zostawiłam sobie tylko jedną, naturalnie świetny egzemplarz z czystej wełny, który złożyłam na dwoje na łóżku. Drugi pokój umeblowany jest nowiutkimi, beżowymi meblami jako pokój dzienny. Stoi w nim piec kaflowy wyposażony w piekarnik i rożen, kredens pełen ładnych, nowych garnków, niektóre w kształtach, jakich jeszcze nigdy nie widziałam. Będę się musiała zapytać, do czego służą... O niczym nie zapomniano: szklanki, filiżanki i talerze, czajnik na wodę, ręczniki i ściereczki, mydło, szczotki i kosz na śmieci... Chcieli kupić drugi serwis, specjalnie na niedzielę, ale powiedziałam, że ten codzienny, zresztą prześliczny, będę używać do wszystkiego”.

Również dom nadzwyczajnie przypadł Else do gustu. Chociaż nie był nowoczesny, lśnił czystością od piwnicy po dach i wszystko było wykonane z najprzedniejszego materiału. Specjalnie z myślą o niej schody wyłożono chodnikiem z linoleum. Poza tym w pokojach dla niej przeznaczonych zmieniono pokrycie podłóg. Schody i framugi okien zostały świeżo odmalowane, a w szafach panowała czystość i porządek aż po najmniejsze kąty.

Pierwszej niedzieli swego pobytu w Belgii moją babcię zaprosiły do siebie dwie siostry matki. Moje ciotki mieszkały z mężami w odległości spaceru od rodzinnego domu. Przyjęły babcię jak królową. Jakaż różnica z tym, jak było

w Izraelu!

„Dom jest z gustem urządzony – promieniała babcia. – Piliśmy wino i jedliśmy ciasto, jakiego nie kosztowałam od czasu Breslau. Wszystko podaje się w najbardziej wyrafinowany sposób... Co za różnica w porównaniu z na przykład Tikvah, która swoich gości niczym nie częstuje. Co za dobroczynny kontrast między tymi skromnymi, rzetelnymi ludźmi a tamtym egoistycznym, dogadzającym sobie typem ludzi w *Eretz Yisrael*! Nie chcę sobie kpić z Izraela, ale upalne lata i chłód większości jego mieszkańców były ciężkie do zniesienia. Jakbym po raz pierwszy została wyratowana!”

ERIC DURRA
57 TALBOT CRESCENT,
MALVERN, S.E.4, MELBOURNE.
TEL. U 4604
5th September 50

Liebte Else,
Habe herzlichen Dank fuer Deinen liebennBrief vom 19.8. Ich muss Dir sagen, dass uns Dein Entschluss, nach Bolivien zu gehen, sehr nahe gegangen ist. Ich habe alles anderes als dieses erwartet, nachdem Du leider so viele Jahre von dem. lb. Werner trennt warst. Ich kann mir auch nur denken, dass Du diesen Entschluss mit sehr schwerem Herzen gefasst hast. Wenn Werner Dir aus Sicherheitsgrunden wegen eines zu befuerchtenden Krieges zur Auswanderung geraten hat, so kann ich auch diesen Grund nicht als massgebend betrachten, Was auch immer Du zur Begrueundung Deines Schrittes schreiben magst: Ich bin der Ueberzeugung, dass nur sehr schwerwiggende Gruende Dich dazu veranlasst haben.- Ich will nur hoffen, und wuenschen, dass Du Deinen Entschluss nie zu bereuen haben wirst und dass Du Dich in Bolivien bei dithel gluecklichfuehlen wirst. Es liegt mir natuerlich sehr fern, hier heranzurden, aber ich dachte mir immer, dass Dein Platz selbstverstaendlich an der Seite Deines ungen sein muss, dessen erste und heiligste Pflicht es ist, Dir Deine Jahre so angenehmen wie moeglich zu machen.- Ich kann mir wohl denken, dass die rein christliche Umgebung, in der Ihr ja dort nun malseid., Dich nicht ganz und voll befriedigt und dies umsoehr, als Du ja leider die Sprache nicht beherrscht. Aber sei es wie es sei, ich wuensche Dir von ganzem Herzen, dass Du bei Adams eine glueckliche Zukunft hast und dass nichts den Verlauf Deiner ferneren Jahre truben moege.-

Von der gel. Mutter kannich Dir mitteilen, dass sie koerperlich G.s.D. ruestig ist und ausser ihrem so schwachen Augenlicht keine schwerwiesenden koerperlichen Beschwerden vorliegen. Natuerlich leidet sie sehr unter ihrem Mangel an Sehkraft, aber sie kann trotzdem immer noch allein in den Garten heruntergehen und sogar kurze Spaziergaenge vor dem Hause machen.- Ihr Appetit ist ganz normal. Ihre Kraeftigkeit ist wohl zum grossen Teil darauf zurueckzufuehren, dass die gel. Mutter immer frueh sehr lange im Bett ist / meist bis gegen 11 oder 12 Uhr, nachdem sie frueh gegen 9 Uhr ihre Spritze und nachher das Fruehstueck ins Bett bekommen hat.- Auch Abends ist sie stets frueh im Bett, und ich glaube, diese viele Ruhe erhaelt sie so bei Kraefte.-

Wir haben der lb. Mutter Deine Uebersiedelung nach Bolivien selbstverstaendlich in einer Weise dargestellt, dass sie sich ueber das warum und weshalb keine Sorgen macht, sondern es vielmehr als eine laengere Besuchsreise nach dort betrachtet.-

Wenn Deine Abreise am 18.91 stattfinden sollte, so nehme ich an, dass Dich dieser Brief kurz vorher dort erreichen wird.- Ich wuensche Dir eine glueckliche Ueberfahrt und ich hoffe auch, dass Du Dich an das grundverschiedene Klima in Bolivien eingewoehnen wirst.-

Wie bist Du mit Werner verblieben, falls es Dir in Bolivien doch nicht so gefallen sollte oder ~~es~~ Du nach einiger Zeit doch zu grosse Sehnsucht nach ihm hast?

Da ich annehme, dass durch die wiederholten Uebersiedelungen Deine finanziellen Mittel sehr in Anspruch genommen worden sind, und ich auf jeden Fall haben moechte, dass Dir in Bolivien sofort Mittel zur Verfuegung stehen, und Du nicht etwa in allem auf Adams angewiesen bist, so moechte ich Dir gern bald eine Ueberweisung zukommen lassen.-

List Ericha Durry, brata mojej babci Else. Erich właśnie się dowiedział, że jego siostra chce wyjechać z Belgii, by wprowadzić się do siostry w Boliwii

Dziewięć miesięcy później Else Peritz czuła się tak nieszczęśliwa, że błagała swoją siostrę Edith w Boliwii, żeby pozwoliła się jej do siebie przeprowadzić. Rodzina i znajomi byli zdumieni. Odkąd zamieszkała u syna, wyprodukowała strumień epistolarny, z którego za grosz nie dało się wyczytać jakiegokolwiek

niechęci. Nikt się o nią nie martwił. Ani brat Erich w Melbourne, ani ciotki Jettl czy Emma w Nowym Jorku, którzy pisali co tydzień, nie musieli jej pocieszać ani uspokajać. Fredi dziękował jej za czekoladę, salami, margarynę, smalec i wiele innych prezentów. A jej liczni znajomi, jak Berthel Falkenberg w Ramat Gan, Zdenka Deri w Lipsku, Borchhornowie w Buenos Aires czy Schirokauerowie z Santiago de Chile, nie musieli dodawać swej przyjaciółce otuchy czy animuszu.

Kiedy poinformowała swoich korespondentów o przyczynach swego nagłego wyjazdu z Belgii, zareagowali pełni przerażenia. Jej syn chciał się jej pozbyć? Ponieważ Europie groziła wojna? Co za wykrety! Babcia siliła się na wyjaśnienia, które każdorazowo sprowadzały się do jednego: rozczarowała się co do Wenera. Niemalże go nie widywała. Nie dbał o nią. Jej synowa traktowała ją jak intruza. Else czuła się obco.

Te narzekania nie przekonały jej brata w Melbourne. „Niezależnie od tego, co leży u podstaw twojej ważkiej decyzji – pisał jej 5 września 1950 roku Erich – mam nadzieję, że nigdy nie będziesz jej żałować i u Edith w Boliwii znajdziesz szczęście. Nie chcę się dłużej na ten temat rozwodzić, ale zawsze uważałem, że twoje miejsce jest u boku syna. Jego pierwszym i najświętszym obowiązkiem jest zapewnić ci możliwie jak najprzyjemniejsze życie. Wyobrażam sobie, że nie zadowala cię chrześcijańskie otoczenie, w jakim przyszło ci żyć. Poza tym nie mówisz w ich języku”.

Erich obiecał ostrożnie poinformować o decyzji Else ich matkę. Helene, wówczas osiemdziesięciodwuletnia, była poważnie chora, a powiadomienie jej o tym, że jej najstarsza córka znowu porywała się w nową przygodę, przysporzyłoby Helene niewymownego cierpienia. Else wyjeżdżała jakoby na wakacje do Edith w La Paz.

Bardziej niż ktokolwiek inny Erich zdawał sobie sprawę, że moja babcia nigdzie nie jest szczęśliwa. A co, jeśli życie w Boliwii okaże się nie do zniesienia albo dopadnie ją tęsknota za Wernerem? Erich próbował wy badać, czy Else omówiła taką ewentualność ze swoim synem. Mimo wszystko Erich gotów był ją wesprzeć, również pieniężnie. Ponieważ przypuszczał, że podróż do Boliwii będzie wiele kosztować, a jego siostra nie chciałaby czuć się w La Paz zależna finansowo od Adamów, zamierzał przelać bezpośrednio do Boliwii sporą kwotę pieniędzy. Przesłanie pieniędzy za granicę było możliwe tylko wtedy, gdy miało się dowód, że krewny pilnie potrzebuje pomocy pieniężnej. Dlatego Else musiała napisać mu po angielsku list, w którym opisywała swoją żalną sytuację finansową. Erich zatroszczył się o tekst. Jej brat miał doświadczenie w takich sprawach.

Erich napisał także do Wenera. Zapytał, co się stało, w czym tkwił problem. Odpowiedź mojego ojca to wzór taktu. Else tęskniła za przyjaciółmi, znajomymi i była niezadowolona oraz rozczarowana, ponieważ uważała, że po tak długiej rozłące poświęcał jej niedostatecznie wiele uwagi. On, Werner, dołożył wszelkich

starań, by zapewnić równowagę między swoimi obowiązkami małżeńskimi a potrzebami matki. Te wysiłki poszły na marne, ponieważ Else nie wykazała się zrozumieniem dla tak newralgicznego problemu.

Pięćdziesiąt lat później moi rodzice przeżyli szok, kiedy dowiedzieli się, że Else obarczyła ich całą winą za swoje rozżalenie. Moja matka zareagowała rozgoryczeniem; mój ojciec na zewnątrz pozostał nieporuszony.

– Gdyby babcia dłużej u nas pozostała, nasze małżeństwo by się rozpadło – odezwał się z powagą. Oboje stanowczo zaprzeczyli, że Else wiecznie była sama. Co wieczór jadła kolację z synem, a w każdą sobotę wyruszali razem do Brukseli, na zakupy lub podobnie jak w Breslau na *Kaffee und Kuchen*.

– Dla nas sobota była dniem pracy – zauważyła matka. – Sprzątało się, a sklep był cały dzień otwarty. Mimo to nikt nie zazdrościł twojemu ojcu i babci. Rozumieliśmy, że teściowa potrzebuje takich wyjść. Tyle że tych parę godzin spędzonych sam na sam z twoim ojcem jej nie zadowalało. Stawała się coraz bardziej niezadowolona. Nie potrafiła zrozumieć, że mieliśmy mało czasu dla siebie nawzajem, że praca była najważniejsza. Tak już jest w rodzinnym przedsiębiorstwie. Ojciec ten stracony czas musiał co niedzielę odpracowywać.

Dla ojca napięcie stawało się coraz większe. W miarę upływu czasu jego żona coraz gorzej znosiła zachcianki swojej teściowej. A mimo to Else uparcie domagała się większej uwagi.

– Gdyby twoja babcia lepiej się dostosowała – powiedziała matka – problemy by się rozwiązały. Ale ona na nic nie miała ochoty. Nie uczyła się niderlandzkiego, a pomaganie w firmie szybko jej się sprzykrzyło. Zaczęła się oczywiście nudzić. Cały dzień nie da się czytać książek! A przecież robiliśmy wszystko, żeby poczuła się u nas jak u siebie w domu. Kiedy tylko chciała, mogła jeść z nami posiłki, ale przeważnie odmawiała. To zupełna nieprawda, że traktowaliśmy ją jak obcą. Choćby z ciotką Simone nieźle się dogadywały. Twoja ciotka miała aparycję damy, a to robiło na babci wrażenie. Często opowiadała Simone o cudownych bulwarach Breslau i Berlina, które były o ileż bardziej eleganckie od tych w Brukseli. Pod tym względem woda sodowa uderzyła jej do głowy. Uważała, że mieszkamy w dziurze zabitej dechami.

Matka prychnęła z oburzeniem. Nie znosiła zarozumiałstwa. Else chełpiła się statusem społecznym. Nie mogła się pokazać z synową, która nie ubiera się dostatecznie ładnie. Moja matka była miła i prosta, ale nic ponad to. Pogarda bolała. Kiedyś Else zaprosiła do siebie żydowską parę z Breslau. Skończyło się na jednej wizycie. Czy gości zraziło za prostackie w ich oczach otoczenie, w jakim spotkali Else? Niewątpliwie zawiść również odegrała rolę. Dwie kobiety, które walczyły o miłość jednego mężczyzny. Moja matka domagała się swoich praw.

Moi rodzice wolą nie wspominać zamętu tamtego okresu. Było, minęło. Po co wzniecać wspomnienia bolesnych wydarzeń?

W Boliwii okazało się, jak babcia jest zgnębiona. Utrzymywała, że to syn ją odesłał, co było rażącym kłamstwem. Mówiła też, że prawie do niej nie pisze, a jeśli już listy przychodzą, są chłodne. Jej zarzuty skłoniły jej brata do palnięcia Wernerowi kazania.

„Twoja matka przeżywa załamanie nerwowe, bo od dłuższego czasu do niej nie piszesz – zbeształ go Erich. – *Das darfst du niemals wieder tun, versprich mir das bitte*^[156].

Mój ojciec po raz pierwszy napisał do La Paz 5 listopada 1950 roku. Donosił, że otrzymał już list od matki z Limy, ale jeszcze żadnych wieści z Boliwii. W Belgii wszyscy niecierpliwili się, żeby przeczytać o jej pierwszych wrażeniach. Tymczasem Werner napełnił ogromny kufer jej rzeczami – miał niebawem dopłynąć na *SS Talca* podążającym z Antwerpii do Ariki w Chile. Firma Gibbs Williamson miała przetransportować bagaż do La Paz. Fredi napisał. Ariella od pięciu tygodni jadła tylko suchy chleb. Natychmiast wysłano im parę kilogramów smalcu. W Belgii powoli nadchodziła zima. Dobrze, że Else wyjechała w październiku – w listopadzie czytano wiele o wypadkach lotniczych. W Londynie krótko po sobie spadły dwa samoloty. Else może też spodziewać się koperty z siedmioma listami, które do niej przysły od czasu wyjazdu. Żeby zaoszczędzić na kosztach przesyłki ojciec wyjął je z kopert. Nie stać go było na wysłanie pieniędzy. Mój ojciec nie wiedział, że jego matka już wtedy cierpiała na depresję. W przeciwieństwie do *Tante Emmy*.



La Paz, 1951 rok. Else Peritz (z prawej) z siostrą Edith. Pośrodku Max Adam, mąż Edith. Parę miesięcy później Else położy kres swemu życiu

„Oczywiście że ci współczuję – pisała uśmierzające słowa ciotka. – Jeśli grunt ci się zapada pod nogami, zostajesz na łasce niepewności. Mną samą los wystarczająco miotał tam i z powrotem. Mam nadzieję, że teraz, u siostry,

znajdziesz swój *Heimat*. Kochane dziecko, jestem tyle lat starsza od ciebie. To właśnie obecne lata, po całym tym *Sturm und Drang*^[157], przyniosą ludziom ukojenie. Zawsze powtarzam: im się człowiek szybciej pogodzi ze sprawami, tym lepiej. Biorę sobie do serca Hermanna Hessego: *So lang du nach dem Glück jagst, bist du nicht reif zum Glücklichsein*”.

Nadeszło Boże Narodzenie, a mój ojciec wciąż nie miał żadnych wieści z La Paz. Słał liczne listy; wbrew temu, co wygadywała Else, to nie on opuścił się w pisaniu, lecz ona. Czy jej załamanie nerwowe uniemożliwiło prowadzenie korespondencji? Dlaczego przybywała do Boliwii aż tak wyczerpana umysłowo? Czy już po drodze zaczęła żałować swej decyzji? Czy może chciała ukarać Wenera swoim milczeniem?

Dopiero 28 grudnia 1950 roku, przeszło dwa miesiące po jej wyjeździe, ojciec otrzymał pierwszy list z Boliwii. Else przybyła na miejsce szczęśliwie i Adamowie przyjęli ją z otwartymi ramionami. Za dużą sumę pieniędzy sprzedała pierzynę i szukała pracy jako służąca w dobrze sytuowanej rodzinie. Czy jej syn wiedział już o nieszczęściach w Melbourne? Wuj Erich od ośmiu tygodni leżał w szpitalu na przepuklinę, a i jego serce przy tym ucierpiało. A *Mutti* zabrała karetka pogotowia na sygnale, kiedy z powodu zbyt wysokiego poziomu cukru zapadła w śpiączkę. W szpitalu zachowywała się tak paranoidalnie, że lekarze nie chcieli jej dłużej w nim trzymać. Ciotka Erna przechodziła trzy światy.

Ani słowa o własnym stanie. Od tamtej pory babcia dzieliła się swoim smutkiem jedynie z innymi krewnymi.

„Cieszę się, że powoli zdrowiejesz – pisała ciotka Jettl z Nowego Jorku. – Z pomocą Bożą niedługo staniesz się zdrową, silną kobietą, która znajdzie odprężenie i spokój ducha. Oczywiście, że ciężko jest zapomnieć, sama o tym wiem. Bywają dni, że z namiętnej tęsknoty za moimi kochanymi, niezapomnianymi dziećmi jedynie potrafię płakać”.

Zimą 1951 roku Else nieoczekiwanie zmieniła ton swoich listów do syna. Zaczęła go upraszać, by móc powrócić do Belgii. Rozdzierające błagania nie skruszyły Wenera. Listów z ostatnich miesięcy jej życia ojciec nie chciał mi przekazać. Czy Else groziła w nich, że położy kres swemu życiu, jeśli odmówi jej pozwolenia na przyjazd?

W kufrze w Boliwii trafiłem na jedną stronę listu adresowanego do Adamów. Jego nadawca, Otto Klein, informował swego bliskiego czy znajomego o śmierci Else Peritz, pozwalając mu przekazać swoje zdanie na jej temat *Frau Adam*. Otto Klein wyraźnie obrał stronę.

„Nie wierzę, że synem *Frau Peritz* nie wstrząsnęła jej śmierć – pisał. – Nie potrafił wydobyć z siebie słowa, a więc był w szoku. Sam doświadczyłem tego, że jego matka nie do końca była normalna. Bez przerwy zarzucała Edith i Maxowi Adamom, że jej nie kochają i się nie troszczą o jej los. Chciała zostać pielęgniarką,

ale odmawiała opróżnienia nocnika. Tak samo zatrula życie swej siostry i szwagra, jak swego syna i synowej w Belgii. Pragnęła, by obchodzono się z nią z wyjątkową dbałością i miłością. Jej otoczenie musiało się dla niej poświęcać. Musiała być pępkiem świata, zawsze i wszędzie grać pierwsze skrzypce... Nękała i poniżała swoich krewnych i zadrezczała ich wyrzutami. Oskarżała również swojego syna. W rzeczywistości chciała zwalić na niego winę za swoje samobójstwo”.

Na ile obiektywny był Otto Klein? Najwyraźniej dobrze znał Else Peritz.

„Kiedyś obiecała mnie uszczęśliwić” – wynurzył się.

Co miał na myśli? Jego nieprzejednany język skłania do przypuszczeń, że najprawdopodobniej znał ją od intymnej strony. Do czegoś między nimi doszło?

Kiedy w pierwszym dniu mojej pierwszej podróży odwiedzałem grób swojej babci w La Paz, miałem jedynie pytania. Trzy lata później każda z odpowiedzi uzyskanych w Melbourne i Sydney, Filadelfii, Londynie, Nowym Jorku i Tel Awiwie zrodziła jeszcze więcej pytań. Czy na przykład jej emigracja z Breslau wywołała proces jej osamotnienia, czy przyspieszyła? Pani Borchhorn była święcie przekonana, że ucieczka z Niemiec stanowiła wyjaśnienie wszystkiego.

„Kto by pomyślał, że taki dobry i szlachetny człowiek, jak ta kochana Else, odbierze sobie życie? – zastanawiała się w swoim liście kondolencyjnym do ciotki Edith. – *Das ist leider alles die Emigration, die uns wohl alle mehr oderweniger viel Nerven gekostet hat*^[158]. Pozostaje nam tylko odrobina życia, którą dobrze trzeba wykorzystać, a potem ustąpić miejsca innym”.

Moja babcia od 1935 roku rozpaczliwie próbowała utrzymać zjednoczoną swą rodzinę na uchodźstwie. Przez piętnaście lat wytrwale pisywała listy do matki i brata w Australii, do syna w Anglii i Belgii, do siostry w Boliwii, usiłując we wszystkich krewnych, którzy żyli porozrzucani między Nowym Jorkiem a Kapsztadem, między Szanghajem a Montevideo, obudzić złudzenie, iż wciąż tworzą wspólnotę. Owo przywiązanie do krwi stanowiło jej największy triumf. Dopiero jej śmierci okazała jasny wpływ, jaki na nich miała. Kontakty między krewnymi rozpadły się niemal natychmiast. Łączność ze Stanami Zjednoczonymi gwałtownie się przerwała. Cisza ze strony ciotki Emmy i ciotki Jettl na dobre ucięła wszelkie stosunki z rozsianymi po świecie gałęziami Peritzów, Ebsteinów i Rosenthalów.

Również z Izraelem. Logiczne, że nagle zamilkli przyjaciele i znajomi Else. Później kłótnia Frediego z moimi rodzicami ucięła również korespondencję między krewnymi.

W Boliwii Adamowie musieli najpierw pozbierać się po samobójstwie Else. Ich nieczęste listy do mojego ojca zdradzały, jak bardzo byli oszołomieni. Kiedy emocje opadły, z La Paz docierały jedynie sporadyczne wieści.

Tylko w Australii wciąż z troską informowano się o mojej rodzinie. W lecie 1952 roku Frank Durra zatrzymał się u moich rodziców. Pracował w Londynie i spędzał urlop w Belgii. Pamięć wydarzeń dotyczących Else wciąż go nie opuściła. „Zostałem wyjątkowo serdecznie przyjęty – meldował. Śpię w pokoju mojej świętej pamięci ciotki. To ładne i przytulne pomieszczenie. Również salon jest wygodny. Nie mogę po prostu zrozumieć, że nie czuła się tutaj jak u siebie w domu... Jestem pewien, że Werner dołożył wszelkich starań, by uszczęśliwić swoją kochaną matkę. Mocno się też zapożyczył. *Was sonst kann ein Sohn für seine Mutter tun?*^[159]”

Frank zabawił się w detektywa. Wszystkich, którzy znali ciotkę Else, pytał

o to, co się z nią działo, nie informując przy tym nikogo, że o to samo wypytuje pozostałe osoby.

Swoje zainteresowanie dla własnych żydowskich korzeni zawdzięczam w dużej mierze babci. Gdyby po emigracji co rusz nie zasiadała do biurka i pomimo trwających w Europie i Palestynie wojen, pomimo nigdy nieuśmierzonego bólu po stracie ukochanych osób i otrzeźwiającej świadomości, że mieszkają nieosiągalnie daleko i nigdy nie będzie ich mogła uścisnąć, nie przestawała upominać się o wiadomości i jeszcze więcej wiadomości od wszystkich tych, z którymi dzieliła swoje życie w Breslau, moja rodzina od strony ojca zostałaby wymazana ze wspomnień.

Mogło do tego dojść.

Co się stało z potomstwem Salomona Peritza, mojego pradziadka, które osiedliło się w Stanach Zjednoczonych? W 1997 roku trafiłem na ślad Laury Gabriel z New Jersey. John, jej zmarły mąż, był wnukiem Maxa Peritza, przyrodniego brata mojego dziadka. Max miał trójkę dzieci: Edith, Waltera i Lilo. John Gabriel był synem Lilo. Laura nie wiedziała nawet, gdzie mieszkają latorośle wujka Waltera i cioci Edith. Nie słyszała również o dzieciach Josepha i Hermanna, dwóch innych przyrodnych braci mojego dziadka. Obiecała skontaktować się z Renée Loewenthal, siostrą swojego świętej pamięci męża. Być może tamta posiadała jakieś informacje. Pani Loewenthal już od trzech lat zachowuje milczenie.

„Cóż, sam przecież wiesz, że rodzina Peritz nigdy nie przejmowała się krewnymi” – już w 1950 roku pisała ciotka Emma.

W albumie poezji mojej babci wielu jej przyjaciół i przyjaciółek zanotowało swe przemyślenia. Książeczka w skórzanej oprawie, z ozdobnym motywem kwiatowym, złożonymi brzegami stron i srebrzystym zamknięciem, była drogim sercu Else klejnotem. Wersety i cytaty może i były przewidywalne, jednak w żadnym razie nie brzmiały trywialnie czy dziecinnie. W listopadzie 1914 roku Else miała dziewiętnaście lat. Odwiedziła ją Gertrud Pläschke z Łodzi i w ostatniej notatce zapisała: „Sumienie to jedyne lustro, które nie oszukuje ani nie schlebia”.

To, co wydarzyło jej się w życiu, babcia zabrała ze sobą do grobu. W drodze nieodłącznymi towarzyszami podróży byli jej smutek i niezadowolenie. Nie przypadkiem jej ulubioną powieścią była *Stern der Ungeborenen*. Franz Werfel nazywał swą książkę *Ein Reiseroman*, powieścią podróżniczą.

Ciało astralne głównego bohatera F.W. oprowadzane jest przez jego dawnego kolegę szkolnego B.H. jak Dante przez Wirgiliusza. Na ich drodze przez „świat astro-mentalny” w roku 101943, kiedy to ludzie mieszkają pod ziemią i dożywają dwustu lat, F.W. i B.H. spoglądają wstecz na swe życie na początku dwudziestego wieku. F.W. przypomina sobie dokładnie lata dzieciństwa i młodości w Pradze, wydarzenia pierwszej i drugiej wojny światowej, swoją emigrację i życie

na uchodźstwie. Babcię musiały poruszyć zbieżności z jej własnym losem.

„Surowe oczy patrzyły na F.W.

– Zaprawdę, nie pozostało panu już wiele czasu, by podjąć bezużyteczną podróż. Jak długo chce pan trwonić swój krótki dzień pracy? Nie wie pan, co się obecnie dzieje w świecie? Czy sam nie był pan prześladowanym i ofiarą? Czy wciąż pan nim nie jest?”

F.W. przyznaje, że nie pozostało mu wiele czasu. Nie zapomniał również, że jest prześladowany.

Moja babcia także była wyrzutkiem. Jej uchodźstwo przypominało kotwicę, która ciągnie się po dnie morza za statkiem i niczego nie może się uczepić. Wyrwana z korzeniami z Breslau, oderwana od swych ukochanych krewnych, coraz bardziej oddalała się od pragnień swego serca i ideałów. Prowadzenie korespondencji pozwalało jej marzyć o podróżach i spotkaniach po latach. Kiedyś kotwica miała znaleźć swe podłoże. Ile czasu jej jeszcze zostało?

„Kiedy podróżujemy – mówił przewodnik do F.W. – nie przemierzamy się do miejsca docelowego, lecz pozwalamy celowi przenieść się do nas”.

Jakie zbliżające się ku niej miejsce docelowe widziała Else Peritz? W latach trzydziestych i czterdziestych żydowscy imigranci wybudowali w zawrotnym tempie Tel Awiw. Wszędzie wyrastały białe domy. Moja babcia często chodziła nowymi ulicami. Przez co czuła się najbardziej wykorzeniona? Rosnące miasto ze swoim nieustannym hałasem kielni i młotków oraz wesołą krzątanią śmiejących się brygad robotniczych? Czy może pozostałości wymierającego czasu – zawodzący głos muezina, Arab prowadzący ciężko objuczonego osła – przenosiły ją z powrotem w jej własną wymiecioną przeszłość?

W Ramat Gan stałem przy miejscu, w którym przez dziesięć lat mieszkała Else. Stary House Rosenberg już nie istniał. Na jego miejscu wzniesiono trzypiętrowy budynek. Na parterze mieścił się sklep jubilerski. Bialik Street była ruchliwą ulicą sklepową. Zza drzew nie można było dojrzeć nigdy białych fasad domów. Na rogu z Arlozorov Street wypiłem na tarasie kawiarni cappuccino. Kelner był niezwykle usłużny. Było pół do szóstej. Z Tel Awiwu płynął niekończący strumień samochodów.

Chociaż wniknąłem w życie swojej babci i poznałem jej słowa i czyny, moje śledztwo, by odkryć, kim rzeczywiście była, niewiele przyniosło. Bruk uliczny Bialik Street znał ją lepiej niż ja.

Zapadał zmierzch. Wysoko ponad miastem różowe strzępy chmur powstrzymywały nadejście nocy. Wreszcie mogłem zostawić babcię w spokoju.

Wyprawa do Ziemi Obiecanej położyła kres urojeniom o mojej domniemanej żydowskiej tożsamości. Nigdzie indziej nie czułem się równie wyobcowany. O ciarki przyprawiały mnie wezwania do potwierdzenia żydowskiej czystości i prawie fanatyczne błagania o solidarność. Odetchnąłem z ulgą, że mieszkam w kraju, gdzie religia i nacjonalizm wytraciły niemalże całą siłę destrukcyjną. Tylko na plaży w Tel Awiwie udawało mi się swobodnie oddychać. Przeważnie z politowaniem przyglądam się fanom słońca. W Izraelu wydawali mi się oni jedynymi, którzy umknęli przed politycznymi i religijnymi waśniami. Nigdy nie śmiałem przypuszczać, że tępych materialistów wyniosę na wzór normalnego społeczeństwa.

Jeśli było we mnie coś żydowskiego, Izrael skutecznie ową cząstkę ze mnie wyplenił. Kiedy myszkowałem po zagraconej polskiej księgarni na Allenby Road w Tel Awiwie, wdałem się w rozmowę z jej właścicielem. Pan Neustein był usłużnym starszym człowiekiem. Chodził do tej samej szkoły w Drohobyczu, co żydowski pisarz Bruno Schulz. Edmund Neustein był wykształconym, a mimo to bezpretensjonalnym, przenikliwym, tolerancyjnym i czarującym człowiekiem. Dodał mi otuchy, ponieważ ucieleśniał to, co najlepsze w środkowoeuropejskim intelektualistach, i to nie dlatego, że był Żydem. Prawdziwi Żydzi przy Dizengoff Street wytykali swoim współwyznawcom ich obowiązki i kroczyli przez Nahariję jak żołnierze w paradzie zwycięstwa.

W Filadelfii Hans dojrzał we mnie iskiereczkę żydostwa, która żarzy się w każdym Żydzie nawet wtedy, gdy ten odwrócił się od judaizmu. Schlebiało mi to, ale nigdy tego tłącego się ognika nie roznieciłem. Słyszałem czasem opowieści o niewiernych żydach, którzy nagle odkryli swoją prawdziwą naturę i postanowili spędzić ostatnie lata życia w Izraelu. Zapuszczali brody i odgrywali zelotów w ortodoksyjnej sekcji, jak Lenny, najmłodszy syn Wolfganga z Boliwii. Taka przyszłość mi się nie uśmiechała. Kochałem swoją żydowską rodzinę, ponieważ chciała się zasymilować i czuła się w Niemczech u siebie.

Co do mojego stosunku do Niemiec, to tak jak mój ojciec żywiłem wobec nich kompletnie schizofreniczne uczucia. Obaj często wyzłośliwiamy się na ten kraj. Podróżując przezeń, nigdy do końca nie czujemy się w Niemczech swobodnie. W Belgii denerwują mnie ludzie wyrzucający papierki na ulicę, w Niemczech każdy, kto sumiennie deponuje odpadki w śmietniku, udowadnia tym samym, że jego przesadne poczucie obywatelstwa w niczym nie ustępuje niemiłosiernej skuteczności nazistów. Największą awersję zachowujemy wobec niemieckiej drużyny narodowej, tej zbierającej Gauleiterów w krótkich spodenkach. Woleliśmy już, jak wygrywały patentowane pajace, jak Argentyńczycy, i nawet Bułgarów, na boisku równie godnych zaufania jak politycy

zawierający kontrakty zbrojeniowe, obwołaliśmy zbawicielami ludzkości, kiedy zwyciężyli *Mannschaft* podczas mistrzostw świata w Stanach Zjednoczonych.

Mój ojciec i ja nigdy nie zwalczyliśmy w sobie tych uprzedzeń. Mimo to Niemcy mocniej na nas oddziaływały, niż chcielibyśmy to przyznać.

U mojego ojca wpływ ten łatwo rzucał się w oczy. Ostatnimi laty zdarzało mu się mówić z niemieckim akcentem. *Mit Pearce* – rozbrzmiewało w słuchawce telefonu. *Mit deinem ältesten Sohn*^[160] – odpowiadałem mu wtedy. W czasie podróży po Śląsku denerwował go brak *Unternehmungsgeist* u polskiego społeczeństwa. Wyszedłszy na wycieczkę w góry po Riesengebirge, natychmiast się gubiliśmy. Nigdzie nie widać było drogowskazów.

– Za moich czasów wędrowiec był rozpieszczony – zrzędził ojciec. – Człowiek wiedział, jak długa potrwa wyznaczona trasa i dokąd prowadziła. Tych Polaków nawet na to nie stać.

Innym razem postanowiliśmy czegoś się napić w ogródku kawiarni na skraju lasu. Poza kobietą, która opalała się na leżaku, nikogo w niej nie było. Ponieważ przez długi czas wciąż nie podchodził żaden kelner, ojciec wstał i wszedł do środka w poszukiwaniu gospodarza. Kobieta z leżaka się podniosła i poszła za nim. Okazało się, że jest właścicielką. Ojciec pokręcił głową.

– Masz ci typowe *Polnische Wirtschaft* – odezwał się pogardliwie. – Nigdy już nie stanie się tutaj jak za Niemców.

Moje uczucie wobec tego, co niemieckie, jest nieco bardziej abstrakcyjne. Nie dorastałem w Niemczech. Pomimo tego, co utrzymuje Daniel Goldhagen w *Gorliwych katach Hitlera*, ja upieram się skłaniać ku temu, że Żydom nigdzie lepiej się nie powiodło niż pod panowaniem Wilhelma II. Chociaż Prusy były jedną z ostatnich zachodnich potęg, które udzieliły Żydom tych samych praw obywatelskich co reszcie społeczeństwa, Żydom udało się wyrzec tak znaczący wpływ na sferę społeczną, artystyczną i naukową ojczyzny, że można mówić o nich wyłącznie z podziwem i wdzięcznością.

Moi krewni również pozostali Niemcom wdzięczni. Po wojnie Wolfgang poprosił o przywrócenie niemieckiego obywatelstwa i większość swych oszczędności złożył w niemieckich bankach. Kiedy zapytałem mojego dalekiego kuzyna, czy La Paz jest jego nowym *Heimat*, nie musiał się długo namyślać.

– Nie, jest i pozostaje nim Breslau – odpowiedział. Dla Hansa w Filadelfii Breslau było jedynym miejscem w Europie nieskażonym antysemityzmem, zaś Fredi Durra odradzał wszystkim jechać do tego miasta, ponieważ *nichts ist so wie es einstmals war*^[161].

Nawet zupełnie niemieckie pismo Stowarzyszenia Byłych Brukselczyków w Izraelu nie mogło powstrzymać się od okazania miastu nad Odrą wielkiej sympatii. Chociaż większość artykułów poświęcona była straszniemu losowi, jaki spotkał Żydów z Breslau w Trzeciej Rzeszy, to teksty przenikała nostalgia i miłość.

Często przeważał wydzwięk rozczarowania. Holocaust nadał temu rozgoryczeniu gigantyczne proporcje.

Odwiedziłem Breslau dwukrotnie, za pierwszym razem z moimi rodzicami, zanim zdecydowałem się wyruszyć na poszukiwanie swojej rodziny, drugi raz, kiedy wszystkie podróże po moich krewnych dobiegły końca.

W lecie 1994 roku przyjechaliśmy do miasta na zakończenie objazdu po Polsce. Do stolicy Śląska dotarliśmy, jadąc z północy. Gigantyczne tablice reklamowe po obu stronach drogi, brązowe, plujące dymem kominy fabryczne, linie kolejowe i słupy wysokiego napięcia. W samochodzie panowała cisza, ale to z powodu upału, nie napięcia. Owo lato było najgorętszym, odkąd człowiek sięgał pamięcią. Moi rodzice dzielnie się trzymali, znosili parne temperatury lepiej niż ja.

Byliśmy w drodze już od paru godzin. Aby uniknąć najintensywniejszego skwaru, z Gniezna wyruszyliśmy wczesnym rankiem. Jednak nie prowadziłem za szybko. Jakbyśmy bardziej niż kiedykolwiek dotąd zdawali sobie sprawę z celu naszej podróży w ciszy, którą podkreślał regularny pomruk silnika.

Tuż przed Krotoszynem wypiliśmy w kawiarni dwie butelki zimnej wody mineralnej. Jakiś rolnik zaparkował swój traktor obok naszego samochodu. Mężczyzna otarł czerwoną chustką do nosa pot z twarzy i wszedł do środka. Z zamrażalnika wybrał dwa lody na patyku. Burknął coś do barmanki, zmiażdżył zębami jeden ze słodyczy i z powrotem wskoczył do pojazdu.

W południe dojechaliśmy razem z autobusem emerytów do barokowego klasztoru w Trzebnicy. Wrocław był już niedaleko. Staruszkowie przyjechali na pielgrzymkę do świętej Jadwigi, patronki Śląska.

– Teraz rozumiem, dlaczego tyle dziewcząt w Breslau miało na imię Hedwig – odezwał się ojciec.

W restauracji na rogu placu kościelnego zjedliśmy obiad. Jeśli chodzi o obsługę klientów, jej personel wyszedł bez szwanku z czterdziestu lat wychowania w komunizmie. Nie, nie mamy karty dań po niemiecku – odpowiedział sierżant, który zawiadywał tym bunkrem. Nie, wody mineralnej też nie ma, ani bułek, też się skończyły.

– W dzieciństwie nazwa tego miasta brzmiała mi smutno – przypomniał sobie ojciec, powoli mieszając łyżką w zupie ogórkowej. – Trebnitz kojarzyło mi się z *Trübe* (smutek) i *Tränen* (łzy). Ojciec miał tutaj swoich klientów. Wydawało mi się, że mieszkają tu sami smutni ludzie.

Do tej pory nasza ekspedycja po Polsce wywoływała w moim ojcu huśtawkę dziwnych nastrojów. Przez większość czasu koncentrował się na pogodzie, jedzeniu i stanie pokoi hotelowych, zachowując się jak zwyczajny turysta w zwyczajnej miejscowości urlopowej. W Międzyzdrojach nie zmrużył oka z powodu harmidru, jaki dochodził z dyskoteki, a w Człuchowie zostaliśmy zbudzeni w środku nocy przez akordeonistę, który na skraju niezmaconego ani

jedną zmarszczką jeziora przy hotelu, w mlecznej poświacie księżyca, uzewnętrzniał swą polską duszę w tęsknych melodiach.

Od czasu do czasu wspominaliśmy naszą żydowską rodzinę. Odnosiłem chwilami wrażenie, że ojcu nie leżą wszystkie te moje pytania. Jeden raz naprawdę się podekscytował. Mama również to dostrzegła. Miało to miejsce w Toruniu, zwiedzaliśmy stare miasto otoczone murem nad Wisłą, ponieważ nieopodal urodził się jego dziadek Salomon. Byliśmy przekonani, że nasi przodkowie zamieszkiwali Szczytną – ulicę za rynkiem lub gdzieś w jej pobliżu. Blondynka w lokalnym biurze turystycznym zarzuciła swoimi długimi włosami, głęboko się zamyśliła i w końcu przypomniała sobie, że słyszała, iż stała tam kiedyś synagoga. W tym miejscu znajduje się teraz klub nocny – powiedziała.

Bar mieścił się na pierwszym piętrze brzydkiego, trzykondygnacyjnego budynku. Ponieważ nie mogliśmy uwierzyć, że ponury dom rozpusty służył niegdyś za żydowską bożnicę, poszukaliśmy na ulicy jakiegoś odpowiedniejszego kandydata na synagogę. Budynek o zaokrąglonych oknach z kolorowymi szybami wydał nam się najlepszym typem. Aby się upewnić, zatrzymałem przechodnia.

– Przepraszam panią – zapytałem po niemiecku – czy nie orientuje się pani, czy tutaj kiedyś stała synagoga?

Starsza pani przyjrzała nam się podejrzliwie. Tak jak inni liczni przechodnie tego niedzielnego poranka zmierzała na jedną z wielu mszy w licznych kościołach miasta.

– Nie – odpowiedziała. – Tam. Mieszkam obok.

Wskazała na szary dom z barem. Kiedy powiedziałem jej, dlaczego przyjechaliśmy do Torunia, jej twarz się rozjaśniła. Mówiła bezbłędnie po niemiecku.

– Dobrze znałam Żydów – powiedziała przyjaźnie. – Chodzili ze mną do tej samej klasy. Goldfarb, Sjwaiger, Liebermann. Miałam trzynaście lat, kiedy wojna wybuchła. Tutaj wszędzie, na wszystkich tych ulicach mieszkali Żydzi. Niemcy synagogę zamknęli i zburzyli.

Ojciec słuchał zafascynowany. Zadawał kobiecie z przejęciem pytania. Czy wie, dokąd wywieziono Żydów z Torunia? Czy wciąż tu jacyś żyją? Czy słyszała kiedyś o jakimś Peritzu? Czym Żydzi handlowali? Dlaczego wszelkie o nich wspomnienia wymazano?

Po wszystkim zamilkł znacząco. Przechadzaliśmy się po *Judenviertel*, dzielnicy żydowskiej. Tutaj znajdowały się największe uliczki, najnudniejsze domy. W paru sklepikach na Szewskiej wciąż sprzedawano i skupowano złoto i biżuterię. Właściciele byli Polakami.

Podczas naszego wieczornego spaceru nad Wisłą matka wzięła mnie pod ramię.

– Widziałeś, jak ojciec był dziś rano podekscytowany? – szepnęła mi

zatrokana. – Rzadko widziałam go równie zdenerwowanego. Już się boję, co będzie w Breslau.

Parę metrów dalej ojciec wpatrywał się w powolne wody rzeki. Po raz pierwszy w ciągu tego upalnego dnia bryza przyniosła orzeźwienie.

Kiedy wjeżdżaliśmy do centrum Breslau w strumieniu pojazdów, ojciec nie zwracał żadnej uwagi na znajome sobie punkty topograficzne.

– Gdzie się teraz dokładnie znajdujemy? – pytałem od czasu do czasu.

Nie odpowiadał. Przez jakiś czas kręciliśmy się po ulicach jednokierunkowych.

– Zaparkuj gdzieś tutaj – odezwał się nagle. – To Schweidnitzer Strasse. Prosto przed nami jest Tauentzienplatz, a tam, z tyłu, Kaiser-Wilhelmstrasse prowadzi do Südparku.

W jego głosie nie dało się usłyszeć wielkiego podniecenia. Kiedy szliśmy przez rynek, brzmiał jak przewodnik, który setny raz opowiada te same rzeczy.

– To musi być strona *Zum goldenen Becher* – wskazał. – Każda ze stron rynku ma swoją nazwę. *Grüne Rohrseite*, *Sieben Kurfürstenseite*, *Naschmarktseite*^[162]. Gdzieś tutaj musi stać kamienica ze złożonym kielichem na szczycie.

Daremnie wpatrywaliśmy się we wszystkie fasady.

– Może to jednak nie jest *Goldene Becherseite* – doszedł z wahaniem do wniosku ojciec.

Nasz hotel położony był po Stronie Siedmiu Elektorów (ojciec był absolutnie pewien) i stanowił część kompleksu odrestaurowanych kamienic o fasadach zwieńczonych schodkowym szczytem. Na potężnym, pozbawionym ruchu kołowego Rynku wznosił się *Rathaus* w ornamentalnym stylu flamandzkiego renesansu. Zanim ruszyliśmy zwiedzać miasto, odpoczęliśmy parę godzin po męczącej podróży samochodem.

Program pierwszy telewizji polskiej zapowiedział trzydzieści osiem stopni Celsjusza.

– Dziś mamy trzydzieści sześć stopni i jest to najgorętszy dzień w roku – informowano. Na Sky News wiadomości były jeszcze bardziej przygnębiające. W ambasadzie Izraela w Londynie wybuchła bomba. Jedenaście osób zostało rannych. Islamscy fundamentaliści chcieli zasabotować proces pokojowy na Bliskim Wschodzie. Zaś najnowszy zamach na argentyńsko-izraelskie centrum kulturalne w Buenos Aires kosztował życie dziewięćdziesięciu sześciu osób.

Kolację jedliśmy w dużym hotelu przy placu Dominikańskim. Pomieszczenie dzieliliśmy z zawartością kolumny niemieckich autokarów. Większość pasażerów wyglądała na starszych niż mój ojciec, który miał już swoje siedemdziesiąt jeden lat. Niektórzy z gości byli tak sędziwi, że przy wstawaniu od stołu podtrzymywało ich dwóch rodaków. Od upadku komunizmu rozwój turystyki

na Śląsku zaznał gwałtownego przyspieszenia. Dawne obszary niemieckie na wschód od Odry i Nysy przyciągały do siebie miliony Niemców, którzy zostali z nich wypędzeni. Wreszcie mogli wrócić do swojego *Heimat*.

– No i czułeś coś, kiedy tak spacerowałeś po Rynku? – zapytałem ojca.

– Coś – tak – odpowiedział – ale nie potrafię tego opisać.

Zaskoczył mnie jego chłód. Tak bardzo chciałem zyskać niezbity dowód na jego zamiłowanie do przeszłości.

Nasza wizyta trwała cztery dni. Z powodu przytłaczającego upału mieliśmy za mało energii, by zrealizować wszystkie plany. Pół godziny po śniadaniu siedzieliśmy już w ogródku kawiarnianym, pijąc wodę mineralną. Beczkowozy ze spryskiwaczem nadaremno próbowały utrzymać wilgotną nawierzchnię Rynku i zakurzonych bulwarów. Wlekiśmy się ulicami z planem miasta w rękę. Tramwaje mijały nas po rozpuszczających się szynach.

– Bardzo dobrze się orientujesz w terenie – pochwalił mnie ojciec. – Jakbyś dorastał w tym mieście.

Chociaż we wszystkich miastach szybko zaczynałem się czuć swobodnie, chciałem wierzyć, że pomiędzy Breslau a mną powstało szczególne powinowactwo. Zdawałem sobie sprawę, że owa intymna więź była jedynie wytworem mojej wyobraźni. Podróż w czasie to fantazja. Pewnie tym można by wytłumaczyć mój entuzjazm i obojętność ojca.

– To był ciekawy pobyt – powiedział, kiedy już opuściliśmy miasto.

„Ciekawy”! Nie mógł użyć bardziej miłego określenia!

Zapomniałem, że jego Breslau już nie istnieje. Ojciec widział w nim to, co zniknęło, ja – co pozostało. On patrzył na wyrwy między budynkami i szukał ulic nie do odnalezienia, ja odnajdywałem scenerie i pozwalałem się oczarować starym budynkom.

Miasto błyskawicznie podbiło moje serce. Na skrzyżowaniu Ohlauer Stadtgraben (Podwala) ze Schweidnitzer Strasse (Świdnicka) panorama osi rozciągającej się pomiędzy Rynkiem a Parkiem Południowym wciąż robiła wielkie wrażenie. Budynek opery, kościół Bożego Ciała, majestatyczne drzewa wzdłuż kanału miejskiego, pociągająca fasada dawnego domu towarowego Wertheim: to ich widok przywoływał kosmopolityczną stronę Breslau, a w morzu przechadzających się, letnio ubranych ludzi, dzwoniących tramwajów i błyszczących samochodów dojrzałem dokładne odbicie beztroskiego, energicznego, przedwojennego oblicza miasta. Jeszcze bardziej pociągający był widok na Odrę, katedrę i Ostrów Piaskowy. Podczas mojej drugiej podróży do Wrocławia późne promienie słoneczne przemieniły tę część miasta – z jej kruchymi szpicami wież kościelnych, nadszarpniętymi zębem czasu budowlami i odbijającymi się w wodzie wierzbami płaczącymi – w złote puzderko. Wycofałem się, nim światło dnia straciło swój blask, a zmierzch nie wymazał magii tej pory

dnia.

Kochałem to miasto nawet ze względu na jego tragizm. Pojęcie *Festung Breslau* nabrało szczególnego znaczenia. Kolonia, Hamburg, Berlin i Drezno zostały zniszczone przez bombardowania aliantów. Breslau było jedyną niemiecką metropolią, którą w dużej części zdruzgotali sami Niemcy.

Pod koniec 1944 roku naziści postanowili za wszelką cenę bronić miasto przed Armią Czerwoną. Głównym winnym katastrofy był *Gauleiter* Śląska, Karl Hanke. To on rozkazał generałom utrzymać miasto do ostatniego żołnierza. 19 stycznia 1945 roku Hanke rozpoczął ewakuację siedmuset tysięcy mieszkańców i uchodźców. Ów exodus opisał w swym dzienniku Paul Peikert^[163]. „Dworce kolejowe są całymi dniami tak przepełnione, że przebrnięcie przez tłumy jest prawie niemożliwością – zapisał proboszcz parafii św. Maurycego. – Wszystko tłoczy się do pociągów, które mogą przyjąć tylko ograniczoną liczbę uciekinierów; największa część musi pozostać i próbować następnym razem. Tak więc większość ludzi zabiera wózki dziecięce i niezbędny bagaż, pieszo udając się szosą w niepewne. [...] Nieopisana była tragedia zmuszonych do ucieczki szosą. Nieprzejrzone szeregi kobiet i dzieci z wózkami dziecięcymi lub małymi wózkami ręcznymi przeciągały ulicą. Skutkiem ostrej zimy ulice pokrywa śnieg i lód. [...] Wiele dzieci i dorosłych zmarło w przejmującym zimnie i legło w rowach przydrożnych”^[164].

W nocy 15 lutego Sowieci okrążyli miasto. Czwierć miliona breslauczyków wraz z pięćdziesięcioma tysiącami żołnierzy i kilkoma tysiącami jeńców wojennych znalazło się w potrzasku. Hanke rozkazał wtedy powysadzać całe dzielnice. Ruiny miały powstrzymać napór Rosjan. Proboszcz Peikert donosił o *Zerstörungswahnsinn*, „szale niszczenia”: „Nie Rosjanin podpala domy i wznieca w nich ogień – pisał – lecz żołnierz niemiecki. To, co się stało na południu miasta, dzieje się obecnie w jego wschodniej części”^[165].

Gauleiter kazał rozstrzelać tych, którzy sprzeciwiali się jego planom. Gazetka frontowa *Festung Breslau* zapowiedziała powstanie specjalnego trybunału. „Wszelkie przestępstwa, które podkopują naszą wolę obrony i waleczność, podlegają najsurowszym karom” – ogłosił Hanke. Jego terror przypłaciły życiem setki osób. Do ostatniego dnia oblężenia rozstrzeliwano cywilów. Również burmistrz Wolfgang Spielhagen, który żądał poddania miasta, został rozstrzelany z wyroku sądu doraźnego.

Jakby szaleństwo nie osiągnęło swojego punktu kulminacyjnego, Hanke rozkazał zbudować w środku miasta pas startowy. Dziesiątki tysięcy ludzi straciły życie przy tych pracach. Hitler od tygodnia już nie żył, Berlin się poddał, ale w Breslau walki nadal trwały. Dopiero wieczorem 6 maja 1945 roku generał Niehoff złożył broń. Bilans: śmierć stu siedemdziesięciu tysięcy cywilów. Tego dnia wczesnym rankiem z nowiutkiego pasa startowego podniósł się jeden jedyny

samolot. Na jego pokładzie – Karl Hanke wyniesiony przez Hitlera dzień przed samobójstwem na stanowisko SS-Reichsführera i szefa policji. Hanke zniknął bez śladu.

Jedno z najpiękniejszych niemieckich miast leżało w ruinie. W 1976 roku generałowie Niehoff i Ahlfen napisali książkę o obronie miasta. Jej ton był triumfalny. Nie wątpili w słusność swych bohaterskich czynów.

Wieść o oblężeniu i zniszczeniu miasta dość szybko dotarła do mojej rodziny. Dziadków poinformował o wszystkim Georg Sternberg. Ów przyjaciel z dzieciństwa mojego dziadka musiał wraz z innymi żydowskimi więźniami zimą 1945 roku kopać rowy przeciwczołgowe pod Trachenberg. Zanim Armia Czerwona otoczyła miasto, do stolicy Śląska z powrotem ściągnięto Żydów. Czekwały tam na nich nowe zadania: składanie zapasów pocisków przeciwpancernych w domach towarowych, jak Tietz i Bielschowsky, a w *Gauhaus* Hanke'a palenie archiwum Gestapo oraz innych dokumentów obciążających.

„Mieszkaliśmy w piwnicy, kiedy jakiś celny pocisk trafił w nasz dom – napisał. – Na szczęście tylko górne piętra zostały zmiecione. Oczywiście nie mogliśmy dłużej w nim pozostać. Ostatecznie znaleźliśmy inne schronienie na Salzstrasse, do którego mogliśmy się wprowadzić po wielkich trudnościach i godzinnych negocjacjach – byliśmy przecież Żydami, prawda? Dwa dni później kazano nam wyjść na ulicę wznosić barykady. Zeszła się niezliczona ilość ludzi. Ostrzeliwania i bombardowania zamieniały dom po domu w kupę gruzów. Ponieważ byliśmy Żydami, zabroniono nam schodzić do schronów. Jeszcze byśmy zarazili nazistów i żołnierzy, którzy w międzyczasie już się łajdaczyli. Czego nie zniszczył wróg, nasze SS osiągnęło śpiewająco. Podpalało domy, puszczało z dymem całe ulice i plądrowało mieszkania... Pod osłoną nocy musieliśmy wznosić umocnienia. Całe miasto stało w ogniu... Podam ci rozmiar zniszczeń. Liebichshöhe zostało na cześć komendanta miasta wysadzone przez SS dynamitem. Pod Liebichshöhe znajdowała się główna kwatera wojska. Na odcinku od Südpark do Gartenstrasse nie ostał się ani jeden dom. Neudorfstrasse, żydowski cmentarz przy Lohestrasse, Kleinburg, Bohrauerstrasse – wszystko to zniknęło. Ohlauer Stadtgraben wygląda jak jedna wielka ruina...”

Przez kolejną pełną stronę Georg Sternberg wymienia nazwy zniszczonych ulic i dzielnic.

Również *Tante* Emma w Nowym Jorku była poruszona. W liście z 20 listopada 1950 roku dzieliła się z moją babcią wiadomością, że tego dnia uczestniczyła w prezentacji przeźroczy.

„Były to zdjęcia zarówno starego, jak i nowego Breslau – pisała. – Zaczęto przeźroczem Hauptbahnhof. Moja kochana Else, wyplakałam sobie oczy. Ostatecznie w Breslau przeżyłam swoje najszcześniejsze lata. Kiedy mój ukochany mąż był w domu, wieczorami, po dziesiątej, co drugi dzień chodziliśmy spacerkiem

z naszą korespondencją handlową na dworzec główny. Czasem byłam zbyt zmęczona i nie chciało mi się mu towarzyszyć, ale mój Josefel zawsze wtedy mówił *Mutterle, daran erkenne ich doch deine Liebe!* i pomimo zmęczenia jednak z nim szłam. *Aber schön war es doch!*^[166]

Czy ciotka Emma oglądała zdjęcia Henryka Makarewicza i Krystyny Gorazdowskiej? Ta dwójka Polaków natychmiast po upadku Breslau uwieczniła na fotografiach ogrom zniszczeń. Rok później ruszyli im z odsieczą Jan Bułhak i Bronisław Kupiec. Tysiące zdjęć miano wykorzystać jako materiał dokumentujący odbudowę. Fotografowie mieli zajęcie do 1949 roku.

Wrocław nie został odrestaurowany z miłością. Kiedy wypędzono z niego ostatki niemieckich obywateli, w mieście osiedlali się Polacy z Wielkopolski i z Ukrainy, przede wszystkim ze Lwowa. Z nowym miejscem zamieszkania nie łączyła ich żadna emocjonalna więź. Poza tym komunistyczna Polska nie miała dostatecznie wiele pieniędzy, by odrestaurować wszystkie budynki historyczne oraz inne ciekawe budowle. To, co zostało zrównane z ziemią, usuwano z drogi i zastępowano prostymi blokami mieszkalnymi. Jedynie fragmenty centrum i północnych dzielnic uniknęły obrócenia w niwecz. Ratusz został pieczołowicie odbudowany, tak jak kamienice wokół Rynku i większość kościołów.

Po powrocie demokracji miasto nabrało nowego wiatru w skrzydła. Wizyta papieża w 1997 roku i królowej holenderskiej przyspieszyły prace restauracyjne. Odbudowy nie powstrzymała również najpoważniejsza powódź stulecia (w lecie tego roku w dzielnicach mieszkaniowych woda stała na wysokość kilku metrów). Dzięki amerykańskim pieniądzom rozpoczęto nawet restaurowanie synagogi Pod Białym Bocianem.

Ciągnąłem swoich rodziców przez miasto pod lejącym się z nieba żarem. Chciałem zajrzeć wszędzie tam, gdzie mieszkała kiedyś moja rodzina. Na Zwingerstrasse stanęliśmy przed *Realgymnasium am Zwinger*, w którym mój ojciec chodził do szkoły do przerwy wielkanocnej w 1935 roku. Przy bramie wejściowej ojciec rozejrzał się powątpiewająco.

– To musi być moja szkoła – powiedział. – Zdecydowanie.

Następnego ranka odwiedziliśmy ratusz miejski, obecnie muzeum. W holu wisiał plakat wystawy o przedwojennych Żydach w Breslau. Chociaż ekspozycja już się skończyła, okazało się, że plakat stanowiący kolaż portretów słynnych żydowskich mieszkańców nie jest na sprzedaż. Nie śmiałem przekupić strażnika.

– Nigdy nie miałem okazji tu wejść – zauważył mój ojciec.

Potulnie chodziliśmy po budynku. Srebra, meble, ceramika z Bunzlau, stare stemple. Panował w nim tak orzeźwiający chłód, że aby przeciągnąć zwiedzanie, obejrzelśmy nawet skorupy garnków z czasów prehistorycznych. W jednej z sal trafiliśmy na wystawę zdjęć o życiu miasta w pierwszym dziesięcioleciach dwudziestego wieku. Mój ojciec rozpoznawał ulice, domy, szyldy.

– Chodź zobaczyć! – zawołał uszczęśliwiony. – To Reuschestrasse. Tam, na sklepie, widzisz napis *Gebrüder Kornicker*? Moritz Durra, mój dziadek, w nim pracował. Później przejął interes, a po jego śmierci przeszedł on na wujka Ericha. Sprzedawano w nim upominki firmowe.

Mój pradziadek Moritz był dowcipnisiem rodziny. Kiedy szedł do restauracji, nigdy nie zostawiał niczego na talerzu. *Lieber den Magen erkränken als dem Wirt etwas schenken*^[167] – mawiał. Na zdjęciu, ze swoją tuszą i okrągłą, łysą głową, poznać w nim bon vivanta. Krótco przed śmiercią w 1934 roku wciąż spozierał figlarnym wzrokiem w obiektyw aparatu.

Zwiedzanie ratusza poprawiło ojcu humor. Kiedy w studenckiej knajpce przy uniwersytecie jedliśmy pierogi z serem, popijając zimnym wrocławskim piwem, podśpiewywał cicho melodie z operetek, które sączyły się z głośników. Znał wszystkie słowa. Jak każdy siedemdziesięcioletni Niemiec dorastał przy dźwiękach sentymentalnych szlagierów Lehára i Millöckera.

– *Das muss ein Stück vom Himmel sein* – nucił. – *Wien und der Wein*^[168]. Hedwig, nasza służąca, śpiewała tę piosenkę przy zmywaniu.

Roześmiał się.

– Dziś rano, w hotelu, znalazłem w kieszeni spodni niemiecką monetę dwumarkową. Co sobie za nią kupię, pomyślałem? Przez chwilę wydawało mi się, że mieszkam w Breslau, po czym nagle zdałem sobie sprawę, że to Wrocław. Śmieszne, prawda?

Nazajutrz właśnie mieliśmy zaczynać śniadanie, kiedy ojciec półgębkiem oznajmił, że musi nam coś powiedzieć. Natychmiast nadstawiliśmy z matką uszu.

– Dzisiaj, o szóstej rano, wyszedłem na spacer – wyznał, smarując sobie kromkę. – Chciałem odnaleźć swoją starą żydowską szkołę. Z Rehdigerplatz wszystko zniknęło. Nic tam nie poznawałem. Na mapie cała ta okolica była zamalowana na purpurowo.

Kolorem tym oznaczono budynki, które w czasie oblężenia zostały w sześćdziesięciu pięciu procentach do stu zniszczone. Plan miasta, który kupiliśmy w informacji turystycznej, został zaprojektowany specjalnie dla turystów niemieckich. Nawet mapa była po niemiecku, pokazywała Breslau sprzed 1945 roku i czterema odcieniami czerwieni uzmysławiała stopień zniszczeń. Na odwrocie umieszczono alfabetyczną listę niemieckich nazw ulic z ich polskimi odpowiednikami.

– Rehdigerplatz jest teraz nazwany po mojej rodzinie – zakończył ojciec tonem symulującym powagę.

Popatrzyliśmy na niego zbaranieli.

– Nosi nazwę placu Pereca, na pamiątkę Icchoka Lejba Pereca, pisarza jidysz – uśmiechnął się. – Cóż, pomyślałem sobie, że lepiej jak wrócę, bo i tak nie było tam co oglądać.

Skończył swoją kawę i skinął na kelnera, by dolał mu drugą filiżankę. Odczekał chwilę, by napięcie urosło.

– Nagle między dwoma blokami mieszkalnymi odkryłem mniejszy budynek, który krył się za drzewami. To była moja stara szkoła, natychmiast ją rozpoznałem. Czerwona cegła, szerokie schody prowadzące do wejścia, rzędy okien. Wszedłem do środka, w kantorku siedziała jakaś kobieta, pewnie portierka. Wyjaśniłem jej po niemiecku, że przez trzy lata chodziłem do tej szkoły. Wydaje mi się, że mnie nie zrozumiała, bo odpowiedziała po polsku, czego ja z kolei nie rozumiałem. Właśnie miałem odejść, kiedy zobaczyłem słój z banknotami. Wsadziłem do niego papierek pięćdziesięciotysięczny.

Ostatniego wieczoru w Breslau jedliśmy w restauracji hotelowej śląskie specjalności. Pieczoną gęś z kapustą, *Knödel*, kompot z wędzonych owoców. Zdaniem ojca – w stu procentach potrawy kuchni żydowskiej. Było to czysto symboliczne pożegnanie, ale stanowiło nieodłączny element oprawy, jak wata cukrowa w wesołym miasteczku. Następnie jeszcze raz obeszliliśmy Rynek. Nikt się nie odzywał. Drzewo nieopodal posągu Aleksandra Fredry obsiadła chmara skrzeczących szpaków. Niebo było w kolorze lekko popielatym, który budził marzenie o chłodniejszej pogodzie.

Odwiozłem rodziców do domu. Nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia na temat naszej podróży do Polski. Jak zawsze, kiedy u nich byłem, odegrałem na pianinie kilka mazurków i nokturnów Szopena, po czym pojechałem do siebie.

Zwykle lubię wracać do domu z podróży. Trzeba przejrzeć pocztę, przeczytać gazety i czasopisma, a odnajdywanie znajomego miejsca budzi miłe uczucie. Tym razem w mniejszym stopniu sprawiało mi to przyjemność. Czulem potrzebę wyruszenia na poszukiwania swojej rodziny. Ale jak miałem się do tego zabrać? Co miało mnie spotkać po drodze? Poza tym chciałem jak najszybciej wrócić do Breslau. Moje zadanie w nim nie zostało zakończone.

Ojciec miał się rzadko wtrącać do moich podróży i poszukiwań naszej żydowskiej rodziny. Informowałem go o wszystkich wypadkach, a on w zamian okazywał grzeczne zainteresowanie jak rodzic cierpliwie słuchający dziecka, kiedy to opowiada nieskładną historyjkę. Po jakimś czasie przyzwyczałem się do jego zdystansowania.

Latem 1998 roku zmarł kuzyn mojej matki. Ojciec był chory i nie mógł pojechać na pogrzeb.

– Przynajmniej jakiś pożytek z tej choroby – rzuciłem.

Szybko odparował moją niestosowną uwagę.

– Gerard był ujmującym człowiekiem – odpowiedział ostro. – Bardzo go ceniłem i chętnie bym go pożegnał.

Nie zdawałem sobie sprawy z jego przywiązania do krewnych żony. Ostatecznie znał ich lepiej niż własnych. Żydowskie pochodzenie, owszem,

zajmowało pewne miejsce w jego życiu, ale nie potrzebował go, by zbudować własną tożsamość. Kochał swoją żonę, dzieci i wnuki, a Belgia stała się jego domem. Przez cały ten czas pozostał anglofilem, choć Anglię postrzegał już tylko jako idealne miejsce do spędzenia wakacji, krainę uroczych pejzaży i wspomnień o beztrudnych latach wojennych. Własnych krewnych nie chciał jednak odwiedzać. Przez wiele lat Frank błagał go, by pojechał z nim do Australii. „Opłacę wszelkie koszty” – pisał do Wenera kuzyn. Ojciec pozostał nieugięty.

Bardziej fascynował go Izrael. Za każdym razem, kiedy w Tel Awiwie wybuchała bomba, odżegnywał proces pokojowy od czci i wiary. „Z terrorystami nie ma co negocjować pokoju” – psioczył. Zawsze mu się sprzeciwiałem. Nasze dyskusje czasem stawały się tak zagorzałe, że wystraszona matka musiała wkraczać między nas. Słuchał też *Radio Judaica* i emocjonował się, kiedy cały świat dyskryminował Żydów, jak w aferze z bankami szwajcarskimi i pieniędzmi z Holocaustu.

Poza tym nie obnosił się ze swoim żydowskim pochodzeniem. Interesował go wyłącznie uniwersalny los Narodu Wybranego, zaś siebie jako jednostkę nie uważał za godną uwagi. Kiedy Niemcy w 1953 roku rozpoczęły wypłacanie odszkodowań wojennych (*Wiedergutmachung*), nie kiwnął palcem, żeby wystarać się o stosowne formularze. Po fakcie tego żałował, ale wyłącznie dlatego, iż uświadomił sobie, że stracił lepszą emeryturę. Ani przez chwilę nie pomyślał, że sprzeniewierza się postawie dobrego Żyda.

Kiedy nie okazał wielkiego entuzjazmu wobec pomysłu, by pojechać do Breslau, oczywiście poczułem rozczarowanie. Dlaczego nie chciał udać się na poszukiwanie naszej żydowskiej przeszłości z równym zapałem, co ja? O mały włos w ogóle byśmy nie wyruszyli. Mój brat w ostatniej chwili zrezygnował z wyjazdu z nami, a dla matki Polska była krajem położonym poza granicami cywilizacji, gdzie przybyszów z Zachodu ograbiano z samochodów, a człowiek kładł się spać na głodnego.

– To co, mamy jechać? – zapytał z powątpiewaniem ojciec, na poły licząc na to, że istnieją wystarczające argumenty za pozostaniem w domu.

Breslau wywarło na mnie ogromne wrażenie. Podczas pierwszego w nim pobytu postanowiłem ruszyć na poszukiwanie swoich żydowskich przodków i o nich napisać. Wykoncypowałem sobie, że w obrębie ich terytorium wytyczę swoją mapę życia. Cztery lata później powróciłem. Moje objazdy krewnych dobiegły końca. To, czego dowiedziałem się o nich oraz o ich rodzinnym mieście, zabrałem ze sobą, ale przez ten czas zdążyłem uświadomić sobie, że ich przeszłość mogłem wykorzystać zaledwie jako bagaż i że w ich mieście musiałem znaleźć dla siebie własne miejsce.

Hans w swojej relacji z podróży w 1983 roku opisał zadanie, jakie mnie czekało. Mój daleki kuzyn z Filadelfii bezpośrednio po przyjeździe do Wrocławia

udał się do synagogi Pod Białym Bocianem. Bez problemu ją odnalazł, ponieważ w pobliżu ostało się sporo powojennych budynków.

„Przeszedłem przez Graupenstrasse i skręciłem na lewo w Wallstrasse – napisał. – Tuż przed wejściem znajdował się kiedyś sklep ze słodyczami, w którym my, chórzyści, stale kupowaliśmy cukier na patyku i dropsy. Zatrzymałem się i zamyśliłem – na temat starych dobrych czasów i grona moich kolegów. A potem poszedłem do synagogi. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Wszystkie okna powybijane, zachował się jeszcze tylko jej szkielet, reszta leżała w gruzach. Nagle poczułem, jak kolana się pode mną uginają, gapiłem się bezmyślnie przed siebie. Zacząłem płakać i nie mogłem się uspokoić, choć starałem się ze wszystkich sił. Nie wiem, jak długo tam stałem. Podeszła do mnie jakaś kobieta, mówiła po polsku i gestami nakazała mi pójść za sobą do jej mieszkania. W pokoju dziennym siedział jakiś mężczyzna. Odezwał się do mnie w jidysz. Opowiedziałem mu, czemu tu przyjechałem. Poprosił, bym usiadł i się uspokoił. Przez okno patrzyłem na synagogę. Kiedy miałem siedem lat, zacząłem śpiewać w chórze, mój ojciec też miał ledwie siedem lat, kiedy został chórzystą w synagodze, a mój dziadek zajmował w niej miejsce numer jeden. A teraz takie zniszczenie. Znowu się rozpląkałem. Naprawdę nie potrafiłem pohamować swojego smutku. Jak mogłem zapomnieć Wielkie Święta z moimi rodzicami, moją bar micwę i ostatnie nabożeństwo, zanim deportowano nas do obozu pracy? Przypominam sobie słowa rabiego. Zapamiętaj, życie jest jak studnia. Jeśli wiadro znajduje się na dole studni, drugie wiadro jest w górze, a kiedy zostaje opuszczone, to pierwsze zostaje wyciągnięte na górę... Pomyślałem, że Bóg chce, bym niczego tu nie znalazł... Uczy mnie, że nie da się odzyskać przeszłości, że nie mogę powrócić do przeszłości. To, co się liczy, to tu i teraz: moja rodzina, żona, dzieci, wnuki. Oczywiście, pozostało w tym wszystkim miejsce dla mojej przeszłości, pięknych wspomnień; miejsce, by nie przestać kochać moich rodziców i dziadków. Ale należałem do terażniejszości. To było moje miejsce”.

Mój drugi pobyt w Breslau trwał siedem dni. Zatrzymałem się w hotelu Monopol, jednym z najstarszych w mieście, a przed wojną najbardziej luksusowym. Noc spędzili w nim Irena Joliot-Curie, Pablo Picasso i Marlena Dietrich, zaś kiedy Adolf Hitler przemawiał w Breslau, zajmował w tym hotelu apartament. Teraz był to jeden z najtańszych hoteli – w mieście, które nie oszczędzało kiesy turystów.

W ciągu tego tygodnia zgodnie z radą Hansa spróbowałem oddzielić terażniejszość od przeszłości. Na rynku i w okolicy Dworca Świebodzkiego przeciskałem się z ludzką masą wzdłuż kramików. Stąd wyruszały parowozy pełne wesołych urlopowiczów zmierzających do Hirschberg, u stóp Riesengebirge. Obecnie żadne pociągi stąd nie wyjeżdżały. W kącie rdzewiały zdemontowane tory. Zachowało się tylko zadaszenie peronów, smukłe kute z żelaza kolumny

pomalowane na jasnozielono, wykończone zdobnymi w skrzydła kołami, symbolami szybkości i postępu. Kupiłem szalik Śląska Wrocław, lokalnego klubu piłkarskiego, zjadłem bułkę z kiełbasą śląską i użaliłem się nad królikami i kurczakami, które – ściśnięte w małych klatkach – czekały na ewentualnego kupca.

Tak jak i Hans, odwiedziłem synagogę Pod Białym Bocianem przy ulicy Pawła Włodkowca. Właśnie rozpoczęto jej renowację. Dziwne, że najpierw odrestaurowywano jej szklaną kopułę – pomyślałem. Za synagogą biegła dróżka. Ponad nią górowały ceglane wieże kościoła św. Elżbiety przy Rynku. Nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi na to, że Rynek leżał tak blisko. Modlitwy moich pradziadów rzeczywiście rozbrzmiewały w samym sercu miasta; zamieszkiwali oni wszystkie okoliczne uliczki, zaułki i przejścia. Na ścianie jednej z kamienic czynszowych otaczających synagogę zawisła nowiutka kamienna tablica pamiątkowa. Tekst wypisany złotymi literami po polsku, hebrajsku i niemiecku. „Z tego dziedzińca deportowano w latach 1941–1944 wrocławskich Żydów do hitlerowskich obozów zagłady. Nigdy nie zapomnimy!”

Przyszedł mi do głowy fragment listu Georga Sternberga do mojego dziadka. Brat Sternberga musiał z rodziną i jedynie ręcznym bagażem zameldować się w Gestapo. Następnie z grupą innych Żydów przeszli do synagogi Pod Białym Bocianem. Siedzieli w niej zamknięci przez tydzień, jedni na drugich, bez łóżek i jedzenia. Przyjaciel z dzieciństwa mojego dziadka codziennie przemycił im do środka pożywienie, samemu ryzykując aresztowanie i deportację.

Kiedy w środku życia zacząłem poszukiwać mojej żydowskiej rodziny, byłem pewien, że pomiędzy ich korzeniami znajdują się moje. Dlatego najpierw spoglądałem wstecz i zajmowałem się wyłącznie wspomnieniami. Czasami dopadała mnie nostalgia, iż tak blisko siebie odczuwałem obecność swoich dziadków, że tęskniłem za nimi i chciałem ich objąć. Mój smutek był równie szczery, co bezowocny.

Cztery lata później spróbowałem nadać miejsce w swoim życiu owemu przywiązaniu do żydowskich krewnych. Hans Peritz dosłownie odkrył swoje korzenie, kiedy na cmentarzu w Breslau potknął się o pozostałości z drzewa, które jego dziadek zasadził dla swych pięciu synów. Ja nigdy nie przewrócę się na swoich korzeniach. Moja historia rozgrywa się nigdzie i wszędzie. Oczywiście, że chciałbym jak każdy przynależeć do narodu, kościoła, plemienia, rasy, partii czy braterstwa. Wszelkie próby spalały na panewce. Nie boleję nad tym. Również z podróży do moich żydowskich przodków nie powróciłem rozczarowany.

W czasie jednej z moich bezcelowych eskapad po południowej części miasta trafiłem na Menzelstrasse, dzisiaj ulicę Sztabową. Nie liczyłem na to, że odnajdę numer osiemdziesiąt dwa, dom, w którym mój ojciec mieszkał do 1937 roku. Cała okolica bowiem musiała znieść ciężkie natarcia Armii Czerwonej i praktycznie

została zmieciona z powierzchni ziemi. Ulica przede mną leżała opuszczona i smętna. Wokoło obskurne bloki mieszkaniowe z wywieszonymi do suszenia pod oknami koszulami i skarpetkami. Tu i ówdzie, na wąziutkich balkonach, kolorowa kępka krwistych pelargonii. Ku mojemu autentycznemu zaskoczeniu na miejscu domu moich dziadków stał budynek, który, wyglądało na to, przetrwał wojnę. Poza tym ponad wejściem wielkimi literami wypisano wapnem „Nr. 82”. Tak długo wpatrywałem się w dom, aż jakaś przechodząca starsza pani rzuciła mi w twarz wiązaną przekleństw. Prawdopodobnie uznała mnie za jednego z niemieckich *Heimat*-turystów, którzy nawiedzali miasto w poszukiwaniu własnego mienia, co prowadziło do wzrostu kosztów życia mieszkańców.

Nie przestawałem się gapić na budynek. Moi dziadkowie z synem zajmowali najwyższe piętro. Nie miałem prawa, nie mogłem o nich milczeć. Jednocześnie uświadomiłem sobie, jak skromne było to moje zadanie. Położyłem zaledwie kamyczek na grobie swojej żydowskiej rodziny. Ten prosty symbol uszanowania i uczucia w miejscu, gdzie pozdrawiały się pokolenia, stanowił jedyny podarunek, jaki mogłem im ofiarować.

* * *

Edith Durra zmarła zimą 1997 roku w La Paz. Osiągnęła prawie dziewięćdziesiąt dwa lata. Jej syn Wolfgang ponownie się ożenił wiosną 1998 roku. Jego żona jest pół-Żydówką, ale otrzymała surowe katolickie wychowanie. Od Franka z Melbourne dowiedziałem się, że dzieci Wolfganga nie uczestniczyły w ślubie.

Frank pogodził się ze swoim najmłodszym synem. Ma również nową przyjaciółkę, która w dodatku jest daleką krewną mojego ojca. Ciotka Franka, Elsie, świętowała w maju 1999 roku swoje dziewięćdziesiąte trzecie urodziny. Jak co roku spędziła lato u swego syna Freddy'ego w Sydney.

W Londynie umierała Lilli Durra, lat osiemdziesiąt sześć. Opiekowali się nią jej siostra Suzanne oraz syn Lilli, Walter. Suzanne niedawno została prababcią.

Mojemu ojcu w końcu zachciało się jednak raz jeszcze pojechać do Breslau. Powiedział, że tym razem naprawdę ma na to ochotę. Lecz kiedy wiosną 1998 usłyszał od swojego lekarza, że ma raka i natychmiast musi poddać się operacji, podróż nie doszła do skutku. „Jak wyzdrowieję – powiedział – wolałbym najpierw odwiedzić Izrael”.

Epilog

Kiedy ojciec przeczytał moją książkę, wyraźnie rozradowany stwierdził, że wreszcie poznał swoją rodzinę. Był to najpiękniejszy komplement, jaki mogłem otrzymać.

Tymczasem ojciec nie żyje już od sześciu lat. Nic nie wyszło z jego podróży do Izraela. W zamian razem z trójką swoich dzieci jeszcze raz powrócił do swego rodzinnego miasta. Był u kresu sił, kiedy latem 2002 roku zatrzymaliśmy się na pięć dni we Wrocławiu. Taksówką jeździliśmy w miejsca jego młodości. Po obiedzie odpoczywał w swoim pokoju hotelowym. Z konieczności i przymusu.

Choć była to niezapomniana podróż, jeden obraz pozostanie mi szczególnie w pamięci.

Mój ojciec na ławce pod drzewami na Hindenburgplatz, w pobliżu domu, w którym mieszkał do czasu wyemigrowania w sierpniu 1938 roku do Anglii. Kiedy zabieram się do zrobienia mu zdjęcia, spogląda w obiektyw śmiertelnie zmęczonym, ale pogodnym wzrokiem. Nagle dociera do mnie to, co bez przerwy wypierałem. Ojcu nie pozostało już wiele życia i pogodził się ze śmiercią.

Kiedy po powrocie pokazuję mu fotografię, jest rozczarowany. „Ale jestem brzydki – mówi. – W szkole byłem najładniejszym chłopcem w klasie”. Gdy pół roku później umiera, zdjęcie wykorzystujemy na kartce powiadamiającej o jego śmierci. „Przystojny mężczyzna” – mówią wszyscy na pogrzebie.

Lilli Jacob w Londynie i Hans Peritz w Filadelfii również zmarli. Inni żyją w najlepsze, jak Suzanne Priestley, siostra Lilli, i Elsie Fröhlich w Melbourne. Suzanne z lipcu skończy dziewięćdziesiąt dwa lata, Elsie w czerwcu – sto trzy. Dwie dzielne kobiety, z którymi wciąż koresponduję.

Pisanie listów stanowiło dla mojej babci zajęcie utrzymujące ją przy życiu, być może nawet jej *raison d'être* po wygnaniu z Breslau. Po jej śmierci mój ojciec utrzymywał kontakt listowny z jej rodziną. Teraz przyszła kolej na mnie. Pisanie listu to przyjemność, nie obowiązek. Poza tym wysyłam listy w prawdziwej kopercie z prawdziwym znaczkiem; realizując ten rzemieślniczy rytuał, czuję się prawdziwym spadkobiercą swojej babci. Zresztą wysyłanie e-maili nie miałyby wiele sensu, większość moich sędziwych krewnych nie ma komputera, a myszka dla nich ma cztery łapki i ogon.

Ale o jakże ważnych wieściach donoszą! Wolfgang Adam z Boliwii odwiedza swego skrajnie ortodoksyjnego syna w Nowym Jorku. Suzanne Priestley na przyjęciu urodzinowym stu czteroletniej pianistki Alice Sommer ocalałej z Theresienstadt. Frank Durra z Melbourne w rejsie na *Queen Mary* na Dalekim Wschodzie. Elsie Fröhlich fatalnie się przewróciła, ale cudem wyzdrowiała. Mona Peritz, wdowa po Hansie, szczerze zatroskana swoim wnukiem, który służy w wojsku w Iraku.

Tylko o Fredim Durrze niczego się nie dowiaduję. Czy zmarł? Moje listy i telefony pozostają bez odpowiedzi. Dzisiaj wiem na pewno, że cieszył się wyjątkową popularnością jako kabareciarz. Zarówno ambasador Izraela w Belgii, jak i właściciel żydowskiej restauracji w Antwerpii, w której zdarza mi się jeść falafel, powiedzieli mi, że uwielbiali przedstawienia Frediego z wicami opowiadanyymi w jidysz.

Po opublikowaniu tej książki nie miałem już wiele czy w ogóle czasu na prowadzenie badań genealogicznych. Mimo to odnalazłem paru nowych, prawdopodobnie dalekich krewnych; ludzi, którzy tak jak ja chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o swoim żydowskim pochodzeniu. Rolf Lang z Derby w Wielkiej Brytanii tak jak i ja jest jednym z praprawnuków Lewina Peritza. Podobnie Ernie Durra z Kapsztadu w Republice Południowej Afryki. Jego ojciec był wujkiem mojego. Kiedy mój ojciec zmierzał do Anglii, spędził noc u owego wuja w Berlinie, zanim wsiadł w pociąg zmierzający do Hoek van Holland i swojego ocalenia.

W końcu też dowiedziałem się więcej o rodowodzie rodziny Peritz. W książce tej przywołuję pogłoskę, jakoby nazwisko pochodziło z języka hiszpańskiego. Mój ojciec usłyszał o tym od swojego, któremu z kolei opowiedział o tym jego ojciec. Legenda rodzinna, która nastrajała mnie bardziej niż sceptycznie. Żyłem w przekonaniu, że moimi przodkami byli Żydzi aszkenazyjscy, a nie safardyjscy. Najwyraźniej się myliłem.

W 1580 roku przebogaty i wpływowy polski szlachcic Jan Zamoyski zwrócił się do włoskiego architekta Bernarda Morando o wzniesienie na południowym wschodzie Polski miasta w stylu renesansowym, Zamościa. Obecnie Zamość wpisany jest na Światową Listę Dziedzictwa Ludzkości UNESCO. Krótco po założeniu miasta Zamoyski zaprosił pewną liczbę Żydów sefardyjskich z Niderlandów (wiek wcześniej zostali oni wypędzeni z Hiszpanii i Portugalii) do prowadzenia handlu w jego mieście. Dziwne? Nie bardzo. W owych czasach Rzeczpospolita Obojga Narodów należała do najbardziej liberalnych krajów w Europie. Poza tym Zamoyski był orędownikiem tolerancji religijnej.

Ponieważ chodziło o małą grupkę sefardyjskich osadników, niedługo trwało, nim została ona wchłonięta przez o wiele większą grupę Aszkenazyjczyków. Czy więc mój wschodnioeuropejski praprzodek był jednym z sefardyjskich imigrantów? Dowodów brak. W każdym razie byli wśród nich Perecowie, gdyż w 1852 roku – ciągle w Zamościu – przyszedł na świat Icchok Lejb Perec, ojciec literatury jidysz. Moja gałąź Pereców tymczasem przeprowadziła się już do zachodniej Polski. To, kiedy dokładnie przekroczyli granicę z Prusami i zmienili swoje nazwisko, pozostaje w sferze spekulacji. Jedno jest pewne: w 1817 roku nazywali się jeszcze „Perec” i mieszkali w Gniewkowie, w ówczesnej Kongresówce. Około 1840 roku mój pradziadek przeprowadził się do Breslau na pruskim Śląsku i nosił nazwisko

Peritz. Czy więc jesteśmy również spokrewnieni ze sławnym pisarzem jidysz? Jeśli doszukiwanie się tego pokrewieństwa nie jest warte zachodu, to nic w życiu nie jest go warte.

Od moich podróży po żydowskich krewnych zdążyło już minąć przeszło dziesięć lat. Czego przez ten czas się nauczyłem? Tego w każdym razie, że wszelki wniosek jest wnioskiem tymczasowym. Moja wiedza urosła, ale z powodu tej większej wiedzy powstały również większe luki, które głośno domagają się wypełnienia. I tak chciałbym się więcej dowiedzieć o żydowskich więźniach, których po powstaniu w Getcie Warszawskim w kwietniu 1943 roku wysłano z Auschwitz do polskiej stolicy do sprząwania ruin getta. Hans Peritz był jednym z nich. Jak długo wykonywał te roboty przymusowe? Wiem, że pewna liczba tych więźniów dłużej niż rok pozostawała w zaimprovizowanym obozie, zanim latem 1944 roku została wywieziona do Dachau. Skąd moja ciekawość? Ponieważ bardziej niż kiedykolwiek zdaję sobie sprawę z tego, że moja opowieść to historia ludzi, którzy przeszli przez najgłębsze padoły ludzkiego cierpienia. Podziwiam ich bezkompromisowość, chylę czoła wobec ich nieprzebranego cierpienia. Być może dlatego ich opowieść tak sugestywnie do mnie przemawia. Czerpiemy lekcję z ich wytrzymałości i niewyczerpanej woli życia; pozwalają nam lepiej zrozumieć to, co nami powoduje. „Doświadczenia czasu wojny sprawiły, że zrozumiałam, jakie są najważniejsze priorytety w życiu – mówi w *Podróży Niny* ocalała z warszawskiego getta Nina Einhorn. – Taką naukę wyciągnęłam z wojny: wiem, co jest ważne i wiem, co nie jest ważne”^[169]. I chociaż tylko szaleniec uznałby, że okropieństwo jest potrzebne, by dowiedzieć się, co się w życiu liczy, rozumiemy, co Nina chce przez to powiedzieć: człowiek odnajdzie sam siebie dopiero wtedy, gdy dotrze do granic swojego istnienia.

Dlatego się cieszę, iż na czas zdecydowałem się odnaleźć swoją rodzinę. Gdybym dłużej zwlekał, żywa historia na dobre stałaby się historią zasłyszaną. Wtedy na zawsze musiałbym pogrzebać plany napisania tej książki. To, czego doświadczyli moi krewni, musi pozostać cenione i zachowane. Ich świadectwo jest złotym pyłem. Kiedy podręczniki historii zaświadcniają o sześciu milionach wymordowanych Żydów i o wielokrotności tej liczby zwichniętych egzystencji, ta książka daje świadectwo garstki tychże. Ponieważ każda zamordowana istota ludzka i zwichnięte życie zasługuje na osobną historię.

Jestem wdzięczny członkom mojej rodziny, że zechcieli ze mną rozmawiać. Co się z nimi działo w Niemczech? Dlaczego niektórzy z nich pozostali w Trzeciej Rzeszy, podczas gdy innym udało się na czas zbiec? Jak na nowo ułożyli sobie życie na uchodźstwie? Zanim wyruszyłem w tę podróż, nie wiedziałem, czy stare pokolenie rozmawiało o swej przeszłości z młodszym; w ostatecznym rozrachunku zarówno ocalańcy, jak i uchodźcy, wszyscy oni zmagali się z bolesnymi wspomnieniami i wykorzenionym losem. A czy młodzi chcieli lub śmieli stawiać

pytania swoim rodzicom i dziadkom? W każdym razie wszędzie byłem przyjmowany z otwartymi ramionami, a nawet jeśli nie każdy grał ze mną w otwarte karty, zawsze miałem poczucie, że bardzo doceniają mój zamysł, by ich upamiętnić.

Moja książka jest niczym kamyczek na ich grobie. Byłem tutaj, pamiętam.

Załączniki

Niemieckie nazwy geograficzne z ich polskimi odpowiednikami

- Adlergebirge
- Góry Orlickie
- Argenau
- Gniewkowo
- Bad Langenau
- Długopole-Zdrój
- Bad Reinerz
- Duszniki-Zdrój
- Beuthen
- Bytom
- Breslau
- Wrocław
- Brieg
- Brzeg
- Brückenberg
- Bierutowice
- Bunzlau
- Bolesławiec
- Cosel
- Kozanów
- Deutsch Lissa
- Leśnica
- Eulengebirge
- Góry Sowie
- Gleiwitz
- Gliwice
- Gnesen
- Gniezno
- Görlitz
- Zgorzelec
- Grüssau
- Krzeszów
- Haynau
- Chojnów
- Habelschwerdter Gebirge
- Góry Bystrzyckie

Hirschberg
– Jelenia Góra
Hohensalza
– Inowrocław
Kaschbach
– Potoczek
Kattowitz
– Katowice
Kolberg
– Kołobrzeg
Königshütte
– Chorzów
Konstadt
– Wołczyn
Krummhübel
– Karpacz
Landeshut
– Kamienna Góra
Liegnitz
– Legnica
Misdroy
– Międzyzdroje
Obernigk
– Oborniki
Oppeln
– Opole
Polnisch Lissa
– Leszno
Posen
– Poznań
Ratibor
– Racibórz
Rawitsch
– Rawicz
Reichenbach
– Dzierżoniów
Riebzig
– Rybna
Riesengebirge
– Karkonosze

Schlochau
– Człuchów
Schneekoppe
– Śnieżka
Schneidemühl
– Piła
Schreiberhau
– Szklarska Poręba
Schweidnitz
– Świdnica
Spindlermühle
– Szpindlerowy Młyn
Swinemünde
– Świnoujście
Thorn
– Toruń
Tormersdorf
– Prędocice
Trachenberg
– Żmigród
Trebnitz
– Trzebnica
Waldenburg
– Wałbrzych
Wesendorf
– Kobyła Góra

**Niemieckie nazwy miejsc w Breslau i ich polskie odpowiedniki
w dzisiejszym Wrocławiu**

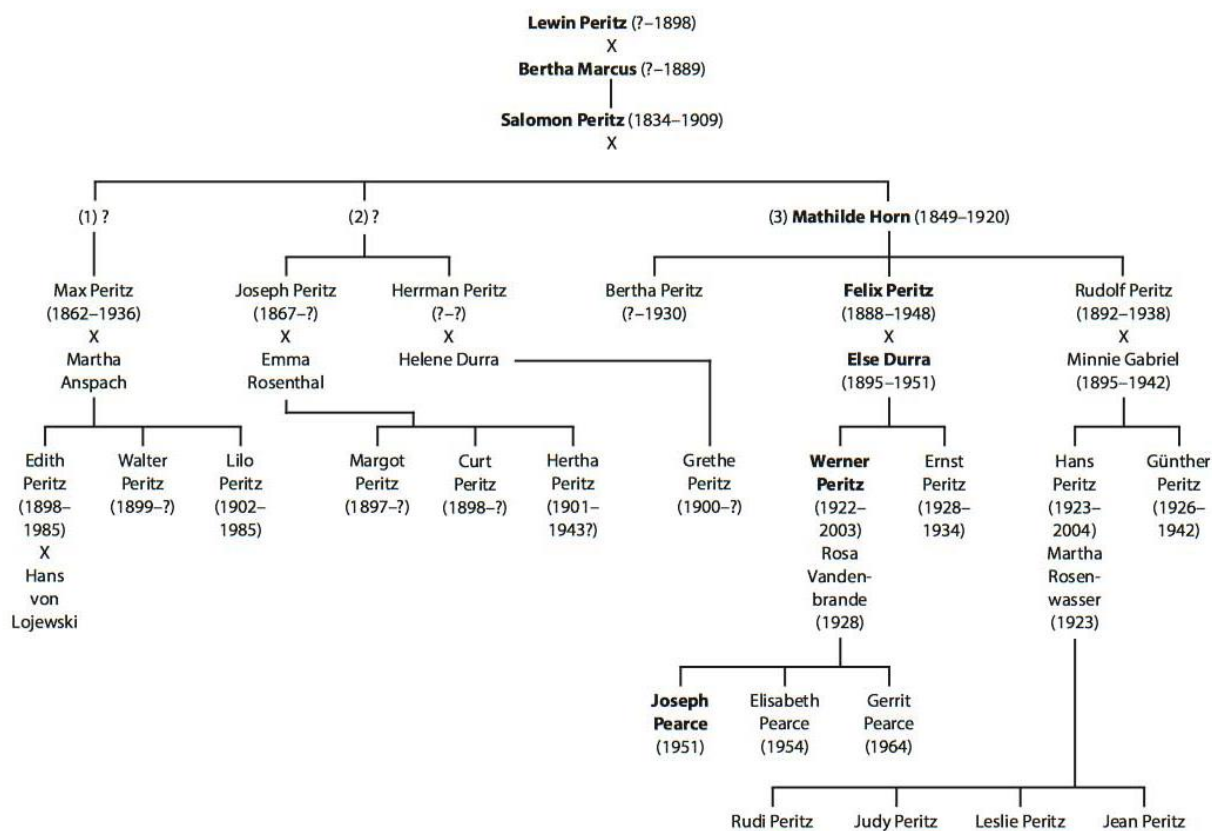
Anger
– ul. Łąkowa
Bohrauerstrasse
– ul. Borowska
Büttnerstrasse
– ul. Rzeźnicza
Corpus-Christikirche
– kościół Bożego Ciała
Dominikanerplatz
– plac Dominikański
Dominsel

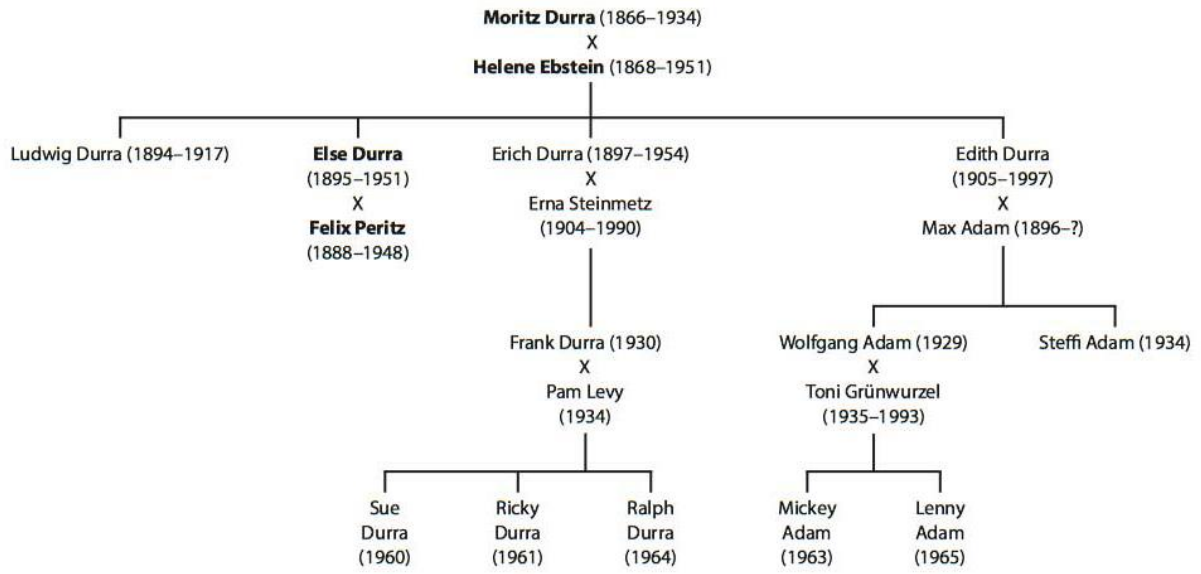
– Ostrów Tumski
Elisabethkirche
– kościół św. Elżbiety
Fehrbellinstrasse
– ul. Słowicza
Freiburger Bahnhof
– Dworzec Wrocław Świebodzki
Friedrichstrasse
– ul. Kolejowa
Frobenstrasse
– ul. Spadochroniarzy
Gabitzstrasse
– ul. Adama Próchnika + Wincentego Stysia
Goethestrasse
– ul. Wielka + Przestrzenna
Graupenstrasse
– ul. Krupnicza
Hauptbahnhof
– Dworzec Wrocław Główny
Höfchenstrasse
– ul. Tadeusza Zielińskiego
Kaiser-Wilhelmstrasse
– ul. Powstańców Śląskich
Karlsplatz
– plac Bohaterów Getta
Karlstrasse
– ul. Kazimierz Wielkiego
Kleinburgstrasse
– ul. Januszowicka
Kohlenstrasse
– ul. Stanisława Dubois
Lessingstrasse
– ul. Dobrzyńska
Liebichshöhe
– Wzgórze Partyzantów
Lohestrasse
– ul. Ślężna
Menzelstrasse
– ul. Sztabowa
Neudorfstrasse

– ul. Wiśniowa
Neue Graupenstrasse
– ul. Sadowa
Neue Schweidnitzerstrasse
– ul. Świdnicka
Nikolaistrasse
– ul. Św. Mikołaja
Ohlauer
– Podwale
Stadtgraben
– fosa miejska
Rehdigerplatz
– plac Pereca
Rathaus
– Ratusz
Reuschestrasse
– ul. Ruska
Ring
– Rynek
Salzstrasse
– ul. Wojciecha Cybulskiego
Sandinsel
– Ostrów Piaskowy
Scheitniger Park
– Park Szczytnicki
Schlossplatz
– plac Wolności
Schweidnitzer Stadtgraben
– Podwale
Schweidnitzer Strasse
– ul. Świdnicka
Schwerinstrasse
– ul. Skwierzyńska
Schwertstrasse
– ul. Nabycińska
Südpark
– Park Południowy
Tautenzienplatz
– plac Tadeusza Kościuszki
Theaterstrasse

– ul. Gabrieli Zapolskiej
Trinitasstrasse (nie istnieje)

Tschepiner Platz
– Rynek Szczepański
Universitätsbrücke
– Most Uniwersytecki
Wallstrasse
– ul. Pawła Włodkowica
Zwingerstrasse
– ul. Teatralna





Przypisy

[1] (niem.) „Noc kryształowa”, pogrom Żydów w III Rzeszy zorganizowany przez NSDAP w nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku, w czasie którego zamordowano 91 Żydów, spalono 171 synagog, splądrowano i zniszczono 7,5 tysiąca sklepów i zakładów (nazwa od potłuczonych szyb); 26 tysięcy Żydów deportowano do obozów koncentracyjnych. „Noc kryształowa” rozpoczęła okres zaostzonych prześladowań Żydów w hitlerowskich Niemczech (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Chodzi o Wzgórze Partyzantów, pozostałość dawnego Bastionu Sakowego.

[3] (niem.) „Tutaj spoczywa nasza ukochana matka i siostra Else Peritz z domu Durra. Urodzona 27 XII 1895. Zmarła 15 III 1951”.

[4] (niem.) Kolacja.

[5] (niem.) Ależ nie martw się, Mamo! Nie, Mamo, nie! Do niedzieli, Mamo, do niedzieli!

[6] (jid.) Wernele – zdrobnienie od imienia Werner. W książce często pojawiają się podobne zdrobnienia imion powstałe dzięki dodaniu przyrostków – *le*, *-el* lub *-l*.

[7] (niem.) Jego syn.

[8] (niem.) Jest przeraźliwie zimno. Nigdy nie mieliśmy równie chłodnej zimy.

[9] (niem.) Jesteś żonaty?

[10] (niem.) Kocham swoją wolność.

[11] (niem.) W Boliwii, a zupełnie po niemiecku.

[12] (jid.) Albo *Jeke* – epitet używany w odniesieniu do Żydów pochodzących z Niemiec, powstały od aszkenazyjskiej wymowy imienia Jakub.

[13] (niem.) Gruntowność, solidność.

[14] (niem.) Nie chciało mi się wstawać. Nie mam apetytu.

[15] (niem.) Musicie/musi Pani jednak coś zjeść.

[16] (niem.) Dlaczego zwracasz się do mnie na „wy”/pani?

[17] (niem.) Mój niemiecki jest taki słaby. Mówić przez „ty” jest dużo trudniej niż przez „wy”.

[18] (niem.) Za dużo wody. Odlej trochę.

[19] (niem.) Dosł. postęp dzięki technice, tu: nowinka techniczna.

[20] (niem.) Ileż trosk musi mieć ten człowiek!

[21] (niem.) Oczywiście, że tak. Ach, cóż to jednak była za tragedia, ta historia z naszą Else.

[22] (niem.) Te jej oczy! Wiecznie poważne!

[23] (niem.) Niestety, nie mieliśmy wtedy pojęcia, że nie była w posiadaniu pełni władz umysłowych.

[24] (niem.) Nie, nawet mi nie przyszło to do głowy. Wernerle był takim słodkim chłopcem. Moim ulubieńcem!

[25] (niem.) Gdyby tylko Werner od początku wyłożył nam kawę na ławę!

[26] (niem.) Mam przecież jeszcze tyle sex appealu, mogę jeszcze przecież uszczęśliwić mężczyzn.

[27] (niem.) Ja jestem winna.

[28] (fr.) „Ich bardzo katolickie moście” – tytuł monarchów Hiszpanii.

[29] Po niemiecku słowo *hosen* (spodnie) rymuje się z *Posen* (Poznań). Zdanie w dosłownym tłumaczeniu znaczy: „Pochodzę z Lissy w Poznaniu, gdzie gęsi chodzą bez spodni”.

[30] (niem.) Jeszcze skończę przez ciebie w więzieniu!

[31] (niem.) W takim razie niestety nie mogę Państwa przyjąć.

[32] (hisz.) Boliwio, życzymy ci zwycięstwa. Wszyscy za drużyną boliwijską, bo wszyscy jesteśmy Boliwijczykami.

[33] (niem.) Przyjedziesz jeszcze kiedyś, Jossele?

[34] (niem.) Ma się rozumieć.

[35] Traktat pokojowy kończący wojnę siedmioletnią (1756–1763), którą wywołało wtargnięcie Fryderyka I do Saksonii i rozpoczęcie III wojny śląskiej toczącej się między austriacką Monarchią Habsburgów a Prusami Hohenzollernów o panowanie nad Śląskiem.

[36] Żydowskie Seminarium Teologiczne Fundacji Fränkla – pierwszy w Europie Środkowej nowoczesny zakład kształcący rabinów i nauczycieli, założony w 1854 roku we Wrocławiu (za Wikipedią).

[37] (niem.) Nie da się opisać, jak się baliśmy po tym, co się nam straszno wydarzyło.

[38] (niem.) Wracając jeszcze raz do wypadku, Ojciec musiał dwa razy składać zeznania i prawdopodobnie zostanie otworzony proces.

[39] (niem.) Musisz mieć swoje powody, by pisać, że powinniśmy opuścić Konstadt. A i my mamy ochotę zamieszkać w Breslau.

[40] (niem.) W przypadku złej pogody wojna zostanie rozegrana wewnątrz/w środku.

[41] (niem.) Kochana Mamo, wysyłam ci te dwa zdjęcia i proszę, byś dołączyła je do mojej kolekcji.

[42] Erich Maria Remarque, *Na Zachodzie bez zmian*, tłum. Ryszard Wojnakowski, Rebis, Poznań 2010, s. 171.

[43] (niem.) Stanowisko ogniowe. Na pamiątkę 24 grudnia 1914 (Wigilia) w czasie kampanii przeciwko Francji.

[44] (niem.) Jesteśmy tutaj w miarę bezpieczni, kiedy raz za czas w wiosce zaczynają strzelać. Po dwóch długich miesiącach strasznych walk wreszcie się uspokoiło.

[45] Zwrot Felixa *Madame, la Wäsche* (Pani, pranie) musiał w uszach Francuzki zabrzmieć jak *Madame la vache* (Pani krowa).

[46] (niem.) Wszchemogący odtąd będzie darował tylko to, co dobre, byśmy mogli podnieść się po tym ciężkim ciosie. Teraz, gdy jestem sam, mnie również ogarnął głęboki ból. Zacisnę zęby i się opanuję. Mimo wszystko trzeba patrzeć w przyszłość z ufnością w Boga.

[47] (niem.) co pozwoli Wam się trochę rozerwać, a przede wszystkim nabrać sił.

[48] (niem.) Pozostawaj teraz tak często, jak to możliwe, przy ukochanej matce. To jest teraz twoim największym obowiązkiem.

[49] (niem.) Pomagaj również Edithel w lekcjach; widziałem, że zwłaszcza we francuskim jest wyjątkowo słaba.

[50] (niem.) Nigdy w życiu nie przysporzę Wam żadnych kłopotów i zmartwień. Naprawdę możecie na mnie liczyć.

[51] (niem.) Zawsze możesz na mnie liczyć, droga Else, dołożę wszelkich starań, by zastąpić wszystko, co straciliśmy wraz ze śmiercią naszego ukochanego brata! Możesz na mnie polegać.

[52] (niem.) W niedzielę wujek Erich, babcia, dziadek, mama, tata i ja pojechaliśmy do Kaschenbach w Eulengebirge do rodziny Adam, która spędzała tam lato. W drodze powrotnej jechałem samochodem sto cztery kilometry na godzinę, z maksymalną prędkością w moim życiu (do dziś). W Reichenbach wujek Erich zauważył, że czegoś zapomniał. Dlatego musieliśmy zawrócić.

[53] (ang.) Wiesz oczywiście, że *Fröhlich* znaczy wesoły czy po angielsku *gay*. Ale w dzisiejszych czasach nie można już mówić *gay*, prawda? Cóż, my jesteśmy szczęśliwi, prawda, Freddy?

[54] (niem.) Ależ Felixie, takich rzeczy się nie mówi!

[55] Imiona pary gawronów, bohaterów kreskówki z lat pięćdziesiątych, będące jednocześnie aluzją do postaci doktora Jekylla i pana Hyde'a (oraz aliteracją) Roberta Louisa Stevensona.

[56] (ang) Franz, przestań. Sąsiedzi cię usłyszą.

[57] (niem.) Franzl, proszę, właśnie był szabat!

[58] (niem.) Wiedział pan, że jestem jednym z tych przeklętych Żydów?

[59] *Didgeridoo* – naturalna drewniana trąba, instrument dęty australijskich Aborygenów.

[60] (niem.) Ale faktem jest, że kochany Werner zawsze był takim dobrym dzieciakiem i nadal nim jest, i jestem głęboko przekonany, że prędzej czy później twoje miejsce będzie przy nim.

[61] (niem.) Pomyśl o ciotce Jettl, jak często musiała być blisko załamania.

[62] (niem.) Poza tym Werner zawsze był dobrym dzieckiem, a kiedy zmarł kochany Felix, nie zawahał się ani chwili, by zabrać swoją Matkę do siebie. Działał, jak należy.

[63] (ang.) Ta, której trzeba być posłusznym, przemówiła.

[64] (ang.) To jemu trzeba być posłusznym.

[65] (niem.) Scena kabaretowa najelegantsza i najświetniejsza w całych Niemczech.

[66] (niem.) *Adolf Hitler daruje Żydom miasto*; obraz znany również pod tytułem *Theresienstadt. Ein Dokumentarfilm aus dem jüdischen Siedlungsgebiet* [*Theresienstadt. Film dokumentalny o żydowskim osiedlu*].

[67] (niem.) Związek Żydowskich Żołnierzy Frontowych Rzeszy.

[68] Seder – pierwszy wieczór żydowskiej Paschy świętowanej na pamiątkę wyzwolenia Izraelitów z niewoli egipskiej, w który to spożywa się tradycyjną wieczerzę. W wieczór sederowy czytana jest Hagada, czyli fragment o wyjściu

z Egiptu, i jedzony jest przaśny chleb...

[69] (ang.) Bezczelne palanty.

[70] (niem.) Czarnych.

[71] (ang.) (tu.) Co jeszcze na nas spadnie?

[72] (ang.) Nie bądźcie niewolnikami. I nie róbcie z innych niewolników. I upewnijcie się, że inni nie są niewolnikami.

[73] (ang.) Był antysemitą. Sprawa zamknięta.

[74] (ang.) Jeśli kogoś nie lubisz, bądź dla niego miły. Jeśli dłużej nie możesz być miły, wyjdź.

[75] „Żaden to zbyt wielu” (*None is Too Many*) to niesławne sformułowanie przypisywane prezydentowi Kanady i mające odzwierciedlać stosunek tego kraju do imigrantów żydowskich przed drugą wojną światową. Termin ten pochodzi od tytułu książki z 1983 roku *None is Too Many: Canada and the Jews of Europe 1933–1948* autorstwa Irvinga Abella i Harolda Tropera, profesorów historii z Toronto, o Kanadzie i Żydach z Europy w latach 1933–1948.

[76] (niem.) Zamierzam dać swojemu synowi Wernerowi na wyjazd do Anglii następujące mienie.

[77] (niem.) Werner musi się pouczyć łaciny.

[78] (niem.) Werner nie ma dzisiaj ochoty.

[79] (niem.) Tą cudzoziemką.

[80] (niem.) Niemieckie szkoły specjalne, które gromadziły uczniów mających trudności z nauką.

[81] (niem.) Głupi się (głupem) urodził, niczego się z tego nie nauczył, i głupem zmarł.

[82] (ang.) A czego się spodziewałeś po durnym polskim tirowcu?

[83] (ang.) Ze mnie jest wolny duch, wiesz?

[84] (ang.) Zachowywał się jak bełkoczący idiota.

[85] (ang.) Byłem gwiazdą.

[86] (niem.) Dosłownie „wędrowny ptak” – nazwa niemieckiego ruchu młodzieżowego z końca dziewiętnastego wieku. Ruchem tym zainspirowała się organizacja Hitlerjugend.

[87] (niem.) Kto tu rzuca śmieciami? Niemieckie zdanie rymuje się z nazwiskiem nauczyciela.

[88] (niem.) Opuszcza naszą placówkę, by uczęszczać do żydowskiej szkoły. Jego zachowanie było bez zarzutu.

[89] (niem.) Organizacja założona przez Friedricha Ludwiga Jahna, krzewiciela kultury fizycznej, uznawanego za „ojca niemieckiej gimnastyki”. Motto organizacji wzywa jej członków do bycia wesołymi (*Froh*), w formie (*Frisch*), pobożnymi (*Fromm*) i wolnymi (*Frei*).

[90] (niem.) Dosł. „Czarny sztandar”.

[91] Niemieckie organizacje pomocowe/charytatywne.

[92] Prezydent Hindenburg – Prusak wychowany w Wielkopolsce i na Śląsku – miał się w ten pogardliwy sposób wypowiedzieć o Hitlerze, myśląc miejsce jego przyjscia na świat – Braunau am Inn (Innviertel) z czeskim Broumovem...

[93] (niem.) Trele-morele, koszałki opałki itp.

[94] (niem.) Przynoszę mace.

[95] (niem.) Żydzi nie mają tu czego szukać. Wstęp i osiedlanie się w tej gminie jest dla Żydów wzbroniony. Dla ludzkości Żyd jest tym, czym dla psa komary i pchły.

[96] Dosł. Żydowska Pomoc Zimowa, czyli żydowski odpowiednik organizacji pomocowej udzielającej wsparcia biednym w czasie zimy.

[97] Typ aparatu radiowego.

[98] (niem.) Uwaga – śmiertelny zakręt! Żydzi mogą jechać sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

[99] Organizacja pomocowa Żydów w Niemczech założona w 1901 roku w celu udzielania wsparcia socjalnego i edukacji Żydów w potrzebie.

[100] (niem.) Niżej wymienione dziecko, począwszy od 1 stycznia 1939 roku, będzie nosić dodatkowe imię ISRAEL.

[101] (niem.) Kochany Erichu, wszystko w porządku!

[102] (ang.) Wrogowie aliantów.

[103] (ang.) Uchodźcy spod niemieckiego ucisku.

[104] (ang.) Bardzo smaczny obiad, kochanie.

[105] Oddziały brytyjskiej armii tworzone przez dawnych żołnierzy (kombatantów); jedyne, w których mogli walczyć cudzoziemcy, których kraj pochodzenia był wrogiem aliantów (a więc również niemieccy i austriaccy Żydzi).

[106] (ang.) Dosł. „duch Dunkierki” – aluzja do ewakuacji Dunkierki w 1940 roku.

[107] Cytat z nietłumaczonego na język polski wiersza *Nacht (Noc)* Mortiza Hartmanna (1821–1872), dziennikarza, pisarza i polityka, pochodzący z tomiku *Leben und Weben (Życie i splot)*.

[108] (niem.) *Krytyka władzy sądowniczej*.

[109] (niem.) *Badania dotyczące rozumu ludzkiego*.

[110] Nietłumaczony na język polski.

[111] Nietłumaczone na język polski.

[112] (niem.) Chodźcie za mną!

[113] (niem.) Stawiać się na apelu.

[114] (niem.) Tak zwany obóz leśny; podobóz.

[115] (ang.) Od dłuższego czasu nie widział dziewcząt.

[116] (fr.) Będę czekać, dzień i noc, wciąż będę czekać twego powrotu.

[117] (niem.) Dosł. „starszy w bloku”, czyli starszy kapo, zaufany hitlerowców.

[118] (niem.) Amerykanie przyjechali! Amerykanie przyjechali!

[119] (ang.) Rany, aleśmy tego dnia świętowali!

[120] Skrót od United Nations Relief and Rehabilitation Administration (z ang. Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy) – organizacja powstała w 1943 roku z inicjatywy Stanów Zjednoczonych, Anglii, ZSRR i Chin...

[121] (ang.) Nie chciałbym narażać twoich rodziców na znoszenie takiego *myszogene* jak ja.

[122] (ang.) W takim razie postawimy przy domu dobudówkę dla *myszogene*, żebyś czuł się w nim jak u siebie w domu.

[123] (niem.) Niedaleko pada jabłko od gruszy.

[124] (ang.) Wydarłem się na swoją córką. SS wymordowało ci dziadków i całą rodzinę, a ty stawiasz w domu choinkę?

[125] (ang.) Hrabstwo Indiana. Stolica choinki Stanów Zjednoczonych.

[126] (ang.) Nie w moim domu, ani się ważcie!

[127] (ang.) Kogo to interesuje, że zostaniesz menelem! Myślisz, że ktoś się tym przejmie? Myślisz, że FILADELFIA się przejmie? Myślisz, że BELGIA się przejmie?

[128] Dosł. wyimaginowany Żyd.

[129] (ang.) Daj mi bombę atomową, a zmiotę Niemcy z powierzchni ziemi!

[130] (niem.) Wszystko było iluzją.

[131] (ang.) – Jesz spaghetti?

– Wydaje mi się, że dobrze mi zrobi na moje przeziębienie.

[132] (ang.) – Ładny kryształ. Piękny dźwięk.

– Mamo, jeśli chcesz kryształ, rozbij je. Będziesz miała nową „noc kryształową”.

[133] (ang.) Skoro cię boli przy kaszleniu, nie kaszl.

[134] (ang.+niem.) O matko, jaki rozdarty.

[135] Przedstawiciel chasydów z tak zwanej szkoły lubawickiej (od Lubawice) działającej w Stanach Zjednoczonych.

[136] (ang.) To głupcy.

[137] (ang.) – Nic mi pan nie dorzuci?

– Dobrą radę: zawsze kochaj swoją matkę.

[138] (ang.) Nie umie po angielsku, nie umie po angielsku.

[139] (ang.) Ajjelet ha-Szacharjest dla mnie w większym stopniu duchowym domem niż Breslau czy Londyn.

[140] (niem.) Przegrałaś przecież wojnę!

[141] (niem.) Mam jednak brytyjski paszport!

[142] (niem.) Jestem Eva. Eva Preiss, i jestem tą sublokatorką.

[143] (niem.) – Czy to coś do zjedzenia? – Nie, do porzygania się.

[144] (niem.) Bardzo dobrze znał Leonarda Bernsteina.

[145] (niem.) Dupki!

[146] (niem.) Pobożni Żydzi.

[147] (niem.) Prawda, że ta Galinka to bardzo ładna dziewczyna? I jest też bardzo miła.

[148] (niem.) Teraz Eva będzie się śmiała... Masz najpiękniejsze dłonie na świecie.

[149] (niem.) Wojna jest naszym przeznaczeniem.

[150] (ang.) Dla walecznego narodu Izraela.

[151] Sabra – owoc kaktusa opuncji, tu: określenie, jakim sami Żydzi nazywają tych z nich, którzy urodzili się w państwie Izrael lub przed 1948 roku w Palestynie.

[152] (niem.) Jedyłą moją stałą cechą jest moja niestałość.

[153] (niem.) Mój wierny towarzysz życia, mój wiecznie troskliwy mąż!

[154] (niem.) Zbiło mnie to z tropu. Jak mogło do tego dojść? [...] Naprawdę była Ojca ulubienicą.

[155] (niem.) Myślałam, że śnię.

[156] (niem.) Nigdy już tego nie rób, obiecaj mi to, proszę.

[157] Inaczej „okres burzy i naporu” – lata końca osiemnastego wieku poprzedzające okres romantyzmu w kulturze niemieckiej.

[158] (niem.) To wszystko niestety przez tę emigrację, która wszystkich nas kosztowała sporo nerwów.

[159] (niem.) Cóż więcej może zrobić syn dla swojej matki?

[160] (niem.) – Pearce z tej strony.

– A z tej jego najstarszy syn.

[161] (niem.) Nic nie pozostało takie jak dawniej.

[162] Poszczególnych pierzeje Rynku we Wrocławiu otrzymały swe nazwy od charakterystycznych kamienic; Strona Pod Złotym Pucharem (pierzeja południowa), Strona Zielonej Trzyciny/Rury (pierzeja wschodnia), Strona Siedmiu Elektorów (pierzeja zachodnia), Strona Targu Łakoci (pierzeja północna).

[163] Wspomnienia te wyszły w Polsce w przekładzie K. Joncy, A. Koniecznego i S. Reczka jako *Kronika dni oblężenia. Wrocław 22 I – 6 V 1945*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1972.

[164] Tamże, s. 22– 26.

[165] Tamże, s. 191.

[166] (niem.) Mamuško, po tym przecież poznaję twoją miłość. [...] Ależ to było piękne.

[167] (niem.) Tu: Lepiej żołądek sobie osłabić, niż oberżycie coś zostawić.

[168] Słowa i tytuł przeboju z 1930 roku, do którego melodię i tekst napisał Werner Richard Heymann, słynny ze względu na swoją muzykę filmową.

[169] Lena Einhorn, *Podróż Niny*, tłum. Wojciech Łygaś, FINNA, Gdańsk 2005, s. 244.



Wydawnictwo Akademickie

DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków, zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel.: +48 22 620 32 11, +48 22 654 01 49

e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl

Biuro handlowe : 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks: +48 22 620 87 03

e-mail: biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl

www.wydawnictwodialog.pl

Serie Wydawnictwa Akademickiego DIALOG:

- Języki Orientalne

- Mądrość Orientu
 - Języki Azji i Afryki
 - Współczesna Afryka i Azja
 - Literatry Orientalne
 - Vicus. Studia Agraria
 - Skarby Orientu
 - Orientalia Polona
 - Teatr Orientu
 - Philologia Orientalis
 - Życie po Japońsku
 - Literatura Okresu Transformacji
 - Sztuka Orientu
 - Literatura Frankofońska
 - Dzieje Orientu
 - Być Kobieta
 - Podróże–Kraje–Ludzie
 - Temat Dnia
 - Świat Orientu
 - Wieczory z Nauką
 - Historia/Polityka
 - Życie Codzienne w...
- Prowadzimy sprzedaż wysyłkową

